

Prószński i S-ka

TERRY PRATCHETT OSTATNI KONTYNENT



ŚWIAT DYSKU

Terry Pratchett

Ostatni kontynent

Dysk jest światem i zwierciadłem światów.

To nie jest książka o Australii.

Nie, to o całkiem innym miejscu,

które tu czy tam przypadkiem jest trochę... australijskie.

Mimo to... nie ma zmartwienia, nie?

Od tłumacza

Ostatni kontynent opowiada o Australii – a w każdym razie o kraju, który na Dysku podejrzenie Australię przypomina. Otóż istnieje pewien popularny element australijskiej kultury, który jednak mało komu znany jest w szczegółach i warto powiedzieć o nim kilka słów.

To piosenka *Waltzing Matilda*, tak popularna, że stała się niemal nieoficjalnym hymnem Australii – oficjalnym jest *Advance Australia Fair*, mówi o wolnym, młodym narodzie, którego dom jest morzem opasan... W obecności królowej Elżbiety II (lub członków rodziny królewskiej), przy oficjalnych okazjach w Australii gra się *God Save the Queen*...

Ale wróćmy do *Waltzing Matilda*. Tekst nie ma nic wspólnego z tańcem ani z kobietami. Matyldą nazywa się w Australii zwinięty koc, służący do snu włóczegom i wędrującym postrzygaczom owiec, a *waltzing Matilda* – zatańczyć walca z Matyldą – to wyruszyć na włóczęgę.

Tekst piosenki napisał Banjo Peterson w 1895 r. Pierwsza zwrotka brzmi tak (a przynajmniej tak śpiewa się ją dzisiaj):

Once a jolly swagman camped by a billabong,

*Under the shade of a coolibah tree,
And he sang as he watched and waited till his billy boiled,
Who'll come a-waltzing Matilda with me?
Waltzing Matilda, Waltzing Matilda,
Who'll come a-waltzing Matilda with me?
And he sang as he watched and waited till his billy boiled,
Who'll come a-waltzing Matilda with me?*

Co w wolnym tłumaczeniu oznacza: Pewnego razu wesoły *swagman* (wędrowiec) obozował nad *billabong* (miejsce, gdzie występuje woda), w cieniu drzewa *coolibah* (rodzaj eukaliptusa). I śpiewał, czekając, aż zagotuje się *billy* (puszka, w której gotuje się wodę na herbatę): „Kto wraz ze mną zatańczy walca z Matyldą?” (czyli: kto ruszy ze mną na włóczęgę).

Dalej piosenka opowiada, jak zjawił się *jumbuck* (owca), *swagman* skoczył na nią i wpakował do worka, ale niestety, przyjechał również *squatter* (czyli posiadacz ziemski) oraz trzech policjantów. *Swagman*, aby nie dać się schwytać, skoczył do *billabongu* i się utopił. Od tego czasu ci, którzy obok *billabongu* przejeżdżają, mogą usłyszeć, jak jego duch śpiewa: „Wraz ze mną zatańczycie walca z Matyldą”.

Piotr W. Cholewa

Na tle gwiazd przesuwa się żółw, niosąc na grzbiecie cztery słonie. I żółw, i słonie są większe, niż można by oczekiwać, ale wśród gwiazd różnica między wielkim a małym jest – relatywnie rzecz biorąc – bardzo mała.

Jednak ten żółw i te słonie są – według standardów żółwich i słoniowych – duże. Dźwigają Dysk z jego ogromnymi lądami, formacjami chmur i oceanami.

Ludzie nie żyją na Dysku, tak samo jak nie żyją na kulach w innych, nie aż tak ręcznie modelowanych okolicach wszechświata. Owszem, planety są

może tym miejscem, gdzie ich ciało wchłania herbatę, ale żyją całkiem gdzie indziej: we własnych światach, bardzo wygodnie orbitujących wokół środków ich głów.

Kiedy bogowie się spotykają, opowiadają sobie historię o pewnej szczególnej planecie, której mieszkańcy obserwowali z niejakim zaciekawieniem, jak gigantyczne, rozbijające kontynenty bryły lodu uderzają w inny świat, będący – w astronomicznym sensie – tuż obok. I potem nic nie zrobili w tej sprawie, gdyż coś takiego zdarza się tylko w kosmosie. Inteligentny gatunek poszukałby przynajmniej kogoś, komu mógłby złożyć skargę. Zresztą nikt tak naprawdę nie wierzy w tę historię, ponieważ rasa aż tak głupia nigdy nie odkryłaby nawet spamowodni* [* O wiele łatwiejszej do odkrycia niż ogień, a tylko odrobinę trudniejszej do odkrycia niż woda.].

Ludzie jednak wierzą w bardzo dużo innych rzeczy. Niektórzy na przykład mają legendę, według której cały wszechświat niesiony jest w skórzanej sakwie przez starca.

Oni też mają rację.

Inni czasem wołają: Zaraz, chwileczkę! Jeśli on nosi w tej sakwie cały wszechświat, to znaczy, że nosi też siebie i sakwę wewnątrz sakwy, ponieważ wszechświat zawiera wszystko. Łącznie z nim. I sakwą, oczywiście. Która już mieści w sobie jego i sakwę. Właśnie.

Na co odpowiedź brzmi: Tak?

Wszystkie plemienne mity są prawdą. Dla ustalonej wartości „prawdy”.

Ogólnym testem boskiej wszechmocy jest to, czy dany bóg potrafi zauważyć upadek małego ptaszka. Jednakże tylko jeden bóg robi notatki i wprowadza kilka poprawek, by następnym razem ptaszek mógł spaść szybciej i dalej. Może dowiemy się dlaczego.

Może dowiemy się, dlaczego ludzkość jest właśnie tutaj, choć to bardziej skomplikowane i nasuwa pytanie „A gdzie jeszcze powinniśmy być?”. Straszna byłaby myśl, że jakieś niecierpliwe bóstwo mogłoby rozsunąć chmury i powiedzieć: „Do licha, wciąż tu jesteście? Myślałem, że już

dziesięć tysięcy lat temu odkryliście spamowódź! Mam trylion ton lodu, który dotrze tu w poniedziałek!”. Możemy się nawet dowiedzieć, dlaczego dziobak jest* [* Nie dlaczego jest czymkolwiek. Po prostu dlaczego jest.].

Śnieg, gęsty i wilgotny, opadał na trawniki i dachy Niewidocznego Uniwersytetu, najznakomitszej magicznej uczelni Dysku. Był to lepki śnieg i sprawiał, że cała okolica przypominała raczej kosztowną, acz niegustowną ozdobę. Kolejne warstwy lepiły się do butów McAbre’a, głównego pedla* [* To skrzyżowanie woźnego z portierem. Pedle nie są dobierani ze względu na wyobraźnię, ponieważ zwykle jej nie mają.], kiedy człapał wśród zimnej, wilgotnej nocy.

Dwaj inni pedle wyszli spod osłony przypory i ruszyli za nim w ten posępny marsz ku głównej bramie.

Był to obyczaj mający już setki lat, a latem przybywało sporo turystów, by go obejrzeć – ale Ceremoniał Kluczy odbywał się każdej nocy, o każdej porze roku. Zwykły lód, wiatr i śnieg nigdy nie zdołały w nim przeszkodzić. Pedle w dawnych czasach deptali po mackowatych monstrach, by dopełnić ceremoniału; brodzili w falach powodzi, machali swymi melonikami na zagubione gołębie, harpie i smoki, a także ignorowali zwykłych członków ciała profesorskiego, którzy otwierali okna swych sypialni i wykrzykiwali przekleństwa w stylu „Skończcie z tym piekielnym hałasem! Po co to wszystko?”. Nigdy nie skończyli ani nawet nie pomyśleli o skończeniu. Nie można skończyć Tradycji. Można ją tylko rozwinąć.

We trzech dotarli do cieni pod główną bramą, niemal całkiem zasłoniętą wirującymi płatkami śniegu. Dyżurny pedel już na nich czekał.

– Stać! Kto Idzie? – zawołał.

McAbre zasalutował.

– Klucze Nadrektora!

– Przejście Dla Kluczy Nadrektora!

Główny pedel zrobił krok naprzód, wyciągnął przed siebie obie ręce z dłońmi

zgiętymi i skierowanymi ku sobie, po czym klepnął się w pierś w miejscach, gdzie jakiś pedel – dawno już spoczywający w grobie – miał kieszenie. Klap, klap! Następnie wyciągnął ramiona na boki i sztywno poklepał się po bokach kurtki. Klap, klap!

– Do Licha! Przysiągłbym, Że Miałem Je Przed Chwilą! – ryknął, ze starannością buldoga akcentując każde słowo.

Odźwierny zasalutował. McAbre zasalutował.

– Sprawdzaleś W Innych Kieszeniach?

McAbre zasalutował. Odźwierny zasalutował. Niewielka piramida śniegu osiadała mu na meloniku.

– Musiałem Je Chyba Zostawić Na Kredensie. Stale To Samo, Co?

– Powinieneś Pamiętać, Gdzie Je Kładziesz!

– Zaraz! Może Są W Mojej Drugiej Kurtce!

Do przodu wystąpił młody pedel, który w tym tygodniu był Trzymającym Drugą Kurtkę.

Każdy z trzech zasalutował obu pozostałym. Najmłodszy odchrząknął i zdołał wykrztusić:

– Nie, Zaglądałem... Tam... Dziś Rano!

McAbre skinął mu głową, by pochwalić za dobre wykonanie trudnego zadania, po czym znowu poklepał kieszenie.

– Czekaj, Niech To Kruki Rozdziobią, Były Jednak W Tej Kieszeni! Ależ Ze Mnie Oferma!

– Nie Przejmuj Się, Mnie Też Się To Zdarza!

– Jestem Czerwony Ze Wstydu! Następnym Razem Własnej Głowy Zapomnę!

Gdzieś w ciemności zaskrzypiało okno.

– Ehm... Przepraszam, panowie...

– No Więc Tutaj Masz Klucze! – oświadczył McAbre, podnosząc głos.

– Wielkie Dzięki!

– Zastanawiam się, czy moglibyście... – ciągnął płaczliwy głos, przepraszając za samą myśl o skargach.

– Wszystko Bezpieczne i Zabezpieczone! – zakrzyknął odźwierny, oddając klucze.

– ...może choć troszkę ciszej...

– Błogosławieństwo Wszystkim Tutaj! – wrzasnął McAbre, a żyły wystąpiły mu na grubym, czerwonym karku.

– Uważaj Tylko, Gdzie Je Tym Razem Położysz! Ha! Ha! Ha!

– Ho! Ho! Ho! – huknął McAbre, niemal nie panując nad sobą z wściekłości.

Zasalutował sztywno i wykonał w tył zwrot, z całkiem zbędnym głośnym tupaniem. Starożytna wymiana zdań dobiegła końca, więc odmaszerował na portiernię, mrużąc coś gniewnie pod nosem.

Okno małego szpitaliku uniwersyteckiego znowu się zamknęło.

– Ten typ sprawia, że mam ochotę przeklinać – stwierdził kwestor. Pogrzebał w kieszeni i wyjął swoje zielone pudełeczko pigułek z suszonej żaby. Kilka się wysypało, kiedy męczył się z wieczkiem. – Stale posyłam mu notatki. Mówi, że to tradycyjne, ale... sam nie wiem... jest przy tym taki hałaśliwy... – Wytarł nos. – Co z nim?

– Nie za dobrze – odparł dziekan.

Bibliotekarz był bardzo, bardzo chory.

Śnieg oblepiał zamknięte okno.

Przed płonącym w kominku ogniem leżał stos koców. Od czasu do czasu dygotał lekko. Magowie przyglądali mu się z troską.

Wykładowca run współczesnych gorączkowo przewracał kartki książki.

– Ale skąd mamy wiedzieć, czy jest w zaawansowanym wieku, czy nie? – zastanawiał się głośno. – Jaki jest zaawansowany wiek dla orangutana? A on jest magiem. I cały czas siedzi w bibliotece. To magiczne promieniowanie, bez przerwy... W jakiś sposób grypa atakuje jego

pole morficzne, ale mogło ją wywołać cokolwiek.

Bibliotekarz kichnął.

I zmienił kształt.

Magowie ze smutkiem popatrzyli na coś, co wyglądało zupełnie jak wygodny fotel, który ktoś z jakiegoś powodu wyłożył rudym futrem.

– Co możemy dla niego zrobić? – zapytał Myślak Stibbons, najmłodszy z członków grona profesorskiego.

– Byłoby mu chyba wygodniej z paroma poduszkami – stwierdził Ridcully.

– Mam wrażenie, że to nie było w dobrym guście, nadrektorze.

– Niby co? Każdy lubi wygodną poduszkę, kiedy czuje się trochę niezdrowo. Prawda? – rzekł człowiek, dla którego choroba była zjawiskiem niewyjaśnionym.

– Dziś rano był stołem. O ile pamiętam, mahoniowym. Wydaje się, że potrafi zachować przynajmniej kolor.

Wykładowca run współczesnych westchnął i zamknął książkę.

– Z całą pewnością przestał panować nad swymi funkcjami morficznymi – oznajmił. – To chyba nic dziwnego. Obawiam się, że kiedy już raz się

zmienił, może zmieniać się znowu o wiele łatwiej. Powszechnie znany fakt.

Zerknął na stężały uśmiech nadrektora i westchnął znowu. Mustrum Ridcully znany był z tego, że nawet nie próbował niczego zrozumieć, jeśli w pobliżu znalazł się ktokolwiek, kto mógł to zrobić za niego.

– Bardzo trudno jest zmienić formę żywej istoty, ale kiedy już raz się udało, łatwiej zrobić to następnym razem – przetłumaczył.

– Można powtórzyć?

– Był człowiekiem, zanim stał się małpą, nadrektorze. Pamięta pan?

– A tak – przyznał Ridcully. – To zabawne, jak się przyzwyczajamy do pewnych rzeczy. Zresztą, według obecnego tu Myślaka, małpy i ludzie są spokrewnieni.

Pozostali magowie zrobili tępe miny. Myślak się krzywił.

– Pokazywał mi niektóre niewidzialne teksty – ciągnął Ridcully. – Fascynujące.

Magowie spojrzeli groźnie na Myślaka Stibbonsa, tak jak można by spojrzeć na człowieka przyłapanego z papierosem w fabryce sztucznych ogni. Teraz wiedzieli, kto jest winien... jak zwykle.

– Czy to naprawdę rozsądne, nadrektorze? – spytał dziekan.

– Cóż, tak się składa, że jestem tu nadrektorem, dziekanie – odparł chłodno Ridcully.

– Fakt jasny nawet dla ślepego – zgodził się dziekan. Jego tonem można by kroić ser.

– Powinienem się interesować. Wiecie, chodzi o morale – ciągnął Ridcully. – Moje drzwi zawsze są otwarte. Uważam się za członka zespołu.

Myślak znowu się skrzywił.

– Nie wydaje mi się, żebym był spokrewniony z jakimiś małpami – powiedział z namysłem pierwszy prymus. – Znaczy, chyba bym o tym wiedział, prawda? Zapraszałyby mnie na śluby i w ogóle. Moi rodzice mówiliby czasem coś w stylu „Nie przejmuj się wujkiem Charliem, on powinien tak pachnieć”. Prawda? I ich portrety wisiałyby...

Fotel kichnął. Nastąpił nieprzyjemny moment morficznej nieoznaczoności, a potem bibliotekarz leżał, znowu w swojej dawnej postaci. Magowie przyglądali mu się czujnie, by zobaczyć, co będzie dalej.

Trudno było przypomnieć sobie te czasy, kiedy bibliotekarz był jeszcze istotą ludzką. Z pewnością nikt nie pamiętał, jak wtedy wyglądał ani nawet jak się nazywał.

Magiczna eksplozja, zawsze możliwa w takim miejscu jak biblioteka, gdzie tak wiele niestabilnych książek o magii spoczywa ściśniętych niebezpiecznie blisko siebie, wprowadziła go nieoczekiwanie w małopiość. Stało się to wiele lat temu. Od tego czasu nigdy nie oglądał się za siebie, a często nie patrzył też pod nogi. Wielki, kosmaty, dyndający na jednej ręce z najwyższej półki, gdy stopami układał książki, stał się powszechnie znany na całym Niewidocznym Uniwersytecie; jego obowiązkowość i oddanie były przykładem dla wszystkich.

Nadrektor Ridcully, w którego głowie to ostatnie zdanie zdradziecko utkwilo, zdał sobie nagle sprawę, że szkicuje w myślach nekrolog.

– Ktoś wezwał lekarza? – zapytał.

– Dziś po południu sprowadziliśmy Jimmy’ego Pączka* [* Czołowy weterynarz Ankh-Morpork, wzywany zwykle do osób cierpiących na dolegliwości zbyt poważne, by powierzać je zwykłym przedstawicielom medycznej profesji. Jedynym słabym punktem Pączka była jego skłonność do przyjmowania, że każdy pacjent jest – w mniejszym czy większym stopniu – koniem wyścigowym.] – odpowiedział dziekan. – Próbował mu zmierzyć temperaturę, ale obawiam się, że bibliotekarz go ugryzł.

– Ugryzł go? Z termometrem w ustach?

– Hm... niezupełnie. Tu właśnie, można powiedzieć, odkrył pan powód tego ugryzienia.

Przez chwilę trwała grobowa cisza. Pierwszy prymus ujął bezwładną dłoń jakby z czarnej skóry i poklepał ją odruchowo.

– Nie piszą w książce, czy te małpiszony mają puls? – zapytał. – A nos powinien mieć zimny czy jak?

Rozległ się cichy odgłos, jak gdyby pół tuzina ludzi jednocześnie i gwałtownie nabierało tchu. Magowie zaczęli ostrożnie odsuwać się od pierwszego prymusa.

Przez kilka sekund słychać było jedynie trzask ognia i wycie wiatru za oknem.

Magowie wrócili na miejsca.

Pierwszy prymus, ze zdumioną miną kogoś, kto wciąż jeszcze posiada wszystkie znane

kończyny, bardzo powoli zdjął swój spiczasty kapelusz. Coś takiego mag robi tylko w wyjątkowo ponurych okolicznościach.

– No cóż, już po wszystkim – powiedział. – Biedaczysko wyruszył do domu. Wraca na wielką pustynię na niebie.

– Ehm... raczej do lasu tropikalnego – poprawił Myślak Stibbons.

– Może pani Whitlow przygotowałaby mu ciepłą, pożywną zupę? – zaproponował wykładowca run współczesnych.

Nadrektor Ridcully zastanowił się nad ciepłą, pożywną zupą pani Whitlow.

– Zabije albo wyleczy – mruknął. Ostrożnie poklepał bibliotekarza. – Weź się w garść, chłopie – powiedział. – Wkrótce znowu staniesz na nogi i nadal będziesz wnosił cenny wkład.

– Na kostki – odpowiedział dziekan.

- Co takiego?
- Raczej na kostki rąk niż na nogi.
- Na kółka – wtrącił wykładowca run współczesnych.
- To niesmaczny żart – uznał Ridcully.

Wyszli z pokoju. Z korytarza dobiegły jeszcze cichnące głosy.

- Wydawało mi się, że bardzo blado wyglądał przy tapicerce.
- Chyba jest na to jakieś lekarstwo?
- To miejsce bez niego nie będzie już takie samo.
- Stanowczo był jedyny w swoim rodzaju.

Kiedy odeszli, bibliotekarz ostrożnie wyciągnął rękę, przykrył sobie głowę kocem, przytulił termofor i kichnął.

Teraz leżały obok siebie dwa termofory, ten drugi o wiele większy, w pokrowcu w kształcie pluszowego misia z rudym futrem.

Światło na Dysku przemieszcza się wolno, jest nieco ciężkie i ma skłonność do spiętrzania się na wysokich łańcuchach górskich. Magowie teoretycy wysunęli teorię, że istnieje też inny, o wiele szybszy rodzaj światła, które pozwala na widzenie tego wolniejszego. Ale że to z kolei porusza się zbyt szybko, by je zobaczyć, nie znaleźli dla niego żadnego zastosowania.

Oznacza to, że chociaż Dysk jest płaski, nie wszystkie miejsca doświadczają tego samego czasu w tym samym – z braku lepszego określenia – czasie. Kiedy w Ankh-Morpork było już tak późno, że było wcześniej rano, gdzie indziej...

Ale tutaj nie istniały godziny. Istniał świt i zmierzch, ranek i wieczór, prawdopodobnie też południe i północ, ale głównie istniał upał. I czerwień. Coś tak sztucznego i ludzkiego jak godzina nie przetrwałoby tutaj nawet pięciu minut. W kilka sekund wyschłoby i zwiędło.

A ponad wszystkim istniała cisza. Nie chłodna, martwa cisza nieskończonej przestrzeni, ale

płonąca organiczna cisza, jaka powstaje, kiedy na tysiącach mil czerwonych horyzontów wszystko jest zbyt zmęczone, żeby wydawać jakiegokolwiek dźwięki.

Ale gdy ucho obserwatora przesuwają nad pustynią, wychwytuje coś zbliżonego do pieśni – chrapliwej krótkiej litanii, która uderza o wszechogarniającą ciszę niczym mucha odbijająca się o szybę w oknie wszechświata.

Śpiewający – trochę bez tchu – nie był widoczny, ponieważ stał w dziurze wygrzebanej w czerwonej glebie. Od czasu do czasu trochę ziemi wylatywało ze środka na stos za jego plecami. Pognieciony i obszarpany spiczasty kapelusz podskakiwał do rytmu niemelodyjnej melodyjki. Zapewne kiedyś było na nim wyszyte cekinami słowo „Maggus”. Cekiny odpadły, ale litery wciąż były widoczne, jaśniejące czerwienią tam, gdzie przebijał się oryginalny kolor kapelusza. Wokół orbitowało kilkadziesiąt muszek.

Słowa pieśni brzmiały mniej więcej tak:

– Larwy! To właśnie będziemy dziś jedli. To żarcie, nie jedzenie. I co robimy, żeby się dostać do larwalnego żarcia? Grzebiemy w ziemi, jak larwa. Hurra! – Następna porcja ziemi wyfrunęła na stos, a głos dodał już spokojniej: – Ciekawe, czy można jeść muchy.

Mówią, że tutejszy upał i tutejsze muchy mogą człowieka doprowadzić do szaleństwa. Ale nie trzeba w to wierzyć – tak jak nie wierzył ten jaskrawy, jasnofioletowy słoń, który właśnie przejechał obok na rowerze.

Dziwne, ale szalenie w dziurze był jedyną przebywającą obecnie na kontynencie osobą, która mogłaby rzucić nieco światła na niewielki dramat rozgrywany o tysiąc mil dalej i parę sążni niżej. Pewien poszukiwacz opali, górnik znany kolegom tylko jako Ślag, miał właśnie dokonać najcenniejszego, ale najbardziej niebezpiecznego odkrycia w swojej karierze.

Kilofem odłupał skałę i zdmuchnął pył tysiącleci. W świetle świecy coś

błysnęło.

Było zielone jak zamrożony zielony płomień.

Ostrożnie, z umysłem stężałym nagle jak to światło pod palcami, odsunął luźne kamienie. Kiedy spadały, opał chwycił i odbijał mu w twarz coraz więcej światła. Zdawało się, że jego lśnienie nie ma końca.

Wreszcie górnik gwałtownie wypuścił oddech.

– Ślag!

Gdyby znalazł mały kawałek zielonego opalu, powiedzmy rozmiarów fasoli, zawołałby kumpli i razem by obalili kilka piw. Przy opalu wielkim jak pięść waliłby rękami o ziemię z radości. Ale to... Wciąż stał w miejscu i delikatnie gładził go palcami, gdy inni górnicy zauważyli światło i podbiegli.

A przynajmniej ruszyli biegiem. Zbliżając się, zwalniali do czegoś w rodzaju pełnego czci spaceru.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Zielony blask padał im na twarze.

Wreszcie ktoś z ludzi szepnął:

– Miałeś szczęście, Ślag.

– Na całym świecie nie ma dość pieniędzy, koleś.

– Uważajcie, to może być tylko mika...

– I tak warta trochę szmalu. No dalej, Ślag, wyciągnij to.

Patrzyli niczym koty, jak kilofem odłupuje następne kawałki skały. Wreszcie natrafił na krawędź. I drugą krawędź. Zaczęły mu dygotać palce.

– Uważaj, koleś. Tutaj jest bok tego...

Górnicy cofnęli się o krok, gdy odpadła reszta skały przesłaniającej klejnot. Rzeczywiście był podłużny, choć dolna ściana wyglądała jak chaos

poskręcanego opalu i ziemi.

Ślag odwrócił kilof i oparł drewniane stylisko o lśniący kryształ.

– Ślag by... Nic z tego – powiedział. – Muszę sam sprawdzić.

Postukał w skałę. Odpowiedziała echem.

– Nie może być przecież pusty w środku – stwierdził jeden z górników. – W życiu o czymś takim nie słyszałem.

Ślag sięgnął po łom.

– Racja. No to...

Zabrzmiało ciche „plink!”. Z dolnej części odpadł spory kawałek opalu. Okazało się, że nie jest grubszy niż talerz.

Odsłonił kilka palców, które poruszały się wolno wewnątrz roziskrzanej skorupy.

– Niech to ślag – powiedział górnik, kiedy wycofywali się coraz dalej. – To jest żywe...

Myślak wiedział, że nie powinien pozwalać Ridcully’emu oglądać niewidzialnych tekstów. Przecież to podstawowa zasada: nie zdradzać pracodawcy, co człowiek właściwie robi przez całe dnie.

Ale niezależnie od podejmowanych środków ostrożności wcześniej czy później szef musiał się zjawić, porozglądać, powiedzieć coś w rodzaju „Ach, czyli tutaj pan pracuje?” albo „Zdawało mi się, że rozesłałem notatkę na temat przynoszenia kwiatów w doniczkach” i „Jak nazywacie tę rzecz z klawiaturą?”.

Było to szczególnie trudne dla Myślaka, ponieważ odczytywanie niewidzialnych tekstów jest pracą wymagającą delikatności i skrupulatności, odpowiednią dla temperamentu obserwatora Grand Prix Dryfu Kontynentalnego, zajmującego się jako hobby górami bonsai, nawet jeżdżącego volvo. Wymaga niezwyklej staranności. Potrzebuje umysłu, który

dla rozrywki układa puzzle w ciemnym pokoju. Nie potrzebuje Musturma Ridcully'ego.

Hipoteza tkwiąca u podstaw niewidzialnych tekstów jest śmiesznie skomplikowana. Wszystkie książki są słabo powiązane poprzez L-przestrzeń, a zatem zawartość każdej książki,

jaką napisano – albo jaka zostanie napisana – może, w sprzyjających okolicznościach, być wydedukowana na podstawie dostatecznie szczegółowych badań książek już istniejących. Przyszłe książki istnieją *in potentia*, ma się rozumieć. W ten sam sposób dostatecznie szczegółowe badania garści pierwotnego mułu w końcu zasugerują przyszłe wystąpienie krakersów krewetkowych.

Ale używane dotychczas prymitywne techniki, oparte na starożytnych zaklęciach w rodzaju Zawodnego Algorytmu Weezencake'a, powodowały, że całe lata zajmowało złożenie choćby widma stronicy nienapisanej książki.

Szczególny geniusz Myślaka pozwolił mu ominąć te problemy dzięki rozważeniu frazy „Skąd wiesz, że to niemożliwe, jeśli nie spróbowałeś?”. Eksperymenty z HEX-em, uniwersytecką machiną myślącą, doprowadziły do odkrycia, że istotnie, wiele rzeczy nie jest niemożliwych, dopóki się nie spróbuje.

Jak zapracowany rząd, który uchwała kosztowne prawa, zakazujące jakichś nowych i ciekawych rzeczy dopiero wtedy, kiedy ludzie odkryją metodę ich robienia, wszechświat mocno opierał się na tym, że pewne rzeczy nie będą próbowane.

Kiedy czegoś się spróbuje, jak stwierdził Myślak, często bardzo szybko okazuje się to niemożliwe, ale chwilę trwa, zanim rzeczywiście tak się stanie* [* W przypadku zimnej fuzji trwało to dłużej niż zwykle.] – chwilę konieczną dla zapracowanych praw przyczynowości, by mogły pojawić się na scenie i udawać, że było to niemożliwe przez cały czas. Wykorzystując HEX-a do powtarzania z wielką szybkością drobiazgowo różnych prób, uzyskał wysoki procent sukcesów i potrafił teraz odtwarzać całe akapity w ciągu zaledwie godzin.

– Czyli to coś w rodzaju takiej sztuczki iluzjonisty – stwierdził Ridcully. – Wyciąga pan obrus, zanim cała zastawa zdąży sobie przypomnieć, że ma się przewrócić.

Myślak skrzywił się wtedy.

– Tak, właśnie tak, nadrektorze – powiedział. – Doskonałe porównanie.

To wszystko doprowadziło do kłopotów z dziełem „Jak dynamicznie zmotywować pracowników do uzyskania dynamicznych wyników w sposób opiekuńczy i zachęcający w całkiem krótkim czasie dynamicznie”. Myślak nie wiedział, kiedy ta książka zostanie napisana ani w jakim świecie mogłaby być opublikowana. Najwyraźniej jednak miała być popularna, gdyż losowe sondowania głębin L-przestrzeni często trafiały na jej fragmenty. Może nawet nie była to tylko jedna książka.

A niektóre z tych fragmentów leżały na biurku Myślaka, kiedy Ridcully się rozglądał.

Na nieszczęście, jak wielu ludzi, którzy całkiem sobie z czymś nie radzą, nadrektor lubił się chwalić, jak doskonale sobie z tym radzi. A był dla kierowania zespołem tym, czym Herod dla Towarzystwa Przedszkolnego w Betlejem.

Jego psychiczną postawę wobec tego zadania można by zwizualizować w formie schematu

blokowego, w którym na samej górze tkwiło koło opisane „Ja, który wydaję polecenia”, połączone linią z umieszczonym niżej dużym kołem opisanym „Cała reszta”.

Aż do teraz wszystko to całkiem dobrze funkcjonowało, ponieważ wprawdzie Ridcully był niemożliwym kierownikiem, ale też uniwersytet był niemożliwy do kierowania, więc wszystkie elementy doskonale do siebie pasowały.

Tak byłoby nadal, gdyby nagle nie dostrzegł sensu w przygotowywaniu wieloletniego planu awansów, a co najgorsze, zakresu obowiązków.

Jak to wyraził wykładowca run współczesnych:

– Wezwał mnie i zapytał, co właściwie robię. Czy kto słyszał o czymś podobnym? Co to niby za pytanie? Przecież jesteśmy na uniwersytecie!

– A mnie spytał, czy mam jakieś osobiste problemy – dodał pierwszy prymus. – Nie rozumiem, czemu właściwie mam to znosić.

– A widzieliście tabliczkę na jego biurku? – spytał dziekan.

– Chodzi ci o tę, gdzie jest napisane „Dolar zaczyna się tutaj”?

– Nie, o tę drugą. „Jeśli tkwisz po tyłek w aligatorach, to właśnie jest pierwszy dzień reszty twojego życia”.

– A to znaczy...?

– Nie wydaje mi się, żeby to miało cokolwiek znaczyć. Myślę, że to powinno być.

– Być czym?

– Być proaktywne, jak sędzę. Często używa tego słowa.

– A co ono oznacza?

– No... popieranie aktywności. Chyba.

– Naprawdę? Niebezpieczne. Zgodnie z moim doświadczeniem, brak aktywności całkiem wystarcza.

Podsumowując, w tej chwili nie był to szczęśliwy uniwersytet, a już najgorsze były posiłki. Myślak zwykle siedział samotnie na końcu głównego stołu, jako mimowolny architekt prób nadrektora, by Przerobić Ich na Zwarty, Bojowy Zespół. Co prawda magowie, ceniąc raczej rozłożystość, wcale nie mieli ochoty być zwarcami, ale rzeczywiście stawali się coraz bardziej bojowi.

Na dodatek jeszcze nagłe zainteresowanie Ridcully’ego okazywaniem

zainteresowania oznaczało, że Myślak musiał mu opowiedzieć coś o swoim obecnym projekcie. Jednym zaś z aspektów charakteru nadrektora, który wcale się nie zmienił, był jego potworny zwyczaj umyślnego – zdaniem Myślaka – nierozumienia czegokolwiek.

Myślaka już dawno zaciekał fakt, że bibliotekarz jako małpa – a przynajmniej zwykle jako małpa, ponieważ dziś wieczorem postanowił chyba zostać niedużym stolikiem zastawionym porośniętym rudym futrem serwisem do herbaty – jest taki... jak by to określić... taki

człękokształtny. Właściwie to bardzo wiele stworzeń miało prawie ten sam kształt. Niemal wszystko, co człowiek zobaczył, było mniej więcej skomplikowaną rurą z parą oczu i czworgiem ramion, nóg albo skrzydeł. Jasne, istniały też ryby. I owady. No dobrze, pająki również. I jeszcze parę dziwnych istot, jak rozgwiazdy albo mięczaki. Mimo wszystko wydawało się, że naturze przy projektowaniu brakło wyobraźni. Gdzie się podziały sześciorekie, sześciookie małpy wirujące jak karuzele wśród liści w dżungli?

No tak, ośmiornice także, ale o to właśnie chodziło – są przecież tylko czymś w rodzaju podwodnych pajaków...

Myślak kilka razy odwiedził mniej czy bardziej zaniedbane uniwersyteckie Muzeum Rzeczy Dość Niezwykłych i zauważył rzecz dość niezwykłą: ktokolwiek projektował szkielety stworzeń, miał jeszcze mniej wyobraźni niż ten, który wymyślał powłoki zewnętrzne. Ten drugi przynajmniej próbował czasem jakichś eksperymentów w dziedzinie cętek, wełny czy pasków, ale budowniczy kości zwykle wtykał po prostu czaszkę nad klatką piersiową z żebrami, trochę dalej wciskał miednicę, przyczepiał ręce i nogi, po czym na resztę dnia miał wolne. Niektóre żebra były dłuższe, niektóre nogi krótsze, niektóre ręce stawały się skrzydłami, ale wszystko opierało się na jednej konstrukcji, jednym modelu rozciągającym albo ściskającym, żeby pasował wszystkim.

Myślak nie był zbyt zaskoczony, odkrywając, że tylko on jeden uznaje to za ciekawe. Wskazywał innym, że ryby są szokująco rybokształtne, a oni patrzyli na niego jak na wariata.

Paleontologia, archeologia i wszelkie kopalnictwo czaszek nie należały do

tematów interesujących magów. Te rzeczy są zakopane z jakiegoś powodu, uważali. Nie warto się zastanawiać z jakiego. I lepiej nie wykopywać nic z ziemi, bo potem może nie pozwolą człowiekowi zakopać tego z powrotem.

Najbardziej spójna teoria, która wyjaśniała te fakty, pochodziła od niani Myślaka z czasów, kiedy był jeszcze całkiem mały. Małpy, jak twierdziła, to niegrzeczni chłopcy, którzy nie wracali do domu na wołanie, a foki to niegrzeczni chłopcy, którzy leniuchowali na plaży, zamiast się uczyć. Nie mówiła, że ptaki to niegrzeczni chłopcy, którzy podchodzili za blisko do krawędzi urwiska, zresztą w tym przypadku bardziej prawdopodobne byłyby meduzy. Myślak nie mógł jednak pozbyć się wrażenia, że choć kobieta była nieszkodliwie obłąkana, mogła dostrzec jakiś przebłysk sensu...

Większość nocy poświęcał teraz na obserwowanie, jak HEX łowi niewidzialne teksty, poszukując jakichkolwiek wskazówek. W teorii, ze względu na naturę L-przestrzeni, absolutnie wszystko było dla niego dostępne, ale wynikało z tego właściwie tyle, że praktycznie nie dało się czegokolwiek znaleźć. Taki właśnie jest cel istnienia komputerów.

Myślak Stibbons należał do tych nieszczęsnych osobników dotkniętych wiarą, że jeśli tylko odkryje dostatecznie wiele faktów na temat wszechświata, wszystko jakoś nagle nabierze sensu.

Celem była Teoria Wszystkiego, ale jemu wystarczyłaby Teoria Czegoś. A późną nocą, kiedy HEX wydawał się nadąsany, Myślak zaczynał wątpić nawet w Teorię Czegokolwiek.

Zadziwiające, że magowie w końcu zaakceptowali HEX-a, mimo wygłaszanych czasem uwag w rodzaju „Za moich czasów sami za siebie myśleliśmy”. Magia jednak była dziedziną tradycyjnie konkurencyjną, choć NU przechodził teraz przez długi okres spokoju i ciszy, bez nieoficjalnych zabójstw, które czyniły go niegdyś tak śmiertelnie ekscytującym. Mimo to starsi magowie nie ufali młodemu człowiekowi, który ruszał drogą do kariery – bo często owa droga przechodziła przez ich tętnicę. W tej sytuacji było coś pocieszającego w świadomości, że najlepsze umysły Niewidocznego Uniwersytetu, które jeszcze pokolenie temu tworzyłyby naprawdę porywające plany z wykorzystaniem uchylnych desek w podłodze i wybuchowej tapety, spędzały całe noce w budynku Magii Wysokich Energii,

próbując uczyć HEX-a śpiewać „Lydia, dama w tatuażach”. Cieszyły się, kiedy maszyna po sześciu godzinach pracy dokonywała czegoś, co dowolny człowiek z ulicy zrobiłby za dwa pensy, a potem posyłały po pizzę z sushi i bananami, po czym zasypiały na klawiaturze. Starsi magowie nazywali to technomancją i spali spokojnie w swoich łóżkach, wiedząc, że Myślak i jego studenci nie śpią w swoich.

Myślak musiał się zdrzemnąć, ponieważ ocknął się tuż przed drugą w nocy, obudzony jakimś krzykiem. Uświadomił sobie, że wtula twarz w połowę swojej kolacji. Stracił z policzka kawałek makreli o zapachu bananowym, zostawił HEX-a spokojnie przestukującego się przez swoje procedury i podążył za hałasem.

Zamieszanie wybuchło w korytarzu przed wielkimi drzwiami prowadzącymi do biblioteki. Kwestor leżał na podłodze, wachlowany kapeluszem pierwszego prymusa.

– O ile udało nam się ustalić, nadrektorze – tłumaczył dziekan – biedak nie mógł zasnąć i zszedł po jakąś książkę...

Myślak zerknął na drzwi. Przejście blokował pas czarno-żółtej taśmy i tabliczka z napisem „Zagrożenie. Nie Wchodzić w Żadnych Okolicznościach”. Wisiała teraz z boku, a drzwi stały otworem. Nic dziwnego. Każdy prawdziwy mag, stający przed napisem „Nie otwieraj tych drzwi. Naprawdę. Poważnie. Nie żartujemy. Otwarcie tych drzwi oznacza koniec wszechświata”, natychmiast by je otworzył, żeby sprawdzić, o co tyle zamieszania. To sprawiało, że ostrzeżenia były właściwie stratą czasu, ale przynajmniej – gdy pogrążonym w żałobie krewnym oddawało się naczynie z tym, co z maga zostało – można było powiedzieć „Uprzedzaliśmy go, żeby tego nie robił”.

W ciemności po drugiej stronie progu panowała cisza.

Ridcully wyciągnął palec i ostrożnie pchnął jedno skrzydło drzwi.

Coś zatrzepotało za nimi i drzwi się zatrzasnęły. Magowie odskoczyli.

– Proszę nie ryzykować, nadrektorze! – zawołał kierownik studiów

nieokreślonych. – Próbowałem wejść tam wcześniej i cały Dział Esejów Krytycznych wszedł w stan krytyczny.

Za drzwiami zamigotało błękitne światło.

Gdzie indziej ktoś mógłby powiedzieć „To tylko książki... Książki nie są groźne”. Ale nawet całkiem zwykłe książki bywają niebezpieczne, nie tylko te o tytułach „Jak przygotować gelinit w sposób profesjonalny”. Człowiek siedzi gdzieś w jakimś muzeum i pisze nieszkodliwą książkę o ekonomii politycznej, aż nagle giną tysiące ludzi, którzy nawet jej nie czytali, z powodu tych, którzy nie zrozumieli żartu. Wiedza jest niebezpieczna, dlatego właśnie rządy często zamykają ludzi potrafiących myśleć, myśli powyżej pewnego kalibru.

A biblioteka Niewidocznego Uniwersytetu była biblioteką magiczną, wzniesioną na bardzo cienkiej warstwie czasoprzestrzeni. Na dalekich półkach stały książki, które jeszcze nie zostały napisane, i książki, których nikt nigdy nie napisze. W każdym razie nie tutaj. Miała obwód kilkuset sążni, ale nie istniało znane ograniczenie jej promienia.

W magicznej bibliotece książki przeciekają i uczą się od siebie nawzajem...

– Zaczęły atakować każdego, kto wchodzi – jęknął dziekan. – Nikt nie może nad nimi zapanować, kiedy nie ma bibliotekarza!

– Ale przecież jesteśmy uniwersytetem! Musimy mieć bibliotekę! – oświadczył Ridcully. – To w dobrym tonie. Jakimi ludźmi byśmy byli, gdybyśmy nie chodzili do biblioteki?

– Studentami – odparł smętnie pierwszy prymus..

– Ha... Pamiętam, kiedy sam byłem studentem – wtrącił wykładowca run współczesnych. – Strachulec Swallett zabrał nas na wyprawę w poszukiwaniu Zaginionej Czytelni. Błądziliśmy tam przez trzy tygodnie. Musieliśmy jeść własne buty.

– Znaleźliście ją? – zainteresował się dziekan.

– Nie, ale znaleźliśmy szczątki poprzedniej wyprawy.

– I co zrobiliście?

– Zjedliśmy też ich buty.

Zza drzwi dobiegło trzepotanie jakby skórzanych okładek.

– Tam jest parę bardzo zjadliwych grimoire'ów – przypomniał pierwszy prymus. – Jednym kłapinięciem potrafią odgryźć człowiekowi rękę.

– Tak, ale przynajmniej nie wiedzą nic o otwieraniu drzwi – pocieszył go dziekan.

– Wiedzą, jeśli gdzieś tam jest książka „Klamki dla początkujących”. One się nawzajem czytają.

Nadrektor zerknął na Myślaka.

– Są szanse, że jest tam taka książka, Stibbons?

– Według teorii L-przestrzeni to praktycznie pewne, proszę pana.

Magowie jak jeden odskoczyli od drzwi.

– Nie możemy pozwolić, żeby ciągnęły się te nonsensy – stwierdził Ridcully stanowczo. – Trzeba wyleczyć bibliotekarza. To magiczna choroba, więc chyba potrafimy przygotować

magiczny lek, prawda?

– Byłoby to niezwykle ryzykowne, nadrektorze – oświadczył dziekan. – Cały jego organizm to chaos sprzecznych wpływów magicznych. Nie da się przewidzieć, do czego doprowadzi dodatkowa magia. I tak już ma rozchwiany gruczoł temporalny* [* Magowie są przekonani o istnieniu gruczołu temporalnego, choć nawet najbardziej inwazyjni alchemicy nie zdołali odkryć, gdzie jest ulokowany. Obecnie obowiązująca teoria mówi o jego egzystencji bezcielesnej, jako czegoś w rodzaju eterycznego wyrostka robaczkowego. Gruczoł ten dba o to, jak stare jest ciało, i jest tak podatny na

wpływy silnego pola magicznego, że może nawet działać przeciwnie niż zwykle, wchłaniając z organizmu normalne rezerwy chrononiny. Alchemicy twierdzą, że jest to klucz do nieśmiertelności, ale alchemicy mówią tak o soku pomarańczowym, chrupiącym chlebie i piciu własnego moczu. Alchemik urznie sobie głowę, jeśli uzna, że dzięki temu pożyje dłużej.]. Jeszcze trochę i... no, nie wiem, co się może zdarzyć.

– Przekonamy się – odparł szorstko Ridcully. – Musimy odzyskać możliwość korzystania z biblioteki. Uczynimy to dla naszej uczelni, dziekanie. Niewidoczny Uniwersytet jest czymś więcej niż jeden człowiek...

– ...małpa...

– ...małpa, dziękuję, i zawsze musimy pamiętać, że „ja” to najkrótsze słowo w słowniku.

Za drzwiami znowu coś huknęło.

– Właściwie – zastanowił się pierwszy prymus – to wydaje mi się, że takie słowa jak „i” albo „w” są jeszcze krótsze. Nawet „ty” może być krótsze, zależnie od czcionki...

– Oczywiście – ciągnął Ridcully, ignorując tę wypowiedź jako element zwykłego uniwersyteckiego tła logicznego – mógłbym zapewne wyznaczyć nowego bibliotekarza... Musiałby to być ktoś starszy i doświadczony, kto wie, jak się do tego zabrać... Hm... niech pomyślę... Może ktoś się nasunie na myśl? Dziekanie?

– No dobrze, dobrze – burknął dziekan. – Rób, co chcesz. Jak zawsze.

– Ehm... Nie możemy tego zrobić, proszę pana – wtrącił Myślak.

– Och! – zawołał Ridcully. – Zgłasza się pan na ochotnika do porządkowania regałów, co?

– Chodzi mi o to, że naprawdę nie możemy używać magii, żeby go zmienić, proszę pana. Wynika to z bardzo poważnego problemu.

– Nie istnieją problemy, panie Stibbons. Istnieją tylko możliwości.

– Oczywiście, proszę pana. A tutaj mamy możliwość odkrycia imienia bibliotekarza.

Inni magowie zamruczeli z aprobatą.

– Chłopak ma rację – potwierdził wykładowca run współczesnych. – Nie da się zaczarować maga, nie znając jego imienia. Podstawowa zasada.

– No, przecież nazywamy go bibliotekarzem. Wszyscy go nazywają bibliotekarzem. To nie wystarczy?

– To tylko stanowisko służbowe, nadrektorze.

Ridcully przyjrzał się swoim magom.

– Ktoś z nas musi chyba znać jego imię? Na bogów, miałem nadzieję, że znacie chociaż imiona swoich kolegów. Czy to nie... – zerknął na dziekana, zawahał się i rzucił szybko: – Tak, dziękuję?

– On przecież już dość długo był małpoludem, nadrektorze. Większość jego oryginalnych kolegów... odeszła. Dostali zaproszenia na Wielki Bankiet w Niebie. Przechodziliśmy wtedy jeden z tych okresów *droit de mortis*.

Ogólnie mówiąc, jest to przyspieszenie awansu maga w szeregach magów metodą wybicia wszystkich starszych magów. Praktyka ta pozostaje obecnie w zawieszeniu, ponieważ kilka entuzjastycznych prób usunięcia Mustuma Ridcully'ego dało w efekcie pewnego maga, który przez dwa tygodnie nie słyszał wyraźnie. Ridcully uważał, że istotnie, jest miejsce na szczycie, a on zajmuje je całkowicie.

– No tak, ale przecież musi być gdzieś w rejestrach...

Magowie pomyśleli o wielkich urwiskach papieru tworzących rejestry NU.

– Archiwista nigdy go nie znalazł – zauważył wykładowca run współczesnych.

– A kto jest archiwistą?

– Bibliotekarz, nadrektorze.

– W takim razie powinien być przynajmniej w pamiątkowej księdze z roku, w którym kończył studia.

– To bardzo zabawne – rzekł dziekan – ale jakiś dziwaczny wypadek przytrafił się wszystkim egzemplarzom księgi pamiątkowej z tego roku.

Ridcully zauważył jego stężoną twarz.

– Czy to taki przypadek, że jakaś konkretna stronica została wyrwana, pozostawiając tylko lekki aromat bananów?

– Trafił pan, nadrektorze.

Ridcully poskrobał się po brodzie.

– Widzę tu pewną regułę – stwierdził.

– Wie pan, on stanowczo się sprzeciwiał poszukiwaniom jego imienia – wyjaśnił pierwszy prymas. – Boi się, że spróbujemy zamienić go z powrotem w człowieka. – Zerknął wymownie na dziekana, który zrobił urażoną minę. – Pewni ludzie często powtarzali, że małpa jako bibliotekarz jest nieodpowiednia.

– Ja tylko wyraziłem opinię, że jest to wbrew tradycjom Niewidocznego Uniwersytetu... – zaczął dziekan.

– Która polega głównie na czepianiu się drobiazgów, zjadaniu obfitych posiłków i wykrzykiwaniu w środku nocy jakichś bzdur o kluczach – dokończył Ridcully. – Nie wydaje mi

się, żeby...

Twarze pozostałych magów kazały mu się obejrzeć.

Do holu wszedł bibliotekarz. Poruszał się bardzo wolno z powodu warstw odzieży, jaką na siebie włożył; sama objętość płaszczy i swetrów sprawiała, że jego ręce – zwykle używane jako dodatkowa para nóg – teraz sterczały

prawie poziomo po obu stronach ciała. Ale najbardziej przerażającym elementem tego wlokącego się widma była czerwona wełniana czapka.

Była wesoła. I miała pompon. Zrobiła ją na drutach pani Whitlow, która technicznie była mistrzynią robótek ręcznych, jednak jeśli już miała jakąś wadę, była nią nieumiejętność uwzględnienia dokładnych wymiarów planowanego użytkownika. Wielu magów przy różnych okazjach otrzymało w prezencie którąś z jej kreacji, tworzonych najwyraźniej przy założeniu, że mają po trzy stopy albo szyję o średnicy sążnia. Większość tych obiektów była potem dyskretnie przekazywana instytucjom dobroczynnym. Jedno z pewnością można powiedzieć o Ankh-Morpork: nieważne, jak bezkształtne jest ubranie, zawsze gdzieś znajdzie się ktoś, na kogo będzie pasować.

Błąd pani Whitlow polegał na założeniu, że bibliotekarzowi – dla którego żywiła spory szacunek – spodoba się czapka z pomponem i zawiązywanymi pod brodą nausznikami. Ponieważ z przyczyn technicznych musiałyby je zawiązywać w kroczu, zostawiał obie klapki wiszące swobodnie.

Zwrócił ku magom swoją smutną twarz, zatrzymując się przed drzwiami biblioteki. Wyciągnął dłoń do klamki. Słabym głosem powiedział: „...k”, a potem kichnął.

Stos odzieży opadł na podłogę. Kiedy magowie odciągnęli ją na bok, na dole znaleźli bardzo gruby tom, oprawny w czerwoną skórę pokrytą sierścią.

– Na okładce jest napisane „Uuk” – oznajmił po chwili pierwszy prymus, z wyraźnym napięciem.

– A nie ma, kto jest autorem? – spytał dziekan.

– To było w złym guście.

– Chodziło mi o to, że to może być jego prawdziwe imię.

– Zajrzyjmy do środka – zaproponował kierownik studiów nieokreślonych. – Może jest indeks.

– Są jacyś ochotnicy, żeby zajrzeć do środka bibliotekarza? – spytał Ridcully.

– Tylko nie pchajcie się wszyscy naraz.

– Niestabilność morficzna reaguje na otoczenie – powiedział Myślak. – Czy to nie ciekawe? Znalazł się blisko biblioteki, więc zmieniło go w książkę. Tak jakby... kamuflaż ochronny, można powiedzieć. Jakby ewoluował, żeby pasować do...

– Dziękuję, panie Stibbons. A czy ma pan jakieś wnioski?

– Cóż, wydaje mi się, że możemy zajrzeć do środka – odparł Myślak. – Książka po to

istnieje, żeby była otwierana. Ma nawet czarną skórzaną zakładkę, widzicie?

– Och, więc to zakładka, tak? – odetchnął kierownik studiów nieokreślonych, który obserwował ją nerwowo.

Myślak dotknął książki. Była ciepła. I otworzyła się bez trudności.

Wszystkie stronicę pokrywało „uuk”.

– Niezłe dialogi, ale fabuła trochę nudna.

– Dziekane! Będę zobowiązany, jeśli potraktujesz sprawę poważnie! – Ridcully raz czy dwa tupnął nogą. – Kto ma jakiś pomysł?

Magowie spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami.

– Przypuszczam... – zaczął wykładowca run współczesnych.

– Tak, runisto... Arnoldzie, prawda?

– Nie, nadrektorze.

– Wszystko jedno, mów.

– Przypuszczam... Wiem, że to się wyda śmieszne, ale...

– No dalej, człowieku! Umieramy z niecierpliwości!

– Przypuszczam, że zawsze jest jeszcze... Rincewind.

Ridcully przyglądał mu się przez chwilę.

– Taki chudy? Zmierzwiona broda? Zupełnie fatalny mag? Ma tę skrzynię na nóżkach czy coś...?

– Zgadza się, nadrektorze. Brawo. Eee... Przez jakiś czas był zastępcą bibliotekarza, jak pan zapewne pamięta.

– Niespecjalnie, ale proszę dalej.

– Właściwie to chyba był tutaj, gdy bibliotekarz... stał się bibliotekarzem. I pamiętam, raz widzieliśmy, jak bibliotekarz stempluje po cztery książki równocześnie, i powiedział wtedy: „To naprawdę zdumiewające, że on się urodził w Ankh-Morpork”. Jestem przekonany, że jeśli ktokolwiek zna imię bibliotekarza, to właśnie Rincewind.

– No to idźcie i sprowadźcie go! Mam nadzieję, że wiecie, gdzie jest?

– Technicznie tak, nadrektorze – zapewnił szybko Myślak. – Ale nie mamy całkowitej pewności, gdzie jest to miejsce, w którym on jest. Jeśli rozumie pan, o co mi chodzi.

Ridcully znów przyjrzał mu się z uwagą.

– Widzi pan, sądzimy, że jest na IksIksIksIks, nadrektorze – wyjaśnił Myślak.

– IksIks...

– ...IksIks, nadrektorze.

– Wydawało mi się, że nikt nie wie, gdzie to jest.

– Otóż to, nadrektorze.

Czasami trzeba było poodwracać fakty na wszystkie strony, żeby znaleźć odpowiedni sposób

dopasowania ich do umysłu Ridcully'ego.

Myślakowi wydawało się czasem, że dobrze radzi sobie z HEX-em, bo HEX jest bardzo mądry i bardzo głupi równocześnie. Jeśli HEX miał cokolwiek zrozumieć, trzeba było podzielić to na małe fragmenty i upewnić się, że absolutnie nie ma miejsca na nieporozumienia. Te ciche godziny z HEX-em były często jak piknik wobec pięciu minut w towarzystwie starszych magów.

– A co on tam robi?

– Tak naprawdę to nie wiemy, nadrektorze. Jeśli pan pamięta, uważamy, że trafił tam po tej historii agatejskiej...

– Ale po co chciał tam dotrzeć?

– Nie sądzimy, żeby akurat chciał, nadrektorze – tłumaczył Myślak. – Eee... To my go posłaliśmy. Wystąpił trywialny błąd w thaumaturgii bilokacyjnej. Każdy mógł go popełnić.

– Ale to pan go popełnił, o ile sobie przypominam – oświadczył Ridcully, którego pamięć czasem płała takie nieprzyjemne figle jak w tej chwili.

– Należę do zespołu, panie nadrektorze! – przypomniał z naciskiem Myślak.

– W każdym razie jeśli nie chcemy, żeby tam siedział, a potrzebny jest nam tutaj, sprowadźmy g...

Koniec zdania utonął nie w hałasie, ale jakby w fali ciszy, która przetoczyła się nad magami, a była tak przygniatająca i miękka, że nie słyszeli nawet własnych serc. To Stary Tom, magiczny i pozbawiony serca dzwon Niewidocznego Uniwersytetu, uderzył na drugą w nocy, wybijając fale ciszy.

– Ehm... – chrząknął Myślak. – To nie jest takie proste.

Ridcully zamrugał.

– Dlaczego? – zdziwił się. – Sprowadźmy go magicznie. Posłaliśmy go tam, więc możemy ściągnąć go tutaj z powrotem.

- Hm... Całe miesiące trwałoby ustawienie wszystkiego należycie. Jeśli coś pomylimy, skończy, przybywając w kręgu o średnicy pięćdziesięciu stóp.
- To chyba żaden kłopot, prawda? Jeśli będziemy się trzymać z daleka, może lądować właściwie wszędzie.
- Mam wrażenie, że nie do końca pan zrozumiał, nadrektorze. Stosunek sygnału do szumu dowolnego transferu thaumicznego na nieokreśloną odległość, połączony z ruchem wirowym samego Dysku, prawie na pewno doprowadzi do praktycznego uśrednienia przybywającego obiektu na obszarze co najmniej kilku tysięcy stóp kwadratowych. Co najmniej.
- Niech pan powtórzy...

Myślak nabrał tchu.

- Ma szansę przybyć jako taki krąg. Średnicy pięćdziesięciu stóp.
- Aha. Czyli prawdopodobnie nie przyda nam się potem w bibliotece, co?
- Tylko jako bardzo wielka zakładka, nadrektorze.
- No dobrze. Czyli problem tkwi w czystej geografii. Kogo mamy, kto zna się na geografii?

Górnicy wybiegali z pionowego szybu niczym mrówki opuszczające płonący kopiec. Z dołu dobiegały huki i trzaski, a w pewnym momencie kapelusz Ślaga wyleciał w górę, wykonał kilka obrotów i opadł z powrotem.

Przez chwilę trwała cisza, po czym – z kawałkami kryształu pękającymi na nim jak zapomniane odłamki skorupki na świeżo wyklutym kurczaku – stwór wydobył się z szybu i...

...rozejrzał dookoła.

Górnicy, poukrywani za rozmaitymi krzakami czy szopami, byli tego całkiem pewni, mimo że stwór nie miał żadnych widocznych oczu.

Odwrócił się, poruszając setkami małych nóżek – dość sztywno, jak gdyby

zbyt wiele czasu spędziły zagrzebane w ziemi.

Po czym, kołyszac się nieco, ruszył przed siebie.

A daleko stamtąd, w migoczącej czerwonej pustyni, człowiek w spiczastym kapeluszu wyszedł ostrożnie ze swojej dziury. Trzymał oburącz misę zrobioną z kory. Zawierała... dużo witamin, cennych białek i niezbędnych tłuszczów. Widzicie? Ani słowa o tym, że coś się tam wiło.

Niedaleko żarzyło się ognisko. Człowiek ostrożnie odstawił misę, chwycił solidny kij, przez moment stał nieruchomo, po czym zaczął nagle skakać wokół ognia, okładać kijem ziemię i pokrzykiwać „Ha!”. Kiedy grunt został poskromiony w stopniu dostatecznym, spuścił lanie krzacom, jakby go osobiście obrażyły. Przyłożył też paru drzewom.

Wreszcie zbliżył się do kilku płaskich kamieni, unosił je po kolei, odwracał oczy i z okrzykiem „Ha!” okładał na ślepo ziemię pod nimi.

Po należyтым spacyfikowaniu krajobrazu usiadł, by zjeść kolację, zanim ucieknie.

Smakowała trochę jak kurczak. Jeśli człowiek jest dostatecznie głodny, praktycznie wszystko może tak smakować.

Jakieś oczy obserwowały go z pobliskiej wodnej dziury. Nie były to małeńkie oczka rojących się żuczków i kijanek, które sprawiały, że staranne badanie każdego wypitego łyka stawało się kluczowym zabezpieczeniem gastronomicznym. Te oczy były o wiele starsze i obecnie pozbawione jakiegokolwiek komponentu fizycznego.

Przez długie tygodnie człowiek, którego umiejętność poszukiwania wody ograniczała się do sprawdzenia, czy ma zmoczone stopy, przetrwał w tej spieczonej krainie, wpadając do wodnych dziur. Człowiek, który uważał pająki za nieszkodliwe małe stworzonka, doznał tylko kilku paskudnych wstrząsów, gdy tymczasem przez swój brak rozwagi powinien mieć teraz ręce

rozmiaru beczek piwa, w dodatku świecące w ciemności. Ten człowiek dotarł

raz nawet do morskiego brzegu i odpłynął kawałek, żeby się przyjrzeć pięknej błękitnej meduzie. Wszystko, co obserwator mógł zrobić, to dopilnować, by doznał tylko lekkiego oparzenia, które przestało być bolesne po zaledwie kilku dniach.

Wodna dziura zabulgotała, a ziemia zadrżała, jakby – mimo bezchmurnego nieba – gdzieś szalała burza.

Była już trzecia w nocy. Ridcully doskonale sobie radził bez snu innych.

Niewidoczny Uniwersytet był wewnątrz o wiele większy. Tysiące lat pełnienia funkcji wiodącej instytucji magii praktycznej w świecie, gdzie wymiary i tak były raczej kwestią przypadku, zostawiły mu wybrzuszenia w miejscach, gdzie żadnych miejsc być nie powinno. Istniały tam pokoje, które – kiedy już człowiek do nich wszedł – okazywały się mieścić pokoje, od których zaczynał. Co mogło sprawiać kłopot, jeśli na przykład skakał w długiej linii tańczących conge.

A ponieważ był tak ogromny, mógł sobie pozwolić na utrzymywanie niemal nieograniczonego personelu. Stałe kontrakty były automatyczne, czy też, ściślej mówiąc, w ogóle nie istniały. Wystarczyło znaleźć jakiś pusty pokój, zjawiać się na posiłkach jak wszyscy i ogólnie nikt człowieka nie zauważał. Chociaż, jeśli miał pecha, mógł ściągnąć do siebie studentów.

A jeśli ktoś dostatecznie pilnie szukał w niektórych oddalonych regionach uczelni, mógł tam znaleźć ekspertów od wszystkiego.

Mógł nawet znaleźć eksperta od szukania ekspertów. Profesor Architektury Abstrakcyjnej i Składania Map Origami został obudzony, przedstawiony nadrektorowi, który wcześniej nie zarejestrował jego istnienia, po czym wręczył szukającym plan uniwersytetu, który powinien być dokładny przez kilka najbliższych dni. Plan wyglądał trochę jak chryzantema w stadium eksplozji.

Wreszcie magowie dotarli do właściwych drzwi. Ridcully spojrzał gniewnie na przykręconą do nich mosiężną tabliczkę, jakby właśnie odezwała się do niego impertynencko.

– „Profesor Nadzwyczajny Okrutnej i Niezwykłej Geografii” – przeczytał. – To chyba on.

– Przeszliśmy całe mile – sapnął dziekan, opierając się o ścianę. – Niczego tu nie poznaję.

Ridcully rozejrzał się. Ściany były z kamienia, ale pomalowane na ten bardzo szczególny urzędowy kolor, jaki uzyskuje się, kiedy prawie wypita filiżanka kawy stoi zapomniana przez kilka tygodni. Wisiała tam tablica pokryta łysejącym filcem w barwie ciemniejszej zieleni, a ktoś optymistycznie przypiął do niej napis „Ogłoszenia”. Ale sądząc z jej wyglądu, nigdy żadne na niej nie wisiały i nigdy nie miały zawisnąć. Nigdy. W powietrzu unosił się zapach dawnych obiadów.

Ridcully wzruszył ramionami i zastukał do drzwi.

– Nie pamiętam go – oznajmił wykładowca run współczesnych.

– A ja chyba tak – odparł dziekan. – Niezbyt obiecujący typ. Niesubordynowany. Chociaż nieczęsto go tu widuję. Zawsze jest opalony. Dziwne.

– Należy do personelu. – Ridcully zastukał ponownie. – Jeśli ktokolwiek zna się na geografii, to tylko on.

– Może gdzieś sobie poszedł? – zgadywał dziekan. – Gdzieś, gdzie się zwykle spotyka geografę. Na zewnątrz.

Ridcully wskazał niewielkie drewniane urządzenie przy drzwiach. Podobne wisiały przed gabinetami wszystkich magów; składały się z niedużej przesuwanej deseczki w ramce. Obecnie deseczka odsłaniała słowo „Jestem”, a prawdopodobnie zasłaniała „Wyszedłem”, choć w przypadku niektórych magów nigdy nie było całkowitej pewności* [* Na przykład wykładowca kreatywnej nieoznaczoności utrzymywał z wyraźną satysfakcją, że jest równocześnie w stanie wewnętrzności i zewnętrzności aż do momentu, kiedy ktoś zapuka do jego drzwi i skolapsuje pole. Zatem niemożliwe jest jakiegokolwiek kategoriyczne stwierdzenie przed zajściem wydarzenia. Logika to wspaniała rzecz, ale nie zawsze przewyższa prawdziwe myślenie.].

– Nocna kąpiel. Zuch – pochwalił Ridcully. – Cóż, nie musimy mu przeszkadzać.

Spojrzał na tytuły książek, których rzędy przesłaniały ściany.

– Na pewno gdzieś tu jest dużo o IksIksIksIks – dodał, biorąc do ręki pierwszy z brzegu tom. – No dalej. Każdy sprawdza jedną książkę.

– Czy można przynajmniej posłać po jakieś śniadanie? – wymruczał ponuro dziekan.

– Jest o wiele za wcześnie na śniadanie – odparł Ridcully.

– No to może kolację?

– Za późno na kolację.

Kierownik studiów nieokreślonych rozejrzał się po pokoju. Jaszczurka przemknęła po ścianie i zniknęła.

– Bałagan, prawda? – odezwał się, spoglądając niechętnie w miejsce, gdzie była. – Wszystko mocno zakurzone. A co jest w tych wszystkich skrzynkach?

– Z tej strony jest napisane „kamienie” – oznajmił dziekan. – To ma sens. Jeśli trzeba badać geografię, lepiej to robić w cieple.

– Ale te sieci rybackie i kokosy?

Diekan musiał przyznać mu rację. W gabinecie panował straszny bałagan, nawet według wyjątkowo swobodnych norm magów. Niewielką przestrzeń, jakiej nie pokrywały książki i papiery, zajmowały skrzynki zakurzonych kamieni. Skrzynki miały rozmaite etykiety z takimi inskrypcjami, jak: „Kamienie z Samego Dołu”, „Inne Kamienie”, „Ciekawe Kamienie” czy „Prawdopodobnie Nie Kamienie”. Kolejne skrzynki, ku rosnącemu zaciekawieniu Myślaka, były opisane jako „Godne Uwagi Kości”, „Kości” i „Nudne Kości”.

– Jeden z tych, którzy wpychają nos gdzie nie trzeba, jak widzę – stwierdził wykładowca run współczesnych i pociągnął nosem. Następnie pociągnął nosem jeszcze raz i spojrzał na książkę, którą wziął odruchowo. – To kolekcja sprasowanych mątw – zauważył.

– Och, a ciekawa? – zainteresował się Myślak. – Kiedy byłem mały, kolekcjonowałem rozgwieżdżone.

Wykładowca run współczesnych zatrzasnął książkę i spojrzał na niego ponad brzegiem okładki.

– Takie miałem wrażenie, młody człowieku. I pewnie skamieliny też.

– Zawsze uważałem, że stare skamieliny mogą nas wiele nauczyć – oświadczył Myślak. – Może się myliłem – dodał ponuro.

– Ja na przykład nigdy nie wierzyłem, że zwierzęta zmieniają się w kamienie. To wbrew wszelkiemu rozsądkowi. Co by im z tego przyszło?

– Więc jak pan wytłumaczy te skamieliny?

– Widzisz, o to właśnie chodzi, że wcale. – Wykładowca run współczesnych uśmiechnął się

tryumfalnie. – Na dłuższą metę oszczędza to sporo wysiłku. A jak trzymają się kielbaski bez skórek, panie Stibbons?

– Co? Zaraz... skąd niby mam wiedzieć?

– Doprawdy? Tego pan nie wie, ale uważa się pan za kogoś w pełni wykwalifikowanego, by wiedzieć, jak jest poskładany cały wszechświat? Poza tym wcale nie trzeba tłumaczyć skamielin. One zwyczajnie są. Po co zmieniać każdą sprawę w wielką tajemnicę? Jeśli bez przerwy będzie pan zadawał pytania, w końcu niczego pan nie zrobi.

– No a po co w ogóle istniejemy? – spytał Myślak.

– Znowu pan zaczyna – mruknął wykładowca run współczesnych.

– Tu piszą, że jest morzem opasan – oznajmił pierwszy prymus.

Spojrzał w ich wytrzeszczone oczy.

– Ten kontynent, IksIksIksIks – dodał, wskazując otwartą stronicę. – Piszą:

„Niewiele o nim wiadomo prócz tego, że jest morzem opasan”.

– Miło, że ktoś jednak pamięta, po co tu przyszliśmy – pochwalił Ridcully. – Wy dwaj, zajmijcie się może jakimiś badaniami. Do rzeczy, pierwszy prymusie. Morzem opasan, tak?

– Najwyraźniej.

– No tak... To rozsądne, trzeba przyznać. Coś jeszcze?

– Kiedyś znałem jedną Pasan – wtrącił kwestor.

Przeżyta w bibliotece groza posłała jego kapryśne zdrowe zmysły długim zjazdem w dół, ponownie w krainę spokojnych różowych obłoczków.

– Nie... Nie za wiele. – Pierwszy prymus przerzucał kartki. – Sir Roderick Purdeigh wiele lat poświęcił na poszukiwania rzekomego kontynentu i z wielkim naciskiem podkreślał, że on nie istnieje.

– Wesoła była dziewczucha. Pasanna Plusher, tak się chyba nazywała. Buzię miała jak cegła.

– Tak, ale on kiedyś zgubił się we własnej sypialni – przypomniał dziekan, kartkując inną książkę. – Znaleźli go w szafie.

– Ciekawe, czy to ta sama Pasan – zastanawiał się kwestor.

– Możliwe, kwestorze – zgodził się Ridcully. Skinął na pozostałych magów.
– Nie pozwalajcie mu jeść cukru ani owoców.

Przez chwilę słychać było tylko pluskanie wody za drzwiami, szelest przewracanych kartek i fałszywe nucenie kwestora.

– Według tej notatki w „Żywotach bardzo nudnych osób” Wasporta – odezwał się pierwszy prymus, z wysiłkiem odczytując drobny druk – spotkał starego rybaka, który twierdził, że w tej krainie zimą z drzew odpada kora, ale liście pozostają.

– Tak, ale zawsze się wymyśla takie rzeczy – odparł Ridcully. – Inaczej

byłoby nudno. Kto zechce wracać do domu i opowiadać tylko, że przez dwa lata był rozbitkiem i jadł małże? Trzeba,

dołożyć jakieś durne historie o ludziach, którzy biegają na jednej wielkiej stopie, o Krainie Wielkich Puddingów i takie tam bzdurne bajeczki.

– Coś takiego! – zawołał wykładowca run współczesnych, zatopiony w lekturze przy drugim końcu stołu. – Tu piszą, że ludzie na wyspie Slakki wcale nie noszą ubrań, a wszystkie kobiety są niedoścignionej urody!

– To brzmi okropnie – ocenił z godnością kierownik studiów nieokreślonych.

– Jest kilka rycin.

– Jestem pewien, że żaden z nas nie chce tego oglądać – rzeki Ridcully. Spojrzał na resztę magów i powtórzył głośniejszym głosem: – Powiedziałem, że jestem pewien, że żaden z nas nie chce tego oglądać! Dziekanie! Proszę natychmiast wrócić i podnieść krzesło!

– Wspominają o IksIksIksIks w „Wężach wszystkich narodów” Wrenchera – poinformował kierownik studiów nieokreślonych. – Jest tu napisane, że na kontynencie żyje bardzo niewiele jadowitych węży... O, jest też przypis. – Przesunął palec w dół stronicy. – Piszą: „Większość z nich została wybita przez pająki”. Dziwne, doprawdy...

– Och! – wtrącił wykładowca run współczesnych. – Piszą tu również: „Mieszkaniec Ziemi Purdeeya także egzystuje w Stanie Naturalnem” – zmagął się z wyblakłym pismem. – „Yednakoż Zdrowie dobre ma, Zachowanie & Postawę słuszne & zaprawdę yest ślaku chętnym Dzikusem...”.

– Pokażcie mi to – przerwał mu Ridcully. Książka została przekazana wzdłuż stołu. Nadrektor zmrużył oczy. – Tu jest napisane „ślakchetnym” – powiedział. – Szlachetnym dzikusem. To znaczy, że... zachowuje się jak dżentelmen, rozumiecie...

– Niby jak? Poluje na lisy, kłania się damom i nie płaci krawcowi?

– Nie wydaje mi się, żeby ten typ był dużo winien krawcowi. – Ridcully przyjrzał się dołączonej ilustracji. – No dobrze, chłopcy, sprawdźmy, co jeszcze da się znaleźć...

– On tam dość długo się kąpie, prawda? – zauważył po chwili dziekan. – Znaczy, ja też lubię się wyszorować nie gorzej od innych, ale tu mamy do czynienia z poważnym szlifowaniem.

– Brzmi to, jakby pluskał się w wodzie – stwierdził pierwszy prymus.

– Brzmi jak na plaży – oświadczył radośnie kwestor.

– Staraj się nadążyć, kwestorze – upomniał go ze znużeniem Ridcully.

– Właściwie... – mruknął pierwszy prymus – skoro już o tym wspomniał, to rzeczywiście daje się wyróżnić pewna mewia składowa...

Ridcully wstał, podszedł do drzwi łazienki i wzniósł pięść, by zastukać.

– Jestem nadrektorem – burknął, opuszczając ją. – Mogę otwierać każde drzwi, na jakie mam ochotę.

Nacisnął klamkę.

– No właśnie – powiedział, kiedy drzwi się otworzyły. – Widzicie, panowie? Całkiem

zwyczajna łazienka. Marmurowa wanna, mosiężne kurki, czepek kąpielowy, zabawna szczotka w kształcie kaczki... normalna łazienka. Nie jest to, podkreślam z całą stanowczością, żadna tropikalna plaża. Nawet w przybliżeniu nie przypomina tropikalnej plaży.

Wskazał za otwarte łazienkowe okno, gdzie niewielkie fale pluskały o otoczoną drzewami piaszczystą plażę pod jaskrawobłękitnym niebem. Łazienkowe firanki kołysały się w podmuchach ciepłej bryzy.

– To jest tropikalna plaża – stwierdził. – Widzicie? Żadnego podobieństwa.

Po zjedzeniu pożywnego posiłku, zawierającego całe mnóstwo ważnych

witamin i minerałów, oraz niestety całkiem sporo smaku, człowiek z napisem „Maggus” na kapeluszu zabrał się do prac domowych – przynajmniej w takim zakresie, w jakim były możliwe pod nieobecność domu. Polegały one na obłupywaniu kamiennym toporkiem kawałka drewna. Zdawało się, że człowiek ten chce uzyskać bardzo krótką deskę, a szybkość pracy sugerowała, że robił to już wcześniej.

Kakadu usiadła nad nim na gałęzi drzewa, żeby popatrzeć. Zerknął na nią podejrzliwie.

Kiedy deska została najwyraźniej dostatecznie wygładzona, stanął na niej na jednej nodze i kołysząc się trochę, obrysował stopę kawałkiem zwęglonego drewna z ogniska. To samo zrobił z drugą stopą, po czym znów zaczął ociosywać drewno.

Obserwator w wodnej dziurze zrozumiał, że człowiek stara się zrobić dwie stopokształtne deseczki.

Rincewind wyjął z kieszeni kawałek liany. Znalazł pewne pnącze, które – po starannym obraniu z kory – wywoływało paskudną, plamistą wysypkę. Tak naprawdę szukał pnącza, które – po starannym obraniu z kory – będzie praktyczną linką; kilku jeszcze prób i kilku różnych wysypek trzeba było, nim odkrył, które to z nich.

Jeśli wywiercił w deseczce dziurkę i przecisnął przez nią pętlę z liany, w którą mógł wsunąć paluch, uzyskiwał rodzaj Ur-obuwia. Zmuszało do szurania nogami i kołysania się, niczym przodek człowieka, mimo to jednak dawało pewne nieoczekiwane korzyści. Po pierwsze, rytmiczne „pac – pac” podczas marszu sprawiało wrażenie, jakby szły dwie osoby – u dowolnego niebezpiecznego stworzenia, jakie mogłby napotkać, co według ostatnich doświadczeń Rincewinda oznaczało absolutnie każde stworzenie. Po drugie, chociaż zupełnie nie dało się w nich biegać i skakać, łatwo było z nich wyskoczyć, tak że był tylko dymiącym punktem na rozpalonym horyzoncie, gdy rozwścieczona gąsienica albo żuk ciągle wpatrywały się w jego buty i zastanawiały, gdzie jest ta druga osoba.

Uciekać musiał często. Co wieczór przygotowywał nową parę sandałów i codziennie zostawiał je gdzieś na pustyni.

Kiedy uznał, że są już gotowe, wyjął z kieszeni zwitek cienkiej kory.
Umocowany do niej na

kawałku liany wisiał bezcenny ogryzek ołówka. Postanowił prowadzić
dziennik w nadziei, że może to w czymś pomóc. Spojrzał na ostatnie wpisy.

PRAWDOPODOBNIĘ WTÓREK: upał, muchy. Obiad: miodowe mrówki.
Zaatakowany przez miodowe mrówki. Spadłem do wodnej dziury.

ŚRODA, JEŚLI MAM SZCZĘŚCIE: upał, muchy. Obiad: albo buszowe
rodzynki, albo odchody kangura. Ścigany przez łowców, nie wiem czemu.
Wpadłem do wodnej dziury.

CZWARTEK (BYĆ MOŻE): upał, muchy. Obiad: jaszczurka z niebieskim
językiem. Napadnięty przez jaszczurkę z niebieskim językiem. Ścigany przez
innych łowców. Spadłem z urwiska, wylądowałem na drzewie. Obsiusiał
mnie mały pluszowy miś mający kłopoty z pęcherzem; wylądowałem w
wodnej dziurze.

PIĄTEK upał, muchy. Obiad: jakieś korzenie, które smakowały jak
wymiociny. To zaoszczędziło sporo czasu.

SOBOTA: większy upał niż wczoraj, dodatkowe muchy. B. spragniony.

NIEDZIELA: upał. Majaczą z pragnienia i much. Nic tylko nic, jak okiem
sięgnąć, z krzakami. Postanowiłem umrzeć, padłem, stoczyłem się z wydmy
do wodnej dziury.

Dopisał, bardzo starannie i jak najmniejszymi literami:

NIEDZIELA: upał, muchy. Obiad: larwy ćmy.

Przyjrzał się zapisowi. Właściwie mówił wszystko.

Dlaczego tutejsi ludzie go nie lubili? Spotykał jakieś niewielkie plemię,
wszyscy byli przyjaźni, dowiadywał się paru rzeczy, poznawał kilka imion,
opanowywał słownictwo dostatecznie, żeby gawędzić o zwykłych,
codziennych sprawach, na przykład o pogodzie – i nagle go odpędzali. A
przecież wszyscy rozmawiają o pogodzie, prawda?

Rincewind zawsze z satysfakcją uważał się za rasistę. Buldogi, charty, spaniele – uciekał przed wszystkimi. Później, kiedy z pewnym zaskoczeniem dowiedział się, co to słowo naprawdę oznacza, nabrał całkowitej pewności, że rasistą nie jest. Dzielił wszystkich ludzi na takich, którzy próbują go zabić, i takich, którzy nie próbują. Nie pozostawiało to zbyt wiele miejsca na subtelne rozróżnienia, takie jak kolor skóry. Ale kiedy siadał sobie przy ognisku i próbował prostej rozmowy, ludzie bez żadnego powodu nagle strasznie się denerwowali i odpędzali go. A przecież trudno się spodziewać, że ktoś się rozzłości tylko dlatego, że człowiek powie coś w stylu „Niech mnie, kiedy ostatnio tutaj padało?”.

Rincewind westchnął, podniósł kij, pobił ciężko kawałek ziemi, położył się i zasnął.

Od czasu do czasu krzyczał niegłośnie i wykonywał nogami takie ruchy, jakby biegł. Co

dowodziło, że śni.

Wodna dziura zafalowała. Nie była wielka – zwykła kałuża ukryta głęboko w porośniętej buszem rozpadlinie między głazami. Ciecz, jaką zawierała, można nazwać wodą tylko dlatego, że nie istnieje geograficzne pojęcie zupnej dziury.

Mimo to zafalowała, jakby coś upadło w sam jej środek. Zmarszczki, jakie się pojawiły, były dziwne – nie zatrzymały się, kiedy dotarły do brzegu, ale sunęły dalej po ziemi, jak rozszerzające się kręgi przymglonego białego światła. Kiedy dotarły do Rincewinda, rozeszły się i popłynęły dookoła, tak że po chwili znalazł się wewnątrz koncentrycznych linii białych światełek podobnych do łańcuchów pereł.

Wodna dziura eksplodowała. Coś wspięło się w powietrze i pomknęło przez noc.

Zygzakowało między skałami, głazami i wodnymi dziurami. A gdyby oko obserwatora uniosło się wyżej, widziałoby, jak wędrująca smuga oświeśla inne linie wiszące nad ziemią niby dym. Z góry mogłoby się wydawać, że

cały łąd posiada system krwionośny albo nerwowy...

Tysiąc mil od śpiącego maga linia ponownie uderzyła w ziemię, wynurzyła się w jaskini i jak promień reflektora przesunęła po jej ścianach. Przez chwilę zawisała przed wielkim, spiczastym głazem, a potem, jakby podjąwszy decyzję, znów wystrzeliła w niebo.

Kontynent przetaczał się w dół, kiedy wracała. Światło trafiło w wodną dziurę bez pluśnięcia, ale znowu, trzy, może cztery zmarszczki rozeszły się po mętnej wodzie i piasku dookoła.

Nastała noc. Jednak pod ziemią rozlegało się dalekie dudnienie. Krzaki się trzęsły. Wśród drzew budziły się i odlatywały ptaki.

Po chwili na kamiennej płycie w pobliżu wodnej dziury mgliste białe linie zaczęły formować rysunek.

Rincewind zwrócił uwagę przynajmniej jeszcze jednego obserwatora poza tym czymś, co siedziało w wodnej dziurze.

Śmierć trzymał życiomierz Rincewinda na specjalnej półce w swoim gabinecie, w taki sam sposób, w jaki zoolog chce mieć na oku jakiś szczególnie interesujący okaz.

Życiomierze większości ludzi miały klasyczny kształt, który Śmierć uważał za właściwy i odpowiedni do funkcji. Wyglądały jak duże klepsydry, tyle że przesypujące się ziarenka piasku były rzeczywistymi sekundami czyjegoś życia.

Ta klepsydra wyglądała jako coś stworzonego przez dmuchacza szkła, który miał czkawkę w maszynie czasu. Według ilości piasku, jaki zawierała – a Śmierć potrafił ocenić to całkiem dokładnie – Rincewind powinien umrzeć już dawno. Ale przez lata na szkle rozwinęły się dziwne skrzywienia, zakręty, wypustki i bywało, że piasek sypał się wstecz albo na ukos. Najwyraźniej w Rincewinda trafiło tyle magii, tak często był opornie przerzucany przez czas i przestrzeń – aż

niemal zderzał się sam ze sobą, idącym z naprzeciwka – że dokładny koniec

jego żywota był teraz równie trudny do znalezienia, jak początek lepkiej przezroczystej taśmy na rolce.

Śmierci nie była obca koncepcja wiecznego, wciąż odradzającego się herosa, bohatera o tysiącu twarzy. Powstrzymywał się od komentowania w tej kwestii. Często spotykał bohaterów, zwykle otoczonych przez ciała – to ważne – prawie wszystkich wrogów i mówiących: „Co się stało, u demona?”. Czy istniała jakaś możliwość, pozwalająca im potem wracać? Na ten temat nie chciał się wypowiadać.

Zastanawiał się jednak, jeśli taka istota rzeczywiście by istniała, czy nie byłaby w jakiś sposób równoważona wiecznym tchórzem. Bohaterem o tysiącu oddalających się pleców. Wiele kultur znało legendy o nieśmiertelnym herosie, który pewnego dnia znowu powstanie. Może więc równowaga w naturze wymagała kogoś, kto tego nie robi.

Niezależnie od ostatecznej prawdziwości tej teorii, pozostawało faktem, że w tej chwili Śmierć nie miał najmniejszego pojęcia, kiedy Rincewind umrze. A to bardzo niepokojące dla kogoś, kto dumny jest ze swojej punktualności.

Śmierć sunął przez aksamitną pustkę swego gabinetu, aż dotarł do modelu Świata Dysku, jeśli rzeczywiście był to model.

Bezokie oczodoły spojrzały w dół.

POKAŻ, powiedział.

Szlachetne metale i klejnoty się rozpląnęły, Śmierć zobaczył prądy oceaniczne, pustynie, puszcze, dryfujące chmury podobne do stad bawołów albinosów...

POKAŻ.

Punkt obserwacji zatoczył łuk i zanurkował w tę żywą mapę, a na bezmiarze wzburzonego morza rozrosła się czerwona plama. Przemknęły pradawne górskie łańcuchy, przepłynęły kamienne i piaskowe pustynie...

POKAŻ.

Śmierć patrzył na śpiącego Rincewinda, który od czasu do czasu poruszał gwałtownie nogami.

HM.

Poczuł, że coś wspina się po fałdach jego szaty, przystaje na chwilę na ramieniu i skacze. Mały szkielet gryzonia w czarnej szacie wylądował pośrodku obrazu i popiskując z podnieceniem, zaczął machać na niego małątką kosą.

Śmierć podniósł Śmierć Szczurów za kaptur i przysunął do siebie, żeby się lepiej przyjrzeć.

NIE, NIE ROBIMY TEGO W TEN SPOSÓB.

Śmierć Szczurów wyrywał się wściekle.

PIP?

BO TO WBREW REGULOM, wyjaśnił Śmierć. MUSIMY ZDAĆ SIĘ NA NATURE.

Raz jeszcze spojrzał na obraz, jakby wpadła mu do głowy pewna myśl. Opuścił Śmierć Szczurów na podłogę, zbliżył się do ściany i pociągnął za sznur. Gdzieś daleko zabrzmiał gong.

Po chwili wszedł starszy mężczyzna z tacą w ręku.

– Bardzo przepraszam, panie. Czyściłem wannę.

SŁUCHAM, ALBERCIE?

– Dlatego spóźniłem się z herbatą – wyjaśnił Albert.

TO BEZ ZNACZENIA. POWIEDZ MI, CO WIESZ O TYM MIEJSCU.

Śmierć stuknął palcem w czerwony kontynent. Jego kamerdyner przyjrzał się uważnie.

– Ach, tam... – mruknął. – Terror Incognita, tak je nazywaliśmy, kiedy jeszcze żyłem, panie. Osobiście nigdy tam nie byłem. To przez te prądy, panie. Wielu nieszczęsnych żeglarzy zostało rzuconych na ten ostatni brzeg, choć powinni być zmity poza Krawędź. Pewnie tego pożałowali. Suchy jak u posągu... bardzo suchy, panie. I gorętszy niż u demona... bardzo gorący, panie. Ale przecież na pewno tam byłeś?

OCZYWIŚCIE. TYLE ŻE WIESZ, JAK TO JEST, KIEDY PODRÓŻUJE SIĘ SŁUŻBOWO I NIE MA CZASU ROZEJRZEĆ SIĘ PO OKOLICY

Śmierć wskazał wielką spiralę chmur – wirowała powoli nad kontynentem, jak szakał czujnie okrąża konającego lwa, który wygląda na zdechłego, ale może być jeszcze zdolny do ostatniego kłapnięcia.

BARDZO DZIWNIE, ocenił. STAŁY ANTICYKLON, A WEWNĄTRZ NIEGO ROZLEGŁY I SPOKOJNY ŁĄD, KTÓRY NIGDY NIE OGLĄDA BURZY I NIGDY NIE SPADA TAM NAWET KROPLA DESZCZU.

– Czyli dobre miejsce na wakacje.

CHODŹ ZE MNĄ.

Obaj przeszli do wielkiej biblioteki Śmierci; Śmierć Szczurów dreptał za nimi.

Były tu chmury – w górze, pod sufitem.

Śmierć wyciągnął rękę.

CHCĘ KSIĄŻKĘ O NIEBEZPIECZNYCH STWORZENIACH CZTERIKSÓW...

Albert zerknął w górę i zanurkował, szukając osłony. Skończyło się na lekkich potłuczeniach, ponieważ miał dość rozsądku, by zwinąć się w kłębek.

Po chwili Śmierć się odezwał nieco przytłumionym głosem.

ALBERCIE, BĘDĘ NIEZMIERNIE WDZIĘCZNY, JEŚLI MI TUTAJ POMOŻESZ.

Albert wstał z trudem i szarpnął za wielkie tomy. W końcu udało mu się przesunąć je tak, że jego pan wydostał się na wolność.

Śmierć wybrał pierwszą z brzegu księgę i spojrzał na tytuł.

NIEBEZPIECZNE SSAKI, GADY, PŁAZY, PTAKI, RYBY, MEDUZY, OWADY, PAJĄKI, SKORUPIAKI, TRAWY, DRZEWA, MCHY I POROSTY
TERRORU INCOGNITA, przeczytał.

Jego spojrzenie przesunęło się wzdłuż grzbietu. TOM 29C, dodał. O, CZĘŚĆ TRZECIA, JAK WIDZĘ.

Popatrzył na słuchające półki.

MOŻE BYŁOBY ŁATWIEJ, GDYBYM POPROSIŁ O LISTĘ
NIESZKODLIWYCH STWORZEŃ WSPOMNIANEGO KONTYNENTU?

Czekali.

WYDAJE SIĘ, ŻE...

Albert wskazał coś białego spływającego leniwie w powietrzu. Po chwili Śmierć wyciągnął rękę i chwycił pojedynczą kartkę papieru.

Przeczytał ją starannie, po czym odwrócił na chwilę, by sprawdzić, czy może coś jest napisane po drugiej stronie.

– Mogę? – spytał Albert.

Śmierć podał mu papier.

– „Niektóre owce” – przeczytał głośno Albert. – No tak. Może tydzień nad morzem będzie jednak lepszy.

CO ZA INTRYGUJĄCE MIEJSCE, stwierdził Śmierć. OSIODŁAJ KONIA, ALBERCIE. MAM PEWNOŚĆ, ŻE BĘDĘ POTRZEBNY.

PIP, wtrącił Śmierć Szczurów.

SŁUCHAM?

– Powiedział „Nie ma zmartwienia”, panie – wyjaśnił Albert.

NIE MAM POJĘCIA DLACZEGO.

Nad miastem przetoczyły się cztery potężne paki ciszy, kiedy Stary Tom z wielką emfazą nie wybił kolejnej godziny.

Kilka służących popychało korytarzem wózek. Nadrektor się poddał. Wczesne śniadanie było w drodze.

Ridcully opuścił taśmę mierniczą.

– Spróbujmy jeszcze raz, dobrze? – zaproponował.

Wyszedł przez okno i podniósł z piasku muszlę. Była nagrzana słońcem. Potem podciągnął się na parapet, przecisnął z powrotem do łazienki i podszedł do drzwi obok okna.

Prowadziły do wilgotnego, porośniętego mchem szybu świetlnego, który wpuszczał na te smętne poziomy nieco zużytego i brudnego dziennego światła. Nawet śnieg zdołał tylko lekko przyprószyć tak głęboko położone mury.

Okno po tej stronie połyskiwało w padającym od drzwi blasku niby kałuża bardzo czarnego oleju.

– Dobrze, dziekane! – zawołał. – Proszę wysunąć laskę. A teraz nią pomachać.

Magowie patrzyli na falującą delikatnie powierzchnię. Powinno z niej teraz sterczeć kilka stóp solidnego drewna.

– No, no, no... – stwierdził nadrektor, cofając się z zimnego powietrza do wewnątrz. – Wiecie, nigdy tak naprawdę żadnej nie widziałem.

– Ktoś pamięta buty nadrektora Bewdleya? – spytał pierwszy prymus, częstując się zimną baraniną z wózka. – Zrobił błąd i pozwolił, żeby jedna z

takich otworzyła się w jego lewym bucie. Nie można chodzić ze stopą w innym wymiarze.

– No nie... – mruknął Ridcully. Wpatrywał się w tropikalny pejzaż i w zadumie pukał się muszlą w brodę.

– Nie widać, w co człowiek może wdepnąć, to przede wszystkim – dodał pierwszy prymus.

– Jedna otworzyła się kiedyś w piwnicy, sama z siebie – powiedział dziekan.

– Po prostu okrągła czarna dziura. Wszystko, co się tam wrzuciło, znikало. W końcu stary nadrektor Weatherwax kazał zbudować nad nią wygodkę.

– Bardzo rozsądny pomysł – przyznał Ridcully, wciąż zamyślony.

– Też tak sądziliśmy, dopóki nie znaleźliśmy drugiej, która się otworzyła na strychu. Okazało się, że to drugi koniec tej samej dziury. Nie muszę chyba dokładnie opisywać skutków.

– Nigdy o nich nie słyszałem! – zawołał Myślak Stibbons. – Dają niewiarygodne możliwości!

– Każdy tak mówi, kiedy pierwszy raz się o nich dowie – odparł pierwszy prymus. – Ale kiedy będziesz już magiem tak długo jak ja, drogi chłopcze, przekonasz się, że kiedy tylko odkryjesz coś, co daje niewiarygodne możliwości poprawy stanu człowieczeństwa, lepiej zatrzaskać nad tym wieko i udawać, że nic się nie stało.

– Ale gdyby udało się otworzyć jedną nad drugą, można by wrzucić coś do dolnej dziury, to coś by wypadło z górnej i poleciało znów do dolnej... Osiągnęłoby prędkość meteorów, a energia, jaką by wygenerowało, byłaby...

– Mniej więcej to właśnie działo się między strychem a piwnicą – stwierdził dziekan, sięgając po zimne udko kurczęcia. – Dzięki bogom za opór powietrza, tyle tylko powiem.

Myślak ostrożnie wysunął dłoń za okno i poczuł ciepło słońca.

– I nikt ich nigdy nie badał? – zapytał.

Pierwszy prymus wzruszył ramionami.

– Co tu badać? Przecież to tylko dziury. Dużo magii zbiera się w jednym miejscu, a potem tak jakby przetapia się przez świat, jak gorąca stalowa kulka przez smalec. Kiedy trafi na krawędź czegoś, tak jakby to wypełnia.

– Punkty naprężeń kontinuuinuum czasoprzestrzennego... – stwierdził Myślak. – Muszą mieć setki zastosowań...

– No pewnie. Nic dziwnego, że profesor nadzwyczajny jest zawsze taki opalony – powiedział

dziekan. – Uważam, że oszukuje. Geografia powinna być trudno dostępna. Nie powinno się jej znajdować za własnym oknem, to chciałem powiedzieć. Nie należy do niej trafiać, zwyczajnie wymykając się z uniwersytetu.

– No, właściwie on wcale się nie wymykał. Tylko trochę poszerzył swoją pracownię.

– Myślicie, że to przypadkiem jest IksIksIksIks? – zainteresował się dziekan.

– Na pewno wygląda zagranicznie.

– No, niby jest morze – przyznał pierwszy prymus. – Ale czy powiedzielibyście, że ono opasuje?

– Nie, ono tylko... no wiecie... chlupie.

– Człowiek by się spodziewał, że morze, które coś opasuje, powinno wyglądać bardziej... wyzywająco – oświadczył wykładowca run współczesnych. – Wiecie... grzmiące fale i w ogóle. Stanowczo dając obcemu do zrozumienia, że opasuje te brzegi, więc niech lepiej uważa.

– Może byśmy przeszli tam bezpośrednio i zbadali sprawę – zaproponował Myślak.

– Coś strasznego nas spotka, jeśli spróbujemy – oznajmił złowieszczo pierwszy prymus.

– Kwestora nie spotkało – zauważył Ridcully.

Magowie stłoczyli się przy oknie. Przy brzegu stała jakaś postać w podwiniętej do kolan szacie. Kilka ptaków krążyło jej nad głową, a w tle kołysały się palmy.

– Niech mnie! Musiał się wymknąć, kiedy nie patrzyliśmy – odgadł pierwszy prymus.

– Kweestooooorzee! – huknął Ridcully.

Postać się nie obejrzała.

– Nie chciałbym, rozumiecie panowie, sprawiać kłopotów – wtrącił kierownik studiów nieokreślonych, spoglądając tęsknie na zalaną słońcem plażę. – Ale w mojej sypialni jest lodowato, a zeszłej nocy miałem szron na pierzynie. Nie widzę nic złego w szybkim spacerku w cieple.

– Jesteśmy tu, żeby pomóc bibliotekarzowi! – burknął Ridcully.

Z tomu zatytułowanego „Uuk” dobiegało ciche pochrapywanie.

– Właśnie o to mi chodzi. Biedak od razu lepiej się poczuje w tych drzewach, o tam.

– Chce pan powiedzieć, że wciśniemy go między gałęzie? – upewnił się nadrektor. – Wciąż jest „Historią Uuk”.

– Wiesz, o co mi chodzi, Mustrum. Dzień nad morzem lepiej na niego podziała niż... no, dzień nad morzem, jak to mówią. Chodźmy, bo już tu zamarzam.

– Oszalałeś? Tam mogą żyć straszliwe potwory! Spójrzcie na tego biedaka, który stoi w wodzie! Morze prawdopodobnie roi się od...

– Rekinów – dokończył pierwszy prymus.

– Właśnie – zgodził się Ridcully. – I...

– Barakud – ciągnął pierwszy prymus. – Marlinów. Ryb mieczy. Jak dla mnie, wygląda to na

okolice Krawędzi. Rybacy twierdzą, że ryba tutaj może odgryźć człowiekowi rękę.

– Właśnie – rzekł Ridcully. – Właśnie...

Dała się słyszeć niewielka, ale znacząca zmiana tonu jego głosu. Wszyscy wiedzieli o wypchanych rybach wiszących u niego na ścianach. Nadrektor Ridcully zapolowałby na wszystko. Jedyny kogut, który piał jeszcze w promieniu stu sążni od uniwersytetu, chował się w tym celu pod wozem.

– I jeszcze ta dżungla... – Pierwszy prymus pociągnął nosem. – Wygląda mi na strasznie niebezpieczną. Może w niej żyć cokolwiek. Cokolwiek śmiertelnie groźnego, znaczy. Mogą tam być tygrysy i goryle, i słonie, i ananasy... Lepiej się nie zbliżać. Jestem z panem, nadrektorze. Lepiej tu zamarznąć, niż stanąć oko w oko z jakimś wściekłym ludojadem.

Oczy Ridcully'emu płonęły jasno. W zamyśleniu gładził brodę.

– Tygrysy, co? – Wyraz jego twarzy zmienił się nagle. – Ananasy?

– Śmiertelnie groźne – zapewnił stanowczo pierwszy prymus. – Jeden z nich dorwał moją ciotkę. Nie mogliśmy go z niej wyciągnąć. Mówiłem jej, że nie w ten sposób należy je zjadać, ale czy posłuchała?

Dziekan zerknął z ukosa na swego nadrektora. Było to spojrzenie człowieka, który także nie ma ochoty na kolejną noc w lodowatej sypialni, i który nagle odkrył, gdzie są odpowiednie dźwignie.

– Też za tym głosuję, Mustrum – zapewnił. – Nikt mnie nie zmusi, żebym przełaził przez dziurę w przestrzeni na jakąś ciepłą plażę nad morzem pełnym wielkich ryb i z dżunglą pełną myśliwskich trofeów. – Ziewnął jak marny pokerzysta. – Nie, ja tam wolę swoje zamrożone łóżko. Nie wiem jak reszta. Nadrektorze?

– Myślę... – zaczął Ridcully.

– Tak?

– Mięczaki – ciągnął pierwszy prymus, kręcąc głową. – Wygląda mi to akurat jak odpowiednia plaża dla tych demonów. Możecie spytać mojego kuzyna. Tylko że najpierw trzeba znaleźć dobre medium. Nie powinna z nich wyciekać taka zielona maź, mówiłem. Nie powinny bulgotać. Ale czy posłuchał?

Nadrektor należał w tej chwili do tych, którzy też by nie posłuchali.

– Sądzicie, że warto zabrać tam bibliotekarza? – zapytał. – Wzmocni biedaka godzina czy dwie na słońcu?

– Ale powinniśmy być gotowi, żeby go bronić. Mam rację, nadrektorze? – rzucił niewinnie dziekan.

– No tak, nie pomyślałem o tym – przyznał Ridcully. – Hmm... Tak jest. To ważna uwaga. Lepiej niech przyniosą moją 500-funtową kuszę z przeciwpancernymi bełtami i domowy zestaw do wypychania zwierząt. I wszystkie dziesięć wędek. I wszystkie cztery skrzynki sprzętu. I te duże szalki.

– Rozsądna decyzja, nadrektorze – pochwalił dziekan. – Może zechce popływać, kiedy się lepiej poczuje.

– W takim razie – zdecydował Myślak – wezmę swój thaumodolit i notatki. To ważne, żeby sprawdzić, gdzie jesteśmy. Przecież to może być IksIksIksIks. Wygląda bardzo zagranicznie.

– Chyba pójdę po swoją prasę do jaszczurek i herbarium – oświadczył kierownik studiów nieokreślonych, który wreszcie osiągnął cel. – Założę się, że wiele można się dowiedzieć z tamtejszych roślin.

– Ja z pewnością spróbuję przestudiować tamtejsze prymitywne ludy w spódniczkach z trawy – dodał dziekan, a kosiarka do trawy wyzierała mu z oczu.

– A co z tobą, runisto? – zainteresował się Ridcully.

– Ja? Och, ja... – Wykładowca run współczesnych spoglądał nerwowo na kolegów, którzy gorączkowo kiwali do niego głowami. – No... to dobra okazja, żeby nadrobić lektury.

– Słusznie – pochwalił Ridcully. – Ponieważ nie, powtarzam: nie robimy tego dla przyjemności. Czy to jasne?

– A co z pierwszym prymusem? – spytał złośliwie dziekan.

– Ja? Przyjemność? Przecież tam mogą być nawet krewetki... – odparł żałośnie pierwszy prymus.

Ridcully zawahał się. Pozostali magowie wzruszali ramionami, kiedy na nich patrzył.

– Słuchaj, przyjacielu – powiedział w końcu. – Chyba zrozumiałem o tych mięczakach i tak jakby wyobraziłem sobie twoją babkę z ananasem...

– ...ciotkę...

– ...twoją ciotkę z ananasem, ale... Co takiego groźnego jest w krewetkach?

– Ha! Ciekawe, jak by się wam spodobało, gdyby cała ich skrzynia spadła z dźwigu prosto wam na głowę – zawołał pierwszy prymus. – Mojemu wujowi wcale, to pewne!

– Dobrze; myślę, że wiem, o co chodzi – rzekł Ridcully. – Ważne zalecenie dotyczące bezpieczeństwa. Należy unikać wszelkich skrzyń. Jasne? I nie ruszamy tam na żadne wakacje. Czy wszyscy mnie rozumieją?

– Absolutnie – odpowiedzieli chórem magowie.

Wszyscy go rozumieli.

Żeby mieć to już za sobą, Rincewind obudził się z krzykiem. Dopiero potem zobaczył człowieka, który mu się przyglądał. Człowiek siedział ze skrzyżowanymi nogami na tle świtu. Był czarny. Nie brązowy ani błękitnoczarny, ale czarny jak kosmos. To miejsce przypiekało ludzi.

Rincewind zastanowił się, czy nie sięgnąć po swój kij. A potem zastanowił się jeszcze raz.

Czarny człowiek miał dwie dzidy wbite w ziemię przed sobą, a ludzie tutaj dobrze sobie radzili z dzidami, ponieważ jeśli ktoś nie potrafił skutecznie trafić czegoś, co porusza się szybko, musiał potem jeść to, co porusza się powoli. Człowiek trzymał także bumerang, i to nie z tych zabawkowych, które wracają. Ten należał do odmiany dużych, ciężkich, lekko zakrzywionych, które nie wracają, bo sterczą wbite w czyjąś klatkę piersiową. Można się naśmiewać z drewnianej broni, dopóki się nie zobaczy, jakie tu rośnie drzewo.

Bumerang pomalowany był w kolorowe pasy, ale i tak robił odpowiednie wrażenie.

Rincewind starał się wyglądać na nieszkodliwego. Nie wymagało to szczególnie trudnej gry aktorskiej.

Obserwator przyglądał mu się w tej ssącej ciszy, którą zwyczajnie trzeba jakoś wypełnić. A Rincewind pochodził z kultury, w której, jeśli ktoś nie ma nic do powiedzenia, to coś mówi.

– Eee... – zaczął. – Ja... wielki człowiek... człowiek... ja... należeć... A co tam, u demona! – Zrezygnował i spojrzał na błękitne niebo. – Znowu się robi ładnie – zauważył.

Zdawało się, że obserwator westchnął. Wsunął bumerang za kawał zwierzęcej skóry, który służył mu jako pas i właściwie całą garderobę. Wstał, podniósł skórzany worek, zarzucił sobie na ramię, zabrał dzidy i nie oglądając się za siebie, odszedł za skałę.

Ktoś inny uznałby takie zachowanie za niegrzeczne, ale Rincewind zawsze z radością spoglądał na dowolnego ciężko uzbrojonego człowieka, który się oddala. Przetarł oczy i rozważył przerażające zadanie poskromienia śniadania.

– Chcesz coś do żarcia? – usłyszał głos, niemalże szept.

Rozejrzał się. Kawałek od siebie widział dziurę, z której została wykopana jego wczorajsza kolacja. Poza tym nie było nic aż po horyzont – nic prócz suchych krzaków i gorących czerwonych skał.

– Chyba wygrzebałem już całe – odpowiedział słabym głosem.

– Nie, koleś. Zdradzę ci sekret znajdowania wałowy w buszu. Zawsze jest się czym najeść, jak się wie, gdzie szukać, koleś.

– Jak to się dzieje, że mówisz w moim języku, tajemniczy głosie?

– Nie mówię. To ty nie słuchasz. Trzeba cię wyśpiewać na prawdziwego znajduwacza busz-wałowy, nie ma co.

– Pyszne larwy – mruknął Rincewind.

– Stój tam i się nie ruszaj.

Niewidzialny właściciel głosu zaczął śpiewać bardzo cicho przez niewidzialny nos.

Rincewind był w końcu magiem. Niezbyt dobrym, ale wyczulonym na magię. A pieśń robiła dziwne rzeczy.

Włoski na grzbietach dłoni próbowały przeczołgać się w górę ramion, spocił się na karku, puknęło mu w uszach, a cały krajobraz bardzo powoli zawirował wokół.

Spojrzał w dół. Były tam jego stopy. Prawie na pewno jego. Stały na czerwonej ziemi i wcale się nie poruszały – wszystko inne poruszało się dookoła. Nie miał zawrotów głowy, ale – na oko sądząc – krajobraz miał.

Monotonny śpiew ucichł. Było jeszcze coś niby echo, rozbrzmiewające mu w głowie, jak gdyby słowa były jedynie cieniem czegoś ważniejszego...

Rincewind na chwilę zamknął oczy, po czym znów je otworzył.

– Eee... ładne – powiedział. – Wpada w ucho.

Nie widział śpiewającego, więc mówił z ostrożną uprzejmością, jaką rezerwuje się dla kogoś uzbrojonego, kto prawdopodobnie stoi za plecami.

Odwrócił się.

– Przypuszczam, że... no... musiałeś gdzieś sobie pójść, prawda? – rzucił w pustkę. – Hm... Hej tam!

Nawet owady ucichły.

– Eee... Nie zauważyłeś gdzieś skrzyni chodzącej na nóżkach? Przypadkiem?

Próbował zobaczyć, czy ktoś chowa się za krzakiem.

– To nie takie ważne, tyle że miała w środku moją czystą bieliznę. Bezgraniczna cisza wygłosiła elokwentne podsumowanie poglądów wszechświata na czystą bieliznę.

– Czyli, no... Teraz będę wiedział, jak znaleźć jedzenie w buszu, tak? – spróbował.

Przyjrzał się najbliższym drzewom. Nie wyglądały na bardziej obwieszone owocami niż poprzednio. Wzruszył ramionami.

– Co za dziwaczna osoba...

Podszedł ostrożnie do płaskiego kamienia i – unosząc kij na wypadek stawiania oporu przez coś pod spodem – podniósł go.

Pod kamieniem leżała kanapka z kurczakiem.

Smakowała właściwie jak kurczak z bułką.

Kawałek dalej, za skałami w pobliżu wodnej dziury, rysunek wtopił się w kamień.

To całkiem inna pustynia, gdzie indziej. Nieważne, gdzie człowiek by się znalazł, to miejsce zawsze będzie gdzie indziej. Jest jednym z tych dalszych niż dowolna podróż, ale może tak bliskich jak druga strona lustra albo jeden

oddech dalej. Nie było tu słońca na niebie, chyba że całe niebo było słońcem – jarzyło się żółto. Pustynię pod nogami nadal pokrywał czerwony piasek, ale tak gorący, że parzył.

Na skale pojawił się prymitywny rysunek człowieka. Stopniowo, warstwa po warstwie, stawał się coraz bardziej złożony, jak gdyby niewidoczna ręka próbowała dorysować kości, organy, układ nerwowy i duszę.

Po chwili człowiek zszedł na piasek i odłożył sakwę, która tutaj wydawała się o wiele

cięższa. Przeciągnął się i splótł palce, aż trzasnęły stawy.

Tutaj przynajmniej mógł normalnie mówić. Tam, w świetle cieni, nie ośmielał się unosić głosu w obawie, że mógłby unieść również góry.

Wymówił słowo, które po drugiej stronie kamienia wstrząsnęłoby drzewami i stworzyło łąki. Oznaczało – w prawdziwym języku rzeczy, którym mówił starzec – coś w rodzaju Kanciarza Trickerera. Podobna do niego istota pojawia się w licznych systemach wierzeń, choć to niepoważne określenie może zmylić. Trickerzy mają wielkie poczucie humoru – takie, które dla śmiechu układa minę pod poduszką fotela.

Czarno-biały ptak pojawił się nagle i usiadł mu na głowie.

– Wiesz, co robić – powiedział starzec.

– On? To ma być bohater? – zdziwił się ptak. – Obserwowałem go. Nie jest nawet odważny. Tyle że znalazł się we właściwym miejscu o właściwym czasie.

Starzec dał do zrozumienia, że może to właśnie jest definicja bohatera.

– No dobra, ale dlaczego nie pójdziesz tam i sam tego nie załatwisz? – spytał ptak.

– Trzeba mieć bohaterów – oświadczył starzec.

– I przypuszczam, że będę musiał pomóc. – Ptak prychnął, co jest dość

trudne przez dziób.

– Tak. Ruszaj.

Ptak wzruszył ramionami, co jest łatwe, jeśli się ma skrzydła. Sfrunął z głowy starca i nie wylądował na kamieniu, ale wleciał w niego. Na powierzchni pojawił się rysunek ptaka, po chwili się rozplynął.

Stwórcy nie są bogami. Tworzą miejsca, co jest dość trudne. To ludzie tworzą bogów, co wiele wyjaśnia.

Starzec usiadł i czekał.

Mag postawiony wobec koncepcji kostiumu kąpielowego staje się nerwowy. Dlaczego to musi być takie skąpe? – zapyta. Gdzie się zmieszczą złote hafty? Jak można nosić dowolny kostium bez co najmniej czterdziestu wygodnych kieszeni? I symboli okultystycznych wyszytych cekinami? Wydaje się, że całkiem nie ma na nie miejsca. No i gdzie, jeśli już o tym mowa, są klapy?

Jest również kwestia areału. To niezwykle istotne, by jak największa powierzchnia maga była zakryta, aby nie przerażać osób nieśmiałych i koni. Istnieją może mocno zbudowani magowie o miedzianej skórze i mięśniach twardych jak deska, ale nie po sześćdziesięciu latach obiadów na NU. Dają one starszym magom to, o czym sądzą, że nazywa się *gravitas*, ale ściślej nazywane jest grawitacją.

Poza tym trzeba ciężkiego sprzętu, żeby rozdzielić maga i jego kapelusz.

Kierownik studiów nieokreślonych spojrzał z ukosa na dziekana. Obaj mieli na sobie różne

elementy odzieży, w których dominowały czerwone i białe pasy.

– Ostatni w wodzie będzie tym, który został całkiem sam na plaży! – krzyknął* [* Magowie też lubią zabawy, jednak nigdy nie mieli okazji rozwinięcia odpowiedniego słownictwa.].

Kawałek dalej, na wystającej skale, z falami obmywającymi mu stopy, Mustrum Ridcully zapalił fajkę i zarzucił wędkę; na końcu linki umocował

tak przerażający zestaw spławików i ciężarków, że każda ryba, która nie złapała się na haczyk, mogła zostać skutecznie ogłuszona.

Zmiana scenerii wydawała się dobrze działać na bibliotekarza. Po kilku minutach leżenia na słońcu kichnięciem przywrócił sobie zwykłą postać i teraz siedział na piasku otulony kocem, z liściem paproci na głowie.

Dzień był rzeczywiście śliczny, ciepły, morze szumiało pięknie, a wiatr szeleścił wśród drzew. Bibliotekarz wiedział, że powinien czuć się lepiej, ale czuł się wybitnie nieswojo.

Rozejrzał się. Wykładowca run współczesnych zasnął, osłaniając sobie oczy książką. Książka nosiła oryginalnie tytuł „Zasady propagacji thaumicznej”, ale z powodu oddziaływania słonecznego światła i pewnych szczególnych wibracji ziarenek piasku na plaży tekst na okładce brzmiał teraz „Spisek Omega”* [* To nie żadna magia, ale zwykłe prawo wszechświata. Ludzie zawsze planują wykorzystanie słonecznych wakacji jako okazji do przeczytania tych książek, które zawsze planowali przeczytać. Jednak alchemiczne połączenie słońca, kryształków kwarcu i olejku kokosowego dokonuje jakoś transformacji dowolnej kształcącej książki w inną, zwykle grubszą, z tytułem zawierającym przynajmniej jedno greckie słowo lub literę („Rozkaz Gamma”, „Sezon Delta”, „Projekt Alfa”, a w bardziej ekstremalnych przypadkach „Skok Mi Kappa Pi”). Czasami na okładce pojawia się młot i sierp. To prawdopodobnie efekt plam słonecznych, gdyż te narzędzia zawsze odwrócone są w niewłaściwą stronę. Bibliotekarz miał szczęście, że kichnął wtedy, kiedy kichnął, bo mógłby skończyć gruby na tysiąc stron i wypełniony specyfikacjami broni.].

Nieopodal tkwiło okno. Po prostu wisiało w powietrzu – zwykły prostokąt prowadzący do ciemnego pomieszczenia. Nadrektor nie ufał haczykowi i podparł skrzydło kawałkiem drewna. Przypięta do niego kartka z ostrzeżeniem dowodziła, że starannie przemyślano sformułowania tekstu: „Nie wyjmować tego patyka. Nawet żeby sprawdzić, co się stanie. TO WAŻNE!”.

Za plażą zaczynał się las. Porastał teren wznoszący się lekko aż do zboczy niewielkiej, ale bardzo spiczastej góry. Z pewnością nie była dostatecznie wysoka, by mieć śnieg na szczycie.

Niektóre z drzew rosnących wzdłuż plaży wyglądały dziwnie znajomo i przypominały bibliotekarzowi dom. Co było dziwne, ponieważ urodził się przy alei Księżycowego Stawu w Ankh-Morpork, obok rymarza. Ale budziły wspomnienie domu, który miał we krwi. Czuł pragnienie, by się na nie wspinać...

Tylko że coś z tymi drzewami było nie w porządku.

Przyjrzał się pięknym muszłom na piasku. Z nimi też coś było nie w porządku. Dręcząco,

niepokojąco nie tak.

Kilka ptaków krążyło mu nad głową. Też były nie takie. Owszem, miały właściwe kształty, o ile mógł to ocenić, i chyba wydawały właściwe dźwięki. Ale mimo to coś się w nich nie zgadzało.

Och, jej...

Usiłował powstrzymać kichnięcie, gdy nabierało nosowego pędu, ale to niemożliwe dla kogoś, kto chce dalej kroczyć przez życie z całymi bębenkami w uszach.

Dało się słyszeć parsknięcie, potem brzęk i bibliotekarz zmienił się w coś odpowiedniego na plażę.

Często się mówi o terenach pustynnych, że w rzeczywistości jest tam sporo pożywienia, jeśli tylko wie się, gdzie szukać. Rincewind myślał o tym, kiedy wyciągał z nory talerz biszkoptów w czekoladzie. Były posypane wiórkami kokosowymi.

Ostrożnie obrócił talerz w rękę.

Cóż, trudno się z tym spierać. Znajdował jedzenie na pustyni. Ba, znajdował nawet desery.

Może w grę wchodził tu jakiś szczególny talent, jak dotąd nieodkryty przez ludzi, którzy przez ostatnie miesiące niekiedy dzielili się z nim jedzeniem. Nie jadali takich rzeczy. Ucierali ziarna, wykopywali chude bulwy i zjadali

stworzenia mające więcej oczu, niż znalazła Straż Miejska po tej historii z Medleyem, Medycznym Kleptomanem.

Czyli coś mu się udawało. Gdzieś tam, w tej rozżarzonej do czerwoności dziczy, coś chciało, żeby Rincewind przeżył. To była niepokojąca myśl. Nikt jeszcze nigdy nie chciał zachować go przy życiu dla czegoś miłego.

Oto jak wyglądał Rincewind po kilku miesiącach: jego magowska szata była teraz całkiem krótka. Kawałki z niej zostały wydarte, użyte jako sznurki albo – po jakichś szczególnie opornych *hors d'oeuvres* – jako bandaże. Odsłaniała kolana, magowe kolana nie zbliżają się nawet do standardów mistrzowskich. Wyglądają raczej guzowato.

Zachował jednak kapelusz. Uplótł mu nowe, szerokie rondo, a raz czy dwa załatał go fragmentami szaty. Większość cekinów zastąpił kawałkami muszli przyszytymi trawą, ale to wciąż był jego kapelusz, ten sam stary kapelusz. Mag bez kapelusza jest tylko smętnym osobnikiem o podejrzanym guście w doborze ubrań. Jest nikim.

Choć jednak ten konkretny mag miał kapelusz, nie miał dostatecznie bystrych oczu, by zobaczyć, że na czerwonym głazie, na wpół schowanym w scrubie, pojawia się rysunek.

Początkowo przedstawiał ptaka. Potem, ani przez chwilę nie będąc czym innym niż plamami ochry i węgla drzewnego widocznymi na tym kamieniu od lat, zaczął zmieniać kształt...

Rincewind ruszył w stronę dalekich gór. Były widoczne już od kilku dni. Nie miał najmniejszego pojęcia, czy są rozsądnym celem marszu, ale przynajmniej były jakimś.

Ziemia zadygotała mu pod stopami. Od pewnego czasu zachowywała się tak raz czy dwa razy dziennie. To też było dziwne, bo okolica nie wyglądała na krainę wulkaniczną. Była to raczej kraina, w której człowiek – jeśli przez paręset lat obserwował wysokie urwisko – mógł zobaczyć, jak odpada od niego kawałek skały, a potem opowiadać o tym przez wieki. Wszystko tu wskazywało, że teren już dawno porzucił te bardziej energetyczne ćwiczenia geologiczne, stał się regionem miłym i spokojnym, w którym, w innych

okolicznościach, człowiek mógłby się czuć jak w domu.

Po dłuższej chwili Rincewind zauważył, że ze szczytu niewielkiego głazu przygląda mu się kangur. Widział już takie zwierzaki skaczące gdzieś wśród buszu. Zwykle nie kręciły się w pobliżu ludzi.

Ale ten go śledził. Były chyba wegetarianami, prawda? Na szczęście Rincewind nie miał na sobie nic zielonego.

W końcu kangur wyskoczył z krzaków i wylądował tuż przed Rincewindem. Przygłodził łapą ucho i spojrzał na maga znacząco. Drugą łapą przygłodził drugie ucho i zmarszczył nos.

– Tak, dobrze, doskonale – zapewnił go Rincewind, zaczął się wycofywać, ale zaraz stanął w miejscu. W końcu to przecież tylko wielki, no... królik, tyle że z długim ogonem i stopami, jakie zwykle kojarzą się z workowatymi spodniami i czerwonymi nosami.

– Nie boję się ciebie – oznajmił. – Dlaczego miałbym się bać?

– No wiesz – odpowiedział kangur. – Mógłbym wykopać ci żołądek przez szyję.

– Ach... umiesz mówić?

– Bystry jesteś – pochwalił go kangur. I znowu potarł ucho.

– Coś nie tak? – spytał Rincewind.

– Nie, to język kangurów. Wypróbuję go.

– Niby jak? Jedno drapnięcie na „tak”, a jedno na „nie”? Coś takiego?

Kangur podrapał się w ucho, po czym się opanował.

– Tak – powiedział.

Zmarszczył nos.

- A to marszczenie? – zainteresował się Rincewind.
- Och, to znaczy: „Chodźcie szybko, ktoś wpadł do głębokiej dziury”.
- Często się tego używa?
- Zdziwiłbyś się.
- Hm... A jak będzie po kangurzem: „Jesteś potrzebny do wykonania misji najwyższej wagi”? – zapytał chytrze Rincewind tonem całkowitej niewinności.
- A wiesz, zabawne, że o to pytasz...

Sandały prawie nie drgnęły. Rincewind wyskoczył z nich jak z bloków startowych, a zanim wylądował, już w powietrzu przebierał nogami do biegu.

Po chwili kangur pojawił się obok i dotrzymywał mu kroku długimi, swobodnymi skokami.

- Dlaczego uciekasz, nie słuchając nawet, co mam do powiedzenia?
- Mam długie doświadczenie w byciu mną – wysapał Rincewind. – Wiem, co się stanie. Zostanę wciągnięty w sprawy, które nie powinny mnie obchodzić. A ty jesteś tylko halucynacją wywołaną tłustym jedzeniem na pusty żołądek, więc nawet nie próbuj mnie zatrzymywać!
- Zatrzymywać cię? – zdziwił się kangur. – Kiedy biegiesz we właściwym kierunku?

Rincewind usiłował zwolnić, ale jego metoda biegu bardzo efektywnie opierała się na przekonaniu, że zatrzymanie jest ostatnią rzeczą, jaką by zrobił. Wciąż machając nogami, wybiegł w powietrze i runął w pustkę.

Kangur popatrzył w dół i z niejaką satysfakcją zmarszczył nos.

- Nadrektorze!

Ridcully obudził się i usiadł. Wykładowca run współczesnych biegł ku niemu

zdyszany.

– Kwestor i ja poszliśmy na spacer wzdłuż plaży – powiedział. – I niech pan zgadnie, dokąd trafiliśmy.

– Na Żartowną w Quirmie – burknął kwaśnym tonem Ridcully, strzepując z brody ciekawskiego chrząszcza. – Na ten kawałek obok herbaciarni, gdzie rosną drzewa.

– To zadziwiające, nadrektorze. Bo w rzeczywistości, wie pan, wcale nie tam. Wróciliśmy tutaj. Jesteśmy na malutkiej wysepce. Odpoczywał pan?

– Zamyśliłem się na chwilę – wyjaśnił Ridcully. – Panie Stibbons, ma pan już jakiś pomysł co do tego, gdzie się znajdujemy?

Myślak uniósł głowę znad notatnika.

– Nie zdołałem dokładnie tego ustalić przed zachodem słońca, nadrektorze. Ale sądzę, że jesteśmy bardzo blisko Krawędzi.

– I chyba znaleźliśmy miejsce, gdzie biwakował profesor okrutnej i niezwyklej geografii – ciągnął wykładowca run współczesnych. Sięgnął do głębokiej kieszeni. – Jest tam obóz i palenisko, bambusowe meble, skarpety wiszą na sznurze. I było to.

Wyjął pozostałości niedużego notesu, jakiego standardowo używano na NU. Ridcully nie pozwalał nikomu pobrać nowego, dopóki nie zapisał wszystkich kartek w starym. Po obu stronach.

– Leżał tam sobie. Obawiam się, że mrówki się do niego dobrały.

Ridcully otworzył notes i spojrzał na pierwszą stronę.

– „Pewne interesujące obserwacje dotyczące Mono Wyspy” – przeczytał. – „To wyjątkowe miejsce”.

Przejrzał pozostałe kartki.

– Tylko lista roślin i ryb – stwierdził. – Jak dla mnie, nie ma w niej nic

niezwykłego, ale też

nie jestem specjalistą od geografii. Dlaczego nazywa ją Mono Wyspą?

– To znaczy Jedna Wyspa – oświadczył Myślak.

– Właśnie mi pan wytłumaczył, że to jedna wyspa. Ale tam widać kilka innych. Podejrzewam ostry brak wyobraźni. – Ridcully wcisnął notes do kieszeni szaty. – Mniejsza z tym. Nie ma śladu jego samego?

– To dziwne, ale nie.

– Pewnie chciał popływać i pożarł go ananas – stwierdził Ridcully. – Jak się czuje bibliotekarz, panie Stibbons? Ma wygodne miejsce?

– Powinien pan wiedzieć, nadrektorze – odparł Myślak. – Siedzi pan na nim od trzech kwadransów.

Ridcully spojrzał zdziwiony na swój leżak. Był pokryty rudym futrem.

– To jest...?

– Tak, proszę pana.

– Myślałem, że może nasz geograf przyniósł to ze sobą...

– Nie z... no, z czarnymi paznokciami, nadrektorze.

Ridcully przyjrzał się uważniej.

– Powinienem wstać? Jak pan myśli?

– No, to w końcu leżak, nadrektorze. Bycie czyimś siedzeniem to dla niego całkiem typowa działalność.

– Musimy znaleźć lekarstwo, Stibbons. To zbyt dziwaczne...

– Hej, panowie...

Coś się działo przed oknem. Centrum tego czegoś była wizja w różu, choć trzeba przyznać, że wizja z rodzaju kojarzonego raczej z halucynogenami o nieokreślonym działaniu.

W teorii nie ma sposobu, aby dama w pewnym wieku z godnością przeszła przez okno, jednak ta właśnie czegoś takiego próbowała. Właściwie to poruszała się z czymś więcej niż godnością, która jest darmowo dodawana do królów i biskupów – to, co demonstrowała, to raczej poczucie przyzwoitości, które wytwarzane jest metodami domowymi, z lanego żelaza. Było jednak oczywiste, że w pewnym momencie będzie musiała pokazać fragment kostki, a teraz utkwiała na parapecie w niewygodnej pozycji, starając się do tego nie dopuścić.

Pierwszy prymus odchrząknął. Gdyby nosił krawat, w tej chwili by go poprawił.

– Ach – odezwał się Ridcully. – Nieoceniona pani Whitlow. Niech ktoś jej pomoże, Stibbons.

– Ja pomogę – wtrącił pierwszy prymus odrobinę szybciej, niż zamierzał* [* Pierwszy prymus przechodził kiedyś obok pokoiów pani Whitlow, gdy drzwi były otwarte, i dostrzegł bezgłowy, bezręki krawiecki manekin, którego używała, by szyc wszystkie swoje kostiumy. Musiał wtedy pójść do siebie i poleżeć chwilę w spokoju, a od tego dnia zawsze myślał o pani

Whitlow w szczególny sposób.].

Uniwersytecka gospodyni obejrzała się, powiedziała coś do kogoś niewidocznego za oknem, po czym się odwróciła. Jej mina „krzyczenie na podwładne” dała się przez moment zobaczyć, nim zastąpił ją o wiele miłszy wyraz „rozmowa z magami”.

Kierownik studiów nieokreślonych zirytował kiedyś pierwszego prymusa, mówiąc, że gospodyni ma twarz złożoną z samych podbródków. Rzeczywiście przejawiała pewną połyskliwość, kojarzącą się ze świecą, która zbyt długo stała w cieple. W całej pani Whitlow nie było niczego choćby zbliżonego do linii prostej – do chwili, kiedy odkryła, że coś nie zostało należycie odkurzone. Wtedy można by używać jej warg jako linijki.

Prawie całe grono profesorskie jej się bało. Dysponowała niezwykłymi mocami, które nie do końca potrafili zrozumieć – jak zdolność sprawiania, by łóżka były pościelone, a okna umyte. Mag, który potrafił wznieść skwierczącą od mocy różdżkę przeciwko straszliwym potworom z jakichś upiornych krain, był mimo to zdolny do złapania zmiotki do kurzu z niewłaściwego końca i wyrządzenia sobie nią poważnej krzywdy. Tymczasem na jedno skinienie pani Whitlow ubrania były prane, a skarpety cerowane* [* Magom brakuje w chromosomach genu PD. Feministyczni badacze wyizolowali go i wykazali, że gen ten pozwala dostrzec pranie w zlewie, zanim wyrastające na nim formy życia wynajdą koło. Albo odkryją spamowódź.]. Jeśli ktoś ją zdenerwował, wiosenne porządki w jego gabinecie zdarzały się częściej niż zwykle – a że dla maga jego pokój jest czymś tak osobistym jak kieszeń w spodniach, była to naprawdę straszliwa zemsta.

– Tak se pomyślałam, że panowie zechcą rankiem coś przegryźć – oświadczyła, kiedy magowie pomogli jej zejść na piasek. – Więc pozwoliłam se ściągnąć dziewczyny, żeby przygotowały zimną przekąskę. Zaraz pójde i przyniesę.

Nadrektor poderwał się z leżaka.

– Doskonały pomysł, pani Whitlow.

– Eee... rankiem? – powtórzył pierwszy prymus. – Wygląda mi to raczej na wczesne popołudnie.

Jego ton jasno sugerował, że jeśli pani Whitlow życzy sobie, by był to ranek, on nie będzie protestował.

– Prędkość światła płynącego przez Dysk – stwierdził Myślak. – Jesteśmy blisko Krawędzi, to prawie pewne. Usiłuję sobie przypomnieć, jak się wyznacza godzinę, patrząc na słońce.

– Na razie bym się z tym wstrzymał – uznał pierwszy prymus, osłaniając oczy dłonią. – W tej chwili jest zbyt jasno, żeby zobaczyć cyfry.

Ridcully z satysfakcją pokiwał głową.

– Wszyscy chętnie coś zjemy – oświadczył. – Może coś odpowiedniego na plażę.

– Wieprzowina na zimno z musztardą – powiedział dziekan, budząc się z drzemki.

– A czy są może te paszteciki, no wie pani, te z jajkiem w środku? – zapytał wykładowca run współczesnych. – Chociaż zawsze uważałem, muszę zaznaczyć, że to dość okrutne wobec kurcząt...

Rozległ się cichy odgłos, bardzo podobny do tego, jaki wydaje człowiek w wieku mniej więcej siedmiu lat, kiedy wtyka sobie palec do buzi i wyciąga go szybko z puknięciem, które uważa za niewiarygodnie śmieszne. Myślak odwrócił głowę, bojąc się tego, co zobaczy...

Pani Whitlow z tacą sztuców w jednej ręce bezskutecznie dźgała powietrze trzymanym w drugiej patykiem.

– Tylko go wyjęłam, coby wszystko przeciągnąć – tłumaczyła. – A teraz nijak nie mogę znaleźć miejsca, gdzie ten głupi kijek powinien leżeć.

Tam, gdzie niedawno widniał ciemny prostokąt prowadzący do brudnej pracowni geografa, teraz były tylko kołyszące się palmy i zalany słońcem piasek. Ściśle rzecz ujmując, można by to uznać za poprawę pejzażu. Zależnie od punktu widzenia.

Rincewind wynurzył się na powierzchnię, chciwie wciągając powietrze. Wpadł do wodnej dziury. Znajdowała się w... no, wyglądało to, jakby kiedyś była tu grota, a teraz zawalił się strop. Dokładnie nad sobą widział wielki krąg błękitu.

Tu i tam pospadały kamienie, wiatr nawiał piasku, zapuściły korzenie rośliny. Chłodno, wilgotno i zielono... jak oaza ukryta przed słońcem i wiatrem.

Wyczołgał się z wody i rozejrzał, czekając, aż obcieknie. Między kamieniami rosły pnącza. Kilka drzew zdołało się zakorzenić w szczelinach. Był tu nawet kawałek plaży. Sądząc po plamach na skale, kiedyś woda sięgała o wiele wyżej.

A tam... Rincewind westchnął. Czy to nie typowe? Człowiek trafił w jakiś piękny, cichy zakątek, całe mile od ludzkich osiedli, i zawsze znalazł się jakiś artysta graffiti, który wszystko zapaskudził. Całkiem jak wtedy, kiedy chował się w Górach Morporskich i odkrył w jednej z najgłębszych jaskiń, że jacyś wandale namalowali całe stada głupich bawołów i antylop. Rincewind był tak oburzony, że starł je wszystkie. W dodatku zostawili dookoła stosy starych kości i różnych śmieci. Niektórzy po prostu nie umieją się zachować.

Tutaj też pokryli całe ściany rysunkami w bieli, czerwieni i czerni. Znowu zwierzęta, jak zauważył. Nawet nie wyglądały szczególnie realistycznie.

Zatrzymał się, ociekając wodą, przed jednym z nich. Ktoś zapewne starał się namalować kangura – widać było uszy i ogon, i te klaunowskie stopy. Ale wyglądały nienormalnie, gdyż było tu tyle linii i kreskowań, że rysunek wydawał się... dziwny. Całkiem jakby artysta chciał nie tylko przedstawić kangura od zewnątrz, ale też pokazać jego wnętrze, a potem jeszcze tego kangura w zeszłym roku i dzisiaj, i za tydzień, a przy okazji także to, co sobie myśli. A wszystko to naraz, za pomocą odrobiny ochry i kawałka węgla drzewnego.

Rincewind miał wrażenie, że kangur porusza się w jego głowie.

Zamrugał, ale nadal czuł ból. Zdawało mu się, że oczy mają ochotę pójść sobie w dwie różne strony.

Ruszył szybkim krokiem dalej, nie zwracając uwagi na pozostałe rysunki. Rumowisko sięgało prawie do powierzchni, ale z drugiej strony otwierała się przestrzeń prowadząca w ciemność. Wyglądało na to, że wpadł do zawałonego tunelu.

– Przeszedłeś obok niego – powiedział kangur.

Rincewind obejrzał się. Zwierzak stał na skrawku plaży.

– Nie zauważyłem, kiedy tu wszedłeś – oświadczył. – A jak tu wszedłeś?

– Daj spokój. Muszę ci coś pokazać. Jeśli chcesz, możesz mnie nazywać Skoczek.

– Dlaczego?

– Jesteśmy kumplami, nie? Jestem tu, żeby ci pomagać.

– O rany...

– Sam nie dasz rady pokonać pustkowi, koleś. Myślisz, że jak udało ci się przeżyć do tej pory? Wściekle trudno jest w tych dniach znaleźć gdzieś wodę.

– Sam nie wiem. Ciągle tylko wpadam do... – Rincewind urwał.

– Właśnie – stwierdził kangur. – Trochę to dziwne, nie?

– Ja... myślałem, że zwyczajnie mam szczęście – odparł Rincewind. Zastanowił się nad tym, co właśnie powiedział. – Musiałem chyba stracić rozum.

Tu w dole nie było nawet much. Od czasu do czasu na powierzchni wody pojawiała się zmarszczka, co niepokoiło, gdyż najwyraźniej nie było niczego, co mogłoby ją wywołać. W górze słońce wypalało ziemię, a muchy roiły się jak... no, jak muchy.

– Dlaczego nie ma tu nikogo innego? – zapytał.

– Chodź, sam zobaczysz.

Rincewind uniósł ręce i cofnął się pospiesznie.

– Czy mówimy tu o zębach, żądłach i pazurach?

– Obejrzyj ten obrazek, koleś.

– Ten z kangurem?

– A który to, koleś?

Rincewind przyjrzał się ścianie. Rysunku kangura nie było tam, gdzie go pamiętał.

– Mógłbym przysiąc...

– To jest ten, który chcę ci pokazać. O tutaj.

Rincewind przyjrzał się kamieniowi. Rysunek na nim ukazywał kilkanaście rąk.

Westchnął ciężko.

– No jasne – mruknął ze znużeniem. – Widzę, na czym polega kłopot. Mnie zdarza się dokładnie to samo.

– O czym ty mówisz, szefie?

– To samo się dzieje, kiedy próbuję robić zdjęcia ikonografem – tłumaczył Rincewind. – Ustawiasz sobie piękny widoczek, demon go maluje, a kiedy popatrzysz, okazuje się, że bęc, zasłoniłeś wszystko własnym palcem. Mam chyba z tuzin obrazków mojego kciuka. Wyobrażam sobie tego chłopaka przy pracy: spieszy się trochę, trzyma już pędzel, aż tu nagle chlup, zapomniał zdjąć rękę z...

– Nie, koleś. Chodzi mi o ten obraz pod spodem.

Rincewind przyjrzał się dokładniej. Rzeczywiście, były tam jakieś słabo widoczne linie, które – gdyby nie patrzeć uważnie – można by wziąć za nierówności kamienia. Zmrużył oczy. Linie łączyły się ze sobą... Tak, ktoś namalował tam postacie... Były...

Zdmuchnął trochę piasku.

Tak, były...

...dziwnie znajome.

– Otóż to – powiedział Skoczek, którego głos najwyraźniej dobiegał z pewnej odległości. – Wyglądają trochę jak ty, nie?

– Ale to są... – zaczął Rincewind. Wyprostował się. – Jak długo tu są te rysunki?

– Pomyślmy... – mruknął kangur. – Schowane przed słońcem i wiatrem, nic ich nie zacierało... Dwadzieścia tysięcy lat?

– Niemożliwe!

– Hm, masz rację, w tak cichym i osłoniętym miejscu raczej trzydzieści tysięcy.

– Ale to... To moi...

– Oczywiście, kiedy mówię „trzydzieści tysięcy lat” – ciągnął kangur – mam na myśli, że zależy, jak na to patrzeć. Nawet te rysunki rąk na wierzchu są tu od pięciu tysięcy lat. A te wyblakłe... Tak, muszą być strasznie stare, na pewno dziesiątki tysięcy lat, tylko że...

– Tylko że co?

– Nie było ich tu jeszcze w zeszłym tygodniu, koleś.

– Mówisz, że są tu od wieków... ale niezbyt długo?

– Widzisz? Wiedziałem, że sprytny z ciebie gość.

– A teraz pewnie mi wytłumaczysz, o czym ty gadasz, u demona?

– Zgadza się.

– Przepraszam, znajdę tylko coś do jedzenia.

Rincewind podniósł kamień. Pod spodem leżały dwie kromki z dżemem.

Magowie byli ludźmi cywilizowanymi, o wysokiej kulturze i wykształceniu. Kiedy mimowolnie stali się rozbitkami na bezludnej wyspie, natychmiast zrozumieli, że najważniejszą rzeczą jest zrzucenie na kogoś winy.

– Przecież to naprawdę było całkiem oczywiste! – wrzeszczał Ridcully, wściekle machając rękami w miejscu, gdzie niedawno było okno. – I nawet przyczepiłem kartkę!

– Tak, ale ma pan też napisane „Nie przeszkadzać” na drzwiach swojego gabinetu – przypomniał mu pierwszy prymus. – A mimo to spodziewa się pan, że pani Whitlow co rano przyniesie tam herbatę.

– Panowie, proszę! – wtrącił się Myślak Stibbons. – Musimy ustalić kilka spraw, i to zaraz.

– Tak, pewnie! – ryknął dziekan. – To jego wina! Napis nie był dostatecznie duży!

– Chodziło mi o to, że trzeba...

– Są tutaj damy! – warknął pierwszy prymus.

– Dama.

Pani Whitlow wymówiła to słowo bardzo wyraźnie, jak gracz kładący na stole wygrywające karty. Stała, obserwując ich z godnością. Jej mina mówiła wyraźnie: nie obawiam się, bo przy tylu magach nic złego nie może się zdarzyć. Magowie uspokoili się wreszcie.

– Przepraszam, jeśli zrobiłam coś złego – powiedziała.

– Ależ nie, nic złego – zapewnił ją pospiesznie Ridcully. – Nie aż tak złego. Nie w ścisłym sensie.

– Każdemu się mogło przytrafić – dodał pierwszy prymus. – Sam ledwie odczytywałem te litery.

– I patrząc na to bardziej ogólnie, z pewnością lepiej jest utknąć tutaj, na świeżym powietrzu i w słońcu, niż w dusznym gabinecie – ciągnął Ridcully.

– To bardzo ogólny punkt widzenia, nadrektorze – stwierdził z powątpiewaniem Myślak.

– Zresztą wrócimy do domu w dwa machnięcia owczego ogona. – Ridcully uśmiechnął się promiennie.

– Niestety, nie wygląda to na rolnicze...

– To tylko takie powiedzenie, panie Stibbons. Takie powiedzenie.

– Słońce już zachodzi, nadrektorze – upierał się Myślak. – A to znaczy, że wkrótce zapadnie noc.

Ridcully zerknął nerwowo na panią Whitlow, a potem na słońce.

– To jakiś kłopot? – spytała pani Whitlow.

– Wielkie nieba! Ależ skąd!

– Zauważam, że ten mały otwór w ścianie jakoś nie wrócił – oświadczyła pani Whitlow.

– My, no...

– To jakiś figiel, prawda? – mówiła dalej. – Tak se myślę, że panowie dobrze się bawią, nie ma co.

– Tak, to...

– Ale będę wdzięczna, jeśli teraz odeśle mnie pan z powrotem, panie nadrektorze. Dziś po

południu robimy pranie i obawiam się, że będziemy miały sporo kłopotów z pościelą pana dziekana.

Dziekan zrozumiał nagle, jak czuje się komar pochwycony w światło reflektora.

– Załatwimy tę sprawę natychmiast, nie ma obawy, pani Whitlow – zapewnił Ridcully, nie odrywając wzroku od nieszczęsnego dziekana. – A tymczasem może pani skorzystać z okazji i pościeli, chciałem powiedzieć, posiedzi na słońcu.

Trzasnęło, kiedy leżak złożył się nagle. A potem kichnął.

– Och, bibliotekarz znowu jest z nami – mówił dalej Ridcully, gdy orangutan upadł na piasek. – Proszę pomóc mu wstać, panie Stibbons. Przepraszamy

panią na chwilę, pani Whitlow. Narada grona profesorskiego.

Magowie zebrali się w ciasną grupkę.

– To był sos pomidorowy, jasne? – tłumaczył nerwowo dziekan. – Tak się złożyło, że chciałem coś przegryźć w łóżku, a sami wiecie, jakie plamy to zostawia.

– Jestem przekonany, że nikogo tu nie interesuje stan pańskiej pościeli, dziekanie – oświadczył Ridcully.

– Absolutnie – zapewnił radośnie pierwszy prymus.

– Nie nas – dodał wykładowca run współczesnych i klepnął dziekana w ramię.

– Musimy jakoś stąd wrócić – powiedział Ridcully. – Nie możemy spędzić nocy samotnie z panią Whitlow. To by nie było przyzwoite.

– Nie rozumiem, skąd tyle zamieszania o parę kropli sosu pomidorowego. Przynajmniej sprzątnąłem całą fasolkę...

– Właściwie to nie jesteśmy samotni – zauważył wykładowca run współczesnych. – Nie w ścisłym sensie. Znaczy, jest nas tu siedmiu, nie licząc nawet bibliotekarza.

– Tak, ale jesteśmy samotni razem – wyjaśnił z naciskiem Ridcully. – Ludzie będą gadać.

– O czym? – zdziwił się kierownik studiów nieokreślonych, który czasami nie nadążał.

– No wiesz, siedmiu mężczyzn i jedna kobieta... – tłumaczył wykładowca run współczesnych. – Trudno nawet o tym myśleć.

– Ja na przykład stanowczo się sprzeciwiam sprowadzaniu dodatkowych sześciu kobiet – oznajmił z mocą kierownik studiów nieokreślonych.

– Może dziura znowu się otworzy? – zastanowił się pierwszy prymus.

– Wątpię – stwierdził Ridcully. – Myślak uważa, że nasze przejście przez nią naruszyło równowagę thaumostatyczną. Co pan o tym sądzi, dziekanie?

– Odrobina sosu pomidorowego – mruczał dziekan. – Każdemu mogło się zdarzyć.

– Chodziło mi o to, że jesteśmy uwięzieni na tej wyspie. Ktoś ma jakiś pomysł? Musimy rozwiązać to zespołowo.

– Co powiemy pani Whitlow? – szepnął pierwszy prymus. – Ona uważa, że to... figiel.

– Pierwszy prymusie, jesteśmy poważnymi, mądrymi i doświadczonymi magami – przypomniał Ridcully. – Figielnicy to studenci.

– Raczej figlarze... – wymamrotał Myślak Stibbons.

– Wszystko jedno. Nie zajmujemy się figlami.

– Z nami to raczej pełnowymiarowa, oszałamiająca katastrofa albo nic – rzucił wykładowca run współczesnych.

– Naprawdę nie rozumiem, czemu ludzie tak się interesują odrobiną sosu pomidorowego, którego zresztą prawie nie widać – burczał dziekan.

– Ktoś wziął ze sobą jakieś przydatne zaklęcia? – zapytał Ridcully.

– O czwartej rano? Na plażę? – zdziwił się wykładowca run współczesnych.

– Oczywiście że nie.

– W takim razie musimy polegać na własnych umiejętnościach. Wcześniej czy później musi się tu pojawić jakiś statek. Chodzi o to, panowie – dodał – że jesteśmy produktem edukacji uniwersyteckiej. Jestem pewien, że ludzie prymitywni bez żadnych problemów przetrwaliby w takim miejscu, ale pomyślcie o wszystkich tych rzeczach, które mamy, a których brakowało naszym przodkom.

– Pani Whitlow, na przykład – zauważył kierownik studiów nieokreślonych.

– Na pewno nie pogodziłaby się z prymitywizmem w żadnej jego odmianie – dodał pierwszy prymus.

– Zna się pan na łodziach, dziekanie? O ile pamiętam, miał pan kiedyś wiosłową, kiedy był pan szczuplejszy – zapytał Ridcully. – I proszę zauważyć, że to pytanie w żaden sposób nie dotyka kwestii pościeli.

– Rzeczywiście, budowa łodzi nie jest trudnym zadaniem – przyznał dziekan, wracając do rzeczywistości. – Nawet ludy prymitywne potrafią budować łodzie, a my przecież jesteśmy ludźmi cywilizowanymi.

– W takim razie mianuję pana przewodniczącym Komitetu Budowy Łodzi – rzekł nadrektor. – Pierwszy prymus będzie pomagał. Reszta panów niech się rozejrzy, czy jest tu gdzieś świeża woda. I jedzenie. Zrzućcie parę kokosów czy coś w tym rodzaju.

– A co pan będzie robił, nadrektorze? – dopytywał się złośliwie pierwszy prymus.

– Ja będę Komitetem Pozyskiwania Protein. – Ridcully machnął wędką.

– Będzie pan znowu tak stał i łowił? I co nam z tego przyjdzie?

– Możliwym efektem są ryby na obiad, panie pierwszy prymusie.

– Ktoś ma tytoń? – spytał dziekan. – Zapaliłbym.

Magowie rozeszli się do swoich zadań, narzekając i obwiniając się nawzajem.

A tuż poza granicą lasu, wśród opadłych liści rozwinęły się korzenie i kilka bardzo małych roślinek zaczęło wściekle rosnać...

– To ostatni kontynent – wyjaśnił Skoczek. – Był... poskładany na końcu i... inaczej.

– Jak dla mnie wygląda całkiem staro... – stwierdził Rincewind. – Pradawnie. Te góry są chyba stare jak góry.

- Zostały zrobione trzydzieści tysięcy lat temu – oświadczył kangur.
- Daj spokój! Wyglądają na miliony lat!
- Zgadza się. Trzydzieści tysięcy lat temu zostały zbudowane milion lat temu. Czas tutaj jest... – Kangur wzruszył ramionami. – Nie taki sam. Został posklejany... inaczej. Jarzysz?
- Niespecjalnie – odparł Rincewind. – Jestem człowiekiem, który siedzi tu i słucha kangura. Nie dyskutuję.
- Usiłuję dobrać takie słowa, które potrafisz zrozumieć – oświadczył z wyrzutem kangur.
- Dobrze, próbuj, w końcu ci się uda. Chcesz kromkę z dżemem? Agrestowy.
- Nie. Jestem wyłącznie roślinożerny, koleś. Nieagresywny. Słuchaj...
- Dość nietypowy taki dżem z agrestu. Znaczący, nieczęsto się go spotyka. Malinowy i truskawkowy, owszem, nawet z czarnej porzeczki. Nie sądzę, żeby jeden słoik na sto był z agrestu. Ale przepraszam, mów dalej.
- Na pewno traktujesz to poważnie?
- A uśmiecham się?
- Zauważyłeś kiedyś, że czas płynie wolniej na wielkich przestrzeniach?

Kromka znieruchomiła w połowie drogi do ust Rincewinda.

- Rzeczywiście, to prawda. Ale tylko wydaje się wolniejszy.
- No i co z tego? Kiedy powstawało to miejsce, nie zostało dużo czasu ani przestrzeni, żeby z nimi pracować, jarzysz? Musiał upakować je ciasno, żeby działały wydajniej. Czas trafia się przestrzeni, a przestrzeń trafia się czasowi...
- Wiesz, mam wrażenie, że mogła tu trafić jakaś śliwka... – stwierdził Rincewind z pełnymi ustami. – I może trochę rabarbaru. Zdziwiłbyś się, jak

często robią takie numery. Rozumiesz, dopychają tańsze owoce. Spotkałem raz w oberży takiego gościa, pracował przy produkcji dżemów w Ankh-Morpork; powiedział, że pakują tam wszystkie stare śmieci i dodają czerwonego barwnika, więc spytałem, co z pestkami z malin, a on na to, że je robią z drewna! Z drewna! Mówił, że mają specjalną maszynę, która je wytlacza. Wyobrażasz sobie?

– Czy mógłbyś przestać opowiadać o dżemie i być przez moment poważny?

Rincewind opuścił kromkę.

– Wielkie nieba, mam nadzieję, że nie – odparł. – Siedzę w jaskini w krainie, gdzie wszystko próbuje mnie ugryźć, i nigdy nie pada, i rozmawiam, bez urazy, z roślinožercą, który pachnie jak dywan w domu, gdzie jest mnóstwo nerwowych szczeniaków, i nagle odkryłem u siebie taki dziwny talent do znajdowania w różnych miejscach kromek z dżemem i niewyjaśnionych

ciasteczek biszkoptowych, i pokazano mi coś bardzo dziwnego na obrazku na ścianie jakiejś starej jaskini, i nagle wspomniany wcześniej kangur tłumaczy mi, że czas i przestrzeń są tu pokręcone, i chce, żebym był rozsądny. A co, jeśli się dobrze zastanowić, będę z tego miał?

– Posłuchaj! To miejsce nie jest dokończzone, jasne? Nie jest dopasowane... przekręcone... – Kangur spojrzał na Rincewinda, jakby czytał jego myśli, co rzeczywiście czynił. – Wiesz, jak jest z puzzlami? Ostatni kawałek ma właściwy kształt, ale trzeba go poobrać, żeby pasował. Jasne? A teraz wyobraź sobie, że ten kawałek to piekielnie wielki kontynent, który trzeba obrócić przez jakieś dziewięć wymiarów, i jesteś w domu...

– ...przy kominku?

– Racja jak szlag!

– Eee... Wiem, że to pytanie wyda ci się głupie – powiedział Rincewind, próbując wydłubać z zęba pestkę agrestu – ale dlaczego ja?

– To twoja wina! Pojawiłeś się tutaj i nagle wszystko od zawsze jest nie tak.

Rincewind obejrzał się na skalną ścianę. Ziemia znowu zadygotała.

– Mógłbyś przeskoczyć to jeszcze raz? – poprosił.

– Coś źle poszło w przeszłości.

Kangur popatrzył na tępy wyraz usmarowanej dżemem twarzy Rincewinda i spróbował na nowo.

– Twoje przybycie wywołało fałszywą nutę.

– W czym?

Zwierzak machnął łapą w nieokreślonym kierunku.

– W tym wszystkim – wyjaśnił. – Możesz nazwać to piekielnym supłem lokalizowanej przestrzeni fazowej albo możesz nazwać to po prostu pieśnią.

Rincewind wzruszył ramionami.

– Nie przeczę, że przyłożyłem rękę do zabicia kilku pajaków. Ale to była sytuacja: ja albo one. Przecież niektóre atakują cię na wysokości głowy...

– Zmieniłeś historię...

– Daj spokój, parę pajaków nie robi aż takiej różnicy. Niektóre używały swoich sieci jak batutu, rozumiesz, było takie „brzdęk!”, a potem...

– Nie, nie tę historię od teraz, ale historię, która już była – wyjaśnił kangur.

– Zmieniłem to, co już się zdarzyło dawno temu?

– Właśnie.

– Zjawiając się tutaj, zmieniłem to, co już się stało?

– Aha. Wiesz, czas nie jest taki prosty, jak ci się wydaje.

– Nigdy tak nie myślałem – zapewnił Rincewind. – A obszedłem go już parę

razy...

Kangur zniechęcony machnął łapą.

– Nawet nie o to chodzi, że fakty w przyszłości mogą wpływać na fakty w przeszłości. Fakty, które się nie zdarzyły, ale mogły, też mogą... oddziaływać na fakty, które się już zdarzyły. Nawet te fakty, które nie powinny się zdarzyć, ale się zdarzyły i zostały usunięte, wciąż mają... och, powiedzmy, że takie cienie w czasie, jakby resztki, które wciąż zakłócają to, co się dzieje. Tak między nami... – Kangur zastrzygł uszami. – Wszystko to posklejane jest na ślinę. Nikt jakoś nie próbował tego uporządkować. Zawsze mnie zdumiewa, że jutro następuje po dzisiaj, i taka jest prawda.

– Mnie też – zapewnił Rincewind. – Oj, mnie też.

– Mimo wszystko, nie ma zmartwienia, co?

– Chyba zostawię ten dżem – oznajmił Rincewind. Odłożył kromkę. – Dlaczego ja?

Kangur podrapał się w nos.

– Ktoś musi.

– I co niby powinienem robić?

– Wkręcić całość do reszty świata.

– Jest jakiś klucz?

– Może być. Zależy.

Rincewind znowu spojrzał na rysunki naskalne, których nie było tu jeszcze parę tygodni temu, a potem nagle zawsze tu były.

Postacie trzymające kije. Postacie w długich szatach. Artysta całkiem dobrze sobie poradził z oddaniem czegoś całkiem obcego. A gdyby pozostały jeszcze jakiekolwiek wątpliwości, wystarczyło popatrzeć, co mają na głowach.

– Tak – zgodził się kangur. – Nazywamy ich „spiczaste głowy”.

– Zaczął łapać ryby – oznajmił pierwszy prymus. – To znaczy, że lada chwila zjawi się tu z zarożumiałą miną i zapyta, jakie mamy plany co do budowy łodzi. Sami wiecie, jaki on jest. Dziekan spojrzał na szkice, które wykreślił na kamieniu. – Jak trudna może być budowa łodzi? Ludzie z kośćmi w nosach budowali łodzie. A my jesteśmy końcowym produktem tysięcy lat oświecenia. Zbudowanie łodzi na pewno nie przekracza możliwości kogoś takiego jak my, pierwszy prymusie.

– Oczywiście, dziekanie.

– Trzeba tylko przeszukać wyspę, aż znajdziemy książkę z tytułem w rodzaju „Praktyczne budownictwo łodzi dla początkujących”.

– Otóż to. Od tego momentu od razu złapiemy wiatr w żagle, dziekanie. Ahaha.

Uniósł wzrok i nerwowo przełknął ślinę. Pani Whitlow siedziała w cieniu na zwalonym pniu i wachlowała się wielkim liściem.

Ta scenka poruszyła w pierwszym prymusie to i owo, a drobne szczegóły – na przykład to

coś, co trzeszczało cicho, kiedy pani Whitlow się poruszała – napinały w nim pewne fragmenty.

– Dobrze się czujesz, pierwszy prymusie? Wyglądasz, jakby upał zaczął ci doskwierać.

– Jest trochę... ciepło, dziekanie.

Pierwszy prymus rozluźnił kołnierzyk. Dziekan spojrzał poza niego.

– No, długo im to nie zajęło – zauważył.

Pozostali magowie zbliżali się plażą. Jedną z zalet długiej szaty jest to, że można nieść w niej coś jak w fartuchu, a kierownik studiów nieokreślonych wybrzuszał się od przodu nawet bardziej niż zwykle.

- Znaleźliście coś do jedzenia? – zapytał pierwszy prymus.
- Eee... Tak.
- Pewno owoce i orzechy – zrzędził dziekan.
- E... Tak, ale z drugiej strony nie – odparł wykładowca run współczesnych.
- Ehm... to dosyć niezwykle...

Kierownik studiów nieokreślonych wysypał swój ładunek na piasek. Były tam orzechy kokosowe, inne orzechy różnych rozmiarów i rozmaite kosmate albo guzowate warzywa.

- Wszystko raczej prymitywne – stwierdził dziekan. – I prawdopodobnie trujące.
- Ale kwestor zajada to wszystko, jakby miał jutra nie dożyć – zauważył wykładowca run współczesnych.

Kwestor beknął radośnie.

- To nie znaczy, że dożyje – stwierdził dziekan. – Co się z wami dzieje, panowie? Jakoś tak spoglądacie na siebie nawzajem...
- No bo... próbowaliśmy niektórych, dziekanie.
- Ho, ho, widzę, że wrócili nasi zbieracze! – zahuczał wesoło Ridcully, zbliżając się do nich. Machał kilkoma rybami na sznurku. – Macie tam, chłopcy, coś, co przypomina ziemniaki?
- Nie uwierzycie – wymamrotał wykładowca run współczesnych. – Oskarżycie nas o sztuczki.
- O czym ty mówisz? – zirytował się dziekan. – Wcale nie wyglądają na sztuczne.

Kierownik studiów nieokreślonych westchnął tylko.

- Spróbuj kokosa – zaproponował.

– A co? Wybuchnie czy jak?

– Nie, nic w tym rodzaju.

Dziekan podniósł orzech, przyjrzał mu się nieufnie, po czym walnął nim o kamień. Orzech rozpadł się na dwie równe części.

Nie wylało się żadne mleczko. Wewnątrz łuski była brązowa skorupa wewnętrzna wypełniona miękkimi białymi włóknkami.

Ridcully wziął trochę na palec i powąchał.

– Nie wierzę – oświadczył. – To nie jest naturalne.

– Czemu? – zdziwił się dziekan. – Kokos wypełniony kokosem. Co w tym dziwnego?

Nadrektor wręczył mu odłamany kawałek skorupy. Była miękka i trochę się kruszyła. Dziekan skosztował.

– Czekolada?

Ridcully kiwnął głową.

– Mleczna, po smaku sądząc. Z kokosowym nadzieniem.

– Czo niemoflife – stwierdził dziekan z wypchanymi ustami.

– No to wypłuj.

– Chyba jednak spróbuję jeszcze trochę – powiedział dziekan. – W celach badawczych, naturalnie.

Pierwszy prymus sięgnął po guzkowaty niebieskawy orzech wielkości pięści i stuknął nim na próbę. Skorupka pękła, lecz lepkie wnętrze trzymało ją w całości.

Zapach był całkiem znajomy, a degustacja potwierdziła to wrażenie. Zaszokowani magowie w milczeniu spoglądali na wnętrze orzecha.

– Ma nawet niebieskie żyłki – zauważył pierwszy prymus.

– Tak, wiemy. Próbowaliśmy już takiego – odparł słabym głosem kierownik studiów nieokreślonych. – Chociaż istnieje na przykład drzewo chlebowe...

– Słyszałem o nim – zgodził się Ridcully. – I mogę uwierzyć w naturalnie oblane czekoladą kokos, ponieważ czekolada to w końcu coś w rodzaju ziemniaka...

– Raczej fasoli – wtrącił Myślak Stibbons.

– Wszystko jedno. Ale nigdy w życiu nie uwierzę w coś takiego, jak orzech z dojrzałym serem błękitnym lancrańskim. – Szturchnął orzech palcem.

– Ale w naturze rzeczywiście zdarzają się czasem dziwne przypadki, nadrektorze – powiedział kierownik studiów nieokreślonych. – Choćby ja, kiedy byłem dzieckiem, wykopałem kiedyś marchewkę, cha, cha, cha, bardzo śmieszna, podobna do człowieka z...

– Ehm... – odezwał się dziekan.

Był to tylko krótki dźwięk, ale niósł w sobie ton proroczy. Obejrzeli się wszyscy.

Obierał właśnie żółknącą łuskę z czegoś podobnego do małego strączka fasoli. W ręku pozostał mu...

– Cha, cha, tak, niezły żart – mruknął Ridcully. – One z całą pewnością nie rosną na...

– Nic nie zrobiłem! Patrzcie, jest jeszcze na nim miąższ i w ogóle – bronił się dziekan, wymachując niezwykłym obiektem.

Ridcully wziął go od niego, powąchał, uniósł do ucha i potrząsnął.

– Pokażcie, gdzie to znaleźliście – poprosił cicho.

Krzak rósł na małej polance. Spomiędzy listków zwisały dziesiątki zielonych gałązek,

a każda zakończona była kwiatem, ale płatki już opadały. Owoce były dojrzałe.

Wielobarwne żuki odfrunęły z krzaka, kiedy dziekan wybrał strączek i otworzył go, odsłaniając lekko wilgotny biały wałeczek. Przyglądał mu się przez chwilę, potem wsunął koniec do ust, z kieszonki w kapeluszu wyjął zapalki i zapalił.

– Całkiem niezły tytoń – stwierdził. Dłoń trochę mu drżała, kiedy wyjął papierosa z ust i wydmuchnął kółko z dymu. – Z korkowym filtrem.

– Hm... No cóż, zarówno tytoń, jak i korek to występujące naturalnie produkty... warzywne... – wyjąkał kierownik studiów nieokreślonych.

– Kierowniku! – rzucił Ridcully.

– Tak, nadrektorze?

– Proszę się zamknąć.

– Tak, nadrektorze.

Myślak Stibbons rozłamał korkowy filtr. Wewnątrz znalazł malutki pierścień czegoś, co mogło być...

– Nasiona – stwierdził. – Ale to niemożliwe, ponieważ...

Dziekan w obłoku błękitnego dymu przyglądał się pobliskim pnączom.

– Czy ktoś już zwrócił uwagę, że te strąki wyglądają dziwnie prostokątnie? – zapytał.

– Proszę działać, dziekanie.

Brunatna zewnętrzna łuska opadła.

– Aha – ucieszył się dziekan. – Krakery. Akurat pasują do sera.

– Hm... – chrząknął Myślak.

Wyciągnął rękę.

Tuż za krzakiem na ziemi leżała para butów.

Rincewind przesunął palcami po ścianie groty.

Ziemia znów się zatrzęsała.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Wiesz, niektórzy mówią, że to trzęsienie ziemi, inni, że kraina wysycha, a jeszcze inni, że to gigantyczny wąż sunie przez ziemię – wyjaśnił Skoczek.

– A co się dzieje naprawdę?

– To nie jest właściwe pytanie.

Stanowczo byli podobni do magów, uznał Rincewind. Mieli ten podstawowy stożkowy kształt, znany każdemu, kto odwiedził Niewidoczny Uniwersytet. Trzymali laski. Nawet prymitywnymi materiałami, jakie miał do dyspozycji, artysta zdołał przedstawić gałki na ich końcach.

Ale NU nie istniał przecież trzydzieści tysięcy lat temu...

Wtedy zauważył rysunek na samym końcu groty. Pokrywały go liczne ochrowe odciski dłoni, całkiem jakby... w mózgu pojawiła się zdradziecka myśl: całkiem jakby ktoś uznał, że zdoła mnie przycisnąć do skały, nie dopuścić... to głupi pomysł, wiedział: nie dopuścić, żebym się wydostał.

Zmiótł kurz.

– No nie... – wymamrotał.

Na rysunku była podłużna skrzynia. Malarz nie do końca opanował konwencjonalną perspektywę, ale w oczywisty sposób próbował namalować setki małych nóżek.

– To mój Bagaż!

– Zawsze to samo, nie? – odezwał się za nim Skoczek. – Docierasz gdzieś, a twój bagaż trafia całkiem gdzie indziej.

– Tysiące lat w przeszłości?

– Może być cennym antykiem.

– Ma w środku moje rzeczy!

– Prawdopodobnie kiedyś moda na nie wróci.

– Nie rozumiesz! To magiczny kufer! Powinien trafiać tam gdzie ja!

– Bo on pewnie jest tam gdzie ty. Tyle że nie wtedy.

– Co? Aha...

– Mówiłem ci, że czas i przestrzeń są całkiem pokręcone, nie? Zaczekaj, aż ruszysz w swoją podróż. Są miejsca, gdzie kilka czasów dzieje się równocześnie, i miejsca, gdzie prawie w ogóle nie ma czasu, i czasy, gdzie prawie nie ma miejsca. Musisz to jakoś poukładać. Jarzysz?

– Niby co? Jak przy tasowaniu kart? – zdziwił się Rincewind. Zanotował w pamięci uwagę o ruszeniu w „swoją podróż”.

– Tak.

– To niemożliwe.

– Wiesz, ja też bym tak powiedział. Ale ty to załatwisz. A teraz skoncentruj się na chwilę, co? – Skoczek nabrał tchu. – Wiem, że to załatwisz, ponieważ już to załatwiłeś.

Rincewind oparł głowę na rękach.

– Mówiłem ci, że czas i przestrzeń tutaj są pomieszane, nie?

– Już uratowałem tę krainę, tak?

– Tak.

– No to świetnie. Wiesz, to nie było takie trudne. Nie chcę za to wiele... Może jakiś medal, wdzięczne podziękowania mieszkańców, ewentualnie jakaś skromna emerytura i bilet do domu... – Uniósł głowę. – Tyle że nie dostanę niczego, prawda?

– Nie, ponieważ...

– ...ponieważ jeszcze już tego nie zrobiłem?

– No właśnie. Zaczynasz łąpać. Musisz iść i załatwić to, o czym wiemy, że załatwisz, bo już to załatwiłeś. Szczerze mówiąc, gdybyś już tego nie załatwił, nie byłoby mnie tutaj i nie miałby kto dopilnować załatwiania. Więc lepiej to załatw.

– Pokonując straszliwe niebezpieczeństwa?

Kangur machnął łapą.

– Trochę straszliwe – powiedział.

– Maszerując wiele mil przez wypalone, pozbawione szlaków tereny?

– No, owszem. Nie mamy tu żadnych innych.

Rincewind rozpogodził się nieco.

– I spotkam towarzyszy, których siły i umiejętności okażą się wielce pomocne?

– Nie zakładałbym się o to.

– Jakaś szansa na magiczny miecz?

– A co byś robił z magicznym mieczem?

– Dobrze pytanie. Bardzo dobre. Zapomnijmy o magicznym mieczu. Ale coś muszę mieć. Płaszcz niewidzialności, eliksir siły, coś w tym rodzaju...

- Te rzeczy są dla ludzi, którzy wiedzą, jak ich używać, szefuniu. Ty będziesz musiał polegać na wrodzonym sprycie.
 - Nic nie dostanę? Co to niby za misja? Dasz mi chociaż jakieś wskazówki?
 - Może będziesz musiał wypić trochę piwa – stwierdził kangur. Skulił się na moment, jakby był pewien, że czeka go burza protestów.
 - Tak? – rzucił Rincewind. – Rozumiem. No więc chyba wiem, jak się to robi. W jakim kierunku powinienem wyruszyć?
 - Och, odkryjesz to.
 - A kiedy już dotrę tam, gdzie powinienem dotrzeć, co powinienem robić?
 - To... będzie oczywiste, nie?
 - I jak będę wiedział, że już to zrobiłem?
 - Wilgoć powróci.
 - Czego wilgoć?
 - Będzie padać.
 - Myślałem, że tu nigdy nie padało – zdziwił się Rincewind.
 - Widzisz? Wiedziałem, że jesteś sprytny.
- Słońce zachodziło. Skały wokół brzegów groty rozjarzyły się czerwienią. Rincewind przyglądał się im przez chwilę i podjął mężną decyzję.
- Nie jestem kimś, kto się złąknie, gdy na szali leży los całego kontynentu – oznajmił. – Wyruszę o świcie, by wykonać owo zadanie, które już wykonałem, na Hokiego, albo nie nazywam się Rincewand.
 - Rincewind – poprawił go kangur.
 - Otóż to!

– Dobrze powiedziane, koleś. W takim razie na twoim miejscu bym się przespał. Jutro możesz mieć pracowity dzień.

– Nie znajdziesz mnie niegodnym, kiedy wzywa obowiązek.

Rincewind sięgnął do pustej kłody i po krótkich poszukiwaniach wyjął talerz z jajkiem sadzonym i frytkami.

– No to zobaczymy się o świcie.

Dziesięć minut później wyciągnął się na piasku z kłodą jako poduszką i spojrzał na fioletowe niebo. Rozbłyskiwały na nim gwiazdy.

Zaraz, było jeszcze coś... A tak.

Kangur ułożył się po drugiej stronie wodnej dziury. Rincewind uniósł głowę.

– Mówiłeś coś o tym, jak „on” stworzył to miejsce, i w ogóle o „nim”...

– Tak.

– Tylko że... Jestem prawie pewien, że spotkałem Stwórcę. Niewysoki gość. Sam robi swoje śnieżne płatki.

– Taak? A kiedy go spotkałeś?

– Kiedy stwarzał ten świat. – Rincewind postanowił nie wspominać o fakcie, że upuścił wtedy kanapkę do kałuży na plaży. Mało kto lubi się dowiadywać, że mógł wyewoluować z czyjegoś drugiego śniadania. – Sporo podróżuję – dodał.

– Zgrywasz surową krewetkę?

– Co? Ależ skąd. Absolutnie. Zgrywać surową krewetkę? Nie, to nie ja. Nigdy czegoś takiego nie robię. Ani nawet gotowanej krewetki. Ani dowolnych skorupiaków, zwłaszcza w kałużach na plaży. Nie ja... Eee... A co to właściwie znaczy?

– Wiesz, on wcale nie stworzył tego miejsca – oświadczył Skoczek, ignorując

Rincewinda zupełnie. – To się stało później.

– To możliwe?

– Czemu nie?

– Wiesz, to przecież nie jest tak, jak, no wiesz, dobudowanie piętra nad stajnią. Ktoś pojawia się, kiedy świat jest całkiem skończony, i kładzie dodatkowy kontynent?

– Bez przerwy się to zdarza, koleś – zapewnił Skoczek. – Cały czas. Zresztą dlaczego nie? Jeśli inni stwórcy zostawiają wściekle wielkie i puste oceany, ktoś w końcu musi je wypełnić. Światu też się to przyda: nowy wygląd, nowe pomysły, nowe style...

Rincewind spoglądał na gwiazdy. Wyobraził sobie kogoś, kto wędruje od świata do świata i kiedy nikt nie patrzy, ukradkiem wrzuca nowe lądy.

– Rzeczywiście – przyznał. – Ja na przykład bym nie pomyślał, żeby wszystkie węże uczynić

jadowitymi, a wszystkie pająki jeszcze bardziej jadowitymi niż węże. I dać każdemu kieszenie. Świetny pomysł.

– Sam widzisz.

Skoczek był już ledwie widoczny, gdyż ciemność okryła grotę.

– Dużo ich zrobił? – zapytał Rincewind.

– Tak.

– Czemu?

– Żeby chociaż jednego nie spaprali. I zawsze dokłada kangury. To coś w rodzaju podpisu.

– A czy ten Stwórca ma jakieś imię?

– Nie. Jest po prostu facetem, który niesie worek, a w tym worku mieści się cały wszechświat.

– Skórzany worek?

– To do niego podobne – potwierdził kangur.

– Cały wszechświat w jednym małym worku?

– Tak.

Rincewind ułożył się wygodnie.

– Cieszę się, że nie jestem religijny – stwierdził. – To musi być strasznie skomplikowane.

Po pięciu minutach zaczął pochrapywać. Po półgodzinie lekko uniósł głowę. Kangura nie było widać.

Z niemal nadrincewindowską siłą poderwał się i wspiął na skalne rumowisko, przez krawędź otworu w stropie, prosto w ciemny piekarnik nocy.

Wybrał pierwszą z brzegu gwiazdę i pomaszerował, nie zważając na chłostające nogi gałęzie krzaków.

Ha!

Nie znajdą go niegodnym, kiedy wzywa obowiązek. Ponieważ w ogóle go nie znajdą.

W grocie woda jeziora zafalowała w blasku gwiazd, a rozszerzające się kręgi plusnęły na piasku.

Na ścianie widniał starożytny obraz kangura w bieli, żółci i czerwieni. Artysta starał się oddać na kamieniu coś, czego lepiej byłoby próbować z ośmioma wymiarami i dużym akceleratorem cząstek; usiłował zawrzeć w dziele nie tylko kangura teraz, ale też kangura w przeszłości i kangura w przyszłości, a najkrócej mówiąc nie to, jak kangur wyglądał, ale to, czym był.

Między innymi, kiedy zanikał, był kangurem uśmiechniętym.

Pośród wielu złożonych cech, jakie tworzyły inteligentnego dwunoga, znanemu reszcie świata jako pani Whitlow, była też ta, że w świecie pani Whitlow nie istniało nic takiego jak

nieformalny posiłek. Kiedy pani Whitlow robiła kanapki, choćby tylko dla siebie, zawsze kładła na wierzchu kawałek pietruszki. Przed wypiciem herbaty rozkładała serwetkę. Jeśli na stole zmieścił się wazon z kwiatami, tym lepiej.

Było nie do pomyślenia, by zjadła jakieś danie ułożone na kolanach. Właściwie było nie do pomyślenia, żeby pomyśleć o pani Whitlow jako osobie mającej kolana, choć pierwszy prymus musiał od czasu do czasu wachlować się kapeluszem. Dlatego też plaża została bardzo dokładnie przeszukana w celu znalezienia dostatecznie wielu kawałków drewna, by zbudować z nich bardzo prymitywny stół, oraz kamieni, by użyć ich jako siedzeń.

Pierwszy prymus zmiotł kapeluszem pył z jednego z nich.

– Proszę, pani Whitlow.

Gospodyni zmarszczyła czoło.

– Jestem pewna, że nie wypada, coby służba jadła z dżentelmenami – oświadczyła.

– Naprawdę zapraszam, pani Whitlow – powiedział Ridcully.

– Naprawdę nie mogę. Nie uchodzi mieć wyobrażeń powyżej własnego stanu. Nigdy nie mogłabym potem spojrzeć panu w oczy, proszę pana. Znam swoje miejsce.

Ridcully przyglądał się jej tępo przez chwilę, po czym odezwał się cicho:

– Posiedzenie grona, panowie...

Magowie zbili się w ciasny krąg kawałek dalej na plaży.

- I niby co mamy z tym zrobić?
- Uważam, że to godna pochwały postawa. Jej świat leży w końcu Pod Schodami.
- Owszem, świetnie, ale na tej wyspie nie ma żadnych schodów.
- Można by jakieś zbudować...
- Nie możemy pozwolić, żeby ta biedna kobieta siedziała gdzieś całkiem sama. O to mi chodzi.
- Ten stół zajął nam całe wieki.
- A zauważył pan coś dziwnego w tym wyrzuconym drewnie, nadrektorze?
- Dla mnie, Stibbons, wyglądało na całkiem zwyczajne drewno. Gałęzie, pnie i co tam jeszcze.
- To właśnie jest dziwne, proszę pana, gdyż...
- Prosta sprawa, Ridcully. Mam nadzieję, że jako dżentelmeni wiemy, jak traktować kobietę...
- Damę.
- Pozwolę sobie zauważyć, że to zbędny sarkazm, dziekanie – stwierdził Ridcully. – No dobrze, skoro prorok Ossory nie chce przyjść do góry, to góra musi przyjść do proroka Ossory'ego. Jak mawiają w Klatchu.

Przerwał. Znał swoich magów.

- Wydaje mi się, że raczej w Omni... – zaczął Myślak.

Ridcully machnął ręką.

- W każdym razie coś w tym sensie.

I właśnie dlatego pani Whitlow jadła sama przy stole, a magowie usiedli

wokół ogniska kawałek dalej. Tyle że bardzo często któryś z nich podchodził, żeby zaproponować jej jakiś szczególnie smaczny kąsek z darów natury.

Było jasne, że głód im na wyspie nie zagrozi, za to niestrawność i zgaga owszem.

Głównym daniem była ryba, gdyż gorączkowe poszukiwania nie pozwoliły – jak dotąd – odkryć krzewu stekowego. Magowie znaleźli za to, obok licznych bardziej konwencjonalnych owoców, krzew makaronowy, coś w rodzaju kabaczka zawierającego miąższ bardzo podobny do budyniu oraz wyglądający jak ananas owoc, który – po obraniu ze skórki – okazał się dużym puddingiem śliwkowym.

– To oczywiście nie jest prawdziwy pudding śliwkowy – zaprotestował Ridcully. – Tylko myślimy, że to pudding śliwkowy, ponieważ smakuje dokładnie tak, jak, no... pudding śliwkowy... – Umilkł.

– Ma w środku śliwki i rodzynki – zauważył pierwszy prymus. – Mogę prosić o miąższ budyniowy?

– Chodzi mi o to, że myślimy tylko, że wyglądają jak rodzynki i śliwki...

– Nie, bo myślimy także, że smakują dokładnie jak rodzynki i śliwki – upierał się pierwszy prymus. – Proszę posłuchać, nadrektorze. Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Najwyraźniej tę wyspę odwiedzili już kiedyś magowie. A to wszystko jest rezultatem działania całkiem zwyczajnej magii. Może nasz zaginiony geograf trochę eksperymentował? A może to czarodzieicielstwo? Kiedy pomyśleć o niektórych rzeczach stworzonych za dawnych dni... krzew papierosowy to w porównaniu z nimi całkiem małe piwo.

– Skoro o małym piwie mowa... – Dziekan zamachał ręką. – Poproszę rumu.

– Pani Whitlow nie aprobeuje mocnych alkoholi – przypomniał pierwszy prymus.

Dziekan zerknął na gospodynię, która wykwintnie spożywała banana – wyczyn prawie niemożliwy do wykonania. Odłożył skorupę kokosa.

– No więc ona... Ja... Nie rozumiem... Więc do demonów z tym wszystkim, tyle tylko chcę powiedzieć.

– Ani wulgarnego języka – dodał wykładowca run współczesnych.

– Głosuję za tym, żeby zabrać z powrotem trochę tych pszczoł – wtrącił kierownik studiów nieokreślonych. – Cudowne stworzonka. Żadnego krążenia po okolicy i zadowalania się produkcją nudnego miodu. Wystarczy sięgnąć, wybrać jeden z tych woskowych pojemników i Bob jest twoim wujem.

– Ona powoli zdejmuje całą skórę, zanim zacznie jeść. Och...

– Dobrze się pan czuje, pierwszy prymusie? Czy upał panu zaszkodził?

– Co? Eee... Hm? Nie, nic takiego. Rzeczywiście, pszczoły. Niezwykłe istoty.

Przyjrzeni się dwóm pszczołom, które w gasnącym świetle słońca krzątały się przy kwitnącym krzewie. Pozostawiały za sobą wąskie smużki czarnego dymu.

– Latają wkoło jak małe rakiety – stwierdził nadrektor. – Zadziwiające.

– Wciąż mnie niepokoją te buty – dodał pierwszy prymus. – Można by pomyśleć, że właściciela coś z nich wyrwało.

– Człowieku, to malutka wysepka – zaczął tłumaczyć Ridcully. – Widzieliśmy tylko ptaki, parę takich piszczących stworów i mnóstwo owadów. Nie spotyka się wielkich i dzikich zwierząt na wyspie, którą praktycznie można kamieniem przerzucić. Musiał się poczuć... raczej swobodnie. Zresztą i tak jest za gorąco na buty.

– Więc dlaczego jeszcze go nie znaleźliśmy?

– Ha! Pewno się chowa! – zawołał dziekan. – Wstyd mu spojrzeć nam w oczy. Trzymanie takiej ładnej słonecznej wyspy w swoim gabinecie jest wbrew przepisom regulaminu uczelni.

– Naprawdę? – zdziwił się Myślak. – Nie widziałem o tym nawet wzmianki.

Od kiedy istnieje taki przepis?

– Odkąd musiałem spać w zamrożonej sypialni – odparł posępnie dziekan. – I niech mi pan poda puddingowe owoce, jeśli można.

– Uuk – powiedział bibliotekarz.

– Miło znów cię widzieć w zwykłym kształcie, przyjacielu – powiedział Ridcully. – Postaraj się utrzymać go na dłużej, co?

– Uuk.

Bibliotekarz siedział obok stosu owoców. Normalnie by nie kwestionował tak doskonałej pozycji, ale teraz nawet banany go niepokoiły. Odczuwał to samo niejasne wrażenie niepoprawności. Były tu długie i żółte, krótkie, grube i brązowe...

Popatrzył na resztki ryb. Była wśród nich taka duża i srebrna, gruba i czerwona, mała szara i jeszcze taka płaska, podobna trochę do flądry...

– Najwyraźniej wylądował tu jakiś czarodzieiciel i chciał, żeby wyspa była trochę wygodniejsza – mówił pierwszy prymus, ale jego głos dochodził jakby z wielkiej odległości. Bibliotekarz liczył.

Owoc z puddingiem śliwkowym, budyniowe pnącze, czekoladowy kokos... Odwrócił głowę i spojrzał na drzewa. Teraz, kiedy już wiedział, czego szuka, nigdzie nie mógł tego znaleźć.

Pierwszy prymus zamilkł nagle, gdy orangutan poderwał się i podbiegł do linii granicy przypływu na plaży. Magowie patrzyli bez słowa, jak brodzi w stosach muszli. Wrócił, niosąc je w dłoniach, po czym tryumfalnie rzucił na ziemię przed nadrektorem.

– Uuk.

– O co chodzi, kolego?

– Uuk!

– Tak, bardzo ładne, ale co...

– Uuk!!!

Bibliotekarz jakby sobie przypomniał, z jakim typem intelektu ma do czynienia. Wystawił palec i spojrzał badawczo na Ridcully'ego.

– Uuk?

– Wciąż nie całkiem...

W górę poszły dwa palce.

– Uuk uuk?

– Nie wiem, czy dobrze...

– Uuk uuk uuk!

Myślak Stibbons przyjrzał się trzem wystawionym teraz palcom.

– Myślę, że on liczy, nadrektorze.

Bibliotekarz dał mu banana.

– Ach, to ta stara gra „Ile palców widzisz” – domyślił się dziekan. – Ale tradycyjnie wszyscy powinniśmy o wiele więcej wypić...

Bibliotekarz skinął ręką na ryby, jedzenie, muszle, na rosnące za nimi drzewa. Jeden palec zdawał się kłuć niebo. – Uuk!

– Wszystko to jest dla ciebie jednym? – zgadywał Ridcully. – To jedno wielkie miejsce? Czujesz jedność z naturą?

Bibliotekarz otworzył usta, a potem kichnął.

Na piasku leżała bardzo duża czerwona muszla.

– O bogowie! – zawołał Myślak.

– To bardzo ciekawe – zgodził się kierownik studiów nieokreślonych. – Zmienił się w bardzo piękny egzemplarz wielkiej konchy. Można z nich uzyskać całkiem interesujący dźwięk, jeśli dmuchnąć w ostry koniec...

– Są ochotnicy? – mruknął dziekan, prawie niesłyszalnie.

– O bogowie! – powtórzył Myślak.

– Co się z panem dzieje? – spytał dziekan.

– Jest tylko jedno – wyjaśnił Myślak. – To właśnie próbował nam powiedzieć.

– Co jedno? – zdziwił się Ridcully.

– Wszystko jest jedno, nadrektorze. Wszystkiego jest tylko po jednym.

Była to, jak uznał później, dramatycznie całkiem niezła wypowiedź. Słuchacze powinni spoglądać po sobie nawzajem z narastającym i zalęknionym zrozumieniem, powtarzając przy tym: „Na demony! Wiecie, on ma rację!”. Ale to byli magowie – zdolni do myślenia bardzo

wielkich myśli w bardzo małych kawałkach.

– Nie bądź głupi, człowieku! – zaprotestował Ridcully. – Są tu przecież miliony tych nieszczęsnych muszli!

– Tak, nadrektorze, ale proszę się im przyjrzeć. Każda jest inna. I wszystkie drzewa, jakie odkryliśmy... jest po jednym każdego rodzaju. Wiele drzew bananowych, ale każde z nich daje inną odmianę bananów. Był tylko jeden krzew papierosowy, prawda?

– Dużo pszczół – zauważył Ridcully.

– Ale z jednego roju – odparł Myślak.

– Miliony chrząszczy – dodał dziekan.

– Nie wydaje mi się, żebym widział choć dwa podobne.

- Owszem, to bardzo ciekawe – przyznał Ridcully. – Ale nie rozumiem...
- Po jednym ze wszystkiego nie może działać, nadrektorze. Nie będzie się rozmnażać.
- Tak, ale przecież to tylko drzewa, Stibbons.
- Drzewa też potrzebują rodzaju męskiego i żeńskiego, nadrektorze.
- Naprawdę?
- Tak, nadrektorze. Czasami to różne fragmenty tego samego drzewa, nadrektorze.
- Co? Jest pan pewien?
- Tak, nadrektorze. Mój wujek hodował orzechy.
- Ale ciszej, ciszej, proszę! Pani Whitlow może usłyszeć!

Myślak zdumiał się wyraźnie.

- Co takiego, nadrektorze? Przecież... no... to pani Whitlow...
 - A co to ma wspólnego z uprzejmością?
 - To znaczy... Można chyba uznać, że istniał też pan Whitlow, nadrektorze.
- Twarz Ridcully'ego stężała na moment; tylko jego wargi się poruszały, gdy wypróbowywał rozmaite reakcje. Wreszcie zdecydował się na:
- To faktycznie możliwe, ale jak dla mnie brzmi dość nieładnie.
 - Obawiam się, że tak działa natura, nadrektorze.

– Lubilem czasem pospacerować sobie po lesie w jakiś piękny wiosenny poranek, Stibbons. Chce mi pan powiedzieć, że te drzewa przez cały czas... tak na ostro?

W tym miejscu wiedza sadownicza Myślaka okazała się niemal wyczerpana. Próbował sobie jak najwięcej przypomnieć o wujku, który większą część życia spędzał na drabinie.

– Ja, tego... Wydaje mi się, że czasem przydatne są pędzelki z wielbłądziej sierści... – zaczął, ale mina Ridcully'ego zdradziła mu, że nie jest to fakt mile widziany. Brnął więc dalej. – W każdym razie, proszę pana, jedyne nie działają. I jeszcze jedna sprawa, nadrektorze. Kto pali papierosy? Znaczą, jeśli krzak liczy na to, że niedopałki będą rozrzucone po okolicy, to myśli, że kto będzie palił?

– Co?

Myślak westchnął.

– Sensem owoców jest to, nadrektorze, że służą jako rodzaj przynęty. Ptak zjada owoc, a potem, no... zrzuca gdzieś nasienie. W ten sposób roślina się rozprzestrzenia. Ale na tej wyspie prócz roślin widzieliśmy tylko ptaki i parę jaszczurek, więc jak niby...

– Rozumiem, o co panu chodzi – zapewnił Ridcully. – Zastanawia się pan, jaki ptak, jaszczurka czy roślina przystanie na chwilę, żeby sobie zapalić...

– Cebula dymka – odpowiedział kwestor.

– Miło widzieć, że wciąż jest pan z nami, kwestorze – rzucił Ridcully, nie oglądając się nawet.

– Rośliny nie palą, nadrektorze. Ani ptaki, ani jaszczurki. Trzeba więc zadać pytanie, co krzak z tego ma. Gdyby żyli tu ludzie, owszem, pewnie w końcu mogłyby się pojawić jakieś nikotynowe rośliny, bo ci ludzie paliliby papierosy... To znaczą... – poprawił, gdyż szczycił się zdolnością logicznego myślenia – ...te rzeczy, które wyglądają jak papierosy. Gasiliby je wszędzie dookoła i przy okazji rozrzucałby nasiona ukryte w filtrach. Niektóre z nasion wymagają gorąca do zakiełkowania. Ale bez ludzi ten krzak nie ma żadnego sensu.

– My jesteśmy ludźmi – zauważył dziekan. – A ja lubię sobie zapalić po

kolacji. Wszyscy o tym wiedzą.

– Tak, ale z całym szacunkiem, jesteśmy tu dopiero od kilku godzin i wątpię, czy wiadomość o tym rozeszła się już po całej wyspie – tłumaczył cierpliwie Myślak, jak się okazało, ze stuprocentową niedokładnością. – To chyba za mało, żeby cokolwiek zdążyło wyewoluować.

– Chce pan mi wmówić... – rzekł Ridcully z miną człowieka, którego niepokoi jakaś myśl – ...że kiedy pan je jabłko, to pańskim zdaniem pomaga pan w... – Urwał. – Już z drzewami mi się to nie podobało. – Prychnął niechętnie. – Lepiej zostanę przy rybach. One przynajmniej same załatwiają takie rzeczy. W przyzwoitej odległości. Poza tym wie pan, co myślę o ewolucji, panie Stibbons. Jeśli już zachodzi, a szczerze mówiąc, zawsze uważałem to raczej za bajkę, to musi zachodzić szybko. Spójrzmy na lemingi...

– Lemingi?

– Właśnie. Te małe łobuzy cały czas skaczą z urwisk, prawda? A ile ich po drodze na dół zmieniło się w ptaki? Co?

– No, żaden oczywi...

– I o to mi chodzi! – zawołał tryumfalnie Ridcully. – I nic nikomu z tego nie przyjdzie, że któryś z nich poleci w dół, myśląc: „Zaraz, a może by pomachać trochę pazurkami?”. Nie, moim zdaniem powinny całkiem poważnie wziąć się za wypuszczanie porządných skrzydeł.

– Niby jak? W te kilka sekund, kiedy spadają na skały?

– Najlepszy moment.

– Ale lemingi nie zmieniają się tak po prostu w ptaki, nadrektorze.

– Miałyby szczęście, gdyby to potrafiły, prawda?

Nagle w oddali, w niewielkiej dżungli zagrzemiał ryk. Brzmiał jak dźwięk rogu mgłowego.

– Widziałem chyba jakieś krewetki – odezwał się nerwowo pierwszy prymus.

– Nie, nadrektor miał rację, wyspa jest o wiele za mała – odparł Myślak, starając się przestać myśleć o latających lemingach. – Nie przetrwałoby tu nic, co mogłoby nam zrobić krzywdę. Co by jadło?

Teraz wszyscy usłyszeli, jak coś przedziera się przez zarośla.

– Nas? – zasugerował dziekan z wahaniem.

Stwór wytoczył się na plażę skąpaną w promieniach zachodzącego słońca. Był wielki i wydawało się, że składa się z samej głowy – ogromnej gadziej głowy, która wyglądała na prawie równie dużą jak cielsko pod nią. Szedł na dwóch tylnych łapach. Miał też ogon, lecz wobec wielkości zębów widocznych na jego drugim końcu, magowie nie mieli ochoty na obserwację pozostałych szczegółów.

Stwór wciągnął w nozdrza powietrze i znowu zaryczał.

– Aha – stwierdził Ridcully. – Podejrzewam, że oto mamy rozwiązanie tajemnicy znikającego geografa. Brawo, pierwszy prymusie.

– Chyba lepiej... – zaczął dziekan.

– Proszę się nie ruszać! – szepnął Myślak. – Wiele gadów nie widzi niczego, co jest nieruchome.

– Zapewniam, że przy prędkości, jaką planuję, nic mnie nie zobaczy...

Potwór pokręcił głową w obie strony, po czym ruszył przed siebie.

– Nie widzi niczego, co jest nieruchome? – upewnił się Ridcully. – Chce pan powiedzieć, że musimy tylko poczekać, aż wpadnie na drzewo?

– Pani Whitlow ciągle tam siedzi! – zawołał pierwszy prymus.

W tej chwili pani Whitlow bardzo dystyngowanie rozsmarowywała na krakersie kawałek sera.

– Nie wydaje mi się, żeby go zauważyła.

Ridcully podwinął rękaw.

– Sądzę, panowie, że salwa kul ognistych...

– Chwileczkę! – zaprotestował Myślak. – To może być zagrożony gatunek!

– Podobnie jak pani Whitlow.

– Ale czy mamy prawo wybić to...

– Absolutnie – zapewnił Ridcully. – Gdyby stwórca chciał, żeby on przeżył, dałby mu ognioodporną skórę. Ma pan tu swoją ewolucję, panie Stibbons.

– Ale może powinniśmy go zbadać...?

Stwór się rozpędzał. Zadziwiające, jak szybko mógł się poruszać, jeśli wziąć pod uwagę jego rozmiary.

– Eee... – zaczął Myślak nerwowo.

Ridcully uniósł rękę.

Stwór zatrzymał się nagle i rozpląszczył – niczym piłka, którą ktoś przydepnął. I rzeczywiście, kiedy gwałtownie odzyskał dawny kształt, uczynił to z dźwiękiem, jaki powstaje, gdy ktoś niewprawy skręca tylne nogi balonowego zwierzaka. O ile w ogóle miał jakiś wyraz pyska, to raczej zaskoczenia niż szoku. Wokół niego zabłyśły iskry wyładowań. Znowu się spłaszczył, zwinął w rulonik, skręcił w całą serię interesujących, ale prawdopodobnie bolesnych kształtów, zmalał w kulę rozmiaru grejpfruta, po czym – z ostatnim, raczej smutnym odgłosem, który można by zapisać jako „parp” – upadł na piasek.

– Rzeczywiście niezłe – przyznał Ridcully. – Który z was to zrobił, panowie?

Magowie spojrzeli po sobie nawzajem.

– To nie my – oświadczył dziekan. – Planowaliśmy kule ogniste i tyle.

Ridcully szturchnął Myślaka.

– No proszę – rzucił. – Niech go pan bada.

– Eee... – Myślak spojrział na oszołomione zwierzę. – Ten, no... obiekt, jak się wydaje, zmienił się w dużego kurczaka.

– Brawo, dobra robota – pochwalił go Ridcully, jakby chciał zamknąć dyskusję. – W tej sytuacji szkoda marnować dobrą kulę ognistą.

Cisnął nią.

To była droga.

A w każdym razie był to długi i płaski kawałek pustyni z koleinami. Rincewind patrzył na niego i myślał.

Droga. Drogi dokądś prowadzą. Wcześniej czy później prowadzą wszędzie. A kiedy człowiek już tam dotrze, zwykle znajduje mury, budynki, porty... statki. A przy okazji – nie ma tam gadających kangurów. Praktycznie biorąc, to jedna z charakterystycznych cech cywilizacji.

Nie chodzi o to, że miał coś przeciw ratowaniu świata, czy też tego jego podzbioru, który najwyraźniej ratunku wymagał. Czuł jednak, że świat nie musi być ratowany akurat przez niego.

W którą stronę pójść? Wybrał przypadkowy kierunek i biegł przez chwilę, gdy wschodziło słońce.

Po chwili na tle świtu wykwitła chmura kurzu. Zbliżała się. Rincewind pełen nadziei stanął obok traktu.

W końcu na odwróconym wierzchołku chmury pojawił się powóz ciągnięty przez zaprzęg ośmiu koni. Konie były czarne. Powóz też. I nie wyglądał, jakby miał zamiar zwolnić.

Gdy konie go mijały, Rincewind pomachał w powietrzu kapeluszem.

Po chwili kurz opadł. Rincewind podniósł się i ruszył chwiejnie przez krzaki,

aż dotarł do powozu w miejscu, gdzie się zatrzymał. Konie przyglądały mu się czujnie.

Nie był to tak duży powóz, żeby musiało go ciągnąć osiem koni – jednak i zwierzęta, i powóz pokrywało tyle drewna, skóry i metalu, że raczej nie dysponowały rezerwą energii. Kolce i ćwieki pokrywały wszystkie powierzchnie.

Lejce prowadziły nie do typowego kozła, ale do otworów w przedniej ścianie powozu. Ta była wzmocniona dodatkowym drewnem i żelastwem – można było rozpoznać stare fajerki, wyklepane fragmenty zbroi, pokrywki od garnków, a także rozdeptane na płasko i przybite puszeki.

Nad szczeliną, w której znikwały lejce, przez dach powozu wystawało coś podobnego do wygiętej rury piecyka. Wydawało się, że patrzy czujnie.

– Ehm... dzień dobry – odezwał się Rincewind. – Przepraszam, że spłoszyłem konie...

Wobec braku odpowiedzi wspiął się na opancerzone koło i zajrzał na dach. Była tam okrągła pokrywa, w tej chwili otwarta.

Rincewind nawet nie pomyślał, żeby zajrzeć do środka. To by oznaczało, że jego głowa będzie wyraźnie obrysowana na tle nieba – pewny sposób, by zaraz potem jego ciało było obrysowane na ziemi.

Za nim trzasnęła gałązka.

Westchnął i zszedł powoli, bardzo uważając, żeby się nie odwrócić.

– Poddaję się całkowicie – zapewnił, podnosząc ręce.

– I słusznie – odparł spokojny głos. – To jest kusza, koleś. A teraz popatrzmy na twoją paskudną gębę.

Rincewind odwrócił się. Za nim nie było nikogo.

Potem spojrzał w dół.

Kusza była niemal pionowa. Gdyby wystrzeliła, bełt wbiłby mu się w dziurkę nosa.

– Krasnolud? – zdziwił się.

– Masz coś przeciwko krasnoludom?

– Ja? Skąd. Kilku moich najlepszych przyjaciół byłoby krasnoludami. Gdybym miał przyjaciół, znaczy. Ehm... Jestem Rincewind.

– Tak? A ja jestem nerwowym – oświadczył krasnolud. – Ludzie zwykle nazywają mnie Mad.

– Po prostu „Mad”? Dziwne imię.

– To nie jest imię.

Rincewind nie miał wątpliwości, że jego rozmówca jest krasnoludem. Brakowało mu tradycyjnej brody i żelaznego hełmu, ale były inne drobne charakterystyczne szczegóły. Na przykład podbródek, którym można by łupać orzechy kokosowe, zastygły na twarzy wyraz

srogości oraz kulisty kształt głowy, sugerujący, że jej właściciel może przechodzić przez mury twarzą naprzód. Oraz, oczywiście – gdyby wszystko inne nie pozwalało na rozpoznanie – fakt, że czubek tej głowy znajdował się na poziomie żołądka Rincewinda, także stanowił bardzo wyraźną wskazówkę. Mad nosił skórzany kombinezon, ale – podobnie jak powóz – nabijany metalem wszędzie, gdzie się dało. A w miejscach wolnych od ćwieków nosił broń.

Słowo „przyjaciół” wyskoczyło na płaty czołowe mózgu Rincewinda. Istnieje wiele powodów, by się z kimś zaprzyjaźnić. Fakt, że ów ktoś trzyma wymierzoną w ciebie śmiertelnoścą broń, według Rincewinda zaliczał się do pierwszej czwórki.

– Dobrze określenie – przyznał. – Łatwe do zapamiętania.

Krasnolud pochylił głowę na bok i nasłuchiwał przez chwilę.

– Szlag, doganiają mnie. – Przyjrzał się Rincewindowi. – Umiesz strzelać z kuszy?

Jego ton sugerował wyraźnie, że odpowiedź „nie” to dobry sposób nabawienia się problemów z zatokami.

– Oczywiście – zapewnił Rincewind.

– No to wskakuj do wozu. Wiesz, od lat jeżdżę tą drogą i po raz pierwszy jakiś wozostopowicz ośmielił się mnie zatrzymać.

– Zadziwiające...

Pod klapą wjazdu nie było zbyt wiele miejsca, a większość zajmowały kolejne elementy uzbrojenia. Mad odepchnął Rincewinda na bok, chwycił lejce, wyjrzał przez peryskopową rurę i popędził konie.

Krzaki drapały koła, gdy konie wciągały powóz z powrotem na trakt. Potem zaczęli nabierać prędkości.

– Ślicznotki, nie? – spytał Mad. – Potrafią prześcignąć wszystko, nawet z pancerzem.

– Z pewnością to bardzo... oryginalny powóz – zgodził się Rincewind.

– Wprowadziłem kilka modyfikacji – pochwalił się Mad. Uśmiechnął się złośliwie. – Jesteś magiem, szefuniu?

– Ogólnie mówiąc, tak.

– Dobrym? – Mad ładował następną kuszę.

Rincewind zawahał się, ale odpowiedział szczerze:

– Nie.

– To masz szczęście. Bym cię zabił, jakbyś był. Nie znoszę magów. Banda fanatyków, nie?

Złapał uchwyty wygiętej rury i odwrócił ją do tyłu.

– No i są – mruknął.

Rincewind spojrzał nad czubkiem jego głowy. W wygięciu rury tkwił kawałek lustra. Ukazywał drogę za nimi i pół tuzina kropek pod kolejną chmurą czerwonego kurzu.

– Gang drogowy – wyjaśnił Mad. – Polują na mój ładunek. Wszystko by ukradli. Każdy drań

jest draniem, ale niektórzy dranie to naprawdę dranie. – Wyciągnął spod siedzenia kilka worków z obrokiem. – No dobra. Wyłaź na górę z dwoma kuszami, a ja zamontuję dopalacze.

– Co? Chcesz, żebym strzelał do ludzi?

– A chcesz, żebym to ja strzelał do ludzi? – zapytał Mad, wypychając go na drabinę.

Rincewind wyczołgał się na dach. Wiatr próbował zwiać mu szatę na głowę. Powóz kołysał się i podskakiwał, czerwony pył dusił w gardle.

Rincewind nienawidził broni, i to nie tylko dlatego, że tak często bywała w niego wymierzona. Jeśli człowiek ma broń, wpada w ogromne kłopoty. Inni strzelają do niego natychmiast, jeśli tylko uznają, że on może strzelić do nich. Jeśli jest nieuzbrojony, często wstrzymują się, żeby porozmawiać. Owszem, mają skłonność do wypowiedzania zdań typu: „Nigdy nie zgadniesz, koleś, co z tobą zrobimy”, ale to zajmuje czas. A Rincewind wiele potrafił dokonać w ciągu kilku sekund. Mógł je wykorzystać, żeby jeszcze chwilę pożyć.

Kropki w oddali były powozami, zaprojektowanymi raczej do prędkości niż do przewożenia towarów. Niektóre miały cztery koła, inne tylko dwa. Jeden miał... tylko jedno, wielkie, ustawione pomiędzy wąskimi tyczkami, z maleńkim siodełkiem na szczycie. Jeździec wyglądał, jakby swoje ubranie zbierał na wysypiskach złomu trzech kontynentów, a tam, gdzie nie pasowało, przywiązywał kurczaka.

Ale nie tak wielkiego, jak kurczak ciągnący jego pojazd. Był większy od Rincewinda, a przeważająca część tego, co nie było szyją, była nogami. Pokonywał odległość w tempie konia.

– Co to jest, u demona? – wrzasnął Rincewind.

– Emu! – krzyknął Mad, wiszący teraz u upręży. – Spróbuj go ustrzelić, to niezłe żarcie!

Powóz podskoczył i kapelusz Rincewinda sfrunął na ziemię.

– Teraz jeszcze zgubiłem kapelusz!

– I dobrze! Wściekle paskudny kapelusz!

Strzała brzęknęła o metalową płytę obok stopy Rincewinda.

– Strzelają do mnie!

Na którymś z powozów człowiek obok woźnicy zakreślił czymś nad głową. Kotwiczka wbiła się w drewno obok drugiej stopy Rincewinda i wyrwała metalową płytkę.

– I jeszcze... – zaczął.

– Masz kuszę, nie?! – ryknął Mad, balansując na grzbiecie jednego z koni. – Znajdź coś, żeby się złapać, bo lada chwila zastartują...

Konie pędziły już galopem, ale nagle skoczyły naprzód, niemal strącając Rincewinda z dachu. Dym uniósł się z osi. Krajobraz się rozmył.

– Co to jest, u demona?

– Dopalacze! – zawołał Mad, przeciągając się do powozu ledwie kilka cali od pędzących kopyt. – Tajny przepis! A teraz blokuj ich, bo ktoś musi kierować!

Emu wynurzył się z kurzu, za nim dudniło kilka najszybszych powozów. Strzała wbiła się w drewno dokładnie między nogami Rincewinda, który rzucił się na płask na rozkołysanym dachu, wysunął kuszę, zamknął oczy i

wystrzelił.

Zgodnie z odwieczną praktyką narracyjną strzała zrykoszetowała na którymś hełmie i spory kawałek dalej trafiła niewinnego ptaka, którego jedyną rolą było wyzioniecie ducha z odpowiednio zabawnym piskiem.

Człowiek powożący emu podjechał bliżej. Spod znajomego kapelusza z ledwie widocznym w brudzie napisem „Maggus” rzucił Rincewindowi szeroki uśmiech. Wszystkie zęby miał zaostrome, a na czterech przednich wygrawerowany napis „Mama”.

– Dzień dobry! – zawołał uprzejmie. – Oddajcie swój ładunek, a obiecuję, że nie zabijemy was wszystkich naraz.

– To mój kapelusz! Oddaj mój kapelusz!

– Jesteś magiem, co? – Mężczyzna stanął w siodełku, z łatwością utrzymując równowagę, choć wielkie koło podskakiwało na piasku. Zamachał rękami nad głową. – Patrzcie na mnie, chłopaki! Jestem piekielnym magiem! Magia, magia, magia!

Bardzo ciężka strzała, ciągnąca za sobą linę, trafiła w tylną ścianę powozu i wbiła się mocno. Goniący wrzasnęli z radości.

– Oddaj mi zaraz kapelusz, bo będą kłopoty!

– Kłopoty i tak będą – odparł człowiek powożący emu, mierząc z kuszy. – Ale wiesz co? Może byś mnie zmienił w coś paskudnego? Och, strasznie się...

Twarz mu pozieleniała. Upadł do tyłu. Beł z kuszy trafił woźnicę pędzącego obok powozu; powóz ten skręcił gwałtownie, przecinając drogę innemu, który próbował go wyminąć i zderzył się z wielbłądem. To oznaczało, że przed jadącymi z tyłu wyrósł nagle wielki stos wraków, który – wobec powszechnego braku hamulców – natychmiast zaczął rosnać. W dodatku jego część kopała ludzi.

Oślaniając głowę rękami, Rincewind czekał, aż odtoczy się ostatnie koło.

Potem ruszył wzdłuż rozkołysanego powozu do miejsca, gdzie Mad pochylał się nad lejcami.

– Ehm... Myślę, że może pan już zwolnić, panie Mad – oznajmił.

– Tak? A co, pozabijałeś wszystkich?

– E nie... Nie wszystkich. Niektórzy zwyczajnie uciekli.

– W konia mnie robisz? – Krasnolud obejrzał się do tyłu. – A niech mnie, wcale nie! Tutaj, ciągnij tę dźwignię jak najmocniej!

Wskazał długi metalowy pręt obok Rincewinda, który szarpnął za niego posłusznie. Zgrzytnął metal, gdy hamulce ścisnęły koła.

– Dlaczego one tak szybko biegną?

– Są na mieszaninie owsa i jader jaszczurek! – wyjaśnił Mad, przekrzykując zgrzyty

rozgrzanych do czerwoności hamulców. – To daje im ostry dopał!

Powóz musiał krążyć przez kilka minut, aż koniom opadł poziom adrenaliny. Dopiero wtedy zawrócili traktem, żeby zbadać stos rozbitych powozów gangu.

Mad zaklął.

– Co się tu działo?

– Nie powinien mi kraść kapelusza – wymamrotał Rincewind.

Krasnolud zeskoczył na ziemię i kopnął złamane koło.

– Tak załatwiasz ludzi, jeśli ci ukradną kapelusz? A co robisz, jeśli ci naplują w oko? Rozwalasz całą okolicę?

– To mój kapelusz! – burknął ponuro Rincewind.

Nie był pewien, co się właściwie stało. Nie radził sobie z magią, to wiedział na pewno. Jedyne jego klątwy, które miały niewielką choćby szansę spełnienia, brzmiały mniej więcej: „Oby deszcz spadł na ciebie w pewnym momencie twojego życia” albo „Obyś zgubił jakiś niewielki przedmiot, mimo że odłożyłeś go tutaj przed chwilą”. Ale żeby ktoś się zrobił bladozielony... a tak, i jeszcze w takie żółtawe plamy... To nie był typowy efekt.

Mad rozglądał się czujnie pośród szczątków. Podniósł kilka sztuk broni i odrzucił je na bok.

– Chcesz wielbłąda? – zapytał.

Zwierzak stał w pewnej odległości od nich i zerkał na krasnoluda podejrzliwie. Zdawało się, że wyszedł z zamieszania bez uszczerbku, choć spowodował bardzo znaczne uszczerbki u innych.

– Wolałbym raczej wsadzić nogę do krajalnicy bekonu – odparł stanowczo Rincewind.

– Na pewno? Jak chcesz. Przywiąż go do wozu, sprzedam go za niezłą cenę w Czyżeśpiwoszynióskol – stwierdził Mad.

Obejrzał domowej roboty samopowtarzalną kuszę i też ją odrzucił. Potem sprawdził następny rozbity powóz i wyraźnie się rozpromienił.

– No, teraz to gotujemy na węglu! – zawołał. – To nasz szczęśliwy dzień, koleś.

– Och. Worek siana – stwierdził uprzejmie Rincewind.

– Pomóż go przenieść, co?

Mad otworzył rygle w tyle swojego powozu.

– Co jest takiego wyjątkowego w sianie?

Kłapa opadła. Powóz był pełen siana.

– Tutaj to życie albo śmierć, koleś. Są tacy, co dla beli siana by cię rozpruli stąd aż do śniadania. Człowiek bez siana to człowiek bez konia, a tutaj człowiek bez konia to zwłoki.

– Przepraszam... Przeszedłem przez to wszystko dla kopy siana?

Mad konspiracyjnie poruszył brwiami.

– I dwóch worków owsa w ukrytej komorze, koleś. – Klepnął Rincewinda w plecy. –

I pomyśleć, wziąłem cię za jakiegoś podstępного drongo, co to go lepiej wywalić za burtę! A tu się okazuje, że jesteś zwariowany jak ja!

Są takie chwile, kiedy nie opłaca się deklarować własnego zdrowia psychicznego, i Rincewind zrozumiał, że musiałby zwariować, by uczynić to teraz. Zresztą potrafił rozmawiać z kangurami i znajdować na pustyni bułeczki z kurczakiem w ostrym sosie. Czasami po prostu trzeba spojrzeć w twarz roztrzęsionym faktom.

– Defekt mózgu – zapewnił z czymś, co, miał nadzieję, było rozbijającą skromnością.

– Zuch ziomal. Dobra, ładujemy ich broń i żarcie, i ruszamy.

– A po co nam ich broń?

– Dostanę dobrą cenę.

– Co z ciałami?

– Nic. Są bez wartości.

Gdy Mad przybijał zebrane kawałki złomu do ścian powozu, Rincewind zbliżył się czujnie do zielono-żółtego trupa... i jeszcze, tak, z dużymi czarnymi plamami... Kijem ostrożnie uniósł z jego głowy swój kapelusz.

Niewielka ośmionożna kula wściekłego czarnego futra wyskoczyła spod spodu i wbiła kły w patyk, który zaczął dymić. Rincewind odłożył go bardzo

delikatnie, chwycił kapelusz i uciekł.

Myślak westchnął.

– Nie próbowałem kwestionować pańskiego autorytetu, nadrektorze – zapewnił. – Po prostu wydaje mi się, że kiedy olbrzymi potwór na naszych oczach ewoluuje w kurczaka, zjedzenie tego kurczaka nie jest rozsądne. Nadrektor oblizał palce.

– A co by pan zrobił? – zapytał.

– No... zbadałbym go.

– Tak też uczyniliśmy. Badanie post mortem – zauważył dziekan.

– Bardzo dokładne – dodał z zadowoleniem kierownik studiów nieokreślonych. – Bardzo przepraszam, pani Whitlow... Ma pani ochotę na jeszcze kawałek pi... – Dostrzegł lodowaty wzrok Ridcully'ego i ciągnął dalej: – ...przedniej części kurczaka?

– I odkryliśmy, że nie będzie już zagrażał odwiedzającym tę wyspę magom – stwierdził Ridcully.

– Tylko nie wydaje mi się, że właściwe badania powinny obejmować coś więcej niż rozglądanie się, czy nie rośnie gdzieś krzew szaławii z cebulką – upierał się Myślak. – Widzieliście przecież, jak szybko się zmienił, prawda?

– I co? – spytał dziekan.

– To nie może być naturalne.

– To pan przecież twierdzi, że rzeczy naturalnie zmieniają się w inne rzeczy, panie Stibbons.

– Ale nie tak szybko!

– A widział pan kiedyś, jak dzieje się ta cała ewolucja?

– No nie, oczywiście, że nie, nikt przecież...

– No to sam pan widzi – rzekł Ridcully tonem zamykającym dyskusję. – To może być normalne tempo. Przecież zmienianie się w ptaka po kawałku nie ma sensu, prawda? Tutaj piórko, tam dziób... Po świecie kręciłoby się wtedy sporo głupio wyglądających stworzeń, mam rację? – Inni magowie roześmiali się. – Nasz potwór pomyślał zapewne: Oj, jest ich za dużo, może lepiej zmienię się w coś, co lubią.

– Jeść – dokończył dziekan.

– Całkiem rozsądna strategia przetrwania. Do pewnych granic.

Myślak przewrócił oczami. Takie rzeczy zawsze dobrze brzmiały, kiedy opracowywał je we własnej głowie. Czytał stare księgi, potem siedział i myślał przez całe wieki, aż niewielka teoria układała mu się w umyśle niczym rząderek małych błyszczących klocków. A potem, kiedy ją wygłaszał, odbijała się od grona wykładowczego i jeden z nich... jeden z nich... zawsze zadawał jakieś potwornie głupie pytanie, na które w danej chwili nie potrafił odpowiedzieć. Jak można w ogóle dokonywać postępu wobec takich umysłów? Gdyby jakiś bóg gdzieś powiedział: „Niech się stanie światło”, oni by zapytali: „A po co? Ciemność zawsze nam wystarczała”.

Starzy ludzie, na tym polega problem. Myślak nie był do końca entuzjastą dawnych tradycji, ponieważ miał już dobrze po dwudziestce i zajmował umiarkowane ważne stanowisko, a zatem dla pewnych uniwersyteckich młokosów stanowił cel. A raczej stanowiłby, gdyby nie to uczucie, że po całej nocy majstrowania przy HEX-ie mają oczy ugotowane na miękko.

Zresztą nie interesował go awans. Byłby szczęśliwy, gdyby tamci słuchali go przez pięć minut, zamiast mówić: „Niezły pomysł, panie Stibbons, ale już raz tego próbowaliśmy i nie działa” albo „Prawdopodobnie nie mamy funduszy”, albo, co najgorsze, „Nie ma już dzisiaj porządných wstaw-odpowiednie-rzeczowniki... Pamiętacie starego «przezwisko» jakiś-pradawny-mag-który-umarł-pięćdziesiąt-lat-temu-i-którego-Myślak-nie-miał-prawa-pamiętać? To był gość, który znał swoje wstaw-odpowiednie-rzeczowniki”.

Myślak odnosił wrażenie, że nad nim jest wiele stanowisk zwolnionych przez umarłych. Ale stali przy nich żywi i bronili się ostro.

Nigdy nie zadali sobie trudu, żeby się czegoś nauczyć, nigdy nie próbowali niczego zapamiętać, oprócz tego, że dawniej wszystko było lepsze. Kłócili się jak banda dzieciaków, a jedyny wśród nich, który w ogóle mówił czasem coś sensownego, mówił to po orangutańsku.

Ze złością dźgał ogień patykiem.

Magowie zbudowali dla pani Whitlow przyzwoitą, choć prymitywną chatę z gałęzi i wielkich splecionych liści. Gospodyni życzyła im dobrej nocy i skromnie zasłoniła za sobą wejście kilkoma liśćmi.

– Bardzo przyzwoita dama, ta pani Whitlow – uznał Ridcully. – Ja też się prześpię.

Wokół ogniska unosiły się już pojedyncze sekwencje chrapnięć.

– Myślę, że ktoś powinien stanąć na straży – rzekł Myślak.

– Zuch chłopak – pochwalił go Ridcully i przewrócił się na drugi bok.

Myślak zgrzytnął zębami, po czym zwrócił się do bibliotekarza, który chwilowo powrócił do krainy dwunogów i siedział smętnie, owinięty w koc.

– Przynajmniej dla ciebie to taki dom z dala od domu, co? – zapytał.

Bibliotekarz pokręcił głową.

– A może ciebie zainteresuje, co jeszcze jest tutaj dziwne?

– Uuk?

– Drewno wyrzucane przez fale. Nikt mnie nie słucha, ale to ważne. Mnóstwo tego nazbieraliśmy na ognisko, i wszystko to było naturalne drewno. Zauważyłeś? Żadnych połamanych desek, żadnych starych skrzyń, żadnych podartych sandałów. Tylko... zwykłe drewno.

– Uuk?

– To znaczy, że jesteśmy bardzo daleko od tras żeg... Oj, nie... nie...

Bibliotekarz desperacko marszczył nos.

– Szybko! Skup się na posiadaniu rąk i nóg! To znaczy żywych!

Bibliotekarz żałośnie skinął głową i kichnął.

– Aik? – powiedział, kiedy jego kształt znów się ustabilizował.

– No... – stwierdził smutnie Myślak. – Przynajmniej jesteś ożywiony. Może trochę za duży jak na pingwina. Myślę, że to strategia przetrwania stosowana przez twoje ciało. Próbuje znaleźć stabilną formę, która funkcjonuje.

– Aik?

– Zabawne, że nic nie możesz zrobić z tą rudą sierścią...

Bibliotekarz rzucił mu niechętnie spojrzenie, odszedł kawałek plażą i padł bezwładnie.

Myślak rozejrzał się wokół ogniska. Wyglądało na to, że on stoi na straży, choćby dlatego, że nikt inny nie zamierzał się tym zająć. No tak, prawdziwa niespodzianka...

Jakieś ptaki ćwierkały wśród gałęzi. Morze fosforyzowało słabo. Na niebie rozbłyskiwały gwiazdy.

Popatrzył na gwiazdy. Na gwiazdach przynajmniej można polegać...

I nagle zobaczył, co jeszcze się nie zgadza.

– Nadrektorze!

No więc od jak dawna jesteś szalony? Nie, to nie jest dobry początek... Nie tak łatwo wymyślić, jak zacząć rozmowę. – No więc... Nie spodziewałem się, że spotkam tu krasnoludów –

powiedział Rincewind.

– Och, rodzinę przywiało tu z Nictofiordu, kiedy byłem dzieciakiem –

wyjaśnił Mad. – Chcieliśmy przepłynąć tylko kawałek wzdłuż brzegu, rozpętał się sztorm, a potem ani się obejrzeliśmy, a byliśmy rozbitkami i po kolana w papugach. Moim zdaniem to najlepsze, co mogło nam się trafić. Tam kiblowałbym w jakiejś zimnej kopalni i odbijał ze ściany kawałki skały, ale tutaj krasnolud może z dumą wysoko nosić głowę.

– Rzeczywiście – zgodził się Rincewind z twarzą starannie obojętną.

– Ale nie za wysoko, do demona! – ciągnął Mad.

– Na pewno nie.

– No to żeśmy się osiedlili. A potem tato założył sieć piekarni w Rospyepsh.

– Chleb krasnoludów? – domyślił się Rincewind.

– Jasna sprawa! On ocalił nam życie na tysiącach mil rojącego się od rekinów oceanu – odparł Mad. – Gdybyśmy nie mieli ze sobą worka chleba krasnoludów...

– ...nie mielibyście czym tłuc rekinów na śmierć?

– Widzę, że z ciebie ziom, który zna się na chlebie.

– Duże jest to Rospyepsh? Jest tam port?

– Ludzie mówią, że tak. Nigdy tam nie wróciłem. Lubię życie na trasie.

Grunt zadygotał. Drzewa obok traktu zakołysały się, choć nie było wiatru.

– Chyba idzie burza – stwierdził Rincewind.

– Co to za jedna?

– No wiesz... Deszcz.

– Nie, na rządęk płomiennych krów, chyba nie wierzysz w te bzdury, co? Mój dziadek zawsze takie rzeczy opowiadał, kiedy nachlał się piwa. To tylko stara bajka. Woda spadająca z nieba? Bądźże rozsądny!

– Tutaj nigdy nie spada?

– Pewno że nie.

– Ale coś takiego zdarza się całkiem często tam, skąd przybywam – zapewnił Rincewind.

– Tak? A niby skąd ona się bierze na niebie, co? Woda jest ciężka.

– No wiesz, ona... ona... Myślę, że słońce ją wsysa.

– Jak?

– Nie wiem. Po prostu tak jest.

– A potem spada z nieba?

– Tak.

– Za darmo?

– Czy ty nigdy nie widziałeś deszczu?

– Słuchaj no, wszyscy przecież wiedzą, że cała woda jest głęboko pod ziemią. To ma sens.

Woda to ciężki towar. Cieknie do dołu, koleś. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby latała w powietrzu.

– No ale skąd się w ogóle wzięła pod ziemią?

Mad zdumiał się wyraźnie.

– A skąd wzięły się góry na ziemi? – zapytał.

– Co? One po prostu są.

– Aha, czyli nie spadły sobie z nieba?

- Pewnie że nie. Są o wiele cięższe od powietrza!
- A woda nie jest? Mam parę beczek pod wozem i porządnie się spocisz, kiedy zechcesz je podnieść.
- Czy nie ma tu żadnych rzek?
- No jasne, że są rzeki! W tym kraju jest wszystko, koleś!
- No to jak myślisz, skąd się bierze w nich woda?

Mad wyglądał na szczerze zaskoczonego.

- A po co mielibyśmy trzymać wodę w rzekach? Co by tam robiła?
- Płynęła do morza...
- Piekierne marnotrawstwo. I pozwalacie na to tam, skąd przybyłeś, tak?
- Na to się nie pozwala, to... się dzieje... To właśnie robią rzeki...

Mad długo i surowo przyglądał się Rincewindowi.

- Jasne. I to o mnie mówią, że jestem wariat...

Rincewind zrezygnował. Na niebie nie było ani chmurki. Ale ziemia znowu się zatrzęsała.

Nadrektor Ridcully patrzył na niebo gniewnie, jakby zachowywało się tak wyłącznie po to, żeby jego osobiście zirytować.

- Jak to? Ani jednej? – zapytał.
- Ani jednej znajomej konstelacji – potwierdził rozgorączkowany kierownik studiów nieokreślonych. – Naliczyliśmy tysiąc sto dziewięćdziesiąt jeden takich, które można by nazwać Trójkątem, ale dziekan uważa, że nie wszystkie się liczą, bo wykorzystują te same gwiazdy...
- Nie ma ani jednej gwiazdy, którą bym poznawał – oświadczył pierwszy

prymus.

Ridcully zamachał rękami.

– Przecież one cały czas się trochę zmieniają – powiedział. – Żółw płynie w przestrzeni i...

– Ale nie tak szybko – stwierdził dziekan.

Konstelacje Dysku zmieniały się dość często, gdy świat przesuwał się w pustce. To oznaczało, że astrologia jest nauką z pierwszej linii badań, a nie, jak gdzie indziej, chytrym sposobem unikania normalnej pracy. To zadziwiające, jak ludzkie cechy charakteru i ludzkie sprawy mogą być tak pewnie i regularnie kierowane przez zbiór wielkich kul plazmy, z których większość nigdy nawet nie słyszała o ludzkości.

– Jesteśmy rozbitkami na jakimś innym świecie! – jęknął pierwszy prymus.

– Ehm... Nie wydaje mi się – wtrącił Myślak.

– Ma pan pewnie jakieś lepsze wyjaśnienie?

– No... Widzicie, panowie, to duże pasmo gwiazd, o tam? Magowie spojrzeli na sporą gromadę mrugającą nad horyzontem.

– Bardzo ładne – przyznał Ridcully. – I co?

– Wydaje mi się, że to coś, co nazywamy Małą Nieciekawą Grupką Słabych Gwiazd. Ma mniej więcej odpowiedni kształt. I wiem, co chce pan powiedzieć, nadrektorze. Chce pan powiedzieć: „Ale to jest taki kleks na niebie, a nie plamka wśród kleksów, jaką zwykle widzimy”. Ale widzi pan, nadrektorze, tak właśnie mogły wyglądać, kiedy Wielki A'Tuin był o wiele bliżej nich, tysiące lat temu. Innymi słowy, nadrektorze... – Myślak nabrał tchu, lękając się tego, co ma nadejść. – Myślę, że cofnęliśmy się w czasie. O tysiące lat.

To była druga strona tej dziwacznej cechy magów. Wprawdzie potrafili kłócić się przez pół godziny, czy to możliwe, żeby był wtorek, ale rzeczy

oszałamiające brali z marszu, tupiąc swymi spiczastymi butami. Pierwszy prymus wyglądał nawet, jakby przyjął to z ulgą.

– Ach, więc o to chodzi... – powiedział.

– W końcu musiało się zdarzyć – przyznał dziekan. – Nigdzie nie jest przecież napisane, że te dziury łączą zawsze ten sam czas.

– Powrót do domu może być trochę utrudniony – zaniepokoił się Ridcully.

– Tylko że... to może nie być takie proste, nadrektorze – zauważył Myślak.

– Znaczy, tak proste jak znalezienie sposobu podróżowania przez czas i przestrzeń?

– Chodzi mi o to, że może nie być żadnego domu, do którego można wrócić.

– Myślak zamknął oczy. To będzie trudne, wiedział.

– Ależ oczywiście, że jest – stwierdził Ridcully. – Byliśmy tam dzisiaj ra... Ledwie wczoraj. To znaczy wczoraj tysiące lat w przyszłości, naturalnie.

– Ale widzi pan, jeśli nie będziemy ostrożni, możemy zmienić tę przyszłość. Sama nasza obecność w przeszłości może zmienić przyszłość.

Niewykluczone, że już zmieniliśmy historię. To bardzo ważne, żebym was uprzedził.

– Chłopak mówi z sensem, Ridcully – zgodził się dziekan. – Przy okazji, nie zostało trochę rumu?

– Przecież tutaj nie dzieje się żadna historia! To tylko mała, zapomniana wysepka.

– Obawiam się, że nawet niewielkie działania gdziekolwiek na świecie mogą mieć bardzo poważne konsekwencje, nadrektorze – rzekł Myślak.

– Na pewno nie chcielibyśmy żadnych konsekwencji. Ale do czego pan zmierza? Co pan radzi?

Wszystko szło tak dobrze... Zdawało się, że niemal dotrzymują mu kroku.

Może to właśnie skłoniło Myślaka, by zachować się jak człowiek, który – skoro spadł już sto stóp i nie doznał żadnej krzywdy – wierzy, że ostatnie kilka cali do ziemi to tylko zwykła formalność.

– Że użyję klasycznej metafory, najważniejsze jest, by nie zabić własnego dziadka – powiedział i uderzył o kamienie.

– Niby czemu, u demona, miałbym to robić? – zdumiał się Ridcully. – Całkiem staruszka lubiłem.

– Nie... Naturalnie, chodziło mi o przypadek – tłumaczył Myślak. – Zresztą wszystko jedno...

– Doprawdy? Cóż, wie pan zapewne, że codziennie przypadkowo zabijam ludzi. A poza tym jakoś go tu nie widzę...

– To tylko ilustracja, nadrektorze. Problemem jest przyczyna i skutek, a chodzi o to...

– Chodzi o to, panie Stibbons, że nagle pan uznał, jakoby każdy z nas, kiedy tylko cofnie się w czasie, stał się dziadkobójcą. Tymczasem gdybym tylko spotkał mojego dziadka, postawiłbym mu drinka i poradził, by nie zakładał, że węże nie kęsa, jeśli krzyczy się na nie głośno. To informacja, za którą w późniejszym życiu mógłby mi dziękować.

– Dlaczego? – zdziwił się Myślak.

– Ponieważ miałby jakieś późniejsze życie.

– Ależ nie, nadrektorze! To by było jeszcze gorsze, niż gdyby go pan zastrzelił!

– Byłoby?

– Tak, proszę pana!

– Mam wrażenie, panie Stibbons, że w pańskiej logice są luki, które trudno mi przeskoczyć – oświadczył chłodno nadrektor. – Mam nadzieję, że nie planuje pan przypadkiem zastrzelenia własnego dziadka?

– Oczywiście, że nie! – burknął zirytowany Myślak. – Nie mam nawet pojęcia, jak wyglądał. Umarł, zanim się urodziłem!

– Aha...

– Nie o to...

– Ale przecież cofnęliśmy się w czasie o wiele za daleko – przypomniał dziekan. – Tysiące lat, jak twierdzi Stibbons. Dziadka żadnego z nas nie ma jeszcze na świecie.

– To rzeczywiście szczęśliwa okoliczność dla pana Stibbonsa seniora – stwierdził Ridcully.

– Nie, nadrektorze – powiedział stanowczo Myślak. – Bardzo proszę. Chciałem w ten sposób wyrazić fakt, że cokolwiek zrobimy w przeszłości, zmienia przyszłość. Najdrobniejsze działania mogą przynieść bardzo poważne skutki. Może pan teraz... nadepnąć na mrówkę, co w efekcie uniemożliwi komuś w przyszłości narodziny!

– Naprawdę?

– Tak, nadrektorze.

Ridcully ucieszył się wyraźnie.

– To dobra wiadomość. Jest paru ludzi, bez których historia świetnie by sobie poradziła. Ma pan pomysł, jak znaleźć właściwe mrówki?

– Nie, nadrektorze! – Myślak gorączkowo usiłował w mózgu nadrektora znaleźć szczelinę, w którą dałoby się wsunąć łom zrozumienia... I przez kilka sekund miał próżną nadzieję, że znalazł. – Ponieważ... ta mrówka, którą pan rozdepcze, może być pańską!

– Znaczy... Mogę nadepnąć na mrówkę, a to tak wpłynie na historię, że się nie urodzę?

– Tak! Tak! Właśnie tak! O to mi chodzi, nadrektorze!

– Ale w jaki sposób? – zdumiał się Ridcully. – Przecież nie pochodzę od mrówek.

– No bo... – Myślak czuł, jak wzbiera wokół morze wzajemnego niezrozumienia, ale wciąż starał się nie utonąć. – No... jakby... Przypuśćmy na przykład, że ta mrówka... ugryzła czyjegoś konia, który zrzucił jeźdźca, a ten jeździec wioził bardzo ważną wiadomość i jej nie dostarczył na czas, więc wybuchła straszliwa bitwa i jeden z pańskich przodków zginął... nie, chciałem powiedzieć, że nie zginął...

– A jak ta mrówka przedostała się przez morze?

– Na kawałku drewna – wyjaśnił natychmiast dziekan. – Zdumiewające, co może się dostać nawet na odległe wyspy, trzymając się kawałka drewna. Owady, jaszczurki, nawet małe ssaki.

– A potem przeszła po plaży i całą drogę na pole bitwy? – powątpiewał Ridcully.

– Na nodze jakiegoś ptaka – stwierdził dziekan. – Czytałem o tym w książce. Nawet rybia ikra jest transportowana ze stawu do stawu uczepiona ptasiej nogi.

– Bardzo zdecydowana mrówka... – Ridcully pogłodził brodę. – Ale muszę przyznać, że zdarzały się dziwniejsze rzeczy.

– Praktycznie codziennie – zgodził się pierwszy prymus.

Myślak odetchnął z ulgą. Udało się pokonać rozszerzoną metaforę...

– Tylko jednego nie rozumiem – powiedział jeszcze Ridcully. – Kto rozdepcze tę mrówkę?

– Co?

– No, to przecież oczywiste. Jeśli rozdepczę mrówkę, to się nie urodzę, więc nie będę mógł jej rozdeptać, więc nie rozdepczę, więc się urodzę. Prawda? – Przyjaźnie dźgnął Myślaka palcem. – Ma pan niezły umysł, panie Stibbons, ale czasem się zastanawiam, czy w ogóle próbuje pan do spraw bieżących

stosować zasady logicznego myślenia. Co się wydarzyło, już się wydarzyło. To przecież rozsądne. Och, niech pan się nie załamuje... – dodał, zapewne niewinnie myląc wyraz bezsilnej wściekłości na twarzy Myślaka z wyrazem wstydlivej konsternacji. – Gdyby znowu miał pan kłopoty z tymi skomplikowanymi historiami, moje drzwi zawsze są otwarte* [* Istnieje pewien typ zwierchnika rozpoznawany dzięki swemu hasłu „Moje drzwi zawsze są otwarte”; prawdopodobnie lepiej byłoby zatłuc się na śmierć własnym CV, niż dla niego pracować. Jednak w przypadku Ridcully’ego stwierdzenie to oznaczało: „Moje drzwi zawsze są otwarte, bo wtedy,

kiedy się nudzę, mogę przez cały korytarz strzelać z kuszy do celu tuż nad biurkiem kvestora”]. Jestem w końcu pańskim nadrektorem.

– Przepraszam bardzo, to w końcu możemy deptać mrówki czy nie? – spytał z lekką irytacją pierwszy prymus.

– Jak chcecie – zezwolił wspaniałomyślnie Ridcully. – Ponieważ tak naprawdę historia już zależy od waszego rozdeptania wszelkich mrówek, które przypadkiem trafią wam pod buty. Mrówki, jakie nadeptacie, już nadeptaliście, więc jeśli zrobicie to znowu, będzie to po raz pierwszy, ponieważ robicie to teraz, gdyż zrobiliście to wtedy. Czyli też teraz.

– Naprawdę?

– Tak, absolutnie.

– To może powinniśmy nosić większe buty? – zaproponował kvestor.

– Proszę starać się uważać, kvestorze. – Ridcully przeciągnął się i ziewnął. – No, to już chyba wszystko. Możemy znów kłaść się spać, prawda? Mieliśmy naprawdę trudny dzień.

Ktoś jednak czuwał.

Kiedy magowie znowu zasnęli, słabe światło, jakby płonący gaz bagienny, zatoczyło nad nimi krąg.

Był bogiem wszechobecnym, choć tylko na niewielkim obszarze. Był także

wszechwiedzący, ale akurat na tyle, by wiedzieć, że chociaż istotnie wie wszystko, nie jest to całe Wszystko, tylko jego część odnosząca się do tej wyspy.

Niech to! Przecież dobrze wiedział, że ten krzew papierosowy sprowadzi kłopoty. Należało go powstrzymać w chwili, kiedy zaczął rosnąć. Nie powinien tak się wyrwać spod kontroli.

Oczywiście szkoda tej wcześniejszej... spiczastej istoty, ale to w końcu jej własna wina. Każdy musi jeść. Niektóre stworzenia pojawiające się na wyspie nawet jego zaskakiwały. A część z nich nawet przez pięć minut nie pozostawała stabilna.

Mimo wszystko pozwolił sobie na lekki uśmieszek satysfakcji. Dwie godziny od chwili, kiedy ten nazywany dziekanem zatęsknił za papierosem, do momentu, gdy krzak wyewoluował, rozkwitł i dał swój pierwszy nikotynowy plon. Oto prawdziwa ewolucja w działaniu...

Problem polega na tym, że teraz zaczęli zbyt uważnie się rozglądać i zadawać pytania.

Bóg, niemal jedyny pośród innych bogów, uważał pytania za coś dobrego. Był wręcz wdzięczny tym, którzy kwestionowali założenia, odrzucali dawne przesady, zrywali łańcuchy irracjonalnych uprzedzeń i – krótko mówiąc – korzystali z mózgów, które dał im ich bóg. Tyle że oczywiście nie dostali ich od żadnego boga, więc to, co faktycznie powinni robić, to korzystać z mózgów ukształtowanych przez tysiąclecia w reakcji na bodźce zewnętrzne, no i z potrzeby kontrolowania rąk z przeciwnymi kciukami... To zresztą kolejny świetny pomysł, z którego był bardzo dumny. Albo byłby, oczywiście. Gdyby istniał.

Jednakże są przecież granice. Wolnomyśliciele to wspaniali ludzie, ale nie powinni tak sobie chodzić i myśleć byle czego.

Światełko zniknęło, a po chwili pojawiło się znowu, wciąż krążąc, w świętej grocie w górach. Tak naprawdę grota nie była święta, ponieważ aby uczynić jakieś miejsce świętym, potrzebni są wyznawcy, a ten bóg właściwie nie chciał wyznawców.

Zwykle bóg bez wyznawców jest potężny jak piórko w huraganie, ale z powodów, których nie zdołał zgłębić, on sam całkiem dobrze potrafił sobie bez nich radzić. Może to dlatego, że tak mocno wierzył w siebie. Chociaż nie, oczywiście, że nie w siebie, ponieważ wiara w bogów jest nieracjonalna. Ale wierzył w to, co robi.

Przez chwilę dość wstydliwie rozważał pomysł zrobienia jeszcze kilku gromowych jaszczurów w nadziei, że może zjedzą intruzów, zanim tamci staną się nazbyt wścibscy. Potem jednak odrzucił ten projekt jako niegodny postępowego, nowocześnie myślącego bóstwa.

W tej części groty stały niezliczone długie półki pełne nasion. Wybrał jedno z rodziny dyni i sięgnął po narzędzia.

Narzędzia były wyjątkowe. Absolutnie nikt na świecie nie miał tak małego śrubokrętu.

W odpowiedzi na pierwszy blask przedświt zielony pęd przebił się przez warstwę leśnego śmiecia, rozwinął w dwa liście i rósł dalej.

Niżej, w żyznym kompoście opadłych liści, białe korzonki wiły się jak robaki. Chwila nie była odpowiednia na półśrodki. Gdzieś głęboko badawczy korzeń palowy znalazł wodę.

Po kilku minutach krzewy wokół dużej już, poruszającej się rośliny zaczęły więdnąć.

Główny pęd puścił się naprzód, w stronę morza. Wąsy za sunącą łodygą owijały się wokół gałęzi. Większe drzewa były wykorzystywane jako podpory, krzaki wyrwane i odrzucane na bok, a korzeń palowy wypuszczał odnogę, by zająć właśnie opuszczoną dziurę.

Bóg nie miał czasu na wyrafinowanie. Instrukcje rośliny zostały złożone z fragmentów i urywków leżących dookoła – rzeczy, o których wiedział, że będą działały.

Pierwszy pęd przekroczył wreszcie plażę i dotarł do morza. Korzenie wbiły się w piasek, liście się rozwinęły i roślina wypuściła jeden samotny kwiat

żeński. Mniejsze męskie otwierały się już wzdłuż łodygi.

Bóg nie zaprogramował tego elementu. Cały kłopot z ewolucją, powtarzał sobie, to ten, że nie chce słuchać poleceń. Materia czasami sama próbuje myśleć.

Cienki chwytny wąs zwinął się na moment, po czym wystrzelił i jak na lasso pochwycił przelatującą ćmę. Wygiął się z powrotem, zanurzył przerażonego owada po pas w pyłku męskiego kwiatu, potem smagnął błyskawicznie i wbił ćmę między zapraszające płatki kwiatu żeńskiego.

Po kilku sekundach kwiat opadł, a małe zielone zgrubienie poniżej zaczęło puchnąć –

właśnie w chwili, kiedy świt zaróżowił horyzont. *Argp nauticae unico* gotów był, by wydać swój pierwszy i jedyny owoc.

Na pustkowiu stał wielki wiatrak obracający się ze zgrzytem na szczycie metalowej wieży. Tablica przymocowana do wieży głosiła: „Czyżeśpiwoszynióskol. Sprawdź broń”.

– Tak, nadal mam całą swoją. Nie ma zmartwienia – stwierdził Mad i popędził konie.

Przejechali po drewnianym moście, choć Rincewind nie mógł zrozumieć, po co ktoś się męczył z jego budową. Wydawało się, że wykonano strasznie dużo roboty tylko po to, żeby przejechać nad pasmem suchego piasku.

– Piasku? – zdziwił się Mad. – To Rzeka Ospą. Ot co!

I rzeczywiście, minęła ich niewielka łódź. Holował ją wielbłąd i osiągała całkiem niezłą prędkość na czterech kołach.

– Łódź – powiedział Rincewind.

– Nigdy nie widziałeś łodzi?

– Nie takie na pedały – odparł Rincewind, kiedy małe kanoe ich minęło.

- Postawiliby żagiel, gdyby wiatr był sprzyjający.
- Ale... wiem, że pytanie może ci się wydać dziwne... dlaczego miała kształt łodzi?
- To kształt, jaki mają łodzie.
- Aha, no tak. Wiedziałem, że jest jakiś rozsądny powód, jak ten właśnie. Skąd się tu wzięły wielbłądy?
- Trzymały się drewna unoszonego przez fale. Tak mówią. Dalej, na wybrzeżu, prądy wyrzucają na brzeg różne rzeczy.

W polu widzenia pojawiło się Czyżeśpiwoszynióskol. Dobrze, że wcześniej umieszczono tablicę, gdyż mogliby przez nie przejechać, niczego nie zauważając. Architektura należała do tych, które profesjoniści nazywają „regionalną”, a zatem dopasowaną do okolicy, co okazało się całkiem odpowiednią nazwą, zważywszy, że okolicą była pustynia. Ale w końcu, pomyślał Rincewind, jest tu gorąco jak w piekle i nigdy nie pada. Zatem dom potrzebny jest tylko po to, żeby zaznaczyć jakieś rozgraniczenie między wnętrzem i zewnątrz.

- Mówiłeś, że to spore miasteczko – powiedział.
- Ma całą ulicę. I bar.
- Ach, to jest ulica, tak? A ten stos drewna to bar?
- Spodoba ci się. Prowadzi go Krokodyl.
- Dlaczego nazywają go Krokodylem?

Noc spędzona na piasku nie przyczyniła się do wypoczynku grona profesorskiego. A nadrektor nie przyczynił się jeszcze bardziej. Należał do rannych ptaszków, ale był też –

bardzo niesprawiedliwie – nocnym markiem. Czasami przechodził od jednego stanu do drugiego bez zasypiania pomiędzy.

– Budźcie się, panowie! Są chętni na różną przebieżkę dookoła wyspy? Na zwycięzcę czeka niewielka nagroda. Co wy na to?

– O bogowie! – jęknął dziekan, przewracając się na drugi bok. – On robi pompki!

– Absolutnie nie chciałbym sprawić wrażenia, że sugeruję powrót do starych złych czasów – odezwał się kierownik studiów nieokreślonych, próbując wygrzebać sobie piasek z ucha. – Ale bywało, że zabijaliśmy takich magów jak on.

– Tak, lecz bywało też, że zabijaliśmy takich magów jak my, kierowniku – zauważył dziekan.

– Pamiętacie, co wtedy mówiliśmy? – wtrącił pierwszy prymus. – „Nigdy nie ufaj magowi po sześćdziesiątcepiątce”? Co właściwie się zmieniło?

– My sami skończyliśmy po sześćdziesiąt pięć lat, prymusie.

– A, no tak. I okazało się, że jednak jesteśmy godni zaufania.

– Dobrze, żeśmy to w porę odkryli.

– Tam jakiś krab wspina się na drzewo – oznajmił wykładowca run współczesnych. Leżał na wznak i patrzył w górę. – Prawdziwy krab.

– Owszem – zgodził się pierwszy prymus. – Kraby nadrzewne, tak się nazywają.

– Dlaczego?

– Jak byłem mały, miałem książkę – powiedział kierownik studiów nieokreślonych. – O człowieku, co mu się statek rozbił, a morze wyrzuciło go na wyspę zupełnie podobną do tej i myślał, że jest całkiem sam, aż pewnego dnia znalazł na piasku odcisk stopy. Była też rycina – dodał.

– Jeden odcisk? – Dziekan usiadł, trzymając się za głowę.

– No... tak, a kiedy go zobaczył, wiedział, że...

– ...że znalazł się na wyspie sam z obłąkanym jednonogim mistrzem skoku w dal? – dokończył dziekan. Był trochę rozdrażniony.

– No, to oczywiste, że potem znalazł też inne ślady...

– Ja tam chciałbym się znaleźć całkiem sam na bezludnej wyspie – mruknął smętnie pierwszy prymus, obserwując, jak Ridcully biega w miejscu.

– Czy tylko mnie się tak wydaje – rzekł dziekan – czy naprawdę jesteśmy rozbitkami tysiące mil i tysiące lat od domu?

– Naprawdę.

– Tak myślałem. Jest jakieś śniadanie?

– Stibbons znalazł jajka na miękko.

– Bardzo zaradny młody człowiek. A gdzie je znalazł?

– Na drzewie.

Umysł przypomniał dziekanowi niektóre wydarzenia minionej nocy.

– Drzewie jajkonamięcznym?

– Tak – potwierdził pierwszy prymus. – Żółtko wcale nie ścięte. Dobrze smakują z tymi ludzikami z owoców chlebowych.

– Zaraz mi jeszcze powiecie, że znalazł drzewo łyżeczkowe...

– Oczywiście że nie.

– Dobrze...

– To jest krzak. – Pierwszy prymus pokazał mu małą drewnianą łyżeczkę. Wciąż było na niej kilka listków.

– Krzak, który owocuje łyżeczkami...

– Młody Stibbons stwierdził, że to całkiem logiczne, dziekanie. Przecież, jak powiedział, zebraliśmy je, bo są użyteczne, a łyżeczki i tak stale się gubią. Potem się rozplakał.

– Ale ma rację. To miejsce jest jak Wielka Góra Cukrowa.

– Jestem za tym, żeby wynieść się stąd jak najszybciej – oświadczył kierownik studiów nieokreślonych. – Lepiej już dzisiaj zaczniemy budować łódź. Nie mam ochoty na spotkanie z następnym strasznym jaszczurem.

– Ze wszystkiego po jednym, pamiętasz?

– No więc pewnie jest jakiś jeszcze gorszy.

– Zbudowanie jakiejś łódki nie powinno być trudne – przypomniał kierownik studiów nieokreślonych. – Nawet całkiem prymitywnym ludom się udaje.

– Słuchajcie no – warknął dziekan. – Wszędzie na tej wyspie szukaliśmy jakiejś przyzwoitej biblioteki. I jej zwyczajnie nie ma! To przecież śmieszne! Jak w ogóle można tu cokolwiek zrobić?

– Przypuszczam... że moglibyśmy... wypróbować różne rzeczy... – zaproponował niepewnie pierwszy prymus. – Wiecie, sprawdzić, co pływa, i takie tam...

– No tak, jeśli chcesz podchodzić do sprawy prymitywnie...

Kierownik studiów nieokreślonych zerknął na twarz dziekana i uznał, że pora nieco rozluźnić atmosferę.

– A wiecie, tak się zastanawiałem... Drobnie ćwiczenie umysłowe... Gdybyś został rozbitkiem na bezludnej wyspie, dziekanie, to jakiej muzyki najchętniej byś słuchał?

Dziekan zachmurzył się jeszcze bardziej.

– Myślę, kierowniku, że najchętniej posłuchałbym muzyki w Operze w Ankh-Morpork.

– Aha. Och... no tak. Cóż, to bardzo... bardzo... bardzo bezpośredni sposób myślenia, dziekanie.

Rincewind uśmiechnął się z przymusem.

– A więc... jesteś krokodylem.

– Coś ci się nie podoba? – spytał barman.

– Nie! Skąd! A nazywają cię może jakoś jeszcze?

– No... Jest takie przezwisko...

– Tak?

– Tak. Krokodyl Krokodyl. Ale tutaj większość mówi na mnie Dongo.

– A, no... to tam? Jak to nazywacie?

– Nazywamy to piwem – wyjaśnił krokodyl. – A u was jak się to nazywa?

Miał na sobie brudną koszulę i parę szortów. I dopóki Rincewind nie zobaczył tych szortów, uszytych na kogoś z bardzo krótkimi nogami i bardzo długim ogonem, nie zdawał sobie sprawy, jak trudnym zawodem jest krawiectwo.

Uniósł szklanę pod światło... I o to właśnie chodziło. Widział światło przechodzące przez płyn w naczyniu. Czyste piwo... Piwo w Ankh-Morpork było sosem przyrządzonym z chmielu. Miało strukturę. Miało zapach, choć czasem człowiek wolał się nie zastanawiać, czego konkretnie jest to zapach. Miało gęstość. Ostatnie pół cala w kuflu można było jeść łyżką.

Tutaj płyn był rzadki i przezroczysty. Wyglądał, jakby ktoś go już wypił. Chociaż smakował niezłe. Nie ciążył w żołądku jak piwo w domu. Słaby był, naturalnie, ale obrażanie czyjegoś piwa nigdy nie jest opłacalne.

– Całkiem niezłe – stwierdził Rincewind.

– Skąd cię tu przywiało?

- Hm... Przypłynąłem morzem na kawałku drewna.
- Było tam dość miejsca ofok tych wszystkich wielbłądów?
- No... tak.
- Miałeś szczęście.

Rincewind potrzebował mapy. Nie geograficznej mapy, choć i taka by się przydała, ale mapy, która powie mu, gdzie trafiła jego głowa. Zwykle nie spotyka się krokodyli za barem, jednak wszyscy inni w tym ciemnym lokalu uważali chyba, że to całkiem normalne. Z drugiej strony wśród klientów baru były też trzy owce w kombinezonach roboczych i para kangurów grających w strzałki.

I nie były to dokładnie owce. Wyglądały raczej jak... no, jak ludzkie owce. Sterczące uszy, biała wełna i wyraźnie baranie miny, to prawda, ale stały pionowo i miały ręce. A Rincewind był prawie pewien, że w żaden sposób nie da się skrzyżować owcy z człowiekiem. Gdyby istniała metoda, ludzie bezwzględnie by ją odkryli, zwłaszcza w co bardziej wyludnionych obszarach wiejskich.

Podobnie przedstawiała się sytuacja z kangurami. Miały spiczaste uszy i wyraźnie kangurze

pyski, jednak w tej chwili stały oparte o bar i piły to dziwne, rzadkie piwo. Jeden z nich miał na sobie poplamioną kamizelkę z napisem „Merdano – prawdziwa Żytnia słoma” ledwie widocznym pod warstwą brudu.

Krótko mówiąc, Rincewind miał uczucie, że wcale nie patrzy na zwierzęta. Pociągnął jeszcze łyk piwa.

Nie mógł poruszyć tej kwestii z Krokodylem Dongo. Była jakaś filozoficzna niewłaściwość w zwracaniu krokodylowi uwagi na fakt, że ma w barze dwa kangury.

- Chcesz jeszcze piwo? – zaproponował Dongo.
- Tak, jasne – odparł Rincewind.

Na znaczku przy dystrybutorze zobaczył obrazek uśmiechniętego kangura i napis „Piwo Gur”. Uniósł wzrok ku podartemu plakatowi na ścianie. Plakat także reklamował piwo Gur, a przedstawiał tego samego kangura trzymającego kufel wspomnianego piwa, mającego na pysku ten sam przemądrzały uśmieszek.

Z jakichś powodów kangur wydawał mu się znajomy.

– Tudno nie zsważyc... – Rincewind spróbował od początku: – Trudno nie za-u-wa-żyć... sze niektórzy wtymbasziesierósznio od innych ludzi.

– No, stary Kłoda Joe, o tam, przyfrał ostatnio na wadze – przyznał Dongo, wycierając kufel.

Rincewind popatrzył na swoje nogi.

– Szyjje to so nogi?

– Dofrze się czujesz, szefuniu?

– Bo peffnie mie coś urgryzło – stwierdził Rincewind. Poczuł nagłą i gwałtowną potrzebę.

– Za farem, wyjdiesz na zewnątrz – poinformował go Dongo.

– Wychodzę do wychodka... – Rincewind zatoczył się do przodu. – Hahaha...

Zderzył się z żelaznym filarem, który chwycił go i podniósł na wyciągniętej ręce. Rincewind spojrzał wzdłuż ramienia i zobaczył szeroką, gniewną twarz o wyrazie mówiącym, że duża ilość piwa szuka okazji do bitki, a reszta ciała chętnie będzie towarzyszyć.

Niejasno zdawał sobie sprawę, że w jego przypadku duża ilość piwa chciałaby uciec. A w takich sytuacjach zawsze to piwo gada.

– Żech cie słuchał. Żeś skond jest, szefuniu? – spytało piwo wielkoluda.

– Ankh-Morprk... – W takiej sytuacji po co kłamać.

W barze zapadła cisza.

– I żeś se chciał przyjść tu i se żarty robić, że to niby szyscy piwo pijemy, bijemy sie i śmiesznie gadamy, co?

– Nie ma zmartwienia – odpowiedziała część Rincewindowego piwa.

Napastnik przysunął go bliżej, tak że stali teraz twarzą w twarz. Rincewind nigdy jeszcze nie widział takiego wielkiego nosa.

– I pewno żeś nawet nie wiedział, że akurat wytwarzamy doskonałe wina, a nasze Chardonnay som szczególnie godne uwagi i atrakcyjne cenowo, nie spominajonc o popularnych Semillon z Doliny Rdzawych Diun, o bogatym smaku, prawdziwie aromatycznym odkryciu każdego konusera... ty sukinsynu?

– To świetnie... Wezmę kufel Chardonnay, jeśli można...

– Idziesz siku?

– Nie, chętnie zostawiłbym je tutaj...

– Hej, może byś postawił mojego kumpla na ziemi? – odezwał się jakiś głos.

Mad stanął w drzwiach. Nastąpiło ogólne poruszenie, gdy ludzie starali się zejść mu z drogi.

– A co, też szukasz bójki, grubasku?

Rincewind został upuszczony, a olbrzym odwrócił się do krasnoluda. Zaciśnął pięści.

– Wcale ich nie szukam. Ja tylko zaglądam do barów, a one już tam są. – Mad wyjął nóż. – To co, dasz mu spokój, Wally?

– To nazywasz nożem? – Olbrzym wydobył coś, co byłoby mieczem, gdyby tkwiło w dłoni normalnych rozmiarów. – To jest nóż!

Mad przyjrzał się. Potem sięgnął ręką za plecy. Kiedy ją wyprostował,

trzymał coś...

– Naprawdę? Nie ma zmartwienia. A to... – powiedział – ...jest kusza.

– To jest kłoda – stwierdził Ridcully, oglądając wynik dotychczasowej działalności komitetu budowy łodzi. – Jednak coś więcej niż kłoda... – zaczął dziekan.

– Och, dorobiliście maszt i przywiązaliście do niego szlafrok kwestora, to widzę. Ale to kłoda, dziekanie. Ma korzenie z jednej strony i kawałki gałęzi z drugiej. Nawet jej nie wydrążyliście. Kłoda i tyle.

– Zajęła nam długie godziny – zauważył pierwszy prymus.

– I pływa po wodzie – dodał dziekan.

– Myślę, że właściwy termin brzmi: pławi się. Wszyscy mamy na nią wsiąść, czy jak?

– To wersja jednoosobowa. Pomyśleliśmy, że przetestujemy ją, a potem spróbujemy z kilkoma takimi związanymi razem...

– Jak tratwa, znaczy?

– No, właściwie tak – zgodził się dziekan z wyraźną niechęcią. Wolałby jakieś bardziej dynamiczne określenie. – Niestety, to wymaga czasu.

Nadrektor pokiwał głową. Zaimponowali mu w pewien sposób. Udało im się w zaledwie jeden dzień odtworzyć rozwój techniki, który prawdopodobnie zajął ludzkości kilkaset lat. Do wtorku mogą dojść nawet do kajaków.

– Który z was będzie ją testował? – zapytał.

– Pomyśleliśmy, że może kwestor mógłby pomóc na tym etapie programu rozwojowego.

– Zgłosił się na ochotnika, tak?

– Jesteśmy pewni, że się zgłosi.

Kwestor tymczasem, w pewnej odległości od nich, wędrował bez celu, ale zadowolony, przez pełną chruszczę dżunglę. Nie należał – i prawdopodobnie pierwszy by to przyznał – do ludzi najbardziej stabilnych psychicznie. Prawdopodobnie pierwszy by przyznał, że jest sitkiem do herbaty.

Ale w rzeczywistości był obłąkany tylko z zewnątrz. Jako młody człowiek nigdy specjalnie nie interesował się magią, za to był dobry w liczeniu, a nawet na Niewidocznym Uniwersytecie potrzebny jest ktoś, kto umie dodawać. I rzeczywiście, przetrwał wiele ekscytujących lat, zamykając się w pokoju i skrupulatnie dodając, gdy na zewnątrz rozgrywały się bardzo poważne dzielenia i odjęcia.

Działo się to jeszcze w czasach, kiedy magiczne skrytobójstwo stanowiło preferowaną i legalną drogę do wyższych stanowisk. On jednak był całkiem bezpieczny, gdyż nikt nie chciał zostać kwestorem.

Potem na nadrektora wybrano Mustruma Ridcully'ego, który przetrwał, gdyż okazał się praktycznie niezabijalny, a także był – na swój niezwykły sposób – modernizatorem. Starsi magowie poszli za nim, ponieważ często krzyczał na nich, kiedy nie szli. Po ekscytujących okresach historii uniwersytetu z pewną ulgą przyjęto fakt, że można było jeść obiad, nie czekając, aż ktoś inny skosztuje pierwszy, ani nie sprawdzać własnego kształtu zaraz po przebudzeniu.

Dla kwestora jednak nadeszło prawdziwe piekło. Wszystko w Mustrumie Ridcullym szarpało mu nerwy. Gdyby ludzie byli jedzeniem, kwestor występowałby zapewne jako lekko ścięte jajko; Ridcully tymczasem był raczej tłustą zapiekanką w czosnkowym sosie. Mówił tak głośno, jak inni ludzie krzyczą. Maszerował zamiast chodzić. Wrzeszczał i gubił ważne kartki papieru, a potem zaprzeczał, że je kiedykolwiek widział; i kiedy się nudził, strzelał z kuszy do ściany. Był agresywnie pogodny. Sam nigdy nie chorował i zwykle uważał, że u innych choroba jest skutkiem niedbałego myślenia. I nie miał poczucia humoru. I opowiadał dowcipy.

Dziwne, że tak bardzo poruszało to kwestora, który też nie miał poczucia humoru. I był z tego dumny. Nie należał do ludzi, którzy się śmieją. Ale w pewien mechaniczny sposób rozpoznawał, jak dowcipy powinny się toczyć.

Ridcully opowiadał dowcipy tak, jakby żaba prowadziła księgowość. Nigdy się nie sumowały.

Dlatego kwestor za bardziej interesujące uważał życie wewnątrz własnej głowy, gdzie nie musiał słuchać, gdzie były obłoczki i kwiatki. Mimo to coś jednak musiało się tam przesączać ze świata zewnętrznego, gdyż od czasu do czasu skakał obunóż na mrówkę – na wypadek gdyby tak właśnie należało. Pewna część jego umysłu miała niejaką nadzieję, że któraś z tych mrówek jest – w niewyobrażalnie dalekim stopniu – spokrewniona z Mustremem Ridcullym.

I kiedy właśnie w taki sposób zajmował się zmianą przyszłości, zauważył coś, co wyglądało

zupełnie jak leżący na ziemi zielony wąż ogrodowy.

– Hm?

Wąż był lekko przejrzysty i wydawało się, że pulsuje rytmicznie. Kiedy kwestor przyłożył do niego ucho, usłyszał „glup!”.

Choć nieco obłąkany, kwestor miał instynkt prawdziwego maga, nakazujący mu odruchowo wkraczać w niebezpieczne miejsca. Dlatego też podążył za pulsującym węzem.

Rincewind się zbudził, ponieważ trudno spać, kiedy ktoś kopie człowieka po żebrach.

– Sso jest?

– Chcesz, żebym wylał na ciebie wiadro wody?

Rozpoznał ten gawędziarski ton. Rozkleił powieki.

– Nie, tylko nie ty! Jesteś tworem mojej wyobraźni!

– Więc mogę jeszcze raz dać ci kopa w żebra? – upewnił się Skoczek.

Rincewind podniósł się z wysiłkiem. Świtało, a on leżał w jakichś krzakach

za barem.

Pamięć odtworzyła swój niemy film na poszarpanym ekranie jego powiek.

– Wybuchła bójka... Mad strzelił do tego... tego... Strzelił do niego z kuszy!

– Ale tylko w stopę, żeby stał w miejscu i dał się uderzyć. Torbacze nie potrafili utrzymać w sobie drinka, w tym cały kłopot.

Kolejne wspomnienia zamigotały w zamglonej ciemności mózgu Rincewinda.

– Zgadza się! Tam przy barze były zwierzęta!

– Tak i nie – odparł kangur. – Próbowałem ci tłumaczyć...

– Cały zmieniam się w słuch... – Oczy Rincewinda zaszkliły się na moment.

– Albo nie, bo już się zmieniłem w pęcherz. Zaraz wracam.

Brzęczenie much i powszechnie rozpoznawalny zapach doprowadziły Rincewinda do pobliskiej chatki. Niektórzy pewnie chcieliby myśleć o niej jak o łazience, ale nie po wejściu do środka.

Wyszedł z powrotem, podskakując nerwowo.

– Hej... Tam jest taki wielki, ogromny pajak na siedzeniu...

– I co chcesz robić? Czekać, aż skończy? Przegoń go kapeluszem!

To dziwne, myślał Rincewind, wypędzając pajaka na dwór: normalny człowiek pośrodku tysiąca mil dzikich pustkowi by... no, skorzystał z łazienki za krzakiem, ale będzie zaciekle walczył o wygodkę, jeśli tylko jakaś jest dostępna.

– I nie wracaj – mruknął pod nosem, gdy był już pewien, że pajak znalazł się poza zasięgiem głosu.

Ale ludzki mózg często nie potrafi się skoncentrować na pracy, którą ma wykonać, i Rincewind zaczął błądzić wzrokiem dookoła. Tu i tam, jak w

takich miejscach na całym

świecie, użytkownicy odkrywali w sobie chęć pisania po ścianach. Pod zwykłymi notkami od ludzi, którzy potrzebują ludzi, rysunkami wykonywanymi raczej z rozbuchanej nadziei niż z pamięci, zauważył głęboko wyryty wizerunek mężczyzny w spiczastych kapeluszach.

Wyszedł zamyślony i zaczął się oddalać chyłkiem przez krzaki.

– Nie ma zmartwienia – oświadczył kangur tak blisko jego ucha, że Rincewind był zadowolony, iż zdążył już sobie ulżyć.

– Nie wierzę w to!

– Wszędzie ich znajdziesz. Są wbudowani. Znajdują drogę do ludzkich myśli. Nie możesz uciec przed przeznaczeniem, koleś.

Rincewind nie próbował nawet protestować.

– Będziesz musiał wszystko to jakoś poukładać – stwierdził Skoczek. – Ty jesteś przyczyną.

– Nie jestem! To mnie się zdarzają różne rzeczy, nie na odwrót!

– Mógłbym kopniakiem wypruć ci flaki, wiesz? Chciałbyś zobaczyć?

– Eee... nie.

– Zauważyłeś, że kiedy uciekasz, pakujesz się tylko w gorsze kłopoty?

– Tak, ale widzisz, od nich też mogę uciec. To piękno tego systemu. Umiera się raz, ale uciekać można zawsze.

– Jednakże mówi się, że tchórz umiera tysiąc razy, a bohater tylko raz.

– Owszem, ale to ten najważniejszy raz.

– Nie wstydzisz się?

– Nie. Wracam do domu. Zamierzam odszukać miasto, to Rospyepsh, znaleźć łódź i ruszyć do domu.

– Rospyepsh?

– Nie mów mi tylko, że nie istnieje.

– Ależ skąd. To duże miasto. I tam właśnie zmierzasz?

– Nie próbuj mnie zatrzymywać!

– Widzę, że już zdecydowałeś – stwierdził Skoczek.

– Czytaj mi z ust!

– Wąs mi zasłania.

– To czytaj mi z brody!

Kangur wzruszył ramionami.

– W tej sytuacji nie mam chyba wyboru; muszę dalej ci pomagać.

Rincewind wyprostował się z godnością.

– Sam znajdę drogę – oznajmił.

– Ale nie znasz tej drogi!

– To kogoś zapytam.

– Co z jedzeniem? Będziesz głodował.

– Aha! I tu się mylisz! – zawołał Rincewind. – Posiadam taką zadziwiającą moc! Patrz!

Uniósł pobliski kamień, chwycił to, co leżało pod nim, i machnął ręką.

– Widzisz? Zaskoczony, co?

– Bardzo.

– Aha!

Skoczek kiwnął głową.

– Nigdy dotąd nie widziałem, żeby ktoś tak postępował ze skorpionem.

Bóg siedział wysoko na drzewie, pracując nad wyjątkowo obiecującym chrząszczem, kiedy dołem wolno przeszedł kwestor.

No, nareszcie! W końcu jeden z nich to znalazł! Bóg przez pewien czas obserwował wysiłki magów przy budowie łodzi, chociaż nie potrafił zrozumieć, co próbują osiągnąć. O ile się zorientował, wykazywali niejakię zainteresowanie faktem, że drewno pływa w wodzie. No pływa, i co z tego?

Rzucił w powietrze chrząszcza, który z brzęczeniem zbudził się do życia na szczycie łuku i odleciał – opalizująca smuga między koronami drzew.

Bóg spłynął z drzewa i podążył za kwestorem.

Nie podjął jeszcze decyzji co do tych stworzeń. Niestety, wyspa – wbrew jego starannemu planowaniu – wyrzucała czasem wszelkiego rodzaju dziwactwa. Te były najwyraźniej istotami społecznymi, a niektóre osobniki zostały zaprojektowane do specyficznych zadań. Ten kosmaty i rudy do wchodzenia na drzewa, a ten zamyślony i depczący mrówki – do wpadania na nie. Może powody wyjaśnią się kiedyś.

– Ach, kwestor! – zawołał dziekan serdecznym tonem. – Co byś powiedział na krótką wycieczkę dookoła laguny?

Kwestor spojrzał na mokrą kłodę i zaczął szukać właściwych słów. Czasami, kiedy naprawdę tego potrzebował, udawało się ustawić pana Mózga i pana Usta w równym szeregu.

– Miałem kiedyś łódkę – powiedział.

– Bardzo dobrze. A tu jest inna, akurat dla...

– Była zielona.

– Naprawdę? No więc możemy chyba...

– Znalazłem jeszcze jedną zieloną łódkę – oznajmił kwestor.

– Tak, tak. Jestem pewien, że znalazłeś – zgodził się łagodnie Ridcully. – Dużą łódkę z mnóstwem żagli, jak podejrzewam. A teraz, dziekanie...

– Tylko jednym żaglem – poprawił nadrektora kwestor. – I całkiem gołą damą na dziobie.

Wznosząc się nad nimi immanentnie, bóg zaklął. W ogóle nie planował galionu. Czasami

naprawdę miał ochotę załamać się i rozpłakać.

– Całkiem goła dama? – spytał dziekan.

– Spokojnie, dziekanie – rzucił pierwszy prymus. – Pewnie po prostu zjadł za dużo pigułek z suszonej żaby.

– Kołysze się w górę i w dół na wodzie – ciągnął kwestor. – W górę i w dół, w górę i w dół.

Dziekan spojrzał na swoje dzieło. Wbrew wszelkim oczekiwaniom nie kołysało się w górę i w dół na wodzie. Tkwiło twardo w jednym miejscu, a woda kołysała się w górę i w dół, i przelewała nad nim.

– To jest wyspa – stwierdził. – Przypuszczam, że ktoś mógł tu przyplłynąć, prawda? Jaka to całkiem goła dama? Ciemnoskóra?

– Doprawdy, dziekanie!

– Duch badacza, pierwszy prymusie. To ważna informacja biogeograficzna.

Kwestor odczekał, aż mózg znowu się ocknie.

– Zielona – poinformował.

– Nie jest to kolor naturalny dla ludzkich istot, ubranych czy nie – zauważył pierwszy prymus.

– Może cierpi na chorobę morską – zastanowił się dziekan.

W jego głowie pojawiła się jedynie najbardziej mglista, pełna zadumy tęsknota, ale nie chciał z niej rezygnować.

– Kołysze się w górę i w dół – powtórzył kwestor.

– Myślę, że moglibyśmy rzucić okiem – oświadczył dziekan.

– A co z panią Whitlow? Nie wyszła jeszcze z chaty.

– Może iść z nami, jeśli ma ochotę.

– Trudno wymagać od pani Whitlow, żeby poszła popatrzeć na całkiem gołą damę, nawet jeżeli jest zielona – rzekł stanowczo pierwszy prymus.

– Dlaczego nie? Przecież musiała już widzieć przynajmniej jedną. Nie zieloną, oczywiście.

Pierwszy prymus wyprostował się urażony.

– Nie widzę powodu, by jej imputować coś takiego! – rzekł.

– Co? Przecież chyba...

Dziekan urwał. Wielkie liście na chatce pani Whitlow zostały odepchnięte w bok i ukazała się lokatorka.

Prawdopodobnie przyczyną był kwiat we włosach. Z pewnością był ukoronowaniem wizji. Ale pani Whitlow dokonała też pewnych zmian w swojej sukni.

Przede wszystkim zostawiła jej o wiele mniej.

Ponieważ słowo to pochodzi od nazwy wyspy, która nie istnieje na Dysku, magowie nigdy nie słyszeli o bikini. Zresztą to, co pani Whitlow zszyla ze

swojej sukienki, było o wiele bardziej

konkretne niż bikini. Było bardziej jak... nowazelandia – dwie dość obfite, bardzo przyzwoite części przedzielone wąską szczeliną. Część pozostałego materiału owinęła wokół talii niczym sarong.

Krótko mówiąc, był to bardzo szacowny kostium. Ale wyglądał, jakby nie był. Całkiem jakby pani Whitlow nosiła listek figowy – wprawdzie średnicy sześciu stóp, ale jednak tylko figowy listek.

– Tak se pomyślałam, że to będzie nieco bardziej odpowiednie na ten upał – powiedziała. – Oczywiście, nawet by mi przez myśl nie przeszło, żeby coś takiego nosić na uniwersytecie. Ale że pewnie zostaniemy tu przez jakiś czas, przypomniałam se obrazek królowej Zazumby z Sumtri, co go kiedyś widziałam. Czy mogłabym gdzieś tu wziąć kąpiel, jak panowie myślą?

– Muaa – odpowiedział pierwszy prymus.

Dziekan odchrząknął.

– W dżungli jest jeziorko.

– Rosną w nim lilie wodne – dodał kierownik studiów nieokreślonych. – Różowe.

– Muaa – powtórzył pierwszy prymus.

– I ma wodospad – uzupełnił dziekan.

– Muaa.

– I krzak mydlany, nie zapominajmy.

Przyglądali się, jak odchodzi.

– W górę i w dół, w górę i w dół – powiedział kwestor.

– Piękna kobieca figura – uznał Ridcully. – Całkiem inaczej chodzi bez butów, prawda? Dobrze się czujesz, pierwszy prymusie?

– Muaa?

– Chyba to przez ten upał. Zrobiłeś się całkiem czerwony. – Ja muaa... Jestem... Oj, rzeczywiście strasznie gorąco, prawda...? Może też powinienem się zanurzyć...

– W lagunie – rzucił znacząco Ridcully.

– Ale sól bardzo źle wpływa na skórę, nadrektorze.

– W samej rzeczy. Mimo to. Albo możesz iść szukać jeziora, kiedy wróci pani Whitlow.

– Uważam to za obraźliwe, nadrektorze, że wydaje się pan podejrzewać...

– Niezły manewr – przerwał mu Ridcully. – A teraz może pójdziemy i obejrzymy tę łódź?

Pół godziny później wszyscy magowie stali na przeciwległym brzegu.

Łódź była zielona. I kołysała się na falach w górę i w dół. Nie łódź – raczej statek, ale zbudowany chyba przez kogoś, kto miał do dyspozycji książkę z bardzo dokładnymi opisami budowy statków, jednak zupełnie pozbawioną ilustracji. Dało się zauważyć pewne rozmycie szczegółów. Galion, na przykład, z pewnością miał mniej więcej kształt kobiety, jednak – ku rozczarowaniu dziekana – był tak dokładnym jej wizerunkiem, jak na wpół wyszana żelkowa

figurka.

Galion przywołał u pierwszego prymusa myśl o pani Whitlow, chociaż w tej chwili z panią Whitlow kojarzyły mu się także kamienie, drzewa, chmury i kokosy.

Statek miał żagiel. Żagiel – bez cienia wątpliwości – był liściem. A kiedy już człowiek uświadomił sobie, że to liść, zaczynał też dostrzegać dyniastóść jednostki.

Myślak odchrząknął.

– Pewne rośliny w celach propagacji wykorzystują pływalność nasion – powiedział. – Na przykład zwykły kokos ma...

– Czy ma galion? – przerwał mu Ridcully.

– Eee... Jedna z odmian owocu mangrowca posiada rodzaj kilu, który...

– I żagiel w czymś, co wygląda na takielunek?

– No... nie.

– A co to za kwiaty na czubku? – zapytał Ridcully.

Tam, gdzie powinno być bocianie gniazdo, znajdował się pęk kwiatów w kształcie trąbek, podobnych do zielonych narcyzów.

– Czy to ważne? – odezwał się kierownik studiów nieokreślonych. – To przecież statek, nawet jeśli jest wielką dynią. I wygląda, jakby było tam dość miejsca dla nas wszystkich. – Rozpromienił się. – Nawet gdybyśmy mieli upchnąć się jak pestki... – dodał.

– Pojawił się bardzo fortunnie – stwierdził Ridcully. – Zastanawiam się dlaczego.

– Powiedziałem: gdybyśmy mieli upchnąć się jak pestki – powtórzył kierownik studiów nieokreślonych. – Ponieważ pestki, jak wiadomo, są najczęściej...

– Tak, wiem. – Ridcully w zadumie spoglądał na podskakujący na falach statek.

– Próbowałem tylko...

– Dziękuję za wkład w rozmowę, kierowniku.

– Prawdę mówiąc, wygląda na dość przestronny – zauważył dziekan, nie zwracając uwagi na zboląłą minę kierownika studiów nieokreślonych. – Głosuję za tym, żeby załadować zapasy i odpłynąć.

– Dokąd? – spytał Ridcully.

– Tam, gdzie straszliwe gady nie zmieniają się nagle w kurczaki – burknął dziekan.

– Wolałbyś na odwrót?

Ridcully wszedł do wody i zagłębiał się coraz dalej, aż – kiedy sięgała mu po pachy – zdołał stuknąć laską w ścianę kadłuba.

– Myślę, że zachowujesz się trochę głupio, Mustrum – stwierdził dziekan.

– Doprawdy? Panie Stibbons, ile jest odmian roślin drapieżnych?

– Dziesiątki, nadrektorze.

– I zjadają ofiary o rozmiarach do...?

– Nie ma górnej granicy w przypadku drzewa sapu z Sumtri. Ludzie padają czasem ofiarami krzewu młotowego z Bhangbhangduc, kiedy nie zauważą ukrytego wśród liści młotka. Jest całkiem sporo takich, które mogą pożreć wszystko do rozmiarów szczura. Piramidalna garota pnąca właściwie żywi się tylko innymi, głupszymi roślinami, ale...

– Po prostu uważam, że to bardzo dziwne, kiedy łodziokształtna roślina pojawia się akurat wtedy, kiedy potrzebujemy łodzi – rzekł Ridcully. – Owszem, czekoladowe kokosy, tak, nawet papierosy z filtrem, ale statek z galionem?

– Bez galionu nie ma porządnego statku – zauważył pierwszy prymus.

– Tak, ale skąd ta roślina o tym wie? – Ridcully wrócił na brzeg. – No więc nie dam się nabrać. Chcę wiedzieć, co tu się dzieje.

– Niech to!

Wszyscy usłyszeli ten głos – cienki, świszczący i rozdrażniony. Dobiegał zewsząd.

Niewielkie, delikatne światełka pojawiły się w powietrzu, zawirowwały z rosnącą prędkością, po czym implodowały.

Bóg zamrugał. Kołysał się w przód i w tył, próbując zachować równowagę.

– Na moją boskość – powiedział. – Jak wyglądam? – Uniósł dłoń do oczu i na próbę zgiął palce. – Aha.

Poklepał sobie twarz, pogładził łąsą głowę i zatrzymał dłoń na długiej siwej brodzie. Wydawał się zdziwiony.

– Co to jest?

– Eee... broda? – podpowiedział Myślak.

Bóg spojrzał na swoją długą białą szatę.

– Aha. Patriarchalizm. No tak... Zaraz, jak to było...

Skupił się; wbił wzrok w Ridcully'ego, a jego krzaczaste siwe brwi zetknęły się niby rozzłoszczone gąsienice.

– Odejdźcie z Tego Miejsca, bo Rażeni Będziecie! – rozkazał.

– Dlaczego?

Bóg zrobił minę z lekka przerażoną.

– Bo... Albowiem Odejść Stąd Musicie, Bym Nie Odwiedził Was z Czyrakami!

– Naprawdę? Większość jednak przyniosłaby butelkę wina.

Bóg się zawahał.

– Co?

– Albo ciasto – wtrącił dziekan. – Ciasto jest dobrym prezentem, kiedy idzie się do kogoś w odwiedziny.

– To zależy, jakie ciasto – uzupełnił pierwszy prymus. – Biskopt zawsze uważałem za trochę obraźliwy. Najlepsze jest coś z dodatkiem marcepanu.

– Odejdźcie z tego miejsca, bo odwiedzę was z ciastem? – zdziwił się bóg.

– Lepsze to niż czyraki – ocenił Ridcully.

Problem, z jakim zetknął się bóg, polegał na tym, że choć on nigdy jeszcze nie spotkał magów, magowie za swych studenckich czasów mniej więcej raz na tydzień spotykali istoty, które w sposób całkiem naturalny wygłaszały straszliwe groźby. Czyraki nie wydają się zbyt przerażające, kiedy dzikie demony chcą człowiekowi wyrwać głowę i ziać ogniem do krwawej dziury.

– Posłuchajcie – rzekł bóg. – Tak się składa, że jestem bogiem tej okolicy, rozumiecie? Prawdę mówiąc, to jestem wszechmocny.

– Osobiście lubię, jak to się nazywa, no wiecie, takie ciasto z różowymi i żółtymi kwadratami... – mruczał pierwszy prymus, ponieważ magowie mają skłonność do podążania za każdą myślą aż do jej wyczerpania.

– To jesteś trochę mały... – zauważył dziekan.

– ...i taki biały marcepan z wierzchu, wyśmienite...

Bóg zdał sobie w końcu sprawę z tego, co jeszcze go niepokoiło. W takich sytuacjach dobór skali zawsze jest trudny. A wzrost trzech stóp niestety nie dodaje autorytetu.

– A niech to! – powiedział po raz drugi. – Dlaczego jestem taki mały?

– Rozmiar nie jest ważny – uspokoił go Ridcully. – Ludzie zawsze się głupio uśmiechają, kiedy to mówią. Nie mam pojęcia dlaczego.

– Masz całkowitą rację! – wykrzyknął bóg, jakby Ridcully pchnął jego myśli na całkiem nowe tory. – Spójrzcie na ameby, tyle że naturalnie nie możecie, bo są takie małe. Łatwo się przystosowują i są praktycznie nieśmiertelne. Cudowne stworzonka. – Małe oczka zaszły mgiełką wzruszenia. – Najlepszy produkt dnia pracy, jaki osiągnąłem.

– Przepraszam pana bardzo, ale jakim właściwie jest pan bogiem? – zainteresował się Myślak.

– I będzie to ciasto czy nie? – dodał pierwszy prymus.

Bóg spojrzał na niego niechętnie.

– Słucham?

– Chodziło mi o to, co to takiego, czego jest pan bogiem – wyjaśnił Myślak.

– A mnie chodziło o to, co z tym ciastem, które powinieneś mieć – odpowiedział pierwszy prymus.

– Pierwszy prymusie...

– Słucham, nadrektorze.

– Nie mówimy tu o cieście.

– Ale on powiedział...

– Pańskie uwagi zostały wysłuchane przez grono i jak tylko dojrzeją, zostaną natychmiast

zerwane i wyrzucone. Proszę kontynuować, boże.

Przez chwilę zdawało się, że bóg jest w gromowym nastroju, ale zaraz posmutniał. Usiadł ciężko na kamieniu.

– Całe to gadanie o rażeniu w ogóle nie działa, prawda? – zapytał. – Nie musicie przede mną ukrywać. Sam widzę. Pewnie, mógłbym na was zesłać czyraki, rozumiecie, tylko że nie widzę sensu. Za jakiś czas i tak znikną. A to dręczenie ludzi, prawda? Przyznam szczerze, że jestem ateistą.

– Słucham? – nie dowierzał Ridcully. – Jesteś ateistycznym bogiem?

Bóg przyjrzał się ich minom.

– Tak, wiem. – Westchnął. – Nie ma się czym chwalić, co? – Poglądził brodę. – Właściwie dlaczego mam coś takiego?

– Nie ogoliłeś się rano? – zgadywał Ridcully.

– Chodzi o to, że chciałem się pojawić przed wami w postaci, którą rozpoznalibyście jako boską. Długa nocna koszula wydawała się odpowiednia, choć owłosienie na twarzy trochę mnie zaskoczyło.

– To oznaka mądrości – wyjaśnił Ridcully.

– Rzekomo – dodał Myślak, któremu broda jakoś nie chciała rosnąć.

– Mądrość: zrozumienie, wnikliwość, wiedza – rzekł bóg zamyślony. – Aha. Długość włosów poprawia efektywność funkcji kognitywnych? Może to jakiś system chłodzący?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem – przyznał Ridcully.

– Broda rośnie dłuższa w miarę zdobywania większej mądrości?

– Nie jestem pewien, czy rzeczywiście mamy tu do czynienia ze związkiem przyczynowo-skutkowym – oświadczył Myślak.

– Obawiam się, że nie bywam w świecie tak często, jak powinienem – stwierdził bóg ze smutkiem. – Szczerze mówiąc, uważam religię za dość obraźliwą. – Westchnął ciężko i wydał się jeszcze mniejszy. – Naprawdę się staram, ale są takie dni, kiedy życie zwyczajnie mnie wykańcza... Oj, przepraszam, zdaje się, że jakaś ciecz leci przez moje przewody oddechowe...

– Chciałby pan wydmuchać nos? – zaproponował grzecznie Myślak.

Bóg się przeraził.

– Dokąd?

– Znaczy, pan tak jakby trzyma... Zresztą oto moja chusteczka, proszę zakryć nią nos i... dmuchnąć przez niego.

– Dmuchać przez niego – powtórzył bóg. – To ciekawe. I jaki niezwykle biały liść.

– Nie, to bawełniana chustka – wyjaśnił Myślak. – Jest... zrobiona.

W tym miejscu przerwał. Wiedział, że chusteczki się robi, że w procesie uczestniczy bawełna, coś kojarzyło mu się także z krosnami i podobnymi rzeczami. Ale kiedy się dobrze

zastanowić, typowym sposobem otrzymywania chusteczek było pójście do sklepu i powiedzenie: „Poproszę tuzin białych, tych grubszych, jeśli można, i ile kosztuje wyhaftowanie monogramów w rogach?”.

– Chcesz powiedzieć... stworzona? – spytał bóg, nagle bardzo podejrzliwy. – Wy też jesteście bogami?

Niewielki kielek przebił piach obok jego stopy i zaczął szybko rosnąć.

– Nie, nie – uspokoił go Myślak. – No... Bierze się trochę bawełny i... rozkuwa na płasko, jak przypuszczam... i dostaje się chusteczkę.

– Ach, w takim razie jesteście istotami używającymi narzędzi...

Bóg uspokoił się trochę. Pęd przy jego stopie był teraz rośliną; pojawiły się liście i pąk kwiatu. Bóg głośno wytarł nos.

Magowie podeszli bliżej. Nie bali się bogów, oczywiście, ale bogowie miewają wybuchowe temperamenty i ludzie rozsądni trzymają się od nich z daleka. Jednakże trudno obawiać się kogoś, kto właśnie wyciera nos.

– Naprawdę jesteś tutaj bogiem? – spytał Ridcully.

Bóg westchnął.

– Tak. Pomyślałem, że będzie łatwo. Wiecie, tylko jedna mała wysepka... Mógłbym zacząć wszystko od początku. Zrobić to jak należy. Ale wszystko idzie zupełnie nie tak, jak powinno.

Obok niego niewielka roślinka otworzyła nieciekawego żółtego kwiatek.

– Zacząć od początku?

– Tak. Wiecie, tę, no... pobożność. – Bóg machnął ręką w kierunku Osi. – Pracowałem tam kiedyś. Zwykle ogólne boskie obowiązki. Wiecie, stwarzanie ludzi z gliny, paznokci i różnych takich. A potem siedzenie na szczycie góry, ciskanie gromów i cała reszta. Chociaż... – Pochylił się i zniżył głos. – Bardzo niewielu bogów naprawdę to potrafi.

– Poważnie? – Ridcully słuchał zafascynowany.

– Strasznie trudno jest taką błyskawicą sterować. Na ogół czekaliśmy, aż piorun sam trafi jakiegoś biedaka, a potem przemawialiśmy boskim głosem, mówiąc, że to jego wina, bo zgrzeszył. No bo przecież musiał coś zrobić nie tak, prawda? – Jeszcze raz wytarł nos. – Dość przygnębiająca praca, szczerze mówiąc. W każdym razie... Przypuszczam, że zaczęło się, kiedy chciałem sprawdzić, czy można wyhodować bardziej palną krowę.

Dostrzegł ich zdziwione miny.

– Całopalne ofiary, rozumiecie. Krowy nie palą się za dobrze. To stworzenia z natury raczej wilgotne, a wszystkim już kończyło się drewno.

Wciąż patrzyli na niego nieruchomo. Spróbował inaczej.

– Przyznam uczciwie, że nie mogłem znaleźć żadnego sensu w całym tym interesie. Krzyki, rażenie, wściekanie się bez przerwy... Nie wydaje mi się, żeby komukolwiek sprawiało to

satysfakcję. Ale najgorsze... Wiecie, co było najgorsze? Najgorsze było to, że kiedy ktoś przestał razić gromami, ludzie odchodzili i zaczęli czcić kogoś innego. Nie do wiary, prawda? Mówili przy tym: „Życie było o wiele lepsze, kiedy częściej kogoś poraziło” albo „Gdyby bóg częściej raził, ulice byłyby bezpieczniejsze”. Tymczasem naprawdę działało się tyle, że jakiś pechowy pasterz, który przypadkiem w czasie burzy znalazł się w niewłaściwym miejscu, obrywał zabłąkanym piorunem. A potem kapłani mówili: „No tak, wszyscy wiemy, co wyprawiają ci pasterze, prawda, a teraz bogowie się rozgniewali i przydałaby się nam większa świątynia, uprzejmie dziękujemy”.

– Typowe kapłańskie zachowanie – prychnął dziekan.

– Ale oni często w to wierzyli! – Bóg jęczał niemal. – To było takie przygnębiające. Myślę, że zanim stworzyliśmy ludzkość, gdzieś rozbił się model. W efekcie nadchodził front atmosferyczny, paru głupich pastuchów stało w nieodpowiedniej chwili nie tam gdzie trzeba, a potem, zanim się kto zorientował, wolne miejsca zostawały tylko na kamieniach ofiarnych, a przez dymy świata nie było widać. – Mocno dmuchnął we fragment chusteczki Myślaka, który dotąd pozostał suchy. – Owszem, próbowałem. Bóg mi świadkiem, że próbowałem, a że to ja, więc wiem, o czym mówię. „Będziesz Leżał Płasko podczas Burzy z Piorunami”, mówiłem. „Śmieci Wyrzucił Będziesz z Dala od Studni Swej”, mówiłem. I nawet im powiedziałem: „Starać się Będziecie Naprawdę Żyć w Zgodzie ze Sobą Wzajemnie”.

– I udało się?

– Trudno stwierdzić z całą pewnością. Wszystkich wybili wyznawcy boga z sąsiedniej doliny, który kazał im mordować każdego, kto w niego nie wierzy. Okropny typ, niestety.

– A te płomienne krowy? – przypomniał Ridcully.

– Co? – zachnął się bóg, pogrążony w żalu nad sobą.

– Bardziej łatwopalna krowa – wyjaśnił Myślak.

– A tak. Kolejny dobry pomysł, który nie przyniósł efektów. Pomyślałem sobie, że gdybym, powiedzmy, w dębie znalazł ten kawałek, który mówi „bądź palny”, i wkleił go do tego kawałka krowy, który mówi „bądź wilgotna”, zaoszczędziłbym wszystkim wielu kłopotów. Niestety, powstała pewna odmiana krzewu, która wydawała żalosne dźwięki i tryskała mlekiem. Widziałem jednak, że zasada jest słuszna. A że moi wyznawcy albo byli martwi, albo mieszkali już wtedy w sąsiedniej dolinie, pomyślałem sobie, że do demona z tym wszystkim, zamieszkam na wyspie, wezmę się za to porządnie i załatwię wszystko o wiele bardziej rozsądnie. – Poweselał nagle. – Nie macie pojęcia, co się uzyska, kiedy choćby zwykłą krowę rozłoży się na takie naprawdę małe kawałeczki.

– Zupełnie – mruknął Ridcully.

– Ponieważ, wcześniej czy później, wszystko jest tylko zestawem instrukcji – ciągnął bóg, najwyraźniej nie słuchając.

– To właśnie zawsze powtarzam! – ucieszył się Myślak.

– Powtarzasz? – Bóg przyjrzał mu się uważnie. – No, w każdym razie... Tak się to wszystko zaczęło. Pomyślałem, że lepszym pomysłem byłoby stworzenie istot, które mogą zmienić własny zestaw instrukcji, kiedy zajdzie potrzeba.

– Och, chodzi panu o ewolucję – odgadł Myślak Stibbons.

– Naprawdę? – Bóg zastanawiał się chwilę. – „Zmienność w czasie”... Tak, to całkiem dobre słowo, prawda? Ewolucja. Tak, chyba nią właśnie się zajmuję. Niestety, jakoś nie chce działać prawidłowo.

Coś puknęło obok niego. Nieduża roślinka zaowocowała. Strąk otworzył się, a wewnątrz było coś, co wyglądało na poskładaną jak chryzantema czystą białą chusteczkę.

– Widzicie? – spytał z goryczą. – Z czymś takim właśnie próbuję walczyć. Wszystko tu jest tak absolutnie samolubne...

Z roztargnieniem zerwał chusteczkę, wytarł nos, zmiął ją i rzucił na ziemię.

– Przepraszam za tę łódź – mówił dalej. – To była taka robota na szybko, rozumiecie. Nie chciałem, żeby ktoś tu coś popsuł, ale tak naprawdę nie wierzę w rażenie gromem, więc pomyślałem, że skoro chcecie odejść, powinienem wam pomóc zrobić to jak najszybciej. Sądzę, że w tych okolicznościach wyszła mi całkiem nieźle. Powinna automatycznie szukać nowego ładu. Więc dlaczego nie odpłynęliście?

– Ta całkiem goła dama z przodu wzbudziła pewne wątpliwości – odparł Ridcully.

– Ta... co? – Bóg spojrzał w stronę łodzi. – Te oczy nie są zbyt sprawne... Ojej, rzeczywiście... Figura. Znowu ten nieszczęsny rezonans morficzny.

Przestaniesz w końcu?

Roślina chusteczkowa wypuściła następny owoc. Bóg zmrużył oczy, wymierzył palec i spopielił ją.

Magowie jak jeden mąż cofnęli się o krok.

– Wystarczy, że na pięć minut przestanę się koncentrować, a wszystko tu traci wszelkie poczucie dyscypliny – irytował się bóg. – Wszystko próbuje stać się tak strasznie użyteczne! Nie mam pojęcia dlaczego.

– Przepraszam – wtrącił Myślak. – Czy ja dobrze zrozumiałem? Jest pan bogiem ewolucji?

– No... a nie można? – spytał nieco zdenerwowany bóg.

– Ale jak to... Ona dzieje się od wieków!

– Naprawdę? Przecież zacząłem ledwie parę lat temu! Chcesz powiedzieć, że jeszcze ktoś się nią zajmuje?

– Obawiam się, że tak. Ludzie hodują psy, żeby były groźniejsze, konie wyścigowe dla szybkości i... Nawet mój wujek potrafił dokonać niezwykłych rzeczy z orzechami...

– A wszyscy przecież wiedzą, że można rzekę skrzyżować z mostem, cha, cha – dodał Ridcully.

– Można? – zdziwił się całkiem poważnie bóg ewolucji. – Wydawało mi się, że w efekcie powstanie tylko bardzo wilgotne drewno. Och jej.

Ridcully mrugnął do Myślaka Stibbonsa. Bogowie często nie rozumieli żartów, a ten tutaj był nawet gorszy od nadrektora.

– Cofnęliśmy się w czasie, panie Stibbons – powiedział. – To mogło się jeszcze nie wydarzyć.

– Aha. No tak – zgodził się Myślak.

– Zresztą dwóch bogów ewolucji to wcale niezły pomysł, prawda? Byłoby o wiele ciekawiej. Ten lepszy by wygrywał.

Bóg przyglądał mu się z otwartymi ustami. Potem przymknął je na tyle, by powtórzyć pod nosem słowa Ridcully’ego. A następnie zniknął w obłoczku białych światełek.

– No, teraz to załatwiłeś – stwierdził wykładowca run współczesnych.

– Nie dostaniesz ciasta – oświadczył kwestor.

– Powiedziałem tylko, że wygra ten, kto będzie lepszy – bronił się Ridcully.

– Właściwie to nie wyglądał na zirytowanego – zauważył Myślak. – Raczej tak, jakby właśnie coś sobie uświadomił.

Ridcully popatrzył na niewielką górę pośrodku wyspy i najwyraźniej podjął decyzję.

– No dobrze, odpływamy – oznajmił. – Ta wyspa jest taka dziwaczna, bo jakiś stuknięty bóg tu majstruje. Jeśli o mnie chodzi, to wystarcza za wyjaśnienie.

– Ale nadrektorze... – zaczął Myślak.

– Widzi pan to nieduże pnącze, o tam, koło pierwszego prymusa? Rośnie dopiero od dziesięciu minut – powiedział dziekan.

Pnącze wyglądało jak mały ogórek, tyle że owoce miało podłużne i żółte.

– Proszę mi podać swój scyzoryk, panie Stibbons – poprosił Ridcully.

Przeciął owoc na połowy. Nie był jeszcze w pełni dojrzały, ale już dało się dostrzec wyraźny wzór różowych i żółtych kwadratów otoczonych warstwą czegoś lepkiego i słodkiego.

– Przecież ja pomyślałem o cieście nie więcej niż dziesięć minut temu! – zawołał pierwszy prymus.

– Jak dla mnie to absolutnie logiczne – stwierdził Ridcully. – Znaczący, jesteście tu my, magowie, kręcimy się dookoła, chcemy opuścić wyspę... Co ze sobą weźmiemy? Ktoś wie?

– Jedzenie, oczywiście – rzekł Myślak. – Ale...

– Właśnie! Gdybym to ja był rośliną, postarałbym się jak najszybciej stać bardzo użytecznym. Prawda? Nie ma sensu zwlekać przez najbliższe tysiąc lat i wypuszczać coraz większe nasiona. O nie! Inne rośliny mogą tymczasem wpaść na jakiś lepszy pomysł. Nie; widzisz okazję, to ją chwytasz! Następna łódź może się nie trafić przez lata!

– Milenia – poprawił go dziekan.

– Nawet dłużej – zgodził się Ridcully. – Przeżywa najszybszy, co? Proponuję więc, panowie, żebyśmy załadowali się i odbijali.

– Tak po prostu? – spytał Myślak.

– Pewnie. Dlaczego nie?

– Ale... ale... pomyślmy, czego możemy się tu nauczyć! Możliwości zapierają dech w piersiach! Wreszcie znalazł się bóg, który wziął się do tego jak należy! Wreszcie możemy uzyskać odpowiedzi na wszystkie ważne pytania! Moglibyśmy... możemy... Słuchajcie, nie można tak po prostu odpłynąć! To znaczy, nie odpływajmy! To znaczy... jesteście przecież magami, prawda?

Myślak zdawał sobie sprawę, że skupił na sobie ich całkowitą uwagę – a nie udawało się to często. Zwykle definiowali „słuchanie” jako okres, kiedy obmyśla się, co powiedzieć za chwilę. To było irytujące.

Czar prysnął. Pierwszy prymus pokręcił głową.

– Ciekawy sposób pojmowania zjawisk – stwierdził, odwracając się. – W takim razie... Głosuję za tym, żeby zabrać dużo tych serowych orzechów, nadrektorze.

– Dobre zaopatrzenie to klucz do udanej wyprawy – oświadczył dziekan. – Ale statek jest dość obszerny, więc nie musimy się ograniczać.

Po zwisającej wici Ridcully wciągnął się na pokład i pociągnął nosem.

– Pachnie trochę jak dynia – ocenił. – Zawsze lubiłem dynie. Bardzo użyteczne warzywa.

Myślak zasłonił dłonią oczy.

– Och, doprawdy? – rzucił ze znużeniem. – Grupa magów z Niewidocznego Uniwersytetu poważnie rozważa wyruszenie na morze w jadalnym statku?

– Smażona, gotowana, dobry materiał na zupę, no i oczywiście doskonała w ciastach – ciągnął z zadowoleniem nadrektor. – Także pestki to smaczna przekąska.

– Dobrze z masłem – dodał kierownik studiów nieokreślonych. – Pewnie nie ma tu nigdzie rośliny maślanej?

– Niedługo będzie – uspokoił go dziekan. – Proszę nam pomóc wejść, nadrektorze.

Myślak nie wytrzymał.

– Nie mogę uwierzyć! – zawołał. – Odwracacie się plecami od takiej oszałamiającej, zesłanej przez boga okazji...

– Oczywiście, panie Stibbons – odpowiedział z góry Ridcully. – Nie chcę pana urazić, ale jeśli do wyboru jest wyprawa przez słone głębiny i pozostanie na małej wysepce z kimś, kto próbuje stworzyć łatwopalną krowę, to może pan mnie nazywać Solonym Samem.

– Czy to tylny pokład? – zainteresował się dziekan.

– Mam nadzieję, że nie – odparł energicznie Ridcully. – Widzi pan, Stibbons...

– Na pewno? – spytał dziekan.

– Jestem przekonany, dziekanie. Widzi pan, Stibbons, kiedy zdobędzie pan

większe doświadczenie w takich sprawach, zrozumie pan, że nie istnieje nic bardziej niebezpiecznego niż bóg, który ma za dużo wolnego czasu...

– Oprócz rozwścieczonej niedźwiedzicy – wtrącił pierwszy prymus.

– Nie, oni są o wiele groźniejsi.

– Nie kiedy są bardzo blisko.

– Gdyby to był tylny pokład, to skąd byśmy wiedzieli? – nie ustępował dziekan.

Myślak pokręcił głową. Bywały takie chwile, gdy pragnienie wspinania się na kolejne szczeble thaumaturgicznej drabiny mocno przygasało – a należała do nich ta, kiedy widział, co go czeka na szczycie.

– Ja... Ja po prostu nie wiem, co powiedzieć – rzekł. – Jestem zwyczajnie zdumiony!

– Bardzo dobrze, chłopcze. Pobiegnij więc może i przynieś trochę bananów, co? Te zielone dojrzeją. I nie bądź taki zdenerwowany. Jeśli chodzi o bogów, to tych z brygady „stwórz ich z gliny i poraż gromem” mógłbym spotykać choćby codziennie. Z takimi można sobie radzić.

– Całkiem podobni do ludzi... – uzupełnił dziekan.

– Otóż właśnie.

– Możecie mówić, że grymaszę – wtrącił kierownik studiów nieokreślonych – ale wolę nie kręcić się w pobliżu boga, który może nagle uznać, że szybciej pobiegnę z trzema dodatkowymi nogami.

– Właśnie. Nie zgadza się pan z tym, Stibbons? Och, gdzieś poszedł. Co tam, z pewnością wróci. I... dziekanie!

– Tak, nadrektorze?

– Nie mogę powstrzymać podejrzenia, że szykuje pan jakiś obrzydliwy dowcip o tylnym pokładzie. Wolałbym go nie poznawać, jeśli to panu nie

przeszkadza. Dziękuję.

– Dofrze się czujesz, koleś?

Chyba jeszcze nikt na świecie nie ucieszył się tak bardzo na widok krokodyla Krokodyla. Rincewind pozwolił postawić się na nogi. Wbrew oczekiwaniom, jego ręka nie była sina i trzy razy większa niż normalnie.

– Przeklęty kangur – wymamrotał i wykorzystał rękę do odpędzenia wiecznych much.

– O jakim kangurze mówisz, koleś? – zdziwił się krokodyl, prowadząc go z powrotem do baru.

Rincewind rozejrzał się. Wokół widział tylko normalne składowe miejscowego krajobrazu: suche z wyglądu krzaki, czerwoną ziemię i miliony krążących much.

– Tym, z którym dopiero co rozmawiałem.

– Właśnie zamiatałem i zofaczyłem cię, jak skaczesz i wrzeszczysz – rzekł Krokodyl. –

Żadnego kangura nie widziałem.

– Bo to był pewnie magiczny kangur – stwierdził ze znużeniem Rincewind.

– Jasne, magiczny kangur. Nie ma zmartwienia. Może lepiej ci przyrządzę lekarstwo na za dużo wypitego piwa?

– A jakie to lekarstwo?

– Więcej piwa.

– To ile wypilem zeszłej nocy?

– Fędzie jakieś dwadzieścia kufli.

– Nie żartuj, nikt nie jest w stanie nawet zmieścić takiej ilości!

– No, większej jego części wcale w sofie nie trzymałeś, koleś. Nie ma zmartwienia. Lufimy tu kolesiów, którzy nie potrafią utrzymać piwa.

W cuchnącym bagnisku Rincewindowego mózgu operator projektora założył rolę numer dwa. Zamigotały wspomnienia. Rincewind zadrżał.

– Czy ja... śpiewałem piosenkę? – zapytał.

– Jak ślag. Pokazywałeś ręką na plakat piwa Gur i śpiewałeś... – Wielkie szczęki Krokodyla poruszyły się, gdy usiłował sobie przypomnieć. – „Zwiążcie mi tego kangura”. Dofra piosenka.

– A potem...

– Potem straciłeś cały szmal, fo grałeś w „dwie do góry” z ekipą postrzygaczy Daggy’ego.

– To jest... Ja... Chodzi o te dwie monety, ktoś je podrzuca i trzeba... no, trzeba obstawiać, jak opadną?

– Właśnie. A ty fez przerwy ofstawiałeś, że wcale nie spadną. Mówiłeś, że wcześniej czy później tak fędzie. Ale miałeś niezłe przeficia.

– Straciłem wszystkie pieniądze, które dostałem od Mada?

– No.

– To czym płaciłem za swoje piwo?

– Och, kolesie stali w kolejce, żefy ci kupić kufelek. Mówili, że jesteś lepszy niż dzień na wyścigach.

– A potem... było coś o owcach... – Rincewind był teraz naprawdę przerażony. – Och, nie!

– O tak. Powiedziałeś: „Te stare farany, dolara za zrobienie takiemu fryzury? Ja fym takie strzyżonko załatwił z zamkniętymi oczami, nie ma co, nie ma piekielnego zmartwienia dla pół faru, niech to ślag, na fogów, niezłe to piwo...”.

– O bogowie... Ktoś mi przyłożył?

– Nie, koleś. Uznali, że niezły z ciebie gość, zwłaszcza kiedy się założyłeś o pięćset golców, że pofijesz ich fossa w strzyżeniu.

– Nie mogłem tego zrobić. Nigdy się nie zakładam!

– A ja tak i jakbyś chciał się zwinąć, nie dałym ani miedziaka za twoje szanse, Rinso.

– Rinso? – powtórzył słabym głosem Rincewind. Spojrzał na swój kufel. – Co w tym jest?

– Twój koleś Mad mówił, że jesteś ważnym magiem i zafijas ludzi, pokazując ich palcem i wrzeszcząc – rzekł Krokodyl. – Chętnie fym coś takiego zofaczył.

Rincewind rozejrzał się rozpaczliwie i jego spojrzenie padło na plakat piwa Gur. Ukazywał parę tych bezsensownych tutejszych drzew, wypaloną czerwoną ziemię i... nic więcej.

– E...?

– Co jest? – zdziwił się Krokodyl.

– Co się stało z kangurem? – spytał chrapliwie Rincewind.

– Jakim kangurem?

– Wczoraj w nocy na tym plakacie był kangur... Był?

Krokodyl przyjrzał się plakatowi.

– Lepiej mi idzie na niucha – stwierdził w końcu. – Ale muszę przyznać, że pachnie, jakfy go nie fyło.

– Dzieje się tu coś bardzo dziwnego. To bardzo dziwna kraina.

– Mamy operę – poinformował Krokodyl. – To szycie kulturalne.

– I dziewięćdziesiąt trzy słowa na określenie wymiotów?

– No, nify... Jesteśmy tu ludźmi fardzo... wokalnymi.

– Naprawdę postawiłem pięćset... co to było?

– Golców.

– ...goleców, których nie mam?

– No.

– Więc pewnie mnie zabiją, jak przegram, co?

– Nie ma zmartwienia.

– Chciałbym, żeby wszyscy przestali to powtarzać.

Znowu zerknął na plakat.

– Ten kangur wrócił!

Krokodyl odwrócił się niezgrabnie, podszedł do ściany i obwąchał plakat.

– Możliwe – przyznał ostrożnie.

– I patrzy w drugą stronę!

– Nie przejmuj się, koleś – uspokoił go wyraźnie zatroskany Krokodyl Dongo.

Rincewind zadrżał.

– Masz rację – powiedział. – To ten upał i muchy tak na mnie działają. Na pewno.

Dongo nalał mu kolejne piwo.

– Wiesz, piwo jest dobre na upał – zapewnił. – Ale z muchami już nic nie

mogę zrofić.

Rincewind zaczął kiwać głową, lecz znieruchomiał. Po chwili zdjął kapelusz i przyjrzał mu się krytycznie. Potem pomachał dłonią przed twarzą, chwilowo przemieszczając kilka much.

Wreszcie z namysłem popatrzył na rząd butelek.

– Masz jakiś sznurek? – zapytał.

Po kilku eksperymentach i lekkim wstrząsie Dongo wyraził opinię, że lepiej będzie z samymi korkami.

Bagaż był zagubiony. Zwykle potrafił odnaleźć drogę z dowolnego punktu w przestrzeni i czasie. Kiedy jednak próbował tego w tej chwili, czuł się jak ktoś, kto usiłuje zachować równowagę na dwóch ruchomych chodnikach sunących w przeciwne strony – po prostu nie mógł sobie poradzić. Wiedział, że bardzo długo tkwił pod ziemią, ale wiedział również, że tkwił pod ziemią jakieś pięć minut.

Nie miał mózgu jako takiego, chociaż ktoś obcy mógłby odnieść wrażenie, że myśli. W rzeczywistości reagował tylko, choć w bardzo złożony sposób, na bodźce otoczenia. Na ogół polegało to na znalezieniu kogoś, żeby go kopnąć, tak jak to się dzieje u większości istot rozumnych.

W chwili obecnej maszerował zakurczonym traktem. Od czasu do czasu trząsał wiekiem na muchy, jednak bez wielkiego entuzjazmu. Powłoka z opalu lśniła w blasku słońca.

– Oaaa! Czy nie jest śliczna? Wy dwie, dajcie ją tutaj!

Nie zwrócił uwagi na jaskrawy i kolorowy wóz, który zatrzymał się kawałek dalej. Na pewnym poziomie zdawał sobie może sprawę, że jacyś ludzie wysiedli z niego i mu się przyglądają. Jednak nie stawiał oporu, kiedy najwyraźniej podjęli decyzję, podnieśli go i ułożyli na wozie. Nie wiedział, dokąd powinien ruszyć, a że nie wiedział także, dokąd zmierza ten wóz, istniała szansa, że dostarczy go na miejsce.

Kiedy znalazł się wewnątrz, odczekał dobrą chwilę, po czym zbadał otoczenie. Znalazł się obok licznych innych kufrów i walizek, co było pocieszające. Po pięciu minutach spędzonych pod ziemią od milionów lat, Bagaż uważał, że należy mu się trochę przyjemności.

Nie opierał się nawet, gdy ktoś otworzył mu wieko i wsypał do wnętrza buty. Całkiem duże buty, jak zauważył, wiele z nich z interesującymi obcasami i pomysłowymi rozwiązaniami z jedwabiu i cekinów. Były to najwyraźniej damskie buty. To dobrze, pomyślał Bagaż (albo odczuł, albo zareagował). Damy zwykle prowadzą spokojniejsze życie.

Fioletowy wóz ruszył dalej. Z tyłu miał nierówno wymalowane słowa: Petunia, Księżniczka Pustyni.

Rincewind patrzył w skupieniu na nożyce, którymi wymachiwał postrzygacz. Wyglądały na ostre. – Wiesz, co tu robimy z takimi, którzy się wycofują z zakładu? – zapytał Daggy, szef grupy.

– Ale... byłem pijany.

– My też. I co z tego?

Rincewind spojrzał w stronę owczych zagród. Wiedział oczywiście, co to są owce, i przy licznych okazjach miał z nimi bezpośredni kontakt, choć zwykle w towarzystwie rozmaitych jarzyn. Miał nawet pluszową małą owieczkę, jeszcze w dzieciństwie. Jednak w owcach jest coś przerażająco niesympatycznego, rodzaj obłąkanego, przewracającego oczami bezmózgowia cuchnącego wilgotną wełną i paniką... Wiele religii wynosi zalety pokornych, ale Rincewind nigdy im nie ufał. Pokorni potrafią czasem zachować się bardzo wrednie.

Z drugiej strony... były porośnięte wełną, a nożyce wyglądały na bardzo ostre. Jak trudne może się to okazać? Osobisty radar podpowiadał mu, że próbować i przegrać jest zapewne o wiele mniejszą zbrodnią, niż nie próbować wcale.

– Mogę zrobić próbny przebieg? – zapytał.

Wyciągnięto owcę z zagrody i ciśnięto przed nim na ziemię.

Rincewind rzucił Daggy’emu coś, co – miał nadzieję – było uśmiechem jednego fachowca do drugiego, ale uśmiechanie się do Daggy’ego przypominało raczej ciskanie bezami w ścianę urwiska.

– Ehm... Mogę dostać krzesło, ręcznik, dwa lustra i grzebień? Intensywna podejrzliwość we wzroku Daggy’ego jeszcze się pogłębiła.

– Po co ci to wszystko?

– Powinienem to załatwić jak należy, prawda?

Z daleka, niewidoczny dla nikogo, w głębi szopy dla owiec, na wyblakłych od słońca deskach zaczął się formować zarys kangura. A potem białe linie popłynęły po drewnie niczym pasemka chmur na czystym niebie i kształt zaczął się zmieniać...

Rincewind już od bardzo dawna nie strzygł się porządnie, ale wiedział, jak to powinno wyglądać. – No więc... Była pani w tym roku na wakacjach? – zapytał, przycinając wełnę.

– Mnaaarrhh!

– A co pani powie na tę pogodę? – ciągnął rozpaczliwie.

– Mnaaarrhh!

Owca nawet nie próbowała się bronić. Była już stara, miała mniej zębów niż kopyt i w bardzo ograniczonej głębi swego niezwykle płytkiego umysłu wiedziała, jak wygląda strzyżenie. Strzyżenie powinno być krótką walką zakończoną cudownie chłodną wolnością z powrotem na wybiegu. Nie powinno obejmować badawczych pytań o to, co myśli o pogodzie albo czy życzy sobie czegoś specjalnego na weekend. Tym bardziej że nie miała pojęcia o żadnych skojarzeniach ze słowem „weekend” ani – jeśli już o tym mowa – ze słowem „czegoś”. A ludzie nie powinni chlapać jej do ucha wodą lawendową.

Postrzygacze patrzyli w milczeniu. Zebrał się spory tłumek gapiów,

ponieważ obeszli okolicę

i sprowadzili tu wszystkich. W głębi duszy wiedzieli, że zobaczą coś, o czym będą mogli opowiadać wnukom.

Rincewind cofnął się, spojrzał krytycznie na swoje dzieło, po czym w lustrze pokazał owcy tył jej głowy. W tym momencie zwierzę nie wytrzymało, zdołało poderwać się na nogi i pognało do zagrody.

– Hej! Zaczekaj, aż zdejmę ci wałki! – krzyknął za nią Rincewind.

Zdał sobie sprawę z obecności przyglądających mu się postrzygaczy. Po chwili jeden z nich odezwał się ze zdumieniem:

– Tak się strzyże owce tam, skąd pochodzisz?

– Ehm... A coście myśleli?

– Trochę wolno, nie?

– A jak szybko miałem pracować?

– Nooo... Daggy ostrzygł prawie pięćdziesiąt w godzinę. I to musisz pobić, jasne? Żadnych fikuśnych bajerów. Na krótko z przodu, z tyłu, od góry i po bokach.

– Chociaż – dodał tęsknie inny postrzygacz – pięknie ta owca wyglądała.

W zagrodach owiec rozległy się głośnie meczenia.

– Gotów na prawdziwą robotę, Rinso? – spytał Daggy.

– Na bogów, co to jest?! – zawołał nagle któryś z jego kumpli.

Ogrodzenie rozpadło się z trzaskiem. W wyrwie stanął baran, potrząsając łbem, by pozbyć się z rogów odłamków słupa. Para unosiła mu się z nozdrzy.

Większość tego, co kojarzyło się Rincewindowi z owcami – poza sosem zwykłym i miętowym – miała wiele wspólnego z... no, ze zbaranieniem. Ale

ten baran był prawdziwym trykiem i Rincewind nagle przypomniał sobie, co oznacza słowo „trykać”. Baran drapał racicą ziemię. Był o wiele większy od przeciętnej owcy. Wydawał się wręcz przesłaniać Rincewindowi całą przyszłość.

– To nie mój! – zawołał właściciel stada.

Daggy włożył Rincewindowi do ręki nożyce i klepnął go w plecy.

– Należy do ciebie, koleś – powiedział, cofając się. – Jesteś tu, żeby nam pokazać, jak się to robi, nie?

Rincewind spojrzał na swoje stopy – nie poruszały się. Tkwiły jak przymocowane do ziemi.

Baran zbliżył się; parsknął i patrzył na Rincewinda przekrwionymi ślepiami.

– No dobra – szepnął, kiedy był już całkiem blisko. – Ty tylko pracuj nożycami, a owce załatwią resztę. Nie ma zmartwienia.

– To ty? – zdumiał się Rincewind, zerkając na daleki krąg widzów.

– Ha, niezły jesteś. Gotów? Zrobią to, co ja robię. Są przecież jak stado owiec, nie?

Postrzygacze patrzyli na wodospad wełny.

– Nieczęsto widuje się coś takiego – zauważył jeden z nich. – Żeby tak stawały na głowach...

– Gwiazdy też nieźle robią – dodał inny, zapalając fajkę. – Znaczy się, jak na owce...

Rincewind starał się tylko trzymać nożyce. Zdawało się, że żyją własnym życiem. Owce rzucały się na ostrza, jakby naprawdę im się spieszyło, żeby mieć na sobie coś wygodniejszego. Wełna zwijała mu się wokół kostek, potem kolan, sięgnęła powyżej pasa... A potem nożyce cięły tylko powietrze i skwierczały cicho, gdy stygły.

Kilkadziesiąt oszołomionych owiec przyglądało mu się bardzo podejrzliwie. Podobnie jak postrzygacze.

– Ehm... Zaczęliśmy już zawody? – zapytał.

– Właśnie ostrzygłeś trzydzieści owiec w dwie minuty! – wrzasnął Daggy.

– To dobrze?

– Dobrze? Nikt nie robi w dwie minuty trzydziestu owiec!

– Bardzo mi przykro, ale szybciej nie potrafię.

Postrzygacze zbili się w ciasną gromadkę. Tryk gdzieś zniknął. Wreszcie coś ustalono. Postrzygacze zbliżyli się do Rincewinda w ten ostrożny, niepewny sposób ludzi, którzy usiłują równocześnie iść do przodu i trzymać się z tyłu. Daggy wyszedł naprzód, ale tylko relatywnie. W rzeczywistości jego koledzy, wszyscy naraz, bez żadnej dyskusji, w zgodnej choreografii przezorności zrobili krok do tyłu.

– Dzi-dobry – zaczął nerwowo.

Rincewind pomachał do niego przyjaźnie i dopiero po chwili uświadomił sobie, że wciąż trzyma nożyce. Daggy o nich nie zapomniał.

– Ehm... Nie mamy pięciuset golców, dopiero jak nam zapłacą...

Rincewind nie był pewien, jak to potraktować.

– Nie ma zmartwienia – powiedział. To zwykle załatwiało większość kwestii.

– ...więc gdybyś, szefuniu, był tu jeszcze...

– Chcę się jak najszybciej dostać do Rospyepsh – oświadczył Rincewind.

Daggy wciąż się uśmiechał, ale odwrócił się i znowu rozpoczął szybką naradę z resztą postrzygaczy. Po chwili wrócił.

– ...moglibyśmy pewnie sprzedać parę rzeczy...

– Właściwie to nie zależy mi na pieniądzach – oznajmił głośno Rincewind. – Pokażcie mi tylko, w którą stronę do Rospyepsh. Nie ma zmartwienia.

– Nie chcesz forsy?

– Nie ma zmartwienia.

Znowu narada. Rincewind dosłyszał wygłoszoną szeptem uwagę: „I niech się stąd wynosi, byle zaraz”. Daggy się odwrócił.

– Mam konia, możesz go wziąć – powiedział. – Wart jest golca czy dwa.

– Będzie dobrze. Nie ma zmartwienia.

To była zadziwiająca fraza. Praktycznie rzecz biorąc, magiczna sama w sobie. Po prostu... sprawiała, że wszystko stawało się lepsze. Rekin odgryzł ci nogę? Nie ma zmartwienia. Poparzyła cię meduza? Nie ma zmartwienia! Jesteś trupem? Będzie dobrze, nie ma zmartwienia. Co dziwne, to chyba działało.

– Nie ma zmartwienia – powtórzył.

– Taki koń na pewno wart jest golca czy dwa – zapewnił jeszcze raz Daggy.

– Właściwie to koń wyścigowy, jak ślag.

Ktoś w grupie postrzygaczy parsknął drwiąco.

– Nie ma zmartwienia? – rzucił Rincewind.

Przez chwilę Daggy wyglądał, jakby rozważał ideę, że może koń wart jest więcej niż pięćset golców, ale Rincewind wciąż jakby sennie trzymał nożyce, więc zrezygnował.

– Dojedziesz do Rospyepsh raz-dwa na takim koniu – powiedział.

– Nie ma zmartwienia!

Kilka minut później nawet dla niedoświadczonego oka Rincewinda stało się jasne, że choć można się ścigać z tym koniem, jednak nie byłoby rozsądne

ściganie się na nim z innymi. A przynajmniej z żywymi. Zwierzak był brunatny, krępy, z wielką strzechą grzywy i kopytami rozmiaru talerzy. Miał najkrótsze nogi, jakie Rincewind w życiu widział u czegokolwiek z siodłem. Aby z niego spaść, trzeba by najpierw wykopać dół w ziemi. Wydawał się idealny. Był akurat koniem w typie Rincewinda.

– Nie ma zmartwienia – powiedział Rincewind. – Chociaż... jest jedno małe zmartwienie...

Rzucił nożyce. Postrzygacze cofnęli się o krok.

Podszedł do zagrody i przyjrzał się ziemi zrytej racicami owiec. Potem obejrzał tył szopy. Przez chwilę był niemal pewien, że widzi tam zarys sylwetki kangura...

Postrzygacze zbliżyli się do niego ostrożnie, kiedy zaczął walić w wyblakłe deski i krzyczeć:

– Wiem, że tu jesteś!

– Ehm... To jest coś, co nazywamy drewnem – powiedział Daggy. – Drewno – dodał dla ciężko myślących. – Z niego jest ściana.

– Widzieliście, jak kangur wszedł w tę ścianę? – zapytał Rincewind.

– Nie my, szefie.

– Był wtedy baranem! – dodał Rincewind. – Znaczący, normalnie jest kangurem, ale mogę przysiąc, że zmienił się w tego barana!

Postrzygacze niepewnie przestępowali z nogi na nogę.

– Chyba nie masz zamiaru opowiadać o wełnianej kangurce, co? – zapytał jeden bojaźliwie.

– Co? A po co komu tutaj kurtki, choćby i z kieszeniami?

– Przynajmniej tyle dobrze – mruknął niski postrzygacz.

– Wiecie, on cały czas to robi – powiedział Rincewind. – Od razu pomyślałem, że z tym plakatem piwa jest coś nie tak.

– A może coś było nie tak z samym piwem?

– Nie mam ochoty dłużej znosić tych kangurzych nonsensów. Jadę do domu. Gdzie jest koń?

Stał tam, gdzie go zostawili. Rincewind kiwnął na niego palcem.

– I bez gadania! – rozkazał, przerzucając nogę nad grzbietem.

Doprowadziło to jedynie do tego, że stał teraz nad koniem. Był pewien, że gdzieś pod zwisającą grzywą coś prychnęło.

– Musisz tak jakby oklapnąć – poradził Daggy. – A potem jakby podnieść trochę nogi.

Rincewind posłuchał. Przypominało to siedzenie w fotelu.

– Jesteś pewien, że to koń?

– Wygrałem go w „dwie do góry” od takiego zioma z Goolalah. Musi być twardy, bo pochodzi z gór. Specjalnie je hodują, żeby pewnie chodziły. Mówił, że nie spadnie z niczego.

Rincewind pokiwał głową. Koń w sam raz dla niego, nie ma co. Spokojny i niezawodny.

– Którędy do Rospyepsh?

Wskazali kierunek.

– Dobrze. Dziękuję. Ruszaj... Jak ten koń ma na imię?

Daggy zastanawiał się przez chwilę, nim odpowiedział.

– Śnieżek.

- Dlaczego Śnieżek? To dość dziwne imię dla konia.
- Bo... miałem kiedyś psa i nazywał się Śnieżek.
- Pewnie. To ma sens. Sens tutaj, w każdym razie. Tak myślę. Zatem... Do widzenia.

Postrzygacze patrzyli, jak odjeżdża, co przy tempie Śnieżka zajęło sporo czasu.

- Musieliśmy się go pozbyć – stwierdził Daggy. – Raz-dwa posłałby nas wszystkich na zasilek.

- Dlaczego mu nie powiedziałeś o spadomisiach po drodze? – spytał któryś z zebranych.

- Jest magiem, nie? Sam się dowie.

- Tak, ale dopiero wtedy, kiedy te dranie spadną mu na głowę.

- Tak najszybciej – uznał Daggy.

- Daggy...

- No?

- Mówiłeś, że jak długo masz tego konia?

- Od wieków. Wygrałem go od jednego zioma.

- Tak?

- Tak.

- No tak...

- Co jest?

- Tylko że... Czy zawsze go miałeś od wieków pół godziny temu?

Daggy'emu zmarszczki przecięły szerokie czoło. Zdjął kapelusz i przetarł je ramieniem. Popatrzył na znikającego konia, potem na szopy, wreszcie na kolegów. Kilka razy zaczynał coś mówić, ale zamykał usta, zanim padło pierwsze słowo, a potem znów rozglądał się dookoła.

– Do demona, wszyscy przecież wiecie, że mam go od wieków, zgadza się? – zapytał.

– Zgadza.

– Od wieków.

– Wygrałem od zioma.

– Racja. Tak. Musiało tak być.

Pani Whitlow siedziała na kamieniu i rozczesywała włosy. Właśnie wtedy, kiedy ich potrzebowała, krzew wypuścił kilka gałązek z rzędami tępych, gęsto ustawionych cierni.

Duża, różowa i bardzo czysta, odpoczywała nad wodą na podobieństwo wzmocnionej syreny. Ptaki śpiewały wśród drzew. Połyskujące chrząszcze śmigały tam i z powrotem nad powierzchnią jeziora.

Gdyby pierwszy prymus był tu obecny, ktoś mógłby zeskrobać go i wynieść w wiadrze.

Pani Whitlow nie czuła się w żaden sposób zagrożona. W końcu magowie kręcili się w pobliżu. Odrobine ją martwiło, że służące rozleniwia się pod jej nieobecność, ale mogła cieszyć się z góry, że po powrocie zmieni ich życie w piekło na Dysku. Myśl, że nigdy nie wróci, nawet nie przyszła jej do głowy.

Wiele myśli nigdy nie przychodziło do głowy pani Whitlow. Już bardzo dawno temu uznała, że w ten sposób świat wydaje się o wiele miłszy.

Miała bardzo uproszczone poglądy na obce strony, a przynajmniej te bardziej odległe niż dom jej siostry w Quirmie, gdzie co roku spędzała tydzień urlopu. Zamieszkiwali je ludzie, których trzeba było raczej żałować, niż potępiać, ponieważ tak naprawdę byli jak dzieci* [* Inaczej mówiąc, w głębi serca

uważała ich za złośliwych, samolubnych i niegodnych zaufania.]. I zachowywali się jak dzikusy* [* I znowu – kiedy osoby podobne do pani Whitlow używają tego określenia, z jakiegoś niejasnego powodu nie starają się zasugerować, że określani tak ludzie posiadają bogatą, przekazywaną ustnie tradycję, złożony plemienny system praw oraz żywią głęboki szacunek dla duchów przodków. Chodzi raczej o zachowania kojarzone zwykle – co dziwne – z ludźmi ubranymi od stóp do głów, często w odzież z takimi samymi emblematami.]. Z drugiej strony jednak okolica jej się podobała, było ciepło i nic bardzo brzydko nie pachniało. Zdecydowanie odczuwała dobroczynne efekty, jak sama by to określiła.

Aby nie precyzować tego zbyt dokładnie, pani Whitlow zrezygnowała z noszenia gorsetów.

Obiekt, który pierwszy prymus uparcie nazywał melonowym statkiem, okazał się doprawdy imponujący – co przyznał nawet dziekan.

Pod pokładem znajdowała się spora przestrzeń, ciemna, o żyłkowanych ścianach, wyłożona wypukłymi czarnymi płytami, podobnymi do gigantycznych ziaren słonecznika.

– Łodziowe nasiona – stwierdził Ridcully. – Pewnie stanowią dobry balast. Pierwszy prymusie, proszę nie jeść ścian, jeśli można...

– Pomyślałem, że przyda się większa kabina – wyjaśnił pierwszy prymus.

– Kabina tak, gabinety nie – rzucił Ridcully i podciągnął się z powrotem na pokład.

– Ahoj, załoga! – huknął dziekan, rzucił na pokład kiść bananów i wdrapał się za nią.

– Całkiem słusznie. Jak się pływa tym warzywem, dziekanie?

– Och, Myślak Stibbons zna się na takich sprawach.

– A gdzie on jest?

– Nie poszedł przypadkiem, żeby nazbierać bananów?

Spojrzeni na plażę, gdzie kwestor układał stosy wodorostów.

– Wydawał się trochę... zdenerwowany – zauważył Ridcully.

– Nie rozumiem czemu.

Ridcully spojrzał na lśniąca w słońcu centralną górę.

– Mam nadzieję, że nie zrobiłby czegoś nierozsądnego... – powiedział.

– Nadrektorze, Myślak Stibbons jest w pełni wyszkolonym magiem! – rzekł dziekan.

– Dziękuję za tę zwięzłą i stanowczą wypowiedź, dziekanie. – Ridcully zajrzał do kabiny. – Pierwszy prymusie! Idziemy szukać Stibbonsa. Przy okazji przyprowadzimy też panią Whitlow.

Spod pokładu rozległ się rozpaczliwy krzyk.

– Pani Whitlow! Jak mogliśmy o niej zapomnieć?

– W twoim przypadku, prymusie, jedynie dzięki lodowatej kąpieli.

Jak na konia, ten poruszał się wolno. Biegł naprzód spokojnie, w stylu „mógłbym tak przez cały dzień”, wyraźnie sugerując, że kto chciałby zmusić go do szybszego tempa, musiałby zepchnąć go z urwiska. Szedł dość dziwnym krokiem, trochę szybszym od stępa, ale wolniejszym od kłusa. Efektem były lekkie, rozsynchronizowane bezwładnością wstrząsy każdego organu ciała, co sprawiało, że wszystko w Rincewindzie odbijało się od wszystkiego innego. W dodatku kiedy tylko zapomniał się na chwilę i opuszczał nogi, koń biegł dalej bez niego; musiał wtedy wyprzedzać go, stawać jak bramka w krokiecie i czekać, aż zwierzak go dogoni.

Jednak Śnieżek nie gryzł, nie wierzgał, nie tarzał się ani nie galopował po wariacku, które to cechy Rincewind kojarzył dotychczas z końmi. Kiedy zatrzymali się na noc, zwierzak oddalił się nieco i zjadł krzak pokryty liśćmi o grubości, zapachu i pozornej jadalności linoleum.

Obozowali obok czegoś, co – jak Rincewind słyszał – nazywano billybongiem, a co było tylko kręgiem zdeptanej ziemi z malutką kałużą wody pośrodku. Zielone i niebieskie ptaszki siedziały dookoła i ćwierkały radośnie w blasku zachodzącego słońca. Uciekły, gdy Rincewind położył się, by się napić, i narzekały na niego głośno z gałęzi drzew.

Kiedy usiadł, jeden z nich wylądował mu na palcu.

– Kto tu jest ślicznym ptaszkiem? – spytał Rincewind.

Ćwierkania ucichły. Na gałęziach ptaki spoglądały po sobie ze zdziwieniem. W ich małych łebkach nie było zbyt wiele miejsca na nowe idee, ale jedna właśnie się pojawiła.

Słońce z wolna opadło do horyzontu. Rincewind bardzo ostrożnie pogrzebał w spróchniałej kłodzie; znalazł kanapkę z szynką i talerz parówek koktajlowych.

Na drzewach papużki faliste zbiły się w stadko. Jedna z nich powiedziała bardzo cicho:

– Kto...

Rincewind się położył. Nawet muchy były tylko denerwujące. Jakieś owady zaczęły brzęczeć w krzakach. Śnieżek podszedł i napił się z kałuży z takim odgłosem, jaki wydaje uszkodzona pompa ssąca, która usiłuje poradzić sobie z pechowym żółwiem.

Mimo to było bardzo spokojnie.

Rincewind usiadł wyprostowany. Wiedział, co zaraz się zdarzy, kiedy wszystko wydaje się bardzo spokojne.

W mroku wśród gałęzi papużka wymamrotała cicho:

– ...sicz’y ptasz...?

Odprężył się, ale tylko trochę.

– ...ss sicznyy paszk...?

Nagle ptaki zamilkły.

Zatrzeszczała gałąź.

Spadomiś... spadł.

Był bliskim krewniakiem koali, choć niewiele z tego wynika. W końcu najbliższy krewniak zwykłego słonia ma rozmiar i kształt królika. U spadomisia najbardziej interesującą cechą jest jego szeroki zad, gruby i miękki, by zmaksymalizować skutki uderzenia dla ofiary, a zminimalizować dla misia. Uderzenie zwykle ofiarę ogłusza, po czym misie mogą zebrać się przy niej i pożywić. Jest to znakomita metoda polowania, gdyż pod innymi względami budowa spadomisiów nie pozwala im raczej na funkcjonowanie w roli groźnych drapieżników. Zatem doprawdy bardzo nieszczęśliwym dla siebie zbiegiem okoliczności ten konkretny spadomiś postanowił tej nocy spaść na człowieka, który mógłby mieć wypisane na czole OFIARA, ale miał także wypisane na kapeluszu słowo „Maggus”, a co ważniejsze, kapelusz ten był spiczasty.

Rincewind poderwał się na nogi i zderzył z kilkoma drzewami, trzymając oburącz rondo i usiłując zdjąć kapelusz z głowy. Udało mu się w końcu i wtedy zobaczył misia z wyjątkowo

ogłupiałą miną. Strzepnął go natychmiast w krzaki. Wokół rozbrzmiewały głucho uderzenia, gdy inne spadomisie, zdezorientowane rozwojem wydarzeń, spadały na ziemię i odbijały się bezładnie.

Papuzki na drzewach się przebudziły. Prosty przekaz miał już dość czasu, by przebić się do ich komórek mózgowych, więc krzyknęły:

– Kto tu jesss sicznym taszkiem?

Wirujący szaleńczo spadomiś świsnął Rincewindowi przed twarzą. Rincewind wrzasnął i pognął do Śnieżka, lądując okrakiem na końskim grzbiecie, a raczej tam, gdzie znalazłby się ów grzbiet, gdyby koń był wyższy. Śnieżek posłusznie ruszył swym nierytmicznym truchtem w

ciemność. Rincewind spojrzał w dół, zaklął i pobiegł za nim.

Po chwili trzymał się już mocno grzywy, a koń sunął jak mała maszyna, zostawiając z tyłu turlające się spadomisie. Nie zwalniał, dopóki nie odjechali spory kawałek szlakiem i nie znaleźli się między krzakami niższymi niż on. Dopiero wtedy Rincewind zsunął się na ziemię.

Co za przeklęty kraj!

W mroku zatrzepotały skrzydełka i nagle krzak obsiadły małe ptaszki.

– Ko tuu jess śliczym paszkiem?

Rincewind machał na nie kapeluszem i wrzeszczał trochę, by się uspokoić. Nie pomagało. Papużki wyraźnie traktowały to jak zabawę.

– Spieszajcie! – skrzeczały.

Rincewind zrezygnował, kilka razy tupnął w ziemię i spróbował zasnąć.

Obudził go głośny dźwięk – taki wydawałby pewnie osioł przecinany piłą na połowy. Było to coś w rodzaju rytmicznego wrzasku bólu, pełnego cierpienia i rozpacz; budził mrowienie w zębach świata.

Rincewind ostrożnie wysunął głowę ponad krzakiem.

Wiatrak obracał się na wietrze, kierując w tę i tamtą stronę, kiedy przypadkowe podmuchy uderzały w jego płetwę ogonową.

Rincewind widział już więcej takich, rozrzuconych po okolicy. Myślał wtedy: Skoro cała woda jest pod ziemią, to całkiem niezły pomysł...

U podstawy wiatraka kręciło się stadko owiec. Kiedy podchodził, nie rozbiegły się, ale obserwowały go czujnie. Po chwili zrozumiał dlaczego – koryto pod pompą było puste. Wiatrak kręcił się, wydając swe żalosne zgrzyty, ale z rury nie ciekła woda.

Spragnione owce patrzyły na Rincewinda z nadzieją.

– Eee... Czego się na mnie gapicie? – burknął. – Jestem magiem, a my, magowie, nie jesteście specjalistami od maszyn.

Nie, ale powinniśmy być specjalistami od magii, odezwał się oskarżycielski głos w jego umyśle.

– Sprawdzę, może coś się obłuzowało – mruknął. – Albo co...

Ponaglany wyczekującymi spojrzeniami owiec, wspiał się na rozklekotaną wieżę, usiłując wyglądać fachowo. Wydawało się, że wszystko jest na miejscu, tyle że mechaniczny jęk rozbrzmiewał głośnie.

– Nie widzę...

Wewnątrz konstrukcji pękło nagle coś udręczonego poza granice wytrzymałości. Zadygotała, a wiatrak zawirował swobodnie, ciągnąc odłamany pręt, który z każdym obrotem osi tłukł wściekle w obudowę.

Rincewind na wpół spadł, na wpół ześliznął się na ziemię.

– Wygląda to na jakąś usterkę techniczną – wymamrotał. Kawał kutego żelastwa uderzył w piasek u jego stóp. – Chyba powinien się tym zająć wykwalifikowany rzemieślnik. Jeśli ja zacznę tu grzebać, na pewno unieważnią gwarancję...

Trzaski z góry sprawiły, że zanurkował pod pierwszą dogodną osłonę, którą okazała się dość zaskoczona owca. Kiedy hałas ucichł, wiatrak toczył się przez zarośla. Co do reszty, jeśli wewnątrz były wcześniej jakieś części nadające się do obsługi przez użytkownika, to bardzo wyraźnie już tam nie pozostały.

Rincewind zdjął kapelusz, by otrzeć czoło, ale nie był dostatecznie szybki. Różowy język przejechał mu po twarzy jak wilgotny papier ścierny.

– Aj! O rety! Rzeczywiście chce wam się pić, co? – Wcisnął kapelusz aż na uszy, na wszelki wypadek. – Szczerze mówiąc, i ja bym coś łyknął...

Odepchnął na bok kilka owiec i znalazł odłamany kawałek wiatraka.

Brnąc z niejakim wysiłkiem przez masę milczących ciał, dotarł do miejsca nieco niżej położonego niż okoliczne zarośla, gdzie rosło kilka drzew o liściach wyglądających odrobinę bardziej świeżo niż u pozostałych.

– Aj! Orr-ty! – ćwierkały dookoła ptaki.

Dwie, najwyżej trzy stopy powinny wystarczyć, pomyślał, odrzucając na bok czerwoną ziemię. Właściwie to niezwykle – ta woda pod ziemią w miejscu, gdzie nigdy nie pada. Cały ten kontynent chyba unosi się na wodzie.

Na głębokości trzech stóp grunt był zaledwie wilgotny. Rincewind westchnął i kopął dalej.

Stał już w wykopie sięgającym mu piersi, kiedy pierwsza strużka przesączyła mu się między palcami nóg. Owce walczyły o dostęp do mokrej ziemi, którą wyrzucał na powierzchnię. Gdy patrzył, kałuża wsiąkła bez śladu.

– Hej, ty! Wracaj!

– Hajty wrrraca! – wrzasnęły papużki w zaroślach.

– Zamknijcie się!

– Zamkijecie! Kto tu jess siczny ptaszkiem?

Zaimprovizowaną łopatą wyrzucał ziemię, próbując dogonić uciekającą wodę. Prześcignął ją parę cali głębiej. Machał dalej, aż sięgała mu do kolan, przeciągnął kapelusz przez błotnistą ciecz, wygramolił się z dołu i pobiegł, kapiąc na ziemię. Po chwili opróżnił kapelusz do koryta.

Owce stłoczyły się wokół, walcząc w milczeniu o dojście do warstewki wilgoci.

Rincewind nalał jeszcze dwa kapelusze, a potem woda zniknęła.

Z połamanego wiatraka wyrwał drabinę, wrzucił ją do dziury i sam skoczył za nią. Wilgotna ziemia wylatywała w górę, gdy kopał zawzięcie, a każda mokra gruda, gdy tylko uderzyła o grunt, ściągала stada much i ptaszków.

Udało mu się przenieść jeszcze kilkanaście kapeluszy, nim dół sięgnął głębiej niż drabina. Przez ten czas do wodopoju przywędrowały również krowy i zza głów nie było już widać wody. Dźwięk brzmiał tak, jakby słomka badała resztki największego koktajlu mlecznego świata.

Rincewind po raz ostatni zajrzał do dziury i właśnie wtedy zniknęła ostatnia kropla.

– Dziwny kraj – mruknął pod nosem.

Podszedł do miejsca, gdzie w skąym cieniu krzaka czekał Śnieżek.

– Nie chce ci się pić? – zapytał.

Śnieżek parsknął i potrząsnął grzywą.

– No tak... Może masz w sobie coś z wielbłąda. Na pewno nie jesteś całkiem koniem, to oczywiste.

Śnieżek przesunął się w bok i przypadkiem nadepnął Rincewindowi na nogę.

Koło południa ich trakt przeciął się z innym, o wiele szerszym. Odciski kopyt i koleiny sugerowały, że ruch jest tu większy. Ucieszony Rincewind podążył nim między gęściejszymi kępami drzew, zadowolony z cienia.

Minął następny zgrzytający wiatrak otoczony przez stadko czekających cierpliwie krów.

Dalej znów rosły krzaki, a potem teren wznosił się ku pradawnym góróm kruszącej się pomarańczowej skały.

Przynajmniej mają tu wiatr, pomyślał. Na bogów, czy kropla deszczu to zbyt wiele? Przecież nie może nigdy nie padać... Wszędzie pada od czasu do czasu. Woda musi najpierw ścieknąć z nieba, zanim znajdzie się pod ziemią, prawda?

Zatrzymał się, bo za sobą na szlaku usłyszał tętent licznych kopyt.

Stado koni bez jeźdźców wybiegło zza zakrętu w pełnym galopie. Kiedy

mijały Rincewinda, zobaczył na czele rumaka zbudowanego według najsmuklejszych linii, jakie w życiu oglądał, rumaka poruszającego się tak, jak gdyby miał specjalną umowę z grawitacją. Stado rozdzieliło się i ominęło Rincewinda, jakby był głazem w strumieniu. A potem były już tylko cichnącem w chmurze kurzu tętentem.

Śnieżek rozdał nozdrza. Kołysanie zwiększyło częstotliwość, kiedy przyspieszył kroku.

– Ach, tak? – zapytał Rincewind. – Nic z tego, koleś. Nie możesz się bawić z dużymi

chłopcami. Nie ma zmartwienia.

Chmura ledwie zdążyła opaść, kiedy z tyłu znowu rozległ się tętent i zza łuku wypadła grupa jeźdźców. Przejechali obok, nie zwracając na Rincewinda uwagi. Zwolnił tylko ostatni z nich.

– Widziałeś, koleś, jak przejeżdża tędy kupa koni?

– Tak, koleś. Nie ma zmartwienia, nie ma zmartwienia, nie ma zmartwienia.

– Prowadził je taki duży brązowy źrebak?

– Tak, koleś. Nie ma zmartwienia, nie ma zmartwienia.

– Stary Wyrzut obiecuje, że zapłaci sto golców temu, kto je złapie. Ale nie ma szans, przed nami same kaniony!

– Nie ma zmartwienia.

– Na czym to jedziesz? Na desce do prasowania?

– Ehm, przepraszam bardzo... – zaczął Rincewind, gdy jego rozmówca znów ruszył w pościg. – Czy to właściwa droga do Ros...?

Pył kłębił się nad traktem.

– Co się stało z powszechnie znaną iksjańską gościnnością i uczynnością,

co?! – wykrzyknął Rincewind już w pustkę.

Kiedy wjechał między góry, spomiędzy drzew na stokach słyszał krzyki i trzaskanie batów. W pewnym momencie dzikie konie znowu wypadły na szlak, nie zauważając go nawet w pędzie, ale tym razem Śnieżek zboczył z drogi i podążył śladem wyłamanych krzaków.

Rincewind nauczył się już, że szarpanie za wodze prowadzi tylko do bólu ramion. Aby zatrzymać tego niskiego konia, kiedy nie chciał się zatrzymać, trzeba byłoby chyba zeskoczyć, pobiec do przodu i wykopać przed nim rów.

I znowu jeźdźcy pojawili się za Rincewindem i wyprzedzili go galopem; piana ściekała z końskich pysków.

– Przepraszam, czy jestem na właściwej drodze...?

Zniknęli.

Dogonił ich dziesięć minut później przy kępie jarzębów. Kręcili się bezładnie, a przywódca wrzeszczał na nich.

– Pytałem, czy ktoś mógłby mi... – zaczął.

I wtedy zobaczył, dlaczego się zatrzymali – skończyło im się naprzód. Teren opadał do kanionu; tylko kilka kęp trawy i parę krzaków trzymało się stromego urwiska.

Śnieżek wydał nozdrza i nie zwalniając nawet, biegł dalej w dół zbocza.

Rincewind wiedział, że koń powinien się ześliznąć. Więcej nawet – powinien spaść. Ściana była niemal pionowa. Nawet kozice próbowałyby przejść po niej tylko powiązane liną. Wokół spadały kamyki, a parę większych odbiło się od karku Śnieżka, który jednak truchtał z tą samą zwodniczą prędkością, jaką stosował na płaskim gruncie. Rincewind ograniczył się do trzymania go i wrzeszczenia.

W połowie drogi na dół zobaczył, jak dzikie stado przebiega galopem przez kanion, zakręca wokół skały i znika między urwiskami.

W gradzie kamyków Śnieżek dotarł na dno wąwozu i zatrzymał się na chwilę.

Rincewind zaryzykował otwarcie oka. Konik znów rozdął nozdrza, gdy spoglądał wzdłuż wąskiego kanionu. Niepewnie uderzył kopytem o ziemię. Potem przyjrzał się oddalonej o kilka sążni, budzącej zawrót głowy przeciwległej ścianie.

– Och, nie... – jęknął Rincewind. – Błagam, nie...

Próbował rozplątać nogi, ale zetknęły się pod brzuchem Śnieżka i zaczepiły o siebie stopami.

Na pewno robi coś z grawitacją, mówił sobie, kiedy Śnieżek wbiegł truchtem na stok, jakby nie była to ściana, lecz najwyżej coś w rodzaju pionowej podłogi. Korki wiszące u kapelusza uderzyły Rincewinda w nos.

A przed... nad nimi czekała przewieszka.

– Nie, proszę, nie, nawet nie próbuj...

Zamknął oczy. Czuł, że Śnieżek staje, i odetchnął z ulgą. Zaryzykował spojrzenie w dół – szerokie kopyta stały mocno na twardej, płaskiej skale.

Żadne korki nie wisały z przodu kapelusza.

Z lękiem i rosnącą z wolna grozą Rincewind skierował wzrok w kierunku, o którym zawsze myślał jak o górze.

Twarda skała leżała również nad nim. Tylko że była bardzo, bardzo daleko. A korki zwisały wszystkie do góry... albo na dół.

Śnieżek stał na dolnej powierzchni przewieszki, wyraźnie podziwiając widoki. Rozdął nozdrza i machnął grzywą.

On spadnie, pomyślał Rincewind. Za moment uświadomi sobie, że stoi do góry nogami, i spadnie, a sądząc po wysokości, rozbryźnie się. Na mnie...

Śnieżek chyba podjął jakąś decyzję, ponieważ ruszył dalej po krzywiźnie

przewieszki.

Korki zatoczyły łuk i stuknęły o twarz Rincewinda, a także – o radości! – wszystkie drzewa miały te swoje zielone kawałki skierowane do góry. Tyle że były to raczej szare kawałki.

Rincewind spojrzał ponad wąwozem na jeźdźców.

– Hej tam! – zawołał i machnął w powietrzu kapeluszem, gdy Śnieżek ruszył przed siebie. – Chyba zaraz wypuszczę węża w kolorze! – dodał i zwymiotował.

– Hej, szefuniu! – odkrzyknął mu ktoś.

– Tak?

– To był rzyg!

– Jasne! Nie ma zmartwienia!

Okazało się, że ten fragment płaskiego terenu jest tylko grzbietem między dwoma

kanionami. Kolejne pionowe urwisko czekało przed nimi... albo pod nimi. Ale ku uldze Rincewinda Śnieżek skreślił w ostatniej chwili i potruchtał wzdłuż krawędzi.

– Och nie, błagam...

Przewrócone drzewo tworzyło kładkę nad przepaścią. Była bardzo wąska, lecz Śnieżek wbiegł na nią, nie zwalniając kroku.

Oba końce pnia podskakiwały na brzegach przepaści. Posypały się odłamki skały. Śnieżek przeskoczył nad szczeliną jak piłeczka i zszedł po drugiej stronie akurat w chwili, gdy pień drzewa zakołysał się i runął w dół.

– Proszę, nie...

Tutaj nie było urwiska, jedynie zbocze luźnych kamieni. Śnieżek wylądował

między nimi i rozdał nozdrza, gdy całe rumowisko zaczęło się zsuwać.

Rincewind zobaczył, jak stado galopuje po wąskim dnie kanionu, daleko w dole.

Większe głazy toczyły się obok, podskakując, a koń pędził w dół w swojej prywatnej lawinie. Jeden czy dwa wyskoczyły i wyprzedziły ich, roztrzaskując się na dnie tuż za ostatnimi końmi ze stada.

Oszołomiony ze strachu i wstrząsów Rincewind zobaczył, że kanion jest ślepy. Na końcu wznosiła się następna skalna ściana...

Głaz spadał na głaz, budując nierówny mur w poprzek kanionu. I kiedy ostatni kamień wbił się na swoje miejsce, Śnieżek wylądował na nim niemal tanecznym skokiem.

Popatrzył na uwięzione, biegające bezładnie konie, i rozdał nozdrza. Rincewind był całkiem pewien, że konie nie potrafią chichotać pogardliwie, ale ten konkretny emanował aurę pogardliwej chichotliwości.

Dziesięć minut później dotarli na miejsce jeźdźcy. Do tego czasu stado było już niemal potulne.

Spojrzeli na konie. Spojrzeli na Rincewinda, który uśmiechnął się przerażająco i powiedział:

– Nie ma zmartwienia.

Bardzo powoli nie spadł ze Śnieżka. Po prostu wychylał się na bok, ze stopami nadal splecionymi razem, aż delikatnie stuknął głową o ziemię.

– To była wściekle piękna jazda, koleś!

– Czy ktoś mógłby rozdzielić mi nogi? Obawiam się, że mogły się stopić razem.

Dwóch jeźdźców zeskoczyło z siodła i z pewnym wysiłkiem uwolniło Rincewinda.

– Wymień cenę za tego małego demona, koleś! – zaproponował Wyrzut.

– Ee... trzy... no... golce? – odpowiedział oszołomiony Rincewind.

– Co? Za takiego twardego, małego demona? Musi być wart przynajmniej parę setek!

– Trzy golce to wszystko, co mam.

– Tak se myślę, że parę tych kamieni przywaliło mu po łbie – odezwał się jeden z ludzi,

którzy podtrzymywali Rincewinda.

– Znaczy się, chcę go od ciebie odkupić, szefuniu... – tłumaczył cierpliwie Wyrzut. – Proponuję... dwie setki golców, worek żarcia i podrzucimy cię na drogę do... Gdzie to on chciał dojechać, Clancy?

– Rospyepsh – wymamrotał Rincewind.

– Wcale nie chcesz jechać do Rospyepsh – zapewnił go Wyrzut. – Nic tam nie ma oprócz bandy bigotów i biurokratów.

– Nie szkodzi; lubię papugi – mruknął Rincewind; miał nadzieję, że go puszczą i znowu będzie mógł przytrzymać się ziemi. – Eee... jak będzie po iksjańsku, kiedy ktoś dostaje szału ze zmęczenia i zaraz zwali się jak kawał mięsa bez kości?

Jeźdźcy spojrzeli po sobie pytająco.

– To nie będzie „wyhaczony jak stukacz torbacza”?

– Nie, nie, nie, to jest wtedy, kiedy się zaliczy krętacza, nie? – poprawił Clancy.

– Co? Ślag, nie! Zaliczyłeś krętacza, kiedy... kiedy... tak, kiedy... no właśnie, kiedy twój nos... Moment, to przecież „nagiąć mądralę”...

– Ehm... – Rincewind chwycił się za głowę.

– Co? „Nagiąć mądralę” to znaczy mieć uszy zalane pod wodą. – Clancy był trochę niepewny, ale po chwili jak gdyby się zdecydował. – Tak jest, zgadza się.

– Nie, koleś, to jest „gongać jak opos spod pachy”.

– Przepraszam bardzo... – wtrącił Rincewind.

– Nie pasuje. „Gongasz jak opos spod pachy”, kiedy szamasz chrupa. Kiedy uszy masz zapchane jak czajnik Mudjee po tygodniu samych piątków, to jesteś „zawalony jak muł Morgana”.

– Nie, chodzi ci o „weselszy niż muł Morgana na czekoladzie”...

– Masz na myśli „szybszy niż muł Morgana po pasztecie z kruka”.

– To znaczy jaki szybki? – zainteresował się Rincewind. – Dokładnie?

Wszyscy spojrzeli na niego.

– Smaczniejszy niż węgorz w jamie węży, koleś! – odparł Clancy. – Co jest, nie rozumiesz po ludzku?

– No... – zgodził się któryś z mężczyzn. – Może i potrafi jeździć, ale jest głupszy niż...

– Niech nikt nic nie mówi! – krzyknął Rincewind. – Czuję się już o wiele lepiej, jasne? Po prostu... No dobra, dobra. – Obciągnął podartą szatę i poprawił kapelusz. – Gdybyście dostarczyli mnie na drogę do Rospyepsh, to nie będę wam zabierał więcej czasu. Zatrzymajcie Śnieżka. Może spać gdzieś na suficie albo co.

– O nie, mój panie – sprzeciwił się Wyrzut. Sięgnął do kieszeni koszuli, wyjął plik banknotów, polizał kciuk i odliczył dwadzieścia. – Zawsze płacę swoje długi. Może zostaniesz

najpierw trochę z nami? Przydałby się nam jeszcze jeden jeździec, a samotna droga nie jest łatwa. Strażnicy buszu się tam kręcą.

Rincewind znowu potarł skronie. Teraz, kiedy rozmaite organy wewnętrzne chwiejnie powróciły na swoje przybliżone miejsca, odczuwał tylko zwykły, ogólny, dyskretny strach.

– Nie muszą się mną przejmować – zapewnił. – Obiecuję nie rozpalać ognisk i nie karmić zwierząt. Właściwie, choć mówię, że obiecuję, to zwykle one same usiłują się mną karmić.

Wyrzut wzruszył ramionami.

– Byle tylko nie było tam tych nieszczęsnych spadomisiów – dodał Rincewind.

Mężczyźni roześmiali się chórem.

– Spadomisie? Kto ci naopowiadał głupot o spadomisiach?

– O co wam chodzi?

– Nie ma czegoś takiego jak spadomisie! Ktoś musiał ci zrobić dowcip, koleś!

– Co? One miały... robiły... – Rincewind zamachał ręką. – Robiły „bęć, bęc!” dookoła... z takimi wielkimi zębami...

– Wychodzi, żeś jest bardziej zwariowany niż muł Morgana, koleś! – stwierdził Clancy.

Wszyscy zamilkli.

– To znaczy jak zwariowany? – spytał Rincewind.

Clancy oparł się o łęk siodła i spojrzał nerwowo na towarzyszy.

– No, to...

– Tak?

– To jest... jest... – Wykrzywił się. – Znaczy...

- Bar... – odpowiedział Rincewind.
- Bar... – powtórzył Clancy, chwytając tę sylabę niczym linę ratunkową.
- Hm...
- Bar... dzo...
- Dobrze idzie, mów dalej...
- Bar... dzo... zwariowany? – dokończył Clancy.
- Brawo! Widzisz? O wiele łatwiej – pochwalił go Rincewind. – Ktoś tu wspominał o jedzeniu?

Wyrzut skinął na jednego ze swoich ludzi, który wręczył Rincewindowi worek.

- Jest tam piwo, jarzyny i różne takie, a że jesteś porządnym gościem, dodaliśmy ci też puszkę dżemu.
- Agrestowy?
- Tak.
- Zastanawia mnie twój kapelusz – dodał jeszcze Wyrzut. – Po co te korki dookoła?
- Przeganiają muchy.
- I to działa?
- Pewnie że nie – stwierdził Clancy. – Gdyby działało, ktoś by już to wymyślił.
- Właśnie. To ja – odparł Rincewind. – Nie ma zmartwienia.
- Wyglądasz w tym trochę jak drongo, koleś...

- Nie szkodzi. W którą stronę do Rospyepsh?
- Skręcisz w lewo przy wylocie kanionu, koleś.
- I to wszystko?
- Możesz znowu zapytać, jak spotkasz strażników buszu.
- Mają tam jakąś chatę czy posterunek?
- Są... No, pamiętaj tylko, że znajdą cię, jeśli się zgubisz.
- Naprawdę? No tak, to pewnie ich obowiązek. Miłego dnia.
- Trzymaj się.
- Nie ma zmartwienia.

Patrzyli, jak Rincewind znika wśród skał.

- Nie przejął się specjalnie, nie?
- Był trochę gujegur, gdyby mnie kto pytał.
- Clancy?
- Tak, szefie?
- Wymyśliłeś to, prawda?
- No...
- Wymyśliłeś jak ślag, Clancy!

Clancy zrobił zakłopotaną minę, ale zaraz się zbuntował.

- No dobra – rzekł z irytacją. – A co z tym, którego sam użyłeś wczoraj, „zarobiony jak jednoręki cieśla w Klapagurze”?
- A co z tym?

- Sprawdziłem w atlasie i nie ma takiego miejsca.
- Jest jak ślag!
- Nie ma. A zresztą nikt by nie zatrudnił jednorękiego cieśli, nie? Więc by nie był zarobiony, nie?
- Posłuchaj no, Clancy...
- Poszedłby na ryby albo co, nie?
- Clancy, mamy wykuwać nowy język w tych dzikich pustkowiach...
- Pewnie ktoś musiałby mu pomóc, żeby założyć przynętę, ale...
- Clancy, może byś tak się zamknął i poszedł po konie?

Dwadzieścia minut zajęło im odtoczenie na bok dostatecznej liczby głazów. Pięć minut później wrócił Clancy.

- Nie możemy znaleźć tego małego drania, szefie. A zaglądaliśmy pod wszystkie inne.
- Przecież nie mógł nas ominąć!
- Mógł, szefie. Widziałeś, jak zasuwa po tych urwiskach. Pewnie jest już o całe mile stąd. Chcesz, żebym pojechał za tym gościem?

Wyrzut zastanowił się chwilę i splunął.

- Nie, mamy żrebaka. Jest wart tego szmalu.

Spojrzał w zadumie w głąb kanionu.

- Dobrze się czujesz, szefie?
- Clancy, kiedy wrócimy na farmę, skoczysz do miasta, zajrzysz do hotelu Sielanka i przywieziesz wszystkie korki, jakie mają. Jasne?

– Myślisz, szefie, że to zadziała? Bo on był dziwak jak...

Spojrzenie szefa kazało Clancy’emu urwać w pół zdania.

– No, niezły był z niego dziwak – dokończył.

– Dziwak, to fakt... Ale i mądrała. Muchy na nim nie siadały.

Za nimi, w chaosie głazów i suchych krzaków na końcu wąwozu, rysunek małego konia zmienił się w rysunek kangura, a potem rozpląnął na skale.

Najgorsze przy wściekaniu się na Mustruma Ridcully’ego było to, że on wcale tego nie zauważał. Magowie, kiedy napotykali jakieś niebezpieczeństwo, natychmiast zatrzymywali się i kłócili między sobą, z jakim dokładnie typem niebezpieczeństwa mają do czynienia. Zanim wszyscy w grupie wreszcie zrozumieli, stawało się ono albo niebezpieczeństwem, w którym możliwe wyjścia są tak bardzo wyraźnie oczywiste, że człowiek natychmiast próbuje jednego z nich lub ginie, albo też nudziło się i odchodziło sobie. Nawet niebezpieczeństwo ma swoją dumę.

Za chłopięcych lat Myślak wyobrażał sobie magów jako potężnych półbogów, zdolnych skinieniem palca przemienić świat. Potem urósł i odkrył, że są nużącymi staruszkami, martwiącymi się o stan własnych stóp, i nawet jeśli przypadkiem stanęli na pierwszej linii, kłócili się o wszystko, także o pochodzenie frazy „stać na pierwszej linii”.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że ewolucja działa na wiele sposobów. Na ścianach starych budynków wciąż były widoczne głębokie blizny świadczące o tym, co się dzieje, kiedy pojawia się ten drugi typ magów.

Nogi niosły go, niemal bez udziału świadomości, wijącą się lekko ścieżką na zboczu góry. Dziwne stworzenia zerkwały na niego z poszycia po obu stronach. Niektóre przypominały...

Magowie myślą w terminach z książek i teraz właśnie jedna wypełzła z regałów pamięci Myślaka. Dostał ją w prezencie, kiedy był mały. I wciąż jeszcze miał ją gdzieś, zapakowaną w tekturowe pudło* [* Myślak był takim właśnie dzieckiem. Wciąż miał pionki wszystkich gier,

jakie kiedykolwiek dostał. Był chłopcem, który starannie czyta etykietę na każdym strzeżeniowiedźmowym prezencie, zanim go jeszcze otworzy, a w małym zeszytiku notuje, od kogo co dostał, i wszystkie listy z podziękowaniami ma gotowe przed podwieczorkiem. Rodzice już wtedy byli pod wrażeniem, zdając sobie sprawę, że dali życie dziecku, które wyrośnie na kogoś wielkiego, albo też sprawiedliwi obywatele dopadną go, zanim skończy dziesięć lat.].

Składała się z mnóstwa niedużych kart na spiralnym grzbiecie. Na każdej z nich namalowano głowę, tułów albo ogon jakiegoś zwierzęcia. Ktoś dostatecznie znudzony mógł tasować je i przekładać, tak że otrzymywał – powiedzmy – stworzenie z głową konia, tułowiem chrząszcza i rybem ogonem. Okładka obiecywała „godziny dobrej zabawy”, chociaż po pierwszych trzech minutach człowiek zaczynał się zastanawiać, kto potrafi ciągnąć tę zabawę godzinami. I czy możliwie łagodne uduszenie go już teraz nie zaoszczędzi w przyszłych latach wielu kłopotów Wydziałowi Zabójstw Seryjnych. Myślak jednak bawił się godzinami.

Niektóre ze stwo... z tych rzeczy w poszyciu wyglądały właśnie tak, jak wyjęte ze stronic tamtej książki. Były ptaki z dziobami długimi jak całe ich ciało. Były pająki wielkości dłoni. Tu i tam powietrze migotało jak woda. Opierało się delikatnie, kiedy Myślak próbował przez nie przejść, a potem go przepuszczało, ale ptaki i owady jakoś nie miały ochoty lecieć jego śladem.

I wszędzie widział chrząszcze.

W końcu ścieżka łagodnymi zakosami dotarła na sam szczyt. Była tam malutka dolinka, tuż pod wierzchołkiem. Na jej przeciwnym końcu otwierało się szerokie wejście do jaskini, rozjaśnione padającym z wnętrza błękitnym światłem.

Duży chrząszcz zabrzęczał Myślakowi koło ucha.

Otwór prowadził do wielkiej komory wypełnionej mglistym błękitnym oparem. Pojawiały się w nim sugestie cieni. Były też dźwięki: gwizdy, ciche zgrzyty, czasem jakieś stuki czy brzęki świadczące o tym, że gdzieś we mgle wre praca.

Myślak strzepnął chrząszcza, który wylądował mu na policzku, i przyjrzał się obiektowi przed sobą.

Była to przednia połowa słonia.

Druga połowa słonia, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu zachowująca równowagę na dwóch tylnych nogach, stała o kilka sążni dalej. Między nimi była... reszta słonia.

Myślak Stibbons zawsze sądził, że jeśli rozciąć słonia na połowy i wybrać z niego środek, otrzyma się... no, bałagan. Tylko że tutaj nie dostrzegł żadnego bałaganu. Różowe i fioletowe rurki rozwijały się równo na warsztacie. Niska drabinka prowadziła do kolejnej złożonej płataniny rurek i okazałych organów. Odnosiło się ogólne wrażenie, że trwa tu metodyczna praca. Nie była to groza słonia po wybuchowej śmierci – to był słoń na etapie konstrukcji.

Małe obłoczki światła spływały spiralami ze wszystkich zakątków groty, zawirowały przez chwilę i zmieniły się w boga ewolucji, który stał na drabinie.

Zamrugnął na widok Myślaka.

– Ach, to ty – powiedział. – Jedna ze spiczastych istot. Możesz mi powiedzieć, co się dzieje, kiedy robię tak?

Sięgnął do wnętrza przestronnych głębi przedniej połowy. Uszy słonia się poruszyły.

– Uszy machają... – pisnął Myślak.

Bóg wynurzył się rozpromieniony.

– Niewiarygodne, jak trudno osiągnąć taki efekt – wyznał. – A ogólnie... Co o nim sądzisz?

Myślak przełknął ślinę.

– Jest... bardzo dobry – wykrztusił.

Odstąpił o krok, wpadł na coś, odwrócił się i spojrzał w rozwartą paszczę wielkiego rekina umocowanego w kolejnym... no cóż, musiał o tym myśleć jako czymś w rodzaju biologicznego rusztowania.

Rekin przewrócił okiem w jego stronę. Kawałek dalej składany był o wiele większy wieloryb.

– Naprawdę dobry, prawda? – ucieszył się bóg.

Myślak usiłował się skupić na słoniu.

– Chociaż... – zaczął.

– Tak?

– Czy jest pan całkiem pewien co do kółek?

Bóg się zaniepokoił.

– Myślisz, że są za małe? Nie całkiem odpowiednie dla veldtu?

– No, raczej nie...

– Wiesz, bardzo trudno jest zaprojektować organiczne koło – wyjaśnił bóg z wyrzutem. – To małe arcydzieła.

– A nie wydaje się panu, że ruszanie nogami byłoby prostsze?

– Och, do niczego byśmy nie doszli, gdybym tylko kopiował wcześniejsze pomysły. Dywersyfikuj i wypełniaj wszystkie nisze, oto klucz do sukcesu.

– Ale czy leżenie na boku w jamie z błotem, z kołami kręcącymi się w powietrzu, to aż tak ważna nisza? – spytał Myślak.

Bóg popatrzył na niego, a potem przyjrzał się smętnie na wpół ukończonemu słoniowi.

– Może gdybym dał większe opony? – spytał z nadzieją, ale głosem zupełnie nadziei pozbawionym.

– Nie wydaje mi się.

– Cóż, pewnie masz rację. – Dłonie małego boga zadrżały. – Sam nie wiem. Staram się dywersyfikować, ale czasami to niezmiernie trudne...

Nagle przebiegł przez zastawioną jaskinię w stronę wielkich wrót na drugim końcu.

Otworzył je.

– Przepraszam, ale po prostu muszę jakiegoś zrobić – wyjaśnił. – Uspokajają mnie, wiesz...

Myślak podążył za nim. Grota za wrotami była o wiele większa i jaskrawo oświetlona. W powietrzu pełno było niedużych, błyszczących przedmiotów unoszących się milionami jak paciorki na niewidzialnych nitkach.

– Chrząszcze? – zdziwił się Myślak.

– Nie ma to jak chrząszcz na depresję – odparł bóg. Stał przy dużym metalowym biurku, zaczął nerwowo otwierać szuflady i wyciągać pudełka. – Możesz mi podać to pudło czuzków? Stoi tam na półce. Tak, nic lepiej od chrząszcza nie poprawia nastroju. Czasami myślę sobie, że tylko o to w tym wszystkim chodzi.

– Jakim wszystkim?

Bóg szerokim gestem machnął ręką.

– Wszystkim – wyjaśnił z satysfakcją. – W całym tym świecie. Drzewa, trawa, kwiaty... Jak myślisz, po co powstały?

– No, nie sądziłem, że dla chrząszczy – zapewnił Myślak. – A co z takim, no... z takim słoniem, na przykład?

Bóg trzymał już w dłoni na wpół wykończonego chrząszcza. Był zielony.

– Gnój – oznajmił tryumfalnie.

Żadna głowa przykręcana do ciała nie powinna wydawać dźwięku korka wciskanego do butelki, ale głowa chrząszcza w rękach boga właśnie to zrobiła.

– Co? – zdumiał się Myślak. – To chyba sporo kłopotów tylko po to, żeby uzyskać gnój...

– Obawiam się, że tak właśnie działa ekologia.

– Nie, nie, to przecież nie może być prawda. A co z wyższymi formami życia?

– Wyższymi? – zdziwił się bóg. – Masz na myśli... ptaki?

– Nie, chodzi mi... – Myślak zawahał się. Bóg wydawał się zadziwiająco niezainteresowany magami, może z powodu ich braku podobieństwa do chrząszczy, i Myślak dostrzegał już przed sobą rozmaite teologiczne nieprzyjemności. – Takie jak... małpy – dokończył.

– Małpy? Tak, bardzo zabawne, przyznaję, i oczywiście chrząszcze muszą mieć jakieś rozrywki, ale... – Bóg spojrzał na niego i nagle niebiańskie światło zaświtało mu w głowie. – Ojej, nie sądzisz chyba, że one są celem tego całego interesu, co?

– Zakładałem właściwie...

– Coś takiego... Celem całego interesu jest to, żeby całym interesem być. Chociaż... – Pociągnął nosem. – Jeśli uda się załatwić to samymi chrząszczami, nie będę się skarżył.

– Ale przecież z pewnością celem... To znaczy, czy nie byłoby przyjemnie, gdyby w efekcie pojawiło się jakieś stworzenie, które zacznie o wszechświecie... myśleć?

– Bez przesady. Nie chcę, żeby cokolwiek w tym wszystkim grzebało – oznajmił cierpko

bóg. – Mogę cię zapewnić, że jest tu wystarczająco wiele łąt i szwów, by jakiś mądryś nie wyszukiwał następnych. Nie, bogowie z kontynentów tyle

przynajmniej dobrze wymyślili. Inteligencja jest jak nogi: masz za dużo, to się potkniesz. Moim zdaniem sześć jest mniej więcej odpowiednią liczbą.

– Ale przecież w ostatecznym rozrachunku jedna istota mogłaby...

Bóg wypuścił z ręki swój najnowszy twór. Zielony chrząszcz wzleciał w górę i brzęcząc, przefrunął wzdłuż niezliczonych rzędów chrząszczy, by zająć miejsce między dwoma prawie – choć niecałkowicie – identycznymi.

– Doszedłeś do tego jednak, co? No cóż, właściwie masz rację. Widzę, że posiadasz całkiem sprawny mózg... A niech to!

Coś załśniło w powietrzu i obok boga pojawił się ptak. Był wyraźnie żywy, ale zupełnie nieruchomy, jakby utrwalony w locie. Wokół niego migotał błękitny blask.

Bóg westchnął, sięgnął do kieszeni i wyjął najbardziej skomplikowane narzędzie, jakie Myślak w życiu oglądał. Elementy, które dało się zobaczyć, sugerowały, że są też inne, jeszcze dziwniejsze, których nie widać. Prawdopodobnie tym lepiej.

– Jednakże... – Bóg odciął ptakowi dziób; błękitna aureola natychmiast zamknęła się nad otworem. – Jednakże, jeśli mam się zająć czymś naprawdę poważnym, muszę jakoś zorganizować to wszystko. A ostatnio ciągle się męczę z dziobami...

– Rozumiem, że te łodziowe rośliny...

– Wielkie dzioby, krótkie dziobki, dzioby do wydłubywania robaków z kory, dzioby do rozłupywania orzechów, dzioby do jedzenia owoców... Powinny same ewoluować. Przecież o to w tym wszystkim chodzi. Nie może być tak, że bez przerwy muszę sam coś naprawiać.

Bóg machnął ręką i obok niego pojawiło się coś w rodzaju gabloty z ptasimi dziobami. Wybrał jeden – według Myślaka zupełnie podobny do tego, który przed chwilą usunął – i za pomocą swojego narzędzia umocował do wiszącego nieruchomo ptaka. Błękitne lśnienie objęło dziób na chwilę, a potem ptak zniknął. W chwili, kiedy zniknął, Myślak miał wrażenie, że

dostrzega, jak skrzydła zaczynają się poruszać.

I w tej właśnie chwili zrozumiał, że mimo wyraźnej obsesji boga na punkcie chrząszczy, tu zawsze chciał trafić. Tutaj, na pierwszą linię szpicy postępu zaawansowanej nauki.

Został magiem, bo wydawało mu się, że magowie wiedzą, jak działa wszechświat. Tymczasem Niewidoczny Uniwersytet okazał się duszny i zacofany.

Weźmy choćby tę historię z oswojoną błyskawicą. Dało się wykazać, że to działa. Przecież sprawił, że kwestorowi włosy stanęły dęba, a iskry strzelały z palców, choć użył tylko jednego kota i paru bursztynowych prętów. Jego absolutnie rozsądny plan wykorzystania kilku tysięcy kotów przywiązanych do wielkiego koła, które by wirowało, muskając setki prętów, został odrzucony ze śmiesznego powodu, że takie urządzenie będzie zbyt hałaśliwe. Starannie

opracowany program rozszczepienia thaumu, co by zagwarantowało niewyczerpane źródło taniej i czystej magii, trafił na półkę, ponieważ całkiem bezsensownie uznano, że wprowadzi niepotrzebny bałagan. I to nawet kiedy przedstawił obliczenia dowodzące, że szansa, by cały proces całkowicie zniszczył świat, nie jest większa niż prawdopodobieństwo najechania przez powóz przy przechodzeniu ulicy. To naprawdę nie jego wina, że powiedział to akurat wtedy, gdy przed uniwersytetem zderzyło się naraz sześć wozów.

Tutaj dostrzegł możliwość działania, które miało sens. Poza tym miał wrażenie, że widzi, w którym miejscu bóg się myli.

– Bardzo przepraszam – odezwał się. – Czy nie potrzebuje pan asystenta?

– Szczerze powiem, że wszystko to zaczyna się rozłazić – mówił bóg, który w konkurencji niesłuchania dorównywał klasą magom. – I po prawdzie doszedłem już do etapu, kiedy przydałby mi się...

– Ależ to niezwykle miejsce!

Myślak przewrócił oczami. Jedno dało się powiedzieć o magach: kiedy

trafiali w jakieś miejsce, które było naprawdę niezwykle, informowali o tym. Głośno.

– O... – Bóg obejrzał się. – To reszta twojego... roju, tak?

– Pójdę tam i ich powstrzymam – zaproponował Myślak. Magowie rozbiegli się jak mali chłopcy w salonie gier, gotowi wszystko naciskać w nadziei, że gdzieś pozostała jeszcze darmowa gra. – Oni dźgają palcami różne rzeczy, dopiero potem pytają: „A co to robi?”.

– Nie pytają, co dana rzecz robi, zanim ją dźgną?

– Nie; uważają, że nigdy się nie dowiedzą, jeśli czegoś nie dźgną.

– Więc po co pytają?

– Po prostu tacy są. Albo nadgryzają coś i potem z pełnymi ustami mówią: „Ciekawe, czy jest trujące”. A wie pan, co naprawdę doprowadza do szału? Że nigdy nie jest.

– Dziwne. Drwienie z niebezpieczeństwa nie jest dobrą strategią przetrwania.

– Och, oni nie drwią – zapewnił ponuro Myślak. – Oni mówią na przykład: „To ma być niebezpieczne? Nie ma porównania z niebezpieczeństwami, jakie spotykaliśmy za młodu, co, pierwszy prymusie, prawda? Pamiętacie, kiedy stary Okniarz McPlunder...”.

Wzruszył ramionami.

– Kiedy stary Okniarz McPlunder co? – zainteresował się bóg.

– Nie wiem! Czasami podejrzewam, że wymyślają te imiona! Dziekanie, naprawdę nie powinien pan tego robić!

Dziekan odwrócił się od rekina, którego zęby oglądał.

– Czemu nie, Stibbons? – zapytał.

Szczęki za nim zatrzęsnęły się gwałtownie.

W rozciąłym słoniu widoczne były tylko nogi nadrektora Ridcully'ego. Z wnętrza wieloryba

dochodziły zduszone odgłosy, brzmiące zupełnie tak, jakby wykładowca run współczesnych mówił: „Patrzcie, co się stanie, kiedy przekręcę ten kawałek... Widzicie, to fioletowe coś się kiwa”.

– Niezwykłe dzieło – pochwalił Ridcully, wynurzając się ze słonia. – Bardzo dobre koła. Powiedz, malujesz części przed złożeniem?

– To nie jest zestaw do składania, nadrektorze. – Myślak wyjął mu z dłoni nerkę i wcisnął ją z powrotem do wnętrza. – To prawdziwy słoń w stadium konstrukcji.

– Aha...

– Jest tworzony, nadrektorze – dodał Myślak, gdyż Ridcully chyba nie zrozumiał. – A to niezwykle.

– Aha. A jak są robione normalnie?

– Przez inne słonie.

– Ach. No tak...

– Naprawdę? Przez słonie? – zdziwił się bóg. – Ale jak? Te trąby są bardzo giętke, muszę się pochwalić, ale nie nadają się do subtelnych czynności.

– Ależ nie są robione w taki sposób, proszę pana. To oczywiste. Raczej poprzez... no wie pan... seks. – Myślak poczuł, że zaczyna się rumienić.

– Seks?

I wtedy Myślak przypomniał sobie: Mono Wyspa. Oj...

– No... samce i samice... – spróbował.

– Co to za jedne? – spytał bóg.

Magowie znieruchomieli.

– Proszę dalej, panie Stibbons – zachęcił go Ridcully. – Cali zmieniamy się w słuch. Zwłaszcza słoń.

– No... – Myślak wiedział, że jest cały czerwony. – Tego... A właściwie skąd pan bierze w tej chwili kwiaty i różne takie?

– Buduję je – odparł bóg. – Potem obserwuję i sprawdzam, jak funkcjonują, a kiedy już się zużyją, buduję wersje udoskonalone, w oparciu o wyniki doświadczenia. – Zmarszczył czoło. – Chociaż mam wrażenie, że rośliny zachowują się ostatnio bardzo dziwnie. Jaki jest sens tych nasion, które produkują? Próbuję je zniechęcić, ale jakoś nie chcą słuchać.

– Myślę... no... że próbują wynaleźć seks – stwierdził Myślak. – Bo ten... seks... to sposób, żeby można... stworzenia mogły... mogą robić następne... stworzenia.

– Chcesz powiedzieć, że słonie mogą robić więcej słoni?

– Tak, proszę pana.

– Coś podobnego! Poważnie?

– O tak.

– A jak się do tego zabierają? Taka kalibracja machania uszami jest wyjątkowo czasochłonna. Używają specjalnych narzędzi?

Myślak zauważył, że dziekan wpatruje się w sklepienie jaskini. Inni magowie także znaleźli sobie jakieś najwyraźniej fascynujące obiekty do obserwacji, dzięki czemu mogli nawzajem unikać swojego wzroku.

– No, w pewnym sensie – odparł Myślak. Wiedział, że wkracza na śliski grunt, postanowił zrezygnować. – Ale właściwie to nie znam się...

– I warsztatów, jak przypuszczam – dodał bóg. Wyjął z kieszeni notes, a zza ucha ołówek. – Pozwolisz, że sobie to zapiszę?

- One... znaczy samica... – jękał się Myślak.
- Samica... – zanotował posłusznie bóg.
- No więc ona... takie zwierzę płci żeńskiej... ona... to popularna metoda... tak jakby... buduje nowego... wewnątrz siebie.

Bóg przestał pisać.

– Chwileczkę. To przecież niemożliwe. Nie da się zrobić słonia wewnątrz słonia.

– No... mniejszą wersję...

– Po raz kolejny muszę wskazać błąd w tym opisie. Po kilku takich konstrukcjach dostalibyśmy słonia wielkości królika.

– No bo on... on potem robi się większy.

– Doprawdy? W jaki sposób?

– Tak jakby, no... buduje sam siebie... od środka...

– A ten drugi, ten, który nie jest, no, żeńską samicą? Jaką odgrywa rolę w tym procesie? Czy twój kolega jest chory?

Pierwszy prymus mocno walnął dziekana w kark.

– Już dobrze – wysapał dziekan. – Często miewam... takie ataki... kaszlu...

Bóg pisał coś pilnie przez kilka sekund, po czym przerwał i w zadumie przygryzł koniec ołówka.

– I cały ten... no, ten seks wykonywany jest przez pracowników niewykwalifikowanych? – zapytał.

– O tak.

– Żadnej kontroli jakości, choćby pobieżnej?

– Eee... nie.

– A jak wasz gatunek sobie z tym radzi? – spytał bóg, patrząc badawczo na Myślaka.

– To... eee... my... no...

– Unikamy tego – wyjaśnił Ridcully. – Paskudny kaszel cię złapał, dziekanie.

– Doprawdy? – zdziwił się bóg. – To bardzo ciekawe. A co robicie zamiast? Dzielicie się na

połowy? Ta metoda doskonale się sprawdza u ameb, ale dla żyraf okazuje się wręcz niezwykle trudna. Wiem coś o tym.

– Co? Nie, koncentrujemy się na sprawach wyższych. Bierzymy zimne kąpiele, uprawiamy poranne biegi dla zdrowia i temu podobne rzeczy.

– Coś podobnego! Muszę to zanotować. – Bóg poklepał się po kieszeniach szaty. – A jak dokładnie odbywa się ten proces? Czy samice wam towarzyszą? A te wyższe sprawy... Mógłbyś precyzyjnie określić, jak wysokie? Bardzo interesująca koncepcja. Zapewne wymagane są dodatkowe otwory?

– Przepraszam, co takiego? – spytał zaskoczony Myślak.

– Skłonić stworzenia, żeby same siebie wytwarzały, co? Myślałem, że cała ta historia z nasionami to takie szaleństwo, ale widzę, że może oszczędzić sporo pracy. Mnóstwo pracy. Oczywiście, trzeba się napracować na etapie projektu, ale potem, wydaje się, wszystko zaczyna działać samo... – Bóg pisał tak szybko, że jego dłoń się rozmywała w oczach. Mówił dalej: – Hmm... popędy i potrzeby powinny być kluczowe... Tak... A jak to działa, powiedzmy, z drzewami?

– Potrzebny jest tylko wuj Myślaka i pędzelek – odezwał się pierwszy prymus.

– Proszę pana! – oburzył się Myślak.

Bóg rzucił im spojrzenie pełne inteligentnego oszołomienia, jak ktoś, kto właśnie usłyszał dowcip opowiedziany w całkiem obcym języku i nie jest pewien, czy opowiadający dotarł już do puenty. Po chwili wzruszył ramionami.

– Jedyne, czego nie do końca rozumiem – powiedział – to dlaczego dowolne stworzenie miałoby poświęcać czas na cały ten... – Zajrzał do notatek. – Na ten seks, kiedy może spędzać go przyjemnie? Ojej, wasz kolega chyba się dusi...

– Dziekanie! – huknął Ridcully.

– Trudno nie zauważyć – dodał bóg – że kiedy mowa o seksie, wasze twarze czerwienieją i macie skłonność do nerwowego przestępowania z nogi na nogę. Czy to jakiś typ sygnału?

– Ehm...

– Gdybyście mogli po prostu mi wytłumaczyć, jak to działa... Zakłopotanie wypełniło przestrzeń – wielkie i różowe. Gdyby było skałą, można by w niej wyrzeźbić ogromne, ukryte różane miasta.

Ridcully wykrzywił twarz w stężalym uśmiechu.

– Przepraszam na chwilę – rzucił. – Posiedzenie rady, panowie.

Myślak przyglądał się, jak magowie zbijają się w ciasną grupkę. Wśród szeptów usłyszał kilka zdań.

– ...ojciec mówił, ale oczywiście nie uwierzyłem...

– ...nie podnosi swego paskudnego łba...

– Mógłbyś się przymknąć, dziekanie? Nie możemy przecież...

– Zimne prysznic, doprawdy...

Ridcully odwrócił się i znowu błysnął skamieniałym uśmiechem.

- Seks nie jest, hm, nie jest czymś, o czym rozmawiamy – oznajmił.
- Często – dodał dziekan.
- Och, rozumiem – odparł bóg. – Cóż, demonstracja praktyczna będzie o wiele bardziej zrozumiała...
- Eee... My nie... nie planowaliśmy...
- Ho-ho... tu jesteście, panowie!

Pani Whitlow wkroczyła do jaskini. Magowie umilkli, wyczuwając swymi magicznymi umysłami, że wprowadzenie jej na scenę w tym punkcie będzie niczym prąd elektryczny w basenie życia.

- Och, jeszcze jedno z was – stwierdził wesoło bóg. Przyjrzał się uważnie. – A może jakiś inny gatunek?

Myślak poczuł, że musi coś powiedzieć. Pani Whitlow rzuciła mu Spojrzenie.

- Pani Whitlow jest... no, damą.
 - Aha. Zanotuję to sobie. A co one robią?
 - Są... tego samego gatunku co, no, co my – tłumaczył zakłopotany Myślak.
 - Eee... eee...
 - Słabszej płci – odpowiedział Ridcully.
 - Przepraszam, ale chyba się zgubiłem – stwierdził bóg.
 - No więc ona... jak by to... jest żeńskiej proweniencji.
- Bóg uśmiechnął się uszczęśliwiony.
- Co za sprzyjający zbieg okoliczności!
 - Bardzo przepraszam – odezwała się pani Whitlow najostrzejszym tonem, jakiego skłonna była użyć w obecności magów. – Czy ktoś zechciałby mi

przedstawić tego dżentelmena?

– Ależ oczywiście! – zawołał Ridcully. – Proszę o wybaczenie. Boże, to pani Whitlow. Pani Whitlow, to jest Bóg. No, bóg. Właściwie to bóg tej wyspy. Ehm...

– Bardzo mi miło – zapewniła pani Whitlow.

Według zasad pani Whitlow, bogowie byli akceptowalni towarzysko, przynajmniej jeśli mieli normalne ludzkie głowy i chodzili ubrani. Stali wyżej od najwyższych kapłanów, na tym samym poziomie co diukowie.

– Czy mam klęknąć? – spytała.

– Muaaaa – zaskomlał pierwszy prymus.

– Obniżanie pozycji dowolnego rodzaju nie jest wymagane – oznajmił bóg.

– To znaczy: nie – wyjaśnił Myślak.

– Jak pan sobie życzy. – Pani Whitlow wyciągnęła dłoń.

Bóg chwycił ją i wygiął tam i z powrotem jej kciuk.

– Bardzo praktyczny – uznał. – Przeciwny, jak widzę. Chyba powinienem to zanotować. Używasz rąk do poruszania się? Jesteś dwunogiem nawykowo? O, zauważam, że twoje brwi także unoszą się w górę. Czy to może jakiś sygnał? Zauważyłem też, że jesteś innego kształtu niż pozostali i nie masz brody. Oznacza to, jak zgaduję, niższy poziom mądrości?

Myślak dostrzegł, że pani Whitlow mruży oczy i rozdyma nozdrza.

– Czy są jakieś kłopoty, panowie? – spytała. – Poszłam za waszymi śladami do tej śmiesznej łodzi, a to była jedyna poza tym ścieżka, więc...

– Omawialiśmy seks – wyjaśnił bóg z entuzjazmem. – Wydaje się bardzo ekscytujący, nie sądzisz?

Magowie wstrzymali oddech. Coś takiego powinno sprawić, że pościel dziekana wyda się całkowitym drobiazgiem.

– Nie jest to temat, na który chciałabym wyrażać swoje opinie – odrzekła ostrożnie pani Whitlow.

– Muaaa – zapiszczał pierwszy prymus.

– Nikt nie chce mi nic powiedzieć – zdenerwował się bóg. Iskra strzeliła mu z palca i wypaliła w podłodze bardzo mały krater. Zdawało się, że jest tym zaskoczony nie mniej od magów. – Ojej, co sobie o mnie pomyślicie! – zawołał. – Tak mi przykro. Obawiam się, że to coś w rodzaju naturalnej reakcji, kiedy jestem... wiecie... rozdrażniony.

Wszyscy spojrzeli na krater. Myślakowi skała bulgotała cicho u stóp. Nie śmiał przesunąć sandałów z obawy, że zemdleje.

– To było tylko... rozdrażnienie, tak? – upewnił się Ridcully.

– No, może raczej hm... irytacja, podejrzewam. Nic na to nie mogę poradzić, to odruch dany od boga. Niestety, jako... powiedzmy: gatunek, niezbyt dobrze radzimy sobie z odmowami. Bardzo przepraszam. Bardzo. – Wytarł nos i usiadł na niedokończonej pandzie. – Ojej! Znowu... – Mała błyskawica strzeliła mu z kciuka i eksplodowała. – Mam tylko nadzieję, że nie powtórzy się historia miasta Quint. Wiecie, oczywiście, co się tam wydarzyło...

– Nigdy nie słyszałem o mieście Quint – zapewnił Myślak.

– No tak, rzeczywiście, pewnie nie słyszałeś – przyznał bóg. – I o to właśnie chodzi. To takie niespecjalnie duże miasto. Zbudowane głównie z błota. Potem, naturalnie, była to głównie ceramika. – Zwrócił ku nim zasmuconą twarz. – Wiecie, przychodzą czasem takie dni, kiedy warczy się na każdego...

Kątem oka Myślak zauważył, że magowie – w rzadkiej demonstracji zgodności – bardzo powoli przesuwają się bokiem w stronę wyjścia.

O wiele większa błyskawica wybiła dziurę w podłożu obok otworu prowadzącego na zewnątrz.

– Ojej, nie wiem, gdzie się podziać! – zawołał bóg. – To podświadome reakcje, niestety.

– Może powinienes się leczyć z przedwczesnego spalania?

– Dziękowanie! To nie jest właściwy moment!

– Przepraszam, nadrektorze.

– Gdyby tylko nie kręcili nosami na moje łatwo palne krowy – tłumaczył bóg, a iskry strzelały mu z brody. – No dobrze, zgodzę się, że w upalne dni, w pewnych rzadko występujących okolicznościach, następował spontaniczny samozapłon i krowa spalała całą wieś, ale czy to usprawiedliwia niewdzięczność?

Pani Whitlow przez dłuższą chwilę przyglądała się bogu lodowato.

– Co konkretnie chciałby pan wiedzieć? – spytała.

– Hę? – zdziwił się Ridcully.

– No więc bez urazy, ale ja na ten przykład bym chciała wyjść stąd bez płonących włosów – wyjaśniła gospodyni.

Bóg uniósł głowę.

– Ta koncepcja samców i samic wydaje się dość obiecująca. – Pociągnął nosem. – Ale nikt jakoś nie chce mi wyjawiać szczegółów...

– Ach, to – rzuciła pani Whitlow. Zerknęła na magów, po czym odprowadziła boga na bok. – Zechcą mi panowie wybaczyć na momencik...

Magowie przyglądali się im jeszcze bardziej zaszokowani niż podczas demonstracji błyskawic. Po chwili kierownik studiów nieokreślonych naciągnął kapelusz na oczy.

– Nie śmiem na to patrzeć – oświadczył. I dodał: – Co robią?

– No... rozmawiają tylko – odparł Myślak.

– Rozmawiają?

– A ona... tak jakby... macha rękami.

– Muaaaa! – jęknął pierwszy prymus.

– Szybciej, niech ktoś go powachluje! – polecił Ridcully. – A teraz chyba się śmieje, prawda?

Gospodyni i bóg obejrżeli się na magów. Pani Whitlow skinęła głową, jakby chciała zapewnić, że to, co właśnie powiedziała, jest prawdą. I oboje się roześmiali.

– To raczej wygląda na chichot – mruknął zirytowany dziekan.

– Nie jestem pewien, czy powinienem to pochwalać – stwierdził wyniośle Ridcully. – Wiecie, bogowie i śmiertelniczki... Różne się słyszy historie.

– Bogowie zmieniający się w byki – powiedział dziekan.

– I łabędzie – dodał kierownik studiów nieokreślonych.

– Złote deszcze – dorzucił jeszcze dziekan.

– Tak – zgodził się kierownik. Pomyślał przez chwilę. – A wiecie, nad tym ostatnim często

się zastanawiałem...

– Co mu teraz opisuje?

– Szczerze mówiąc, chyba raczej wolałbym nie wiedzieć.

– Słuchajcie, proszę, niech ktoś się zajmie pierwszym prymusem, dobrze? – zawołał Ridcully. – Rozluźnijcie mu szatę albo co...

Usłyszeli okrzyk boga:

– On co?!

Pani Whitlow spojrzała na magów i zdawało się, że zniża głos.

– Czy ktoś z was poznał kiedyś pana Whitlowa? – spytał nadrektor.

– No... nie – odrzekł dziekan. – Nie przypominam sobie. Wszyscy chyba uznaliśmy, że nie żyje.

– A ktoś wie, na co umarł? – pytał dalej Ridcully. I zaraz dodał: – Uciszcie się teraz... Wracają.

Zbliżając się, bóg skinął im uprzejmie głową.

– No więc to mamy załatwione – rzekł, zacierając ręce. – Nie mogę się doczekać, żeby sprawdzić, jak zadziała w praktyce. Wiecie, choćbym siedział sto lat, nigdy bym... Przecież nikt poważny by nie uwierzył... – Zachichotał, patrząc na ich nieruchome twarze. – A ten fragment, kiedy on... a potem ona... Naprawdę jestem zdumiony, że ktoś przestaje się śmiać na czas dostatecznie długi, żeby... Mimo wszystko widzę, jak to może funkcjonować, i z całą pewnością otwiera pewne bardzo interesujące możliwości...

Pani Whitlow w skupieniu wpatrywała się w strop jaskini. Może pewna sugestia jej postawy i sposób, w jaki poruszało się jej dość obfite łono, sugerowały, że stara się nie roześmiać. To było niepokojące. Pani Whitlow zwykle z niczego się nie śmiała.

– Tak? Och... – rzucił Ridcully, przesuwając się w stronę wyjścia. – Doprawdy? No to świetnie. W takim razie pewnie już nie jesteśmy ci potrzebni? Bo musimy zdążyć na statek...

– Naturalnie, nie chciałbym was zatrzymywać. – Bóg machnął ręką. – Wiecie, im więcej o tym myślę, tym bardziej widzę, że cały ten seks może rozwiązać praktycznie wszystkie moje problemy.

– Nie każdy może to o sobie powiedzieć – stwierdził z powagą Ridcully. – Czy, tego... będzie nam pani towarzyszyć, pani, ehm, Whitlow?

– Oczywiście, nadrektorze.

– No to... znakomicie. Brawo. Ehm... I pan, naturalnie, panie Stibbons...

Bóg podszedł do warsztatu i grzebał w skrzynkach. Powietrze migotało. Myślak popatrzył na wieloryba: zwierzę było wyraźnie żywe, tylko... nie w tej chwili. Przesunął wzrokiem obok słonia w trakcie budowy, ku dziwnym, z wyglądu organicznym wysięgnikom, gdzie migoczące powietrze otaczało kształty na razie nierozpoznawalne, chociaż jeden z obłoków wydawał się mieścić w sobie połówkę krowy.

Ostrożnie wyjął z ucha ciekawskiego chrząszcza. Chodziło o to, że jeśli teraz odejdzie, zawsze już będzie się zastanawiał...

– Chyba chciałbym tu zostać – oznajmił.

– Rozsądny... eee... – rzucił bóg, nie podnosząc głowy.

– Człowiek – odpowiedział Myślak.

– Rozsądny człowiek – pochwalił bóg.

– Jest pan pewien? – spytał zaskoczony Ridcully.

– Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek wyjeżdżał na wakacje – odparł Myślak. – Dlatego chciałbym prosić o urlop w celu prowadzenia badań.

– Człowieku, przecież jesteśmy zagubieni w przeszłości!

– No to badań prehistorycznych – rzekł stanowczo Myślak. – Tak wiele można się tu nauczyć, nadrektorze!

– Naprawdę?

– Wystarczy rozejrzeć się dookoła, nadrektorze.

– No cóż, nie mogę chyba panu zabronić, skoro już pan zdecydował – uznał Ridcully. – Będziemy musieli zawiesić pańskie pobory, to oczywiste.

– Nie wydaje mi się, żeby mi kiedykolwiek płacono.

Dziekan szturchnął Ridcully'ego i szepnął mu coś do ucha.

– Chcielibyśmy też wiedzieć, jak prowadzić łódź – dodał nadrektor.

– Co? Nie, to nie będzie problemem – odezwał się bóg znad warsztatu. – Działa samoczynnie. Sama znajdzie miejsce z odmienną sygnaturą biogeograficzną. Nie ma przecież sensu wracać tam, skąd wyruszyliście! – Machnął w powietrzu nogą chrząszcza. – Nowy kontynent wynurza się na obrót stąd. Łódź prawdopodobnie skieruje się wprost do tak wielkiej masy lądowej.

– Nowy? – zdziwił się Ridcully.

– Tak. Nigdy mnie nie interesowały takie sprawy, ale przez całą noc słyszeć hałasy z budowy. Powodują straszny chaos, to fakt.

– Stibbons, jesteś pewien, że chcesz tu zostać? – zapytał dziekan.

– E... tak.

– Jestem pewien, że pan Stibbons dochowa wierności świetnym tradycjom naszego uniwersytetu – oświadczył z przekonaniem Ridcully.

Myślak, który wiedział wszystko o tradycjach uniwersytetu, lekko skinął głową. Serce biło mu mocno. Nie czuł takiego podniecenia nawet wtedy, kiedy pierwszy raz udało mu się zaprogramować HEX-a.

W końcu znalazł swoje miejsce w świecie. Przyszłość przyzywała.

Wstawał świt, kiedy magowie w końcu zeszli z góry.

– Nie taki zły ten bóg, moim zdaniem – uznał pierwszy prymus. – Jak na boga.

– I przygotował nam całkiem dobrą kawę – dodał kierownik studiów nieokreślonych.

– A ten krzew wyhodował całkiem szybko, kiedy już mu wytłumaczyliśmy, co to jest kawa – zauważył wykładowca run współczesnych.

Maszerowali niespiesznie dalej. Pani Whitlow szła nieco z przodu i nuciła coś pod nosem. Magowie uważnie starali się zachowywać pełen szacunku dystans. Zdawali sobie sprawę, że w jakiś niejasny sposób to ona wygrała, choć nie mieli pojęcia, co to była za gra.

– Zabawne, że młody Stibbons chciał tu zostać – odezwał się pierwszy prymus, rozpaczliwie usiłując myśleć o czymkolwiek oprócz wizji w różu.

– Bóg był chyba z tego zadowolony – zauważył wykładowca run współczesnych. – Powiedział, że zaprojektowanie seksu wymaga prawdopodobnie przeprojektowania wszystkiego innego.

– Kiedy byłem mały, często robiłem węże z gliny – wtrącił radośnie kwestor.

– Brawo, kwestorze.

– Nie mogę pozbyć się obawy, że mogliśmy... pozmieniać coś w przeszłości, nadrektorze – rzekł pierwszy prymus.

– Nie rozumiem, w jaki sposób – odparł Ridcully. – W końcu przeszłość zdarzyła się, zanim tu trafiliśmy.

– Tak, ale teraz tu jesteśmy i ją zmieniamy.

– W takim razie zmieniliśmy ją przedtem.

I to, w powszechnej opinii, praktycznie zamykało kwestię. Bardzo łatwo jest w trakcie podróży w czasie bezsensownie pogmatwać formy czasownikowe, lecz większość problemów daje się rozwiązać przez dostatecznie wielkie ego.

– Ale robi wrażenie, kiedy człowiek pomyśli, że ktoś z naszego uniwersytetu pomaga opracować całkiem nowe podejście w konstrukcji form życia – oświadczył kierownik studiów nieokreślonych.

– Tak, w samej rzeczy – zgodził się dziekan. – I kto teraz powie, że edukacja nie jest dobra?

– Nie mam pojęcia – odparł Ridcully. – Kto?

– No, gdyby ktoś tak mówił, możemy wskazać Myślaka Stibbonsa i powiedzieć: Spójrzcie na niego. Pracował ciężko podczas studiów, słuchał swoich wykładowców, a teraz siedzi po prawicy boga.

– Czy to nie jest trochę trudne do... – zaczął wykładowca run współczesnych, ale dziekan był szybszy.

– To znaczy, że po prawej stronie boga, runisto – wyjaśnił. – Co, jak przypuszczam, czyni go

aniołem. Technicznie.

– Na pewno nie. Ma lęk wysokości. Poza tym jest zbudowany z krwi i kości, a anioły są chyba... no, ze światła albo czegoś takiego. Chociaż przypuszczam, że mógłby być świętym.

– A potrafi czynić cuda?

– Nie jestem pewien. Kiedy wychodziliśmy, dyskutowali o przerobieniu siedzeń samców pawianów, żeby stały się bardziej atrakcyjne.

Magowie zastanawiali się nad tym przez chwilę.

– Według mnie to byłby prawdziwy cud – uznał Ridcully.

– Nie powiedziałbym jednak, że chciałbym na coś takiego poświęcić wolne popołudnie – mruknął w zadumie pierwszy prymus.

– Według boga, wszystko polega na tym, żeby skłonić stworzenia, by chciały... zajmować się... żeby zabrały się do tworzenia nowych pokoleń, kiedy mogą przecież spędzać czas bardziej... produktywnie. Okazuje się, że wiele zwierząt wymaga całkowitej przebudowy.

– Od siedzenia w górę, cha, cha, cha!

– Dziękuję za tę cenną uwagę, dziekanie.

– Ale właściwie jak to działa? – zainteresował się pierwszy prymus. – Samica pawiana widzi samca pawiana i mówi: „Słowo daję, co za barwne siedzenie,

robi wrażenie, zajmijmy się zatem... działalnością małżeńską”?

– Muszę przyznać, że sam często się nad tym zastanawiałem – rzekł wykładowca run współczesnych. – Weźmy takie żaby. Gdybym na przykład był panią żabą szukającą męża, chciałbym poznać... no, długość nóg, kompetencje w łapaniu much...

– Długość języka – wtrącił Ridcully. – Dziekanie, czy mógłbyś brać coś na ten kaszel?

– No właśnie – zgodził się wykładowca run współczesnych. – Czy ma porządne bajorko i tak dalej. Raczej nie opierałbym swoich decyzji na tym, czy kandydat potrafi wydać gardło do rozmiarów brzucha i wołać głośno „rade, rade”.

– O ile się nie mylę, to brzmi „rechu, rechu, rechu”, runisto.

– Na pewno?

– Wydaje się, że tak.

– No to które robią „rade, rade”?

– Pewnie radela... radiolarie.

– A są takie?

– Tak. Bóg je pewnie lubi, bo podobne do ameb.

– Zawsze uważałem, że seks to dość niegustowna metoda zapewnienia kontynuacji gatunku – oznajmił kierownik studiów nieokreślonych, gdy dotarli na plażę. – Jestem pewien, że dałoby się to załatwić inaczej. Wszystko to takie... staroświeckie, moim zdaniem. I męczące.

– No cóż, ogólnie skłonny jestem się zgodzić, ale co proponujesz w zamian?

– spytał

Ridcully.

- Brydza – odparł stanowczo kierownik studiów nieokreślonych.
- Naprawdę? Brydza?
- Masz na myśli taką grę w karty? – upewnił się dziekan.
- Nie rozumiem, dlaczego by nie. Może być bardzo ekscytująca, świetnie sprzyja nawiązywaniu kontaktów towarzyskich i nie wymaga specjalistycznego sprzętu.
- Ale potrzebna jest czwórka – zauważył Ridcully.
- No tak, o tym nie pomyślałem. Rzeczywiście, mogą się pojawić problemy. No dobrze. A co powiecie na... krokieta? Można grać we dwójkę. Ba, często mi się zdarzało, że wyskakiwałem na szybkie stuknięcie czy dwa całkiem sam.

Ridcully pozwolił, aby nieco większa przestrzeń pojawiła się między nim a kierownikiem studiów nieokreślonych.

- Nie potrafię dostrzec, w jaki sposób można by wykorzystać krokieta w celach prokreacyjnych – powiedział ostrożnie. – Rekreacja, owszem, przyznaję. Ale nie prokreacja. Znaczy, niby jak to ma działać?
- To on jest bogiem – burknął kierownik studiów nieokreślonych. – Powinien jakoś rozwiązywać szczegółowe kwestie techniczne, prawda?
- Ale myślisz, że kobieta naprawdę zdecyduje się spędzić życie z mężczyzną tylko dlatego, że potrafi stuknąć długim młotkiem? – nie dowierzał dziekan.
- Wydaje mi się, kiedy się dobrze zastanowić, że to nie bardziej absurdal... – zaczął Ridcully i urwał. – Myślę, że powinniśmy zostawić ten temat – oświadczył.
- Nie dalej jak w zeszłym tygodniu grałem z nim w krokieta – syknął dziekan do ucha Ridcully’emu, kiedy tylko kierownik się oddalił. – Nie będę czuł się dobrze, dopóki nie wezmę porządnej kąpieli.
- Kiedy wrócimy, zamkniemy gdzieś jego młotki, możesz być pewien –

szeptał nadrektor.

– On ma w swoim pokoju całą masę książek o krokiecie. Wiedziałeś o tym? Niektóre nawet z kolorowymi ilustracjami!

– Czego?

– Słynnych krokietowych uderzeń. Uważam, że koniecznie trzeba mu odebrać młotek.

– Właśnie o czymś takim myślałem, dziekanie. Właśnie o czymś takim...

Kiedys umiarkowanie wesoły mag obozował przy wyschniętej wodnej dziurze, w cieniu drzewa, którego w ogóle nie potrafił zidentyfikować. I wciąż kłął, kiedy tłukł, ciągle tłukł w twardą puszkę Gur, mówiąc: „Tylko idiota w puszkę piwo pcha”. Gdy wreszcie udało mu się zrobić otwór ostrym kamieniem, piwo wystrzeliło w formie wysokoenergetycznej piany, ale wyłapał tyle, ile zdołał.

Jeśli nie liczyć piwa, sprawy wyglądały o wiele lepiej. Sprawdził, czy na drzewach nie ma spadomisiów, a co najważniejsze, nie znalazł nawet śladu Skoczka.

Drugą puszkę przebił już o wiele ostrożniej. Wysysał jej zawartość i myślał.

Co za kraj! Nic nie było dokładnie tym, czym się okazywało, nawet wróble gadały, a przynajmniej próbowały powiedzieć „Kto tu jest ślicznym ptaszkiem”. I nigdy nie padało. Cała woda skrywała się pod ziemią, tak że musieli ją pompować wiatrakami.

Minął jeszcze jeden taki, kiedy opuścił ten labirynt kanionów. Z rury wciąż ciekła strużka wody, ale wyschła, gdy na nią patrzył; potem tylko z rzadka spadała do koryta pojedyncza kropla.

Niech to! Powinien zabrać stamtąd trochę wody, kiedy miał okazję...

Obejrzał żywność w worku. Znalazł bochenek chleba rozmiaru i ciężaru kuli armatniej oraz trochę jarzyn. Ale przynajmniej były to rozpoznawalne jarzyny. Trafiał się nawet ziemniak.

Rincewind uniósł go i obejrzał na tle zachodzącego słońca.

Jadał już w wielu krainach na Dysku, a czasem udawało mu się skończyć cały posiłek, zanim musiał uciekać. I zawsze czegoś potrawom brakowało. Pewnie, ludzie potrafili dokonać wspaniałych rzeczy z przyprawami, oliwkami, batatami, ryżem i czym tam jeszcze, on jednak zaczął tęsknić za skromnym ziemniakiem.

Był czas, kiedy wystarczyło mu poprosić o talerz puree albo frytek – musiał tylko zejść na dół do kuchni. O jedzenie na uniwersytecie zawsze wystarczyło poprosić, to trzeba przyznać, nawet jeśli człowiek przyznawał to z pełnymi ustami. A choć dzisiaj wydaje się to śmieszne, bardzo rzadko prosił. Półmisek ziemniaków przesuwiał się przed nim w czasie posiłków, a on prawdopodobnie nakładał sobie łyżkę, ale czasami nie! Pozwalał... żeby... półmisek... go... minął. Zamiast tego brał ryż. Ryż! Pewnie, na swój sposób całkiem smaczny, ale uprawiany wyłącznie tam, gdzie ziemniaki wypływałyby na powierzchnię.

Niekiedy wspominał te czasy, zwykle we śnie. Budził się wtedy z krzykiem: „Podajcie mi ziemniaki, jeśli można prosić!”.

Czasami przypominał sobie również topione masło. To były te złe dni.

Z szacunkiem ułożył ziemniaka na ziemi i wysypał resztę zawartości worka. Była tam cebula i kilka marchewek. Puszka... herbaty, sądząc po zapachu, i małe pudełeczko soli.

Iskra natchnienia trafiła go z całą mocą i jaskrawością, jakie charakteryzują pomysły docierające poprzez piwo.

Zupa! Pożywna i prosta! Wystarczy wszystko ugotować. Tak, można wykorzystać jedną z pustych puszek po piwie, rozpalić ogień, pokroić jarzyny, a ta wilgotna plama, o tam, sugeruje, że jest tu woda...

Przeszedł tam chwiejnie, żeby sprawdzić. Znalazł koliste zagłębienie w ziemi, wyglądające, jakby mogła stać tu kiedyś jakaś kałuża; była też typowa kępa nieco zdrowszych niż zwykle

drzewek, jakie spotykało się w takich miejscach, lecz ani odrobiny wody, a był już zbyt zmęczony, żeby kopać.

I wtedy z prędkością piwa wpadła mu do głowy kolejna myśl. Piwo! Przecież tak naprawdę to tylko woda z jakimiś dodatkami. Zgadza się? A większa część tych dodatków to drożdże, które praktycznie są przecież lekarstwem i zdecydowanie jedzeniem. Właściwie, kiedy się zastanowić, piwo to taki płynny chleb. I chyba nawet lepiej użyć piwa do zupy! Zupa piwna! Kilka komórek w mózgu zgłaszało protesty, ale pozostałe złapały je za kołnierze i powiedziały chrapliwie: „Przecież gotuje się kurczaki w winie, nie?”.

Trochę czasu zajęło mu odcięcie denka, w końcu jednak puszka stanęła na ogniu z pływającymi w pianie krojonymi warzywami. Kilka wątpliwości zaatakowało go w owej chwili, ale zostały szybko wypchnięte łokciami, zwłaszcza że od unoszącego się zapachu ślina napłynęła mu do ust. Otworzył więc kolejne piwo jako aperitif.

Po chwili nakłuł patykiem kilka jarzyn. Wciąż były dość twarde, choć wydawało się, że spora część piwa zdążyła wyparować. Czyżby o czymś zapomniał?

Sól! Tak, to jest to! Sól, cudowna substancja. Czytał kiedyś, że człowiek zupełnie się wykańcza, jeśli przez parę tygodni nie je soli. Pewnie dlatego czuł się teraz tak dziwnie. Wygrzebał pudełko z solą i wrzucił szczyptę do puszki.

Sól to ziele lecznicze. Dobre na rany, zgadza się? A kiedyś, naprawdę dawno, czy żołnierzom nie płacili solą? Czy nie od tego wzięło się określenie „solidne dochody”? Czyli musiała to być niezła wypłata. Człowiek szedł szybkim marszem przez cały tydzień, równocześnie budując dla siebie drogę, potem walczył z oszalałymi niebieskimi wojownikami z Vexatii, szybkim marszem wracał do domu, a w piątek zjawiał się centurion z wielkim workiem i mówił: „Dobra robota, chłopcy! Tu macie trochę soli!”.

Zadziwiające, jak sprawnie pracował jego umysł.

Raz jeszcze obejrzał pudełko z solą, wzruszył ramionami i wsypał je całe. Kiedy człowiek chwilę pomyśli, dochodzi do wniosku, że sól to naprawdę

niezwykłe pożywienie. W dodatku nie jadł jej już od tygodni, więc pewnie dlatego wzrok zaczynał mu szwankować i nie czuł własnych nóg.

Dopił też piwo.

Położył się na wznak, opierając głowę o kamień. Unikać kłopotów i w nic się nie mieszać, to najważniejsze. Takie na przykład gwiazdy w górze. Przez cały czas nic nie mają do roboty. Muszą tylko tkwić tam i błyszczeć. Nikt im nie rozkazuje, szczęściarzom.

Obudził się drżący. Coś potwornego wpełzło mu do ust i wcale nie przyniosło ulgi odkrycie, że to jego własny język. Było chłodno, a horyzont zapowiadał świt.

Rozbrzmiewał także żałosny odgłos ssania.

Nocą kilka owiec wdarło się do obozowiska, a jedna z nich usiłowała chwycić pyskiem pustą

puszkę po piwie. Przestała, kiedy zobaczyła, że się obudził, i cofnęła się trochę, ale nie za daleko. Przeszyła go przenikliwym wzrokiem udomowionego zwierzęcia, przypominającego swemu udomawiaczowi, że zawarli układ.

Głowa go bolała.

Gdzieś przecież musi być jakaś woda. Wstał niepewnie i zamrugał w stronę horyzontu. Były takie... wiatraki i tak dalej, prawda? Pamiętał z wczoraj te popsute wiatraki. W każdym razie woda musi się gdzieś znaleźć, nieważne, co o tym mówią. Na bogów, ależ chciało mu się pić...

Mętym spojrzeniem objął wspaniały nocny eksperyment kulinarny Drożdżowa zupa jarzynowa – co za rewelacyjny pomysł! Akurat taki, który wydaje się naprawdę świetny koło pierwszej w nocy, kiedy człowiek za dużo wypił.

Teraz przypominał sobie – z dreszczem odrazy – kilka innych wynalazków, jakie stworzył przy podobnych okazjach. Spaghetti z budyniem... tak, to było

niezłe. Groszek smażony w oleju – kolejny tryumf. A raz zdarzyło się, że uznał za całkiem niezły pomysł, by zjeść trochę drożdży i mąki, i popić to ciepłą wodą, bo akurat skończył mu się chleb, a w końcu tak właśnie widziałby to żołądek, prawda? Problem z nocnym gotowaniem polega na tym, że wszystko to w danej chwili wydaje się całkiem sensowne. Zawsze tkwiła za tym jakaś logika, tyle że nie taka, jakiej człowiek używa koło południa.

Teraz jednak musiał coś zjeść, a wypełniająca połowę puszkę ciemnobrązowa breja była w okolicy jedyną żywnością nie mającą sześciu lub więcej nóg. Nawet nie pomyślał o jedzeniu baraniny. Nie można, kiedy baranina patrzy na człowieka tak żałośnie.

Pogrzebał w brei patykami. Chwyciła drewno niczym klej.

– Spadaj!

Galaretowata bryła odpadła w końcu. Rincewind skosztował ostrożnie... Może akurat, kiedy zmiesza się drożdże w piwie i jarzyny, powstaje...

Nie. Powstała słona, piwna, brązowa maź.

Chociaż... Co prawda była okropna, ale mimo to Rincewind skosztował jeszcze trochę.

O bogowie. Teraz naprawdę chciało mu się pić.

Sięgnął po puszkę i zataczając się, ruszył w stronę kępy drzew. Tak się szukało wody. Człowiek patrzył, gdzie rosną drzewa, a potem, zmęczony czy nie, kopał.

Pół godziny zajęło mu zgniecenie pustej puszkę i wykopanie nią dołu głębokiego do pasa. Palcami stóp wyczuł wilgoć.

Kolejne pół godziny doprowadziło go na głębokość do ramion i dało mokre kostki u nóg.

Brązowe blocko okazało się niezłe. Było rzadszym odpowiednikiem chleba krasnoludów. Człowiek nie wierzył tak naprawdę własnym ustom

mówiącym, co właśnie jadły, więc jadł jeszcze trochę. Prawdopodobnie zawierało wiele pożywnych witamin i minerałów. Większość rzeczy, w których smak trudno uwierzyć, zawiera...

Kiedy znów uniósł głowę, otaczały go owce. Zerkały na niego czujnie między kolejnymi tęsknymi spojrzeniami w wilgotną głębię.

– Nie macie co tak na mnie patrzeć – uprzedził.

Nie zwróciły uwagi na jego słowa. Nadal patrzyły.

– To nie moja wina – mruczał Rincewind. – Nie obchodzi mnie, co wygaduje ten kangur. Jestem tu od niedawna. Nie odpowiadam za pogodę, na bogów!

Wciąż patrzyły.

Złamał się. Praktycznie każdy się złamie, zanim złamie się owca. W owcy nie ma zbyt wielu łamliwych elementów.

– Niech to demon! Może uda się postawić jakiś system z wiadrem na bloczku – powiedział. – W końcu i tak nie planowałem na dziś żadnych spotkań.

Kopał dalej, w nadziei że dostanie się głębiej, zanim woda zniknie całkowicie. I wtedy usłyszał, że ktoś gwizdze.

Wyjrzał spomiędzy owczych nóg. Jakiś człowiek skradał się przez wyschniętą wodną dziurę i pogwizdywał fałszywie między zębami. Nie zauważył Rincewinda, gdyż w skupieniu obserwował kręcące się bezładnie owce. Odłożył plecak, wyjął worek, zbliżył się do jednej, stojącej samotnie na uboczu... i skoczył. Ledwie miała czas zabeczeć.

Kiedy pakował ją do worka, zabrzmiał głos:

– Wiesz, ona pewnie jest czyjąś własnością.

Mężczyzna rozejrzał się nerwowo. Głos dobiegał od strony grupki owiec.

– Myślę sobie, że kradnąc owce, narażasz się na poważne kłopoty. Jestem pewien, że wkrótce tego pożałujesz. Komuś pewnie naprawdę zależy na tej

owcy. Wypuść ją.

Mężczyzna rozglądał się zalekniony.

– Znaczy, pomyśl tylko – ciągnął głos. – Macie tu taki miły kraj, z papugami i w ogóle, a ty chcesz to wszystko zepsuć, kradnąc cudzą owcę, a tak ciężko pracowali, żeby ją wyhodować. Założę się, że nie chciałbyś być pamiętany jako owcokrad... Och...

Mężczyzna rzucił worek i zaczął oddalać się biegiem, bardzo szybko.

– Wiesz, nie musiałeś tak nagle odwalcować, próbowałem tylko przemówić do lepszej strony twojej natury! – zawołał Rincewind, wypełzając z dołu.

Przyłożył zwinięte dłonie do ust.

– I zapomniałeś sprzętu biwakowego! – krzyknął za znikającym obłoczkiem kurzu.

Worek zameczał.

Rincewind podniósł go i nagle jakiś hałas za plecami kazał mu się obejrzeć. Inny mężczyzna przyglądał mu się z końskiego grzbietu. Był wyraźnie rozgniewany.

Za nim stało jeszcze trzech, noszących identyczne hełmy, kamizele i ponure miny. Mogli mieć na czołach wypisane „straż” – powolnym, nierównym pismem. I wszyscy trzech mierzyli do

niego z kusz.

W Rincewindzie znów zbudziło się to głębokie przeczucie, że wpakował się w coś, co go nie dotyczyło, i że wkrótce się przekona, jak trudno się z tego wypakować.

Spróbował się uśmiechnąć.

– Witam – powiedział. – Nie ma zmartwienia, co? Muszę przyznać, że naprawdę się cieszę na wasz widok, dronga, i nie ma dwóch zdań!

Myślak Stibbons odchrząknął.

– Gdzie miałbym zacząć? – spytał. – Chyba potrafiłbym dokończyć słonia...

– Jak sobie radzisz ze szlamem?

Myślak nie planował przyszłej kariery jako projektant szlamu, ale w końcu każdy musi od czegoś zacząć.

– Świetnie – powiedział. – Świetnie.

– Oczywiście, w szlamie wszystko po prostu dzieli się na połowy – tłumaczył bóg, kiedy szli wzdłuż rzędów lśniących, wypełnionych życiem sześcianów, a chrząszcze brzęczały im nad głowami. – Nie ma w tym perspektyw rozwojowych. Metoda dobrze się sprawdza przy niższych formach życia, ale prawdę mówiąc, jest dość krępująca dla istot bardziej skomplikowanych, a już całkowicie śmiertelna dla koni. Nie, Myślaku. Seks będzie z pewnością bardzo, ale to bardzo użyteczny. Wszystko będzie stawać na palcach... A to da nam czas, żeby się zająć wielkim projektem...

Myślak westchnął. Wiedział, że musi być jakiś wielki projekt. Ten projekt... Bóg nie robiłby przecież tego wszystkiego tylko po to, żeby uprzyjemnić życie łatwo palnym krowom.

– Czy mógłbym w tym pomóc? – zapytał z nadzieją. – Na pewno bym się przydał...

– Naprawdę? Myślałem, że raczej zwierzęta i ptaki to twoja... twoja... – Bóg machnął ręką. – No, twoje to, na czym hodujesz różne rośliny. Niedaleko miejsca, gdzie żyjesz.

– No, niby tak, ale one są trochę ograniczone, prawda?

Bóg się rozpromienił. Nie ma nic lepszego niż przebywać w pobliżu zadowolonego boga. To jakby gorąca kąpiel dla umysłu.

– Otóż to! – zawołał. – Ograniczone! Doskonale to ująłeś. Każde z nich tkwi na jakiejś pustyni czy w dżungli albo w górach, korzysta z jednego czy dwóch typów pożywienia, na łasce dowolnych kaprysów wszechświata,

bywa starte z powierzchni Dysku przez najmniejszą zmianę klimatyczną! Co za przerażające marnotrawstwo!

– Zgadza się! – przyznał Myślak. – Potrzebne jest stworzenie zaradne i zdolne do adaptacji, mam rację?

– Dobrze to ująłeś, Myślaku. Widzę teraz, że zjawileś się w bardzo odpowiedniej chwili!

Potężne skrzydła wrót rozwarły się przed nimi, odsłaniając okrągłą komorę z niezbyt stromą

schodkową piramidą pośrodku. Nad jej wierzchołkiem unosił się kolejny obłok błękitnej mgły, w którym od czasu do czasu zapalały się i gasły światła.

Przed Myślakiem Stibbonsem rozwinęła się przyszłość. Oczy płonęły mu tak jasno, że aż dymiły szkła okularów; mógłby pewnie wypalać wzrokiem otwory w cienkim papierze. O tak... O czym więcej mógłby marzyć dowolny filozof naturalny? Miał już teorie, teraz mógł zająć się praktyką.

I tym razem wykona się to należycie. Do demona ze zmianami przyszłości. W końcu przyszłość właśnie do tego służy. Owszem, był temu przeciwny, to prawda, ale tylko... no, tylko wtedy, kiedy zmian dokonywał ktoś inny. Ale teraz bóg słuchał jego rad, więc może uda się zastosować odrobinę inteligencji w procesie tworzenia inteligencji.

Na początek powinno być możliwe takie złożenie ludzkiego mózgu, żeby długie brody nie były kojarzone z mądrością, która za to w powszechnej opinii byłaby cechą osób młodych, chudych i używających okularów do precyzyjnych robót.

– I... już pan to skończył? – zapytał, kiedy wspinali się na schody.

– Ogólnie rzecz biorąc, tak – potwierdził bóg. – To moje największe osiągnięcie. Szczerze powiem, że w porównaniu z nim słoń wydaje się całkiem lichy. Ale pozostało do opracowania jeszcze wiele drobnych szczegółów. Uważasz, że dasz sobie z nimi radę?

– Będę zaszczycony – zapewnił Myślak.

Błękitna mgła była tuż przed nim. Sądząc po iskrach, wewnątrz niej działa się coś bardzo ważnego.

– Czy daje im pan jakieś instrukcje, zanim je pan wypuści na swobodę? – spytał, oddychając z trudem.

– Kilka bardzo prostych. – Bóg skinął pomarszczoną dłonią i świetlista kula zaczęła się kurczyć. – Na ogół same dochodzą do tego, jak się zachowywać.

– Oczywiście, oczywiście. Przypuszczam, że jeśli gdzieś popełnią błąd, zawsze można kilkoma przykazaniami naprowadzić je na słuszną drogę.

– To nie jest konieczne – zapewnił bóg, gdy błękitna mgła zniknęła, odsłaniając koronę stworzenia. – Przekonałem się, że całkiem wystarczają proste instrukcje. No wiesz... „kieruj się do ciemnych miejsc” i temu podobne. Proszę! Czy nie jest doskonały? Co za dzieło! Słońce się wypali, morza wyschną, ale ten maluch wciąż tu będzie, zapamiętaj moje... Hej! Myślak!

Dziekan poślinił palec i wystawił go do góry.

– Mamy wiatr ze sterburty – oznajmił.

– To dobrze, prawda? – upewnił się pierwszy prymus.

– Możliwe, możliwe... Miejmy nadzieję, że doprowadzi nas do tego kontynentu, o którym wspominał. Na wyspach robię się nerwowo.

Ridcully odrąbał w końcu łodygę łodzi i wyrzucił ją za burtę.

Na szczycie zielonego masztu lejkowate kwiaty zdawały się drżeć w podmuchach wiatru. Liściasty żagiel z trzaskiem ustawił się w nowej pozycji.

– Powiedziałbym, że to cud natury – rzekł dziekan. – Gdybyśmy nie spotkali osoby, będącej jego autorem. To trochę psuje efekt.

Co prawda magowie nie są z natury poszukiwaczami przygód, jednak

rozumieją, że kluczowym elementem każdego wielkiego przedsięwzięcia jest zabezpieczenie odpowiedniej aprowizacji. Dlatego też w chwili obecnej łódź zanurzała się w wodzie o wiele głębiej.

Dziekan wyjął naturalne cygaro, zapalił i skrzywił się.

– Nie najlepsze – uznał. – Jeszcze zielone.

– Trudno, warunki będą ciężkie – stwierdził Ridcully. – Co robisz, pierwszy prymusie?

– Szykuję tacę dla pani Whitlow. Kilka wybranych smakołyków.

Magowie zerknęli w stronę prymitywnego zadaszania, jakie wzniesli na dziobie. Właściwie wcale o to nie prosiła. Wygłosiła tylko uwagę o tym, jak gorąco jest na słońcu, aż trudno wytrzymać, i nagle wszyscy wchodzili sobie w drogę, wycinając tyczki i splatając palmowe liście. Chyba nigdy jeszcze tyle intelektualnego wysiłku nie zostało włożone w budowę przeciwsłonecznego daszku, co pewnie było przyczyną jego chwiejności.

– Sądziłem, że teraz moja kolej – rzucił chłodno dziekan.

– Nie, dziekanie. Ty zaniósłeś jej napój owocowy, jeśli sobie przypominasz – odparł pierwszy prymus, krojąc orzech serowy na eleganckie kostki.

– To był tylko jeden nieduży napój! – zirytował się dziekan. – A ty przygotowujesz całą tacę. Ułożyłeś nawet kwiaty w skorupie kokosa.

– Pani Whitlow lubi takie rzeczy – wyjaśnił spokojnie pierwszy prymus. – Wspomniała jednak, że nadal jest jej gorąco, może więc powachlujesz ją palmowym liściem, kiedy ja będę dla niej obierał winogrona.

– I znowu to ja muszę zwrócić uwagę na tę elementarną niesprawiedliwość – rzekł dziekan. – Zwyczajne machanie liściem to całkiem prymitywne zajęcie w porównaniu z usuwaniem skórek winogron, a tak się składa, że mam wyższe od ciebie stanowisko, pierwszy prymusie.

– Doprawdy, dziekanie? W jaki sposób doszedłeś do takich wniosków?

– To nie jest moja prywatna opinia, człowieku! To jest wpisane w samą strukturę grona wykładowczego!

– Czego dokładnie?

– Czyżś całkiem skwestorzył? Niewidocznego Uniwersytetu, oczywiście!

– A gdzież on się znajduje? – pytał pierwszy prymus, starannie układając lilie w miły dla oka wzór.

– Na bogów, człowieku, to przecież... to jest...

Dziekan machnął ręką w stronę horyzontu i zamilkł, kiedy dotarły do niego pewne fakty związane z czasem i przestrzenią.

– Zostawiam cię, żebyś to sobie przemyślał, dobrze? – rzekł pierwszy prymus. Wstał z kolan i z szacunkiem podniósł tacę.

– Pomogę! – Dziekan poderwał się na nogi.

– Jest całkiem lekka, zapewniam...

– Nie, nie! Nie pozwolę, żebyś sam się męczył!

Obaj ściskali tacę jedną ręką, drugą starając się odepchnąć konkurenta. I tak ruszyli chwiejnie naprzód, zostawiając za sobą smugę rozlanego mleka kokosowego i płatków lilii.

Ridcully przewrócił oczami. To pewnie upał, pomyślał. Zwrócił się do kierownika studiów nieokreślonych, który próbował lianą przywiązać krótkie polano do długiego patyka.

– Tak mi się wydaje – zaczął – że wszyscy tu dostali lekkiego obłądu, z wyjątkiem mnie i ciebie... Ehm... co robisz?

– Zastanawiam się, czy pani Whitlow nie będzie miała ochoty na partyjkę krokiet – wyjaśnił kierownik i porozumiewawczo poruszył brwiami.

Nadrektor westchnął ciężko i odszedł spacerem wzdłuż relingu. Bibliotekarz

znowu stał się leżakiem, zapewne uznając to za formę odpowiednią do życia na statku, a kwestor zasnął na nim.

Wielki liść poruszył się lekko. Ridcully miał wrażenie, że zielone trąbki na maszcie wachają wiatr.

Znajdowali się już kawałek od brzegu, ale zauważył zbliżającą się po ścieżce kolumnę pyłu. Zatrzymała się na plaży i zmieniła w punkt, który skoczył w fale.

Żagiel znów zatrzęszczał i załopotał, gdy wzmógł się wiatr.

– Hej tam, ahoj! – krzyknął Ridcully.

Odległa figurka pomachała mu ręką i popłynęła dalej. Ridcully nabił fajkę i z zaciekawieniem obserwował, jak Myślak Stibbons dogania łódź.

– Niezły pokaz pływania, muszę przyznać – powiedział.

– Proszę o zgodę na wejście na pokład, sir! – zawołał Myślak, przebierając nogami w wodzie. – Może mi pan rzucić lianę?

– Ależ oczywiście.

Nadrektor pykał spokojnie z fajki, gdy młody mag wspiął się na pokład.

– To być może rekordowy wynik na tym dystansie, panie Stibbons.

– Dziękuję, nadrektorze. – Myślak ociekał wodą.

– Muszę też pogratulować panu tego, że jest pan właściwie ubrany. Nosi pan swój spiczasty kapelusz, który jest sine qua non dla maga w miejscach publicznych.

– Dziękuję.

– To dobry kapelusz.

– Dziękuję, panie nadrektorze.

- Mówią, że mag bez kapelusza nie jest ubrany, panie Stibbons.
- Tak słyszałem, nadrektorze.
- Ale w pańskim przypadku, muszę to zaznaczyć, ma pan kapelusz, ale wciąż jest pan, w bardzo konkretnym sensie, nieubrany.
- Bałem się, że szata będzie mnie hamować.
- I chociaż dobrze znowu pana widzieć, Stibbons, i to raczej więcej pana, niż normalnie chciałbym kontemplować, chciałbym zapytać, dlaczego właściwie pan tu jest.
- Nagle poczułem, że nieuczciwie byłoby pozbawiać uniwersytet moich usług, nadrektorze.
- Doprawdy? Nagła fala nostalgii za starą alma mater?
- Można tak to określić, nadrektorze.

Oczy Ridcully'ego błysnęły za kłębem dymu – i już nie po raz pierwszy w Myślaku zrodziło się podejrzenie, że nadrektor jest czasem sporo mądrzejszy, niż się wydaje. Co by nie było takie trudne.

Ridcully wzruszył ramionami, wyjął z ust fajkę i podłubał wewnątrz cybuchu, by usunąć jakąś przeszkadzającą bryłkę popiołu.

– Gdzieś tu leży kostium kąpielowy pierwszego prymusa – powiedział. – Radzę go włożyć. Podejrzewam, że w tej chwili urażenie czymkolwiek pani Whitlow skończy się dla pana powieszeniem na rei. W porządku? I gdyby chciał pan o czymś porozmawiać, moje drzwi zawsze są otwarte.

- Dziękuję, nadrektorze.
- W tej chwili, naturalnie, nie mam drzwi.
- Dziękuję, nadrektorze.
- Ale mimo to proszę sobie wyobrazić, że są otwarte.

– Dziękuję, nadrektorze.

W końcu, myślał Myślak, odchodząc z ulgą, magowie z NU są tylko zwariowani. Nawet kwestor nie jest tak naprawdę obłąkany.

Jeszcze teraz, kiedy przymknął oczy, wciąż widział boga ewolucji, z promiennym uśmiechem obserwującego pierwsze poruszenia karalucha.

Rincewind szarpnął kratę.

– Nie będę miał procesu? – wrzasnął.

Po chwili korytarzem nadszedł dozorca.

– A po co ci proces, szefuniu?

– Co? Dobra, nazwij mnie panem Głupkiem, jeśli masz ochotę, ale przecież może się okazać, że wcale nie próbowałem ukraść tej nieszczęsnej owcy, nie? Tak naprawdę to ją ratowałem.

Gdybyście tylko wytropili złodzieja, toby wam powiedział!

Dozorca oparł się o ścianę i wsunął kciuki za pasek.

– Tylko że, niby, taka zabawna historia wyszła – powiedział. – Bo wiesz, szukaliśmy i szukaliśmy, wieszaliśmy ogłoszenia, ale... śmieszna rzecz, w życiu byś nie uwierzył... ten drań nie miał dość przyzwoitości, żeby się zgłosić... Można się załamać, kiedy człowiek się zastanowi nad ludzką naturą, nie?

– No to co ze mną będzie?

Dozorca podrapał się w nos.

– Powieszą cię za szyję, aż będziesz martwy, koleś. Jutro rano.

– Nie mogliby może powiesić mnie za szyję, aż mi się zrobi przykro?

– Nie, koleś. Musisz być martwy.

– Na bogów, przecież chodzi tylko o owcę!

Dozorca uśmiechnął się szeroko.

– No, w przeszłości wielu już poszło na szubienicę, powtarzając coś takiego. Prawdę mówiąc, od lat jesteś pierwszym owcokradem, jakiego tu mamy. Wszyscy nasi wielcy bohaterowie byli owcokradami. Będziesz miał niezły tłum widzów.

– Beee! – wtrąciła się owca.

– A może i niezłe stadko – dokończył dozorca.

– No właśnie, mam jeszcze jedno pytanie – oświadczył Rincewind. – Co robi w mojej celi ta owca?

– Dowód rzeczowy, koleś...

Rincewind przyjrzał się zwierzęciu.

– Aha. No to nie ma zmartwienia.

Dozorca odszedł. Rincewind usiadł ciężko na pryczy.

No cóż, mógł poszukać jaśniejszych stron swego położenia. To przecież... cywilizacja. Niewiele jej widział, leżąc związany na końskim grzbiecie, ale to, co zobaczył, było poorane kolejnami, poznaczone śladami kopyt i brzydko pachniało, co często się cywilizacji zdarza. Zamierzali rano go powiesić. Ten budynek był pierwszym zbudowanym z kamienia, jaki znalazł w tym kraju. Mieli nawet straż. Zamierzali rano go powiesić. Ludzkie głosy i turkot wozów sączyły się przez umieszczone wysoko okno. Zamierzali rano go powiesić.

Rozejrzał się po celi. Wyglądała, jakby ten, co ją budował, z niewyjaśnionych przyczyn zapomniał o umieszczeniu dogodnych włączów przykrytych dyskretnymi klapami.

Klapa... Tak, nad tym słowem warto się zastanowić.

Bywał już w gorszych miejscach od tego. O wiele, wiele gorszych. I dlatego chyba teraz było gorzej, bo wtedy za przeciwników miał paskudne, magiczne, dziwaczne stwory. I jakoś nagle o wiele łatwiej mu się o nich myślało niż o tym, że siedzi właśnie zamknięty w kamiennym

pudle, a rano jacyś całkiem mili ludzie, których pewnie by polubił, gdyby ich spotkał w jakimś barze, wyciągną go stąd i każą stanąć na bardzo niepewnej podłodze, w bardzo ciasnym kołnierzu na szyi.

– Beee!

– Zamknij się!

– Beee?

– Nie mogłabyś się umyć, wykąpać albo co? Robi się tu trochę... wiejsko...

Teraz, kiedy oczy przyzwyczały się do półmroku, odkrył, że ścianę celi pokrywają różne bazgroły, a w szczególności te charakterystyczne płotki rysowane przez więźniów, którzy liczą dni. Zamierzają rano go powiesić, więc przynajmniej ten obowiązek spadł mu z głowy... Dość, dość!

Kiedy się lepiej przyjrzał, odkrył, że większość tych linii odlicza tylko do jednego.

Położył się i zamknął oczy. Oczywiście, że uda mu się uratować. Zawsze się udaje. Chociaż, kiedy się zastanowić, zawsze w okolicznościach, które stawiają go w sytuacji o wiele bardziej niebezpiecznej niż zwykła więzienna cela.

W każdym razie przebywał już w licznych celach. Istniały sposoby rozwiązywania takich sytuacji. Najważniejsze jest bezpośrednie podejście.

Wstał i zaczął tłuc o kraty, aż przybiegł dozorca.

– Co jest, koleś?

– Chciałem tylko parę rzeczy wyjaśnić – odparł Rincewind. – W końcu nie mam zbyt dużo czasu do stracenia, nie?

– Jasne.

– Czy jest jakakolwiek szansa, żebyś zasnął na krześle naprzeciwko celi, zostawiając klucze całkiem odsłonięte na stoliku przed sobą?

Obaj spojrzeli na pusty korytarz.

– Musiałbym prosić kogoś, żeby mi pomógł wnieść tu stolik – stwierdził z powątpiewaniem dozorca. – Raczej nic z tego nie będzie, szefuniu. Przykro mi.

– Jasne. W porządku. – Rincewind zastanowił się przez chwilę. – Dalej... Czy możliwe, żeby kolację przyniosła mi młoda dama, trzymająca... słuchaj, to ważne... trzymająca tacę przykrytą ściereczką?

– Nie, bo tu ja gotuję.

– Rozumiem.

– Chleb i woda wychodzą mi najlepiej.

– Jasne, chciałem tylko sprawdzić.

– Chociaż, szefuniu, ta lepka brązowa maź, którą przy tobie znaleźli, świetna jest na chlebie.

– Częstuj się, spokojnie.

– Czuję, jak działają na mnie witaminy i minerały.

– Nie ma zmartwienia. Co jeszcze... a tak, pranie. Czy są tu takie wielkie kosze na brudną bieliznę, którą opróżnia się potem do zsypu pralni, prowadzącego na zewnątrz?

– Niestety, szefuniu. Przychodzi taka stara praczka i wszystko zabiera.

– Naprawdę? – ucieszył się Rincewind. – Praczka... Tęga kobieta, szeroka suknia, może też nosi kaptur, który można ściągnąć w dół tak, żeby zakrył większą część twarzy?

- Tak, mniej więcej się zgadza.
- A powiedz, kiedy ma się zjawić...?
- To moja mama – wyjaśnił dozorca.
- Świetnie...

Spojrżeli po sobie nawzajem.

– Myślę, że to chyba wszystko – uznał Rincewind. – Mam nadzieję, że nie sprawiłem ci kłopotów tymi pytaniami?

– Na bogów, skąd! Nie ma zmartwienia. Zawsze chętnie pomogę. Wymyśliłeś już, co powiesz pod szubienicą? Bo wiesz, autorzy ballad chcieliby wiedzieć, jeśli ci to nie przeszkadza.

– Ballad?

– No pewnie. Do tej pory zjawiało się trzech, ale myślę sobie, że do jutra będzie z dziesięciu.

Rincewind przewrócił oczami.

– A ilu z nich wstawiło „Tru-la-la tru-la-la cośćam” do refrenu?

– Wszyscy.

– Na bogów...

– I czy nie przeszkadzałaby ci zmiana imienia, co? Bo oni mówią, że do Rincewinda trochę ciężko dobrać rytm. „O buszu strażniku opowieść to, Rincewindem nazywał go lud...” jakoś im nie brzmi.

– Przykro mi. Może w takim razie lepiej mnie wypuścicie?

– Ha, niezły numer. Wiesz, gdybyś chciał dobrej rady, to nie gadaj za długo, kiedy staniesz pod szubienicą – tłumaczył dozorca. – Dobrze Słynne Ostatnie Słowa to te najkrótsze. Coś prostego zwykle najlepiej działa. I nie przesadzaj

z przeklinaniem.

– Słuchaj, przecież ja tylko ukradłem owcę! A nawet tego nie zrobiłem! Czemu wszyscy się tak denerwują?! – zawołał zrozpaczony Rincewind.

– Wiesz, kradzież owiec to wielkie przestępstwo – wyjaśnił uprzejmie dozorca. – Trafia ludziom do serc. Samotny wędrowiec rzucający wyzwanie potędze brutalnej władzy. Ludzie to lubią... Będziesz pamiętany w pieśniach i opowieściach, zwłaszcza jeśli wymyślisz jakieś niezłe Ostatnie Słowa, jak mówiłem. – Dozorca poprawił pasek. – Prawdę mówiąc, to w dzisiejszych czasach wielu jest takich, co nawet nie widzieli żywej owcy, ale kiedy słyszą, że ktoś taką ukradł, czują się jak prawdziwi Iksjanie. Nawet mnie to pomoże, że chociaż raz miałem w celi

prawdziwego przestępcę, a nie tylko przeklętych polityków.

Rincewind znów usiadł na pryczy i ukrył twarz w dłoniach.

– Oczywiście, zuchwała ucieczka jest prawie tak samo dobra jak śmierć na szubienicy – dodał pocieszająco dozorca.

– Doprawdy? – mruknął Rincewind.

– Nie zapytałeś, czy ta kratka w podłodze prowadzi do kanałów – odpowiedział dozorca.

Rincewind spojrzał między palcami.

– A prowadzi?

– Nie mamy tu żadnych kanałów.

– Dziękuję. Bardzo mi pomogłeś.

Dozorca odszedł, pogwizdując.

Rincewind położył się i znów zamknął oczy.

– Beee!

– Zamknij paszczę!

– Hej, szefuniu... Na momencik...

Rincewind jęknął i wstał. Tym razem głos dochodził z małego, wysoko umieszczonego i zakratowanego okna.

– Tak, o co chodzi?

– Pamiętasz, jak cię złapali?

– No? I co z tego?

– Ehm... Pod jakim drzewem to się stało?

Rincewind spojrzał na wąski prostokąt błękitu, który więźniowie nazywają niebem.

– A co to niby za pytanie?

– To do ballady, rozumiesz... Tylko że bardzo by było dobrze, gdyby nazwa miała trzy sylaby...

– Skąd mam wiedzieć? Nie miałem czasu na botanikę.

– Jasne, jasne, nie ma sprawy – uspokoił go niewidoczny rozmówca. – Ale pewnie mógłbyś mi powiedzieć, co robiłeś, zanim ukradłeś tę owcę?

– Nie ukradłem żadnej owcy!

– Jasne, jasne, pewnie... Co robiłeś tuż przed tym, jak nie ukradłeś tej owcy?

– Nie wiem, nie pamiętam!

– Nie gotowałeś billy’ego przypadkiem?

– Nie przyznam się! Wy tutaj tak mówicie, że to może znaczyć wszystko!

– Znaczy gotowanie czegoś w puszcze.

– Aha. No, owszem. To właśnie robiłem, rzeczywiście.

– Doskonale! – Rincewind usłyszał szelest szybko notującego ołówka. – Szkoda, że nie

zginąłś na końcu, ale mają cię powiesić, więc będzie dobrze. Mam do tego świetną melodię, po prostu nie można przestać jej gwizdać... Chociaż ty, oczywiście, przestaniesz, nie ma zmartwienia...

– Bardzo ci dziękuję.

– Myślę sobie, koleś, że możesz być sławny jak Blasowany Ned!

– Naprawdę? – Rincewind wrócił na pryczę.

– Tak. Prawdę mówiąc, to zamykali go właśnie w tej celi. I zawsze uciekał. Nikt nie wie jak, bo jest tu wściekle porządny zamek, a on nie rozgiął żadnych prętów. Mawiał, że nie zbudowali jeszcze więzienia, które by go mogło zatrzymać.

– Chudy był, prawda?

– Nie.

– W takim razie miał klucz albo coś podobnego.

– Nie. Muszę już iść, koleś. Aha, coś jeszcze sobie przypomniałem. Jak myślisz, czy twojego ducha da się usłyszeć, kiedy ludzie będą przejeżdżać koło tego billybongu, czy raczej nie?

– Co?

– Pasowałoby, gdyby się dało. Wyszłaby świetna ostatnia zwrotka. Rewelacyjna.

– Nie wiem!

– No to... Napiszę, że tak, dobrze? Nikt przecież nie będzie tam jechał, żeby sprawdzić.

– W takim razie nie chciałbym ci utrudniać.

– Bonza. Arkusze z tą piosenką zdążą wydrukować jeszcze na egzekucję, nie musisz się martwić.

– Nie będę.

Rincewind opuścił głowę. Blaszynek Ned, akurat... To był taki dowcip, od razu poznał. Właściwie to raczej tortura – mówić mu, że ktokolwiek zdołał uciec z takiej celi. Chcieli, żeby biegał w kółko, szarpał za kraty i co tam jeszcze, ale nawet on widział, że kraty są dobrze osadzone i bardzo ciężkie, a zamek większy od jego głowy.

Leżał na pryczy, kiedy znowu pojawił się dozorca.

Towarzyszyło mu dwóch mężczyzn. Rincewind był właściwie pewien, że nie żyły tu nigdy żadne trolle, bo prawdopodobnie byłoby dla nich za gorąco, a zresztą nie starczyłoby miejsca na drewnie wyrzucanym przez fale, obok tych wszystkich wielbłądów i w ogóle. Ale ci dwaj mieli potężną budowę ludzi, którzy zajmują stanowiska, gdzie sprawdzanie kwalifikacji wymaga odpowiedzi na pytanie „Jak się nazywasz?”, a oni przechodzą z dużym trudem za trzecim podejściem.

Dozorca miał szeroki uśmiech i trzymał tacę.

– Przyniosłem ci żarcie – oznajmił.

– Nic wam nie powiem, choćbyście nie wiem jak często mnie karmili – ostrzegł Rincewind.

– Będzie ci smakować – zachęcił dozorca, podsuwając mu tacę. Stała na niej miska przykryta ścierką. – Przygotowałem specjalnie dla ciebie. To miejscowa specjalność, koleś.

– Mówiłeś chyba, że najlepiej ci wychodzi chleb i woda.

– No, niby... Ale spróbowałem tego, mimo wszystko...

Rincewind obserwował podejrzliwie, jak dozorca unosi ścierkę* [* Każdy

doświadczony podróżnik szybko uczy się unikać wszystkiego, czym jest częstowany jako „miejscową specjalnością”. Termin ten oznacza po prostu danie tak niesmaczne, że ludzie żyjący w dowolnym innym miejscu woleliby raczej odgryźć sobie nogi, niż je zjeść. Ale mimo to gospodarze wciąż naciskają na gości z daleka: „Proszę, spróbuj tej głowy psa nadziewanej zmacerowaną kapustą i wieprzowymi ryjami – to miejscowa specjalność”.].

Wyglądało dość niewinnie, ale one często tak wyglądają. Właściwie to wyglądało...

– Zupa z zielonego groszku? – upewnił się.

– Tak.

– Roślina strączkowa? Takie kulki w strąkach?

– Tak.

– Pomyślałem, że lepiej od razu sprawdzę.

– Nie ma zmartwienia.

Rincewind przyjrzał się nierównej zielonej powierzchni. Czy to możliwe, żeby ktoś wymyślił miejscową specjalność nadającą się do jedzenia?

I wtedy coś uniosło się z głębin. Rincewindowi zdawało się przez moment, że to bardzo mały rekin. Wyskoczyło na powierzchnię, po czym znów opadło, a zupa przelewała się nad tym.

– Co to było?

– Pływający pasztecik – wyjaśnił dozorca. – Pasztecik z mięsem pływający w zupie. Najlepsza kolacja na świecie, koleś.

– Ach, kolacja... – Rincewind zrozumiał nagle. – To jedna z tych nocnych, postbarowych potraw, tak? A jakie mięso jest w środku? Zresztą nie, zapomnij, że pytałem, to było głupie pytanie. Znam takie jedzenie. Jeśli ktoś musi pytać, jakie mięso jest w środku, to znaczy, że jest za trzeźwy. Próbowałeś kiedy spaghetti z budyniem?

– Można posypać je kokosem?

– Chyba tak.

– Dzięki, koleś. Na pewno spróbuję – obiecał dozorca. – I mam też dla ciebie inne dobre wieści.

– Wypuszczacie mnie?

– Nie, tego byś chyba nie chciał, taki twardziel jak ty. Nie, ci tutaj Greg i Vince przyjdą potem i zakują cię w łańcuchy.

Odsunął się. Dwaj ludzie o posturze murów obronnych trzymali kawał łańcucha, kajdany

i niedużą, ale bardzo, bardzo ciężką z wyglądu kulę.

Rincewind westchnął. Jedne drzwi się zamykają, pomyślał, a zaraz następne się zatrzasną.

– To dobrze, tak?

– Pewno. Jak nic zarobisz na tym dodatkową zwrotkę. Nikogo jeszcze nie wieszali w łańcuchach... oprócz Blaszanego Neda.

– Myślałem, że nie ma takiej więziennej celi, która by go zatrzymała...

– Och, umiał się z nich wydostać. Tyle że nie umiał za daleko uciec.

Rincewind spojrzał na żelazną kulę.

– O bogowie...

– Vince chciałby wiedzieć, ile ważysz, bo musi dodać łańcuchy do twojego ciężaru, żeby prawidłowo obliczyć wysokość – dodał dozorca.

– Czy to ważne? – spytał głucho Rincewind. – Przecież i tak umrę, prawda?

– Tak, z tym nie ma zmartwienia, ale jakby co pomylił, rozumiesz, to albo

skończysz z szyją długą na sześć stóp, albo... uśmiejesz się... głowa wystrzeli ci jak korek z flaszki.

– No świetnie.

– Z Willym Wesołkiem tak było. Musieliśmy szukać jej po dachach przez całe popo.

– Rewelacja. Całe popo, tak? Ale ze mną nie będzie takich kłopotów. Kiedy będę mnie wieszać, ja będę całkiem gdzie indziej.

– To mi się podoba! – zawołał radośnie dozorca i jowialnie szturchnął go w łokieć. – Nie odpuszczasz do końca, co?

Mount Vince zahuczała.

– Vince mówi, że byłby zaszczycony, gdybyś zechciał napluć mu w twarz, kiedy założy ci pętlę na szyję – ciągnął dozorca. – Miałby co opowiadać wnukom...

– Idźcie już sobie! – krzyknął Rincewind.

– Ha, pewnie trzeba ci trochę czasu na zaplanowanie ucieczki – domyślił się dozorca. – Nie ma zmartwienia. W takim razie zostawiamy cię samego.

– Dziękuję.

– Mniej więcej do piątej rano.

– Dobrze – zgodził się ponuro Rincewind.

– Jakies życzenia co do ostatniego śniadania?

– Coś, czego przygotowanie trwa bardzo, ale naprawdę bardzo długo.

– Oto godna postawa!

– Idźcie stąd!

– Nie ma zmartwienia.

Wyszli, jednak dozorca wrócił po chwili, jakby coś sobie przypomniał.

– Jeszcze coś powinienes wiedzieć o wieszaniu – powiedział. – Może uprzyjemnić ci noc.

– Tak?

– Mamy tu taką specjalną, humanitarną tradycję. Jeśli zapadnia szubienicy zatnie się trzy razy...

– Tak?

– Dziwnie to może brzmi, ale zdarzyło się raz czy dwa. Uwierz albo nie...

Cienki zielony pęd wyrósł na poczerniałych konarach nadziei.

– A co to za tradycja? – spytał Rincewind.

– Z powodu, że to okrutne, kazać człowiekowi stać tam więcej niż trzy razy, kiedy wie, że łąda sekunda jego...

– Tak, tak...

– ...a potem wszystkie jego...

– Tak...

– ...a najgorsze, moim zdaniem, to kiedy twoje...

– Tak, rozumiem! A zatem... co po trzecim razie?

– Odprowadzamy go z powrotem do celi i wzywamy cieślę, żeby naprawił zapadnię – wyjaśnił dozorca. – Nawet przynosimy mu do tej celi żarcie, gdyby to dłużej trwało.

– I...?

– No, kiedy już cieśla porządnie wszystko sprawdzi, wyprowadzamy skazańca znowu i wieszamy. – Dozorca zauważył wyraz twarzy Rincewinda.
– Nie rób takich min. To lepsze, niż stać na zimnie przez całe rano, prawda? Nie byłoby miło.

Kiedy odszedł, Rincewind usiadł i wbił wzrok w ścianę.

– Beee!

– Zamknij się!

Więc na to wyszło... Pozostała jedna krótka noc, a potem, jeśli ci klauni mają cokolwiek do powiedzenia, weseli ludzie będą chodzić po ulicach i szukać, gdzie spadła jego głowa. Nie ma sprawiedliwości!

CZEŚĆ, KOLEŚ.

– No nie... Proszę...

POMYŚLAŁEM, ŻE DOSTOSUJE SIĘ DO SYTUACJI. BARDZO SYMPATYCZNI LUDZIE, NIEPRAWDAŻ? – rzekł Śmierć. Siedział na pryczy obok Rincewinda.

– Nie możesz się już doczekać, co? – spytał Rincewind z goryczą.

NIE MA ZMARTWIENIA.

– Czyli to już naprawdę... Podobno miałem uratować ten kraj. Ale naprawdę umrę...

O TAK. OBAWIAM SIĘ, ŻE TO NIEUNIKNIONE.

– Wiesz, dobija mnie bezsens tego wszystkiego. Znaczący, pomyśl tylko, ile razy w przeszłości o mało co nie zginąłem... Mogły mnie spalić smoki, prawda? Albo pożreć wielgachne stwory

z mackami. Albo nawet wszystkie cząsteczki mojego ciała mogły się rozlecieć w różne strony...

MUSZĘ PRYZNAĆ, ŻE MIAŁEŚ BARDZO CIEKAWE ŻYCIE.

– Czy to prawda, że kiedy człowiek ma umrzeć, całe życie przebiega mu przed oczami?

TAK.

– Upiorny pomysł właściwie. – Rincewind zadrżał. – Na bogów, właśnie przyszedł mi do głowy inny. Przypuśćmy, że akurat mam umrzeć i to właśnie jest całe moje życie, przesuwające mi się przed oczami?

MAM WRAŻENIE, ŻE CHYBA ŹLE TO ROZUMIESZ. CAŁE ŻYWOTY LUDZI RZECZYWIŚCIE PRZESUWAJĄ IM SIĘ PRZED OCZAMI, ZANIM CI LUDZIE UMRA. PROCES TAKI NAZYWA SIĘ ŻYCIEM. MASZ OCHOTĘ NA KREWETKĘ?

Rincewind zajrzał do wiaderka, które Śmierć trzymał na kolanach.

– Nie, dziękuję. Raczej nie. Podobno mogą być bardzo groźne. Wiesz, nie spodziewałem się po tobie, że przyjdiesz tu, będziesz się ze mnie nabijał i jadł krewetki.

SŁUCHAM?

– Znaczy, tylko dlatego, że rano mają mnie powiesić.

NAPRAWDĘ? W TAKIM RAZIE BĘDĘ NIECIERPLIWIE CZEKAŁ NA WIADOMOŚĆ, JAK UDAŁO CI SIĘ UCIEC. MAM TU SPOTKAĆ CZŁOWIEKA W... W... Oczy Śmierci błysnęły, kiedy zadał pytanie swej pamięci. A TAK. WE WNETRZU KROKODYLA. KILKASET MIL STĄD, JAK SIĘ ZDAJE.

– Zaraz, czekaj... Powiedziałeś przecież, że z pewnością umrę!

KAŻDY UMIERA. W KOŃCU.

Ściana otworzyła się i zamknęła za Śmiercią, jakby go tu wcale nie było, co – z jego odległej perspektywy – istotnie jest prawdą.

– Ale jak...? Nie umiem przechodzić przez... – zaczął Rincewind.

Usiadł ciężko. Owca kuliła się w kącie.

Rincewind spojrzał na nietknięty pływający pasztecik i stuknął go lekko. Pasztecik zatonął w jaskrawozielonej zupie.

Do celi przesączały się odgłosy życia miasta.

Po chwili pasztecik wypłynął znowu, niby zapomniany kontynent, a bardzo mała fala chlupnęła o brzegi miski.

Rincewind położył się na cienkim kocu i patrzył w sufit. Ktoś nawet tam coś napisał. Właściwie...

Cześć kol. Popacz na zwiasy. Ned.

Wolno, jak poruszany niewidzialnymi nitkami, Rincewind odwrócił się i spojrzał na drzwi

celi.

Zawiasy były masywne. Nie przykręcono ich do ściany, by jakiś sprytny więzień nie zdołał ich odkręcić. Potężne żelazne haki wbito w sam kamień, tak że dwa ciężkie, przykute do drzwi pierścienie opadały na nie bezpośrednio.

Podszedł i dokładnie zbadał zamek. Działał tak, że wsuwał gruby metalowy pręt do otworu z boku, i wydawał się niemożliwy do pokonania.

Rincewind zatarł ręce i, zaciskając zęby, spróbował unieść drzwi po stronie zawiasów. Tak, zostawili dość luzu...

Pierścienie zawiasów dało się zsunąć z haków...

Potem wystarczyło pociągnąć lekko i zrobić jeden chwiejny krok... w tę stronę... wtedy pręt zamka wysunie się z otworu w ramie, a całe drzwi można wciągnąć do celi.

A potem człowiek może wyjść, starannie zawiesić drzwi na miejsce i dyskretnie się oddalić.

Tak właśnie, myślał Rincewind, ostrożnie wsuwając drzwi z powrotem na haki w murze, postąpiłby ktoś nierozsądny.

W takich chwilach tchórzostwo staje się nauką ścisłą. Są sytuacje wymagające bezmyślnej paniki, ale są też inne, gdzie wymagana jest panika miarowa, rozważna i przemyślana. W tej chwili przebywał w całkiem bezpiecznym miejscu. Owszem, była to cela śmierci, ale prawdopodobnie też jedyne miejsce na całym kontynencie, gdzie przez jakiś czas nie groziło mu nic złego. Iksjanie nie wyglądali na takich, którzy stosują tortury, choć zawsze istniała możliwość, że każą mu jeść te swoje potrawy. Czyli – chwilowo przynajmniej – miał czas. Czas, by ułożyć jakiś plan, przemyśleć następne posunięcie, użyć swego intelektu do analizy przewidywanych problemów...

Przez chwilę siedział, wpatrując się w ścianę, a potem wstał i chwycił pręty.

Otóż to. Tyle myślenia powinno wystarczyć. A teraz trzeba brać nogi za pas.

Zielony pokład melonowego statku został – ze względu na poczucie przyzwoitości – podzielony na część męską i żeńską. To oznaczało, że prawie cały zajmowała pani Whitlow, która przez większość czasu opalała się za parawanem. Jej spokój gwarantowali sami magowie, gdyż przynajmniej trzech z nich zabiłoby każdego, kto zbliżyłby się do zasłony z palmowych liści bliżej niż na dziesięć stóp.

Wyraźnie panowało coś, co ciotka Myślaka, która go wychowywała, nazwałaby Atmosferą.

– Nadal uważam, że powinienem wejść na maszt – upierał się Myślak.

– Aha! Podglądacz, co? – warknął pierwszy prymus.

– Nie. Tylko wydaje mi się, że dobrze by było sprawdzić, dokąd ta łódź płynie. Przed nami widać jakieś wielkie czarne chmury.

– I dobrze! Przyda się trochę deszczu – burknął kierownik studiów nieokreślonych.

– W takim przypadku prawdziwym zaszczytem będzie dla mnie wzniesienie dla pani Whitlow odpowiedniej osłony – zapewnił dziekan.

Myślak wrócił smętnie na rufę, gdzie siedział ponury nadrektor z wędką w ręku.

– Zachowują się, jakby pani Whitlow była jedyną kobietą na świecie – powiedział.

– A sądzi pan, że jest? – spytał Ridcully.

Umysł Myślaka pognał z szaleńczą prędkością i natrafił na przerażające wertepy wyobraźni.

– Na pewno nie, nadrektorze – oświadczył.

– Nie wiemy tego, Myślak. Zawsze jednak warto szukać jaśniejszych stron sytuacji. Możemy wszyscy utonąć.

– Ehm... Nadrektorze, czy patrzył pan na horyzont?

Nieustający sztorm miał siedem tysięcy mil długości, ale tylko milę szerokości – ogromna masa wrzącego powietrza, krążąca wokół ostatniego kontynentu jak rodzina lisów wokół pełnego kurnika.

Chmury wznosiły się aż do granicy atmosfery – a były to już chmury pradawne, chmury, które przetaczały się po morderczym kręgu od lat, budując swoją osobowość, nienawiść, a przede wszystkim ładunek elektryczny.

To nie był sztorm, to była bitwa. Szkwały o długości kilkuset mil walczyły ze sobą w ścianie chmur. Błyskawice rozwidlały się, deszcz padał i zmieniał się w parę o pół mili nad ziemią. Powietrze się jarzyło.

W dole, wynurzając się z oceanu możliwości w ulewie tak burzliwej, że była raczej opadającym morzem, wstawał ostatni kontynent.

Na ścianie w celi więzienia w Rospyepsh, między zygzakami, prymitywnymi obrazkami i płótkami ostatnich dni człowieka, rysunek owcy zmienił się w rysunek kangura, a potem bez śladu wniknął w kamień.

– I co z tego? – spytał dziekan. – Trochę nami pohuśta?

Szara ściana chmur wypełniała najbliższą przyszłość niby umówiona wizyta u dentysty.

– Obawiam się, że może być o wiele gorzej – stwierdził Myślak.

– No więc posterujemy gdzie indziej.

– Nie mamy steru, dziekanie. I nie wiemy, gdzie jest to indziej. W dodatku kończy nam się woda.

– Czy nie jest tak, że wysoka ściana chmur oznacza bliski ląd?

– Bardzo wielki ląd w takim razie. Może to IksIksIksIks?

– Mam taką nadzieję, proszę pana. – Żagiel nad Myślakiem załopotał i wydał się

majestatycznie. – Wiatr się wzmaga. Myślę, że sztorm zasysa do siebie powietrze. I... jest jeszcze coś. Szkoda, że zostawiłem na plaży swój thaumometr, ale wydaje mi się, że w tej okolicy występuje bardzo wysoki poziom tła magicznego.

– A skąd takie wnioski, chłopcze? – zainteresował się dziekan.

– No... na przykład wszyscy wydają się dość spięci, a magowie stają się mocno... no, są drażliwi w obecności silnego promieniowania magicznego – tłumaczył Myślak. – Ale zacząłem coś podejrzewać w chwili, kiedy kwestor wytworzył sobie planety.

Miał dwie, orbitujące wokół głowy na wysokości kilku cali. Jak często się zdarza z fenomenami magicznymi, charakteryzowała je pewna nierealność i bez przeszkód przechodziły przez niego albo przez siebie nawzajem. Były też trochę przezroczyście.

– Oj... Syndrom Mugroopa – zmartwił się Ridcully. – Manifestacja mózgowa. To sygnał pewniejszy niż kanarek w kopalni.

Niewielka samodzielna procedura w mózgu Myślaka zaczęła odliczanie.

– Pamiętacie starego „Stukacza” Ptaszka? – odezwał się kierownik studiów nieokreślonych. – Był...

– Trzy! Nie, nie pamiętam nic a nic! Co pan powie! – usłyszał Myślak własny gniewny głos, o wiele mocniejszy, niżby użył, gdyby nawet chciał zwokalizować własne myśli.

– Zaraz się pan dowie, panie Stibbons – odparł spokojnie kierownik studiów nieokreślonych. – Był bardzo podatny na intensywne pola magiczne, a kiedy się dekoncentrował, choćby podczas drzemki, czasami dookoła głowy latały mu, he, he, he, takie małe...

– Tak, oczywiście – przerwał mu szybko Myślak. – Musimy bardzo uważać na niezwykle zachowania...

– Wśród magów? – zdziwił się Ridcully. – Panie Stibbons, niezwykle zachowanie jest dla maga absolutnie normalne.

– No to uważać, czy ludzie nie postępują inaczej niż zwykle! – krzyknął Myślak. – Może na przykład mówią z sensem przez dwie minuty bez przerwy! Albo postępują jak normalne, cywilizowane osoby, a nie banda zarozumiałych wiejskich głupków!

– Stibbons, ten ton wcale do pana nie pasuje – ostrzegł Ridcully.

– No i właśnie o coś takiego mi chodzi!

– Daj spokój, Mustrum, nie złość się na niego. Wszyscy jesteśmy trochę rozdrażnieni – powiedział dziekan.

– A teraz on zaczyna! – wrzasnął Myślak, wyciągając drżący palec. – Dziekan normalnie nigdy nie zachowuje się uprzejmie! I nagle jest agresywnie rozsądny!

Historycy często wskazują, że właśnie w czasach obfitości ludzie myślą o ruszaniu na wojnę. W czasach głodu starają się tylko zdobyć coś do jedzenia. Kiedy mają akurat tyle, by przeżyć, zwykle są uprzejmi. Ale kiedy rozstawi się przed nimi bankiet, nadchodzi pora kłótni o to, gdzie

kto siedzi* [* Warto zaznaczyć, że co rozsądniejsi historycy – zwłaszcza ci, którzy często przesiadują w barach z fizykami teoretycznymi – wyznają pogląd, że całą historię ludzkości można uznać za serię nieudanych scen. Wojny, okresy głodu wywołane złośliwą głupotą, całe uparte i bezmyślne powtarzanie ciągle tych samych błędów, w wielkim kosmicznym planie rzeczy są odpowiednikiem ujęcia, w którym panu Spockowi odpadają uszy.].

A Niewidoczny Uniwersytet, z czego – gdzieś poniżej najwyższego poziomu świadomości – nawet magowie zdawali sobie sprawę, istniał nie po to, by rozwijać magię, ale by ją – w bardzo pomysłowym stylu – hamować. Świat widział już, co się dzieje, kiedy magowie dostaną w ręce ogromne rezerwy magicznej energii. To się zdarzyło – bardzo dawno temu, lecz tu i tam wciąż pozostały obszary, gdzie człowiek nie wchodził, jeśli chciał wyjść na takich samych stopach, jakie miał na początku.

Był czas, kiedy liczba mnoga słowa „mag” brzmiała „wojna”.

Ale wielkim, niezwykle chytrym celem powstania Niewidocznego Uniwersytetu było, by stał się ciężarem na ramieniu magii – ciężarem sprawiającym, by owo ramię poruszało się z dostojnym majestatem, jak wahadło, a nie wirowało ze śmiertelną skutecznością jak morgensztern. Zamiast ciskać w siebie kulami ognia z ufortyfikowanych wież, magowie nauczyli się dogryzać sobie złośliwie w kwestiach interpretacji programu posiedzeń Grona Wykładowczego; już dawno ze zdumieniem odkryli, że czerpią z tego tyle samo złośliwej uciechy. Jadali wyszukane i obfite posiłki, a po naprawdę dobrym jedzeniu i cygarze nawet najbardziej zaciekle Władca Ciemności skłonny jest raczej wyciągnąć nogi w fotelu i pielęgnować przyjazne uczucia do świata, zwłaszcza jeśli ów świat proponuje mu jeszcze jedną brandy. I tak powoli, stopniowo przyswoili sobie najważniejszą magiczną moc – tę, która przekonuje, by zaprzestać używania wszystkich pozostałych.

Kłopot polega na tym, że nie tak łatwo jest powstrzymać się od jedzenia

słodczy, kiedy człowiek stoi po kolana w miodzie, a z góry sypie się cukier.

– Rzeczywiście, daje się w powietrzu wyczuć pewien... posmak – zgodził się wykładowca run współczesnych.

Magia smakuje jak cyna.

– Chwileczkę – odezwał się Ridcully. Sięgnął nad głowę, otworzył jedną z licznych szufladek w swoim magowskim kapeluszu i wyjął kostkę zielonkawego szkła. Wręczył ją Myślakowi. – Proszę.

Myślak wziął thaumometr i zajrzał do wnętrza.

– Sam nigdy tego nie używam – tłumaczył Ridcully. – Zawsze wystarcza mi wystawić pośliniony palec.

– On nie działa! – oznajmił Myślak i postukał w thaumometr. Statek zakołysał się pod nimi. – Igła się... Auu!

Upuścił kostkę, która się roztopiła, zanim spadła na pokład.

– To niemożliwe – stwierdził. – Przecież skala sięga do milionów thaumów!

Ridcully polizał i wystawił palec. Wokół pojawiła się aureola w barwach fioletu i oktaryny.

– Tak, to by się zgadzało – powiedział.

– Nigdzie już przecież nie ma takich ilości magii! – zaprotestował Myślak.

Wichura popychała statek. Ściana burzy przed nimi rozszerzyła się i wyglądała o wiele bardziej czarno.

– Ile magii trzeba, żeby stworzyć nowy kontynent? – spytał Ridcully.

Unieśli głowy i spojrzeli na chmury. A potem unieśli głowy bardziej.

– Lepiej zabezpieczmy włazy – zaproponował dziekan.

– Nie mamy żadnych włazów.

– No to przynajmniej zabezpieczmy panią Whitlow. Sprowadźcie kwestora i bibliotekarza w jakieś bezpieczne...

Wpłynęli w sztorm.

Rincewind wybiegł do zaułka i pomyślał, że bywał już w gorszych więzieniach. Iksjanie to ludzie przyjaźni, jeśli akurat nie są pijani, nie próbują człowieka zabić albo jedno i drugie naraz. Dobre więzienie, zdaniem Rincewinda, to takie, w którym strażnicy, zamiast włóczyć się po korytarzach, utrudniając wszystkim nocny wypoczynek, zbierają się w jednym pomieszczeniu z paroma puszkami piwa i talią kart. Dzięki temu więzienie staje się o wiele bardziej... przyjazne. I oczywiście łatwiej ich wtedy ominąć. Obejrzał się... i zobaczył kangura – wielkiego, jaskrawego, błyszczącego na tle nocy. Cofnął się odruchowo, ale zaraz zrozumiał, że to tylko znak reklamowy na jakimś budynku, stojącym dalej i trochę niżej. Ktoś poustawiał pod nim lampy i lustra.

Kangur miał na głowie kapelusz ze śmiesznymi otworami na uszy; nosił też kamizelkę. Ale z całą pewnością był to właśnie ten kangur. Żaden inny nie mógłby się tak drwiąco uśmiechać. I trzymał w łapie puszkę piwa.

– Skąd cię tu zdryfowało, kolego? – odezwał się głos zza pleców Rincewinda.

Był to całkiem znajomy głos. Miał w sobie jakby proszącą nutę. Był takim głosem, który zerka na boki kątem oka i zawsze gotów jest się uchylić. Gdyby gorycz podawano tu w czarach, ten głos świetnie by się nadawał, by je przepełniać.

Rincewind odwrócił się. I zobaczył przed sobą postać równie znajomą jak głos.

– Nie możesz nazywać się Dibbler – powiedział zdziwiony.

– Dlaczego nie?

– Bo... No a skąd się tu wzięłeś?

– Jak to skąd? Właśnie przyszedłem Burą – odparł ten człowiek.

Miał na sobie wielki kapelusz, wielkie szorty i wielkie buty, ale pod każdym innym względem wyglądał jak brat bliźniak człowieka, który w Ankh-Morpork zawsze był na miejscu, by po zamknięciu pubów sprzedać chętnym swoje bardzo specjalne paszteciki. Rincewind miał teorię, że w każdym miejscu na świecie musi się znaleźć jakiś Dibbler.

Tutejszemu z szyi zwisała taca z napisem „Cafe de Feet Dibblera”.

– Pomyślałem, że lepiej zjawić się pod więzieniem wcześniej – wyjaśnił Dibbler. – To pewny zarobek. Porządna egzekucja zawsze zwiększa apetyt. Czy mogę zaproponować ci cokolwiek, koleś?

Rincewind zerknął w stronę wylotu zaułka. Ruch na ulicach już się zaczął. Właśnie przeszło tamtędy dwóch strażników.

– Na przykład co? – zapytał Rincewind podejrzliwie, cofając się do cienia.

– Mam wydrukowane niezłe ballady o sławnym przestępcy, który ma zadyndać...

– Nie, dziękuję.

– A może pamiątkowy kawałek powrozu, na którym go powieszą? Autentyk!

Rincewind spojrzał na kawałek grubej liny, którą Dibbler z nadzieją machał mu przed nosem.

– Niektórzy powiedzieliby, że coś w niej sugeruje sznur do bielizny – zauważył.

Dibbler przyjrzał się linie z niezwykłym zainteresowaniem.

– Oczywiście musieliśmy trochę go rozpleść, koleś – powiedział.

– Inni z kolei mogą protestować przeciwko sugestii, że możesz,

metaforycznie, sprzedawać kawałki powrozu jeszcze przed powieszeniem.

Dibbler umilkł na chwilę. Jego uśmiech nawet nie drgnął.

– To przecież lina, nie? – powiedział w końcu. – Typowy powróż trzy czwarte cala. Autentyczny. Pewnie nawet od tego samego powroźnika. Daj spokój, chcę ubić uczciwy interes. Prawdopodobnie tylko przypadkiem nie jest to ten akurat kawałek, który zaciśnie mu się na szyi...

– Ma tylko pół cala grubości. Patrz, została nawet etykieta: „Lina Odzieżowa, Hill i S-ka”.

– Naprawdę?

Po raz kolejny Dibbler sprawiał wrażenie, jakby po raz pierwszy widział artykuł, który próbuje sprzedać. Ale zgodnie z tradycją klanu Dibblerów, nigdy by nie pozwolił, by jakiś byle katastrofalny fakt przeszkodził mu w interesach.

– Ale jednak to lina – przekonywał. – Autentyczna lina. Nie? Nie ma zmartwienia. A co powiesz na autentyczną miejscową sztukę?

Pogrzebał na zawalonej tacy i podniósł kawałek tektury. Rincewind przyjrzał się badawczo.

Widział już coś takiego na czerwonej pustyni, choć nie był przekonany, czy jest to sztuka w takim znaczeniu, jakie ma to słowo w Ankh-Morpork. Bardziej przypominało to połączone razem mapę, książkę historyczną i menu. W domu ludzie zawiązywali supeł na chustce do nosa,

żeby im o czymś przypominał. Tutaj nie mieli chustek do nosa, zatem wiązali supeł na własnych myślach.

Ale rzadko kiedy rysowali wizerunek sznura kielbasek.

– Nazywa się *Marzenie kielbaskowe z frytkami* – dodał Dibbler.

– Nie sędzę, żebym widział kiedyś coś podobnego – stwierdził Rincewind. – Nie z tą dodaną butelką sosu.

– Co z tego? – zdziwił się Dibbler. – Nadal miejscowe. Autentyczny obrazek tradycyjnego miejscowego żarcia, wykonany przez miejscowego artystę. Uczciwy interes, nie chcę nic więcej.

– Och, chyba nagle zrozumiałem. Miejscowym artystą w tym przypadku jesteś ty sam? – domyślił się Rincewind.

– No. Autentyk. Nie wierzysz?

– Nie, daj spokój.

– Co jest? Urodziłem się tam, przy Melasowej w Lagaree, tak samo jak mój ojciec. I mój dziadek. I jego ojciec. Nie zszedłem wczoraj z kawałka drewna wyrzuconego przez morze, jak niektóre osoby, które mógłbym pokazać palcem. – Jego szczurza twarz pociemniała. – Przypływają tutaj, zabierają nam pracę... A co ze zwykłym człowiekiem, co? Chcę tylko zrobić uczciwy interes.

Przez chwilę Rincewind całkiem poważnie rozważał oddanie się w ręce straży.

– Miło słyszeć, że ktoś ujmuje się za prawami rdzennej ludności – wymamrotał, znów zerkając na ulicę.

– Rdzennej? A co oni wiedzą o uczciwej pracy? Nie, oni też mogą się zabierać tam, skąd przyszedli – uznał Dibbler. – Oni w ogóle nie chcą pracować.

– Tym lepiej dla was, jak rozumiem. Bo inaczej odbieraliby wam pracę, tak?

– Ja to widzę tak, że jestem bardziej rdzenny od nich – oświadczył Uczciwy Interes, stukając się w pierś urażonym kciukiem. – Zapracowałem na swoją rdzenność, ot co.

Rincewind westchnął. Logika może doprowadzić jedynie do pewnej granicy. Potem trzeba ją zostawić i skoczyć.

– Uczciwy interes, o to tylko ci chodzi – powiedział. – Mam rację?

– No!

– A więc... Czy jest ktoś, kogo byś nie chciał odsyłać tam, skąd przybył?

Uczciwy Interes Dibbler zastanowił się głęboko.

– No, ja. To oczywiste. I mój koleś Duncan, bo Duncan jest moim kolesiem. I pani Dibbler, to jasne. I jeszcze paru gości w bufecie z rybą i frytkami. Właściwie to całkiem sporo ludzi.

– No więc coś ci powiem – rzekł Rincewind. – Ja sam stanowczo chciałbym wrócić tam, skąd przybyłem.

– I słusznie!

– Twoja analiza socjopolityczna w moim przypadku poskutkowała.

– Świetnie!

– Więc może byś mi pokazał jak? Na przykład jak dojść do portu.

– No, chętnie... – odparł Dibbler, najwyraźniej psychicznie rozdarty. – Tylko że za parę godzin ma tu być egzekucja i muszę podgrzać paszteciki...

– Powiem ci jeszcze coś. Słyszałem, że odwołali tę egzekucję – dodał konspiracyjnym szeptem Rincewind. – Ten gość uciekł.

– Nigdy!

– Uciekł z całą pewnością. Przecież nie robiłbym cię w surową krewetkę!

– Zostawił jakieś ostatnie słowa?

– Myślę, że: żegnajcie.

– Chcesz powiedzieć, że nie było żadnej Słynnej Ostatniej Walki, strzelaniny ze strażą do ostatniej kropli krwi?

– Raczej nie.

– I co to za ucieczka? – zirytował się Uczciwy Interes. – Nie można tak się zachowywać. Wcale nie musiałem tu przychodzić. Zrezygnowałem z dobrego punktu na Galah... Egzekucja byłaby na nic, gdyby zabrakło pasztecików. – Pochylił się i spojrzał ukradkiem na boki. – Możesz mówić, co chcesz, ale Galah to dobry interes. Ich pieniądze nie różnią się od innych, zawsze to powtarzam.

– No tak, oczywiście. W przeciwnym razie byłyby... innymi pieniędzmi – zgodził się Rincewind. – A teraz, skoro i tak zmarnowałeś noc, może mi pokażesz drogę do portu?

Dibbler wciąż się wahał. Rincewind przełknął ślinę. Stawał już wobec pajaków, gniewnych ludzi z włóczniami i niedźwiedzi, które spadają z drzew. Teraz jednak stał przed najgroźniejszym wyzwaniem na tym kontynencie.

– Coś ci powiem – rzekł. – Ja... Ja nawet... kupię... coś od ciebie.

– Powróż?

– Nie, powróż nie. Hm... wiem, że może ci się to wydać kwestią nieco ezoteryczną, ale co jest w mięsnych pasztecikach?

– Mięso.

– A jakie mięso?

– Ach, masz ochotę na wersję dla smakoszy...

– Rozumiem. To taka, o której mówisz, co ma w środku?

– No.

– Zanim klient ugryzie pierwszy kęs czy potem?

– Sugerujesz, że coś jest nie w porządku z moimi pasztecikami?

– Powiedzmy tyle: bardzo ostrożnie zbliżam się do teorii, że może jednak są w porządku.

Zgoda? No dobrze, spróbuję pasztecika dla smakoszy.

– Słuszna decyzja, koleś. – Dibbler podniósł pasztecik z podgrzewanego rogu tacy.

– A teraz... Co jest w środku? Kot?

– Wypraszam sobie. Baranina jest tańsza od kota. – Dibbler zsunął pasztecik do miski.

– No, to przy... – Rincewind wykrzywił się nagle. – Nie, przecież polewasz go zupą groszkową! Dlaczego wszystko tu się polewa zupą groszkową?

– Nie ma zmartwienia, koleś. Chroni żołądek – uspokoił go Dibbler i wyjął czerwoną butelkę.

– A to co takiego?

– *Potni de re*, koleś.

– Najpierw wrzucasz pasztecik do miski zupy groszkowej, a teraz chcesz, żebym to zjadł z... z sosem pomidorowym?

– Piękne kolory, prawda? – Uczciwy Interes wręczył Rincewindowi łyżkę.

Rincewind postukał nią w pasztecik, który odbił się delikatnie od brzegu miski.

Cóż, jadał już kielbaski w bułce od Gardło Sobie Podrzynam Dibblera oraz antyczne jajka w dziwnych kolorach od Wnętrznosci Sobie Wypruwam Honorowo Dibhali. I przeżył, choć było kilka takich minut, kiedy miał nadzieję, że jednak nie. Jadł mocno podejrzaną kuskus Al-jibli, pił straszliwą herbatę z masłem jaka, którą parzył Obym Nigdy Oświecenia Nie Doznał Dhiblang, wmuszał w siebie środkową część smorgasborda od Diba Dibblossonsona i starał się nie rozgryzać kawałków niewyobrażalnego wielorybiego tłuszczu, kupionego od Niech Mnie Wkopią Do Mojego Własnego Przerębla Dibukiego (żołądek wciąż się buntował na samo wspomnienie – w końcu to co innego ciąć na kawałki martwe, wyrzucone na brzeg wieloryby, a co innego zostawiać je tam i czekać, aż same z siebie

eksplodują na odpowiednio małe fragmenty). Co do zielonego piwa, warzonego przez Żebym Własną Strzałkę Połknął Dlang-Dlanga...

Pił i jadł to wszystko. W każdym miejscu na Dysku pojawiał się ktoś odlany z niezwyklej pierwotnej formy, aby sprzedać mu jakiś prawdziwie straszny miejscowy smakołyk. Tu w końcu był to zwykły pasztecik. Jak niedobry może się okazać? Nie, inaczej: o ile gorszy może się okazać?

Przełknął kęs.

– Dobrze, co? – spytał Uczciwy Interes.

– Na bogów! – szepnął Rincewind.

– To nie jest zwykły rozgnieciony groszek – zapewnił Uczciwy Interes, trochę zaniepokojony faktem, że Rincewind stoi z wytrzeszczonymi oczami i patrzy tępo w pustkę. – Został rozgnieciony przez mistrza rozgniatania groszku.

– Niech mnie... – szepnął Rincewind.

– Dobrze się czujesz, szefuniu?

– Dokładnie... tego się... spodziewałem.

– Chwila, szefuniu, nie jest aż takie złe...

– Rzeczywiście jesteś Dibblerem.

– A to niby co ma znaczyć?

– Wsadzacie paszteciki do rozgniecionego groszku i polewacie sosem pomidorowym. Ktoś pewnie usiadł kiedyś, po północy, jak podejrzewam, i uznał, że to dobry pomysł. Ale nikt by nie uwierzył w coś takiego... – Rincewind spojrzał na zanurzony pasztecik. – Coś takiego sprawia, że całkiem miła wydaje się bajka o krainie wielkich, chodzących śliwkowych puddingów. Możesz to sobie zapamiętać. Nic dziwnego, że pijecie tyle piwa* [* Istnieje takie zjawisko jak jadalny, nie, smakowity wręcz pływający pasztecik, w groszkowym puree o akurat odpowiedniej konsystencji, z sosem

pomidorowym pikantnie natrętnym w smaku, a nadzieniem zbliżonym wręcz do określonych i nazwanych części zwierzęcia. Istnieją platońskie hamburgery produkowane z wołowiny, zamiast z krowich warg i kopyt. Istnieje ryba z frytkami, gdzie ryba jest czymś więcej niż białą mazią przyczajoną w głębi smażonego ciasta, a frytek nie da się używać do golenia. Istnieją hot dogi, gdzie parówki mają więcej wspólnego z mięsem niż tylko różowy kolor, a ich szczęśliwi konsumenci nie używają musztardy, żeby nie zepsuć smaku. Po prostu ludzie zostali wychowani tak, by preferować ten inny rodzaj – i jego poszukują. To tak jakby Machiavelli napisał książkę kucharską.

Ale mimo to nie ma żadnego usprawiedliwienia dla podawania pizzy z ananasem.].

Stanął w migodiwym świetle ulicznej lampy i pokręcił głową.

– Wy naprawdę tutaj zjadacie paszteciki – stwierdził żałośnie i spojrzał prosto w twarz dozorca. Za nim stało kilku strażników.

– To on!

Rincewind uprzejmie skinął im głową.

– Cześć – powiedział.

Dwa ciche stuki okazały się parą jego własnej roboty sandałów odbijających się od nawierzchni ulicy.

Morze wrzało. Skwierczące kule piorunów przemykały po powierzchni jak krople wody na gorącym piecu.

Fale były za duże jak na fale, ale miały rozmiar akurat odpowiedni dla gór. Myślak raz tylko uniósł wzrok znad pokładu, kiedy łódź zaczęła zsuwać się między ich grzbiety, w przepaść głęboką jak kanion.

Obok, ściskając go za nogę, jęczał dziekan.

– Znasz się na takich rzeczach, Myślak – wystękał, kiedy pokonali zjazd i zaczęli skręcającą

wnętrznosci wspinaczkę na następny wodny grzbiet. – Czy zginiemy?

– Nie... wydaje mi się... dziekanie.

– Szkoda...

Zanim Rincewind dotarł do rogu, usłyszał za sobą gwizdki, ale nigdy nie pozwalał sobie przejmować się takimi rzeczami.

Był w mieście! Miasta są o wiele łatwiejsze. Należał do istot miejskich. Zawsze jest tyle miejsc, gdzie...

Gwizdki odezwały się także przed nim.

Ludzi było tu więcej i większość z nich zmierzała w tym samym kierunku. Ale on lubił biec przez tłum. Jako ścigany, miał po swojej stronie przewagę zaskoczenia: mógł rozpychać na boki niespodziewających się niczego przechodniów. Wtedy dopiero oglądali się, zbijali w grupy, narzekali i stanowczo nie byli w nastroju, by radośnie witać ścigających. Przechodził przez tłum jak kula w bilardzie, i zawsze dostawał dodatkowy strzał.

Najlepszym kierunkiem było w dół. Tam zwykle budowali porty, żeby mieć je bliżej wody.

Zygzaki i zakręty po ulicach doprowadziły go – całkiem nagle – do nabrzeża. Stało tu kilka łodzi. Wydawały się trochę za małe, by zmieścić pasażera na gapę, ale...

Usłyszał w ciemności krzyki biegnących!

Ci strażnicy są chyba zbyt dobrzy!

Nie tak powinno się to odbywać!

Nie powinni zawracać. Nie powinni myśleć.

Pobiegł w jedynym kierunku, jaki mu pozostał – wzdłuż brzegu.

Widział przed sobą budynek. A przynajmniej... Nie, to musi być budynek. Nikt nie mógł zostawić tak ogromnego otwartego pudełka chusteczek.

Rincewind zawsze sądził, że budynek powinien być w zasadzie pudłem ze spiczastą pokrywą i powinien mieć w przybliżeniu kolor taki, jak miejscowe błoto. Z drugiej strony, jak zauważył kiedyś filozof Ly Tin Wheedle, nigdy nie jest rozsądnie krytykować wystrój kryjówek.

Wbiegł na schody i okrążył tę dziwną białą budowlę. Wydawało się, że to rodzaj hali muzycznej. Opera, sądząc po odgłosach, chociaż uznał, że to dość dziwaczne miejsce, by w nim śpiewać opery. Trudno sobie wyobrazić damy z rogami na hełmach w budynku, który wygląda, jakby zaraz miał rozwinąć żagle... Ale nie miał czasu na zastanowienie... tam zobaczył drzwi obok pojemników na śmieci, a tutaj drzwi... otwarte.

– Z agencji cię przysłali, koleś?

Rincewind wytrzeszczył oczy w kłębach pary.

– Mam nadzieję, że umiesz robić desery, bo szef wali głową w mur – ciągnął człowiek, który się z tej pary wynurzył. Miał na głowie wysoką białą czapkę.

– Nie ma zmartwienia – odparł Rincewind z nadzieją. – Ach, to jest kuchnia, tak?

– Żarty se robisz?

– No bo myślałem, że to budynek Opery czy coś w tym rodzaju...

– Najlepsza piekielna opera na świecie, koleś. No chodź, tędy...

Kuchnia nie była zbyt wielka i – jak we wszystkich, w których bywał Rincewind – pełno w niej było ludzi, którzy pracowali ciężko, przeszkadzając sobie nawzajem.

– Boss na górze postanowił wydać wielki bankiet dla primadonny – tłumaczył kucharz, przeciskając się przez tłum pracujących. – I nagle deser wystrzelił Charleyowi prosto w twarz.

– Aha, jasne – odpowiedział Rincewind, zakładając, że wcześniej czy później doczeka się jakiejś wskazówki.

– Boss powiada: Możesz dla niej zrobić deser, Charley.

– Tak po prostu, co?

– I powiada: Ma być najlepszy ze wszystkich dotąd, Charley.

– Nie ma zmartwienia?

– I jeszcze powiada: Wielki Nunco wynalazł Truskawkową Sackville dla donny Wendy Sackville, a słynny kucharz Imposo stworzył Jabłkowy Glazier dla donny Margyreen Glazier, a twój własny ojciec, Charley, uwiecznił donnę Janeen Ormulu swoim Pomarańczowym Ormulu, więc dzisiaj, Charley, nadeszła twoja wielka szansa. – Kucharz pokręcił głową, docierając do stołu, gdzie niski mężczyzna w białym uniformie szłochał rozpaczliwie, zasłaniając twarz rękami. Przed nim stała piramidka pustych puszek po piwie. – Od tego czasu biedak przyssał się do piwa i postanowiliśmy kogoś ściągnąć. Ja sam jestem od steków i krewetek.

– Czyli chcecie, żebym przygotował deser? Nazwany od śpiewaczki operowej? – upewnił się Rincewind. – Taka tradycja?

– Tak, i lepiej nie zawieść Charleya, koleś. To przecież nie jego wina.

– No tak...

Rincewind pomyślał o deserach. W zasadzie to przecież owoce, bita śmietana i budyń, prawda? I bezy, i różne takie. Nie mógł zrozumieć, na czym polega problem.

– Nie ma zmartwienia – oświadczył. – Przyrządzę coś raz-dwa.

Kuchnia zamarła, gdy krzątający się kucharze zatrzymali się i spojrzeli na niego.

– Przede wszystkim, jakie mamy owoce?

- Tylko brzoskwinie daliśmy radę o tej porze skołować.
- Nie ma zmartwienia. A jest jakaś śmietana?
- No. Jasne.
- Świetnie, świetnie. W takim razie muszę jeszcze tylko poznać nazwisko tej damy, o którą chodzi.

Poczuł, jak rozwiera się cisza...

- To wspaniała śpiewaczka, musisz wiedzieć – zapewnił kucharz tonem usprawiedliwienia.
- Dobrze. A jej nazwisko...? – zachęcił go Rincewind.
- Eee... Na tym właśnie polega problem, rozumiesz – odezwał się inny z kucharzy.
- Dlaczego?

Myślak otworzył oczy. Morze było spokojne, a w każdym razie spokojniejsze niż poprzednio. Nad sobą dostrzegał nawet plamy błękitu na niebie, choć nadal we wszystkie strony sunęły pasma chmur, jak gdyby każde dysponowało własnym wiatrem.

W ustach czuł taki posmak, jakby ssał cynową łyżkę.

Niektórzy magowie zdołali podnieść się na kolana. Dziekan zmarszczył czoło, zdjął kapelusz i wyjął ze środka małego kraba.

- To dobra łódź – wymamrotał.

Zielona łodyga masztu nadal stała, choć liść żagla był trochę postrzępiony. Mimo to łódź halsowała dzielnie pod wiatr, dmuchający od...

...lądu. Był jak czerwony mur, lśniący w świetle błyskawic.

Ridcully wstał niepewnie i wskazał go ręką.

– Już niedaleko! – oznajmił.

Dziekan zawarczał.

– Mam już dosyć tej nieznośnej uprzejmości! – rzekł. – Więc lepiej się zamknij, co?

– Dość tego. Jestem twoim nadrektorem, dziekanie – upomniął go Ridcully.

– Może o tym podyskutujemy? – zaproponował dziekan, a Myślak zauważył nieprzyjemny błysk w jego oczach.

– To nie jest odpowiednia chwila, dziekanie!

– Właściwie na jakiej podstawie nam rozkazujesz, Ridcully? Czego właściwie jesteś nadrektorem? Niewidoczny Uniwersytet jeszcze nawet nie istnieje! Powiedz mu, pierwszy prymusie!

– Nie muszę, jeśli nie mam ochoty – rzucił niechętnie pierwszy prymus.

– Co? Co? – zirytował się dziekan.

– Nie wydaje mi się, żebym musiał słuchać twoich poleceń, dziekanie.

Kiedy kwestor wspiał się na pokład minutę później, łódź już się kołysała. Trudno powiedzieć, ile frakcji powstało, gdyż każdy z magów potrafi być frakcją sam w sobie. Zasadniczo konflikt rozgrywał się między dwiema stronami, przy czym powiązania wewnątrz obu były mniej więcej tak stabilne, jak jajko na huśtawce.

Tym, co zdumiało Myślaka Subbonsa, kiedy potem się nad wszystkim zastanawiał, był fakt, że jak dotąd nikt nie próbował użyć czarów. Magowie wiele czasu spędzali w atmosferze, w której kąśliwa uwaga potrafi mocniej zranić niż magiczny miecz, a jeśli chodzi o czystą

złośliwą radość, dobrze przemyślana notatka jest bardziej skuteczna niż kula ognista. Poza tym nikt nie miał ze sobą laski, nikt nie przygotował żadnych zaklęć, a w tych okolicznościach łatwiej jest przeciwnika zwyczajnie uderzyć. Chociaż w przypadku magów niemagiczna walka oznacza na ogół

mało efektywne wymachiwanie pięściami i równoczesne próby usunięcia się przeciwnikowi z drogi.

Nieruchomy uśmiech kwestora zbladł lekko.

– Miałem na końcowych testach o trzy procent więcej od ciebie!

– Tak? A niby skąd o tym wiesz, dziękowanie?

– Przejrzałem papiery, kiedy mianowali cię nadrektorem!

– Co? Po czterdziestu latach?

– Egzamin to egzamin!

– Ehm... – zaczął kwestor.

– Na bogów, jakież to małostkowe! Właśnie czegoś takiego można się spodziewać po studencie, który miał nawet osobne pióro do czerwonego atramentu!

– Ha! Ale przynajmniej przez całe studia nie piłem, nie uprawiałem hazardu i nie włóczyłem się nocami po knajpach!

– Aha! A ja owszem, i nie żałuję! Poznałem trochę świata, a i tak miałem prawie tyle punktów co ty, i to mimo zabójczego kaca, ty nadęta beko smalcu!

– Tak? Tak? Więc teraz zaczynamy przytyki osobiste?

– Absolutnie, dwukrzesełowcu! Rzućmy parę przytyków! Zawsze powtarzaliśmy, że idąc za tobą, człowiek dostaje choroby morskiej!

– Zastanawiam się, czy w tym miejscu... – odezwał się kwestor.

Powietrze wokół iskrzyło. Rozzłoszczony mag przyciąga magię, tak jak przejrzały owoc przyciąga muszki.

– Zgodzisz się chyba, kwestorze, że byłbym lepszym nadrektorem, prawda? –

spytał dziekan.

Kwestor mrugnął zażawionymi oczami. – Ja, tego... obaj panowie... no... wiele cennych zalet... i... może chwila jest odpowiednia, hm, żeby we wspólnej sprawie... Zastanawiali się obaj przez chwilę.

– Dobrze powiedziane – przyznał dziekan.

– Coś w tym jest – zgodził się Ridcully.

– Bo wiesz, właściwie to nigdy specjalnie nie lubiłem wykładowcy run współczesnych...

– Bez przerwy znacząco się uśmiecha. Nie czuje się członkiem zespołu.

– Och, doprawdy? – Wykładowca run współczesnych zademonstrował wyjątkowo złośliwy znaczący uśmieszek. – Ale przynajmniej miałem lepsze stopnie od ciebie i jestem wyraźnie chudszy od dziekana! Chociaż wiele rzeczy jest od niego chudszych. Powiedz im, Stibbons!

– Dla ciebie pan Stibbons, tłusciuchu! – usłyszał Myślak swój głos. Wiedział, że to jego

własny. Był jak zahipnotyzowany. Mógł przestać w każdej chwili, tyle że jakoś nie miał ochoty.

– Czy mógłbym, no, zauważyć... – próbował wtrącić kwestor.

– Zamknij się, kwestorze! – huknął Ridcully.

– Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam...

Ridcully wskazał dziekana palcem.

– A teraz posłuchaj...

Fioletowa iskra skoczyła z jego dłoni, pozostawiając za sobą smugę dymu, przemknęła obok ucha dziekana i trafiła w maszt, który eksplodował.

Dziekan nabrał tchu – a kiedy nabierał tchu, w atmosferze pozostawało znacząco mniej powietrza. Wypuścił je w formie gniewnego ryku.

– Jak śmiesz ciskać we mnie czarami?!!

Ridcully przyglądał się swojej ręce.

– Ale ja... ja...

Myślak zdołał w końcu wypchnąć słowa między zębami, które usiłowały się zacisnąć.

– Agia a asz ziała!

– Co? Co tam bełkoczesz, człowieku? – spytał wykładowca run współczesnych.

– Ja ci pokażę czary, ty nadęty błaznie! – wrzasnął dziekan, unosząc obie ręce.

– To magia mówi! – zdołał wykrzyknąć Myślak, chwytając go za ramię. – Dziekanie, przecież nie chcesz rozsadzić nadrektora na kawałki!

– Owszem, właśnie chcę!

– Bardzo przepraszam, nie chciałabym przeszkadzać... – W luku ukazała się pani Whitlow.

– O co chodzi, pani Whitlow?! – wrzasnął Myślak, gdy strumień energii z dłoni dziekana z sykiem przemknął mu nad głową.

– Wiem, że są panowie zajęci sprawami uniwersytetu, ale czy tam powinny być te wszystkie pęknięcia? Woda się wlewa...

Myślak spojrzał w dół. Pokład trzeszczał mu pod stopami.

– Toniemy – stwierdził. – Wy głupi, starzy... – Powstrzymał cisnące się na usta określenia. – Łódź się rozpada tak samo szybko jak nasz zespół! Patrzcie, cała żółknie!

Zieleń spływała z pokładu jak światło słońca z burzowego nieba.

– To jego wina! – wrzasnął dziekan.

Myślak podbiegł do burty. Ze wszystkich stron słyszał trzaski.

Najważniejsze teraz to uspokoić umysł, opanować się i jeśli się uda, myśleć o miłych rzeczach, takich jak błękitne niebo albo kotki. Jeśli to możliwe, nie takie, które właśnie mają utonąć.

– Słuchajcie – powiedział. – Jeśli nie zatopimy naszych konfliktów, one nas zatopią. Rozumiecie? Łódź... dojrzewa albo coś w tym rodzaju. A my jesteśmy daleko od lądu.

Rozumiecie? W wodzie mogą być rekiny.

Opuścił wzrok. Uniósł wzrok.

– W wodzie naprawdę są rekiny! – krzyknął.

Łódź przechyliła się, gdy podbiegli do niego magowie.

– To rekiny? Jak myślicie? – spytał Ridcully.

– Mogą być tuńczyki – stwierdził dziekan.

Za nimi opadły z masztu resztki żagla.

– Czy potrafisz w miarę pewnie je odróżnić? – zainteresował się pierwszy prymus.

– Można policzyć im zęby po drodze do wnętrza – westchnął Myślak.

Ale przynajmniej nikt już nie ciskał w nikogo czarami. Można usunąć magów z Niewidocznego Uniwersytetu, ale nie da się usunąć Niewidocznego Uniwersytetu z magów.

Łódź przechyliła się jeszcze bardziej, kiedy przez burtę wyjrzała pani Whitlow.

– Co się stanie, jak wpadniemy do wody? – spytała.

– Musimy opracować plan – rzekł Ridcully. – Dziekanie, proszę zebrać grupę roboczą, która rozważy problem naszego przetrwania w nieznanych, rojących się od rekinów wodach. Dobrze?

– Może powinniśmy płynąć do brzegu? – zaproponowała pani Whitlow. – Nieźle se radziłam w wodzie jako młoda dziewczucha.

Ridcully uśmiechnął się do niej ciepło.

– Wszystko w swoim czasie, pani Whitlow. Ale pani sugestia została uwzględniona.

– Za chwilę będzie jedyną, którą zdążymy uwzględnić – mruknął Myślak.

– A jaka dokładnie będzie pańska rola, nadrektorze? – warknął gniewnie dziekan.

– Określiłem wasze cele – odparł Ridcully. – To wasza sprawa, żeby przeanalizować wszystkie możliwości.

– W takim razie – uznał dziekan – głosuję za opuszczeniem statku.

– A po co? – wtrącił kierownik studiów nieokreślonych. – Żeby zrobić rekinom przyjemność?

– To problem do rozważenia później – wyjaśnił dziekan.

– Oczywiście – zgodził się Myślak. – Potem zawsze możemy głosować, czy opuścić rekina.

Łódź zakołysała się nagle. Pierwszy prymus stanął w bohaterskiej pozie.

– Uratuję panią, pani Whitlow! – zawołał i chwycił kobietę na ręce.

A przynajmniej próbował. Jednak pierwszy prymus był – jak na maga – dość lekkiej budowy, natomiast pani Whitlow dysponowała wspaniałą, pełną figurą. Co więcej, możliwości maga znacznie ograniczał fakt, że tylko

nielicznych regionów pani Whitlow ośmielał się dotknąć. Starał się jak najlepiej poradzić sobie z pewnymi zewnętrznymi obszarami i udało mu się trochę ją podnieść. Jedynym efektem było przeniesienie całego ciężaru maga i gospodyni na całkiem drobne stopy pierwszego prymusa, które przebiły pokład jak stalowa sztaba.

Łódź, sucha teraz jak pieprz i miękka jak próchno, rozpadła się powoli.

Woda była strasznie zimna. Magowie rozpryskiwali ją na wszystkie strony. Kawałek wraku trafił Myślaka w głowę i pchnął w dół, w błękitny świat, gdzie coś szumiało mu w uszach.

Kiedy z trudem wydostał się znowu na powierzchnię, odgłosy te okazały się kłótnią. Po raz kolejny zwyciężył czar Niewidocznego Uniwersytetu. Nawet przebierając nogami w wodzie, w kręgu rekinów, mag zawsze uzna, że największym zagrożeniem są dla niego inni magowie.

– To nie moja wina! On... no, on chyba zasnął!

– Chyba?

– Był materacem! Czerwonym!

– To jedyny bibliotekarz, jakiego mamy! Jak mogłeś być taki nieuważny! – krzyknął Ridcully. Po czym nabrał tchu i zanurkował.

– Opuścić morze! – zawołał wesoło kwestor.

Myślak zadrżał, kiedy coś wielkiego, czarnego i opływowego wynurzyło się przed nim z wody. Zaraz potem opadło wśród piany i przewróciło się.

Inne takie obiekty wypływały na powierzchnię wokół gorączkowo machających rękami magów. Dziekan postukał w jeden z nich.

– Wiecie, te rekiny wcale nie są takie groźne, jak mi się wydawało – oświadczył.

– To są nasiona łodzi! – odgadł Myślak. – Wejdźmy na nie, ale szybko!

Był pewien, że coś otarło się o jego nogę. W takich okolicznościach człowiek odkrywa u siebie nieznaną dotychczas zręczność. Nawet dziekan zdołał wspiąć się na ciemną płytę – po krótkim okresie obrotowym i pienistym, w którym człowiek i nasienie walczyli o zwierzchnictwo.

Ridcully wynurzył się w mocnym rozprysku.

– To na nic! – wysapał. – Zanurkowałem tak głęboko, jak się dało. Ani śladu po nim!

– Proszę wejść na jakieś nasienie, nadrektorze – zaproponował pierwszy prymus.

Ridcully zamachał na przepływającego obok rekina.

– One nie atakują, jeśli człowiek robi dużo hałasu i chlapie – oświadczył.

– Myślałem, że właśnie wtedy atakują, nadrektorze – zaprotestował Myślak.

– To interesujący eksperyment praktyczny – uznał dziekan i wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć.

Ridcully wczołgał się na nasienie.

– Co za sytuacja... Ale myślę, że uda się dodryfować do lądu – powiedział. – Zaraz... gdzie jest pani Whitlow?

Rozejrzeli się.

– Och, nie... – jęknął pierwszy prymus. – Popłynęła do brzegu...

Podążyli wzrokiem za jego spojrzeniem. Rzeczywiście, fryzura gospodyni nierówno, ale

konsekwentnie przesuwiała się w stronę lądu – w stylu, który Ridcully nazwałby pewnie kanonicznym.

– Niespecjalnie to praktyczne, moim zdaniem – ocenił dziekan.

– Co z rekinami?

– Na razie pływają pod nami w kółko – odparł pierwszy prymus, kiedy nasiona zakołysały się mocno.

Myślak spojrzał w wodę.

– Chyba właśnie odpływają, ponieważ nie machamy nogami w wodzie – zauważył. – Kierują się... też do brzegu.

– No cóż, wiedziała, na co się naraża, kiedy przyjmowała to stanowisko – stwierdził dziekan.

– Co?! – oburzył się pierwszy prymus. – Chcesz powiedzieć, że zanim człowiek złoży podanie o pracę jako gospodyni uniwersytetu, powinien poważnie rozważyć groźbę pożarcia przez rekiny u brzegów nieznanego kontynentu tysiące lat przed własnym narodzeniem?

– Nie zadawała wielu pytań w czasie rozmowy kwalifikacyjnej, to wiem na pewno.

– Jeśli wolno... Chyba niepotrzebnie się martwimy – wtrącił kierownik studiów nieokreślonych. – Reputacja rekinów jako ludojadów jest całkowicie niezasłużona. Wbrew temu, co mogliście słyszeć, nie jest znany ani jeden potwierdzony przypadek ataku rekina na człowieka. To wrażliwe i pokojowo nastawione stworzenia o bogatym życiu rodzinnym. Stanowczo nie są zwiastunami zguby, a podobno zdarzało się niekiedy, że przygarniały zagubionych wędrowców. Jako myśliwi są rzeczywiście bardzo skuteczni i dorosły rekin może powalić nawet łosia swym... ehm...

Zauważył ich miny.

– No... Wydaje mi się, że mogłem je pomylić z wilkami – wymamrotał. – Pomyliłem, prawda?

Przytaknęli zgodnie.

– Bo... rekiny to te drugie, tak? – ciągnął. – Bezwzględni, bezlitośni zabójcy z głębin, którzy nie zatrzymują się nawet, żeby przeżuć zdobycz?

Znów przytaknęli.

– Ojej... Nie wiem, gdzie się podziąć...

– Jak najdalej od rekinów – poradził Ridcully. – Do rzeczy, panowie. To przecież nasza gospodyni! Czy chcecie w przyszłości sami ścielić sobie łóżka? Ponownie kule ogniste, jak sądzę...

– Za daleko odpłynęła...

Czerwony kształt wystrzelił z wody obok Ridcully'ego, zwinął się w powietrzu i znów wsunął pod powierzchnię niby brzytwa rozcinająca jedwab.

– Co to było? Który z was to zrobił?

Trójkątna fala dotarła do grupki trójkątnych płetw jak pędząca po torze kula do ustawionych kręgli. A potem woda się zagotowała.

– Na bogów, patrzcie, co robi z tymi rekinami!

– Czy to potwór?

– Nie, to na pewno delfin...

– Z rudą sierścią?

– Przecież chyba nie...

Trafiony rekin przefrunął obok pierwszego prymusa. Powierzchnia wody za nim eksplodowała znowu w wielki rudy uśmiech jedyne delfina na świecie mającego skórzastą twarz i pomarańczowe futro na całym ciele.

– Iik? – odezwał się bibliotekarz.

– Dobra robota, kolego! – zawołał Ridcully ponad wodą. – Mówiłem, że na pewno nas nie zawiedziesz!

– Nie. Tak naprawdę nie mówił pan tego, nadrektorze. Powiedział pan, że

chyba... – zaczął Myślak.

– I dobry wybór kształtu! – kontynuował bardzo głośno Ridcully. – A teraz, gdybyś mógł tak jakby popchnąć nas do brzegu... Wszyscy jesteśmy na miejscu? Gdzie kwestor?

Kwestor był już tylko małym punkcikiem daleko z prawej strony. Wiosłował sennie przed siebie.

– No, w końcu dotrze na miejsce – uznał Ridcully. – Dalej, doprowadź nas na suchy ląd!

– To morze... – odezwał się nerwowo pierwszy prymus, spoglądając przed siebie. Nasiona sunęły w stronę lądu jak sznur przeładowanych barek. – To morze... Czy sądzicie, że ląd jest nim opasan?

– To z pewnością bardzo duże morze – przyznał wykładowca run współczesnych. – I wiecie, chyba nie tylko deszcz tak szumi. Słyszę chyba także pewną domieszkę przyboju.

– Parę fal na pewno nam nie zaszkodzi – uznał Ridcully. – Woda przynajmniej jest miękka.

Myślak poczuł, jak nasienie wznosi się i opada, gdy przepływa pod nim długa fala. Dziwny kształt dla nasienia, musiał przyznać. Oczywiście, natura wiele uwagi poświęca nasionom, wyposażając je w małe skrzydełka czy żagle, komory pławne i inne wynalazki niezbędne, by miały przewagę nad wszystkimi innymi nasionami. Te tutaj były po prostu spłaszczoną wersją obecnego kształtu bibliotekarza, wyraźnie służącego, by bardzo szybko poruszać się w wodzie.

– Hm... – odezwał się do wszechświata w ogólności. Oznaczało to: Zastanawiam się, czy naprawdę o tym pomyśleliśmy.

– Nie widzę przed nami żadnych skał! – zawołał dziekan.

– Opasan... – mruczał pierwszy prymus, jakby to słowo nie dawało mu spokoju. – To bardzo stanowcze określenie, prawda? I brzmi tak trochę po

wojskowemu.

Myślakowi przyszło do głowy, że woda nie jest właściwie miękka. Jako chłopiec nigdy nie przepadał za sportem, ale pamiętał zabawy z innymi miejscowymi chłopakami. Uczestniczył we wszystkich, na przykład Wepchnij Mazgaja Stibbonsa w Pokrzywy albo Zwiąż Stibba i Idź do Domu na Herbatę. Zdarzyło się też nad niedużym jeziorkiem, że wrzucili go tam ze szczytu urwiska. To bolało.

Flotylla stopniowo dogoniła panią Whitlow, która chwyciła unoszące się na wodzie drzewo i popychała je ruchami nóg. Drzewo miało już całkiem licznych pasażerów: ptaki, jaszczurki i – nie wiadomo skąd przywleczonego – niedużego wielbłąda, który starał się ułożyć jakoś wśród gałęzi.

Fale były teraz wyższe. Słyszeć było niski, bezustanny grzmot zagłuszający szum deszczu.

– Ach, pani Whitlow – odezwał się pierwszy prymus. – Jakie ładne drzewo. Ma nawet liście, proszę...

– Przybyliśmy, by panią ratować – oznajmił dziekan wbrew widocznym faktom.

– Myślę, że dobrze by było, gdyby pani Whitlow złapała się nasienia – powiedział Myślak. – Naprawdę uważam, że to dobry pomysł. Obawiam się, że te fale mogą być... trochę duże.

– Opasujące – dodał ponuro pierwszy prymus.

Spojrzał ku plaży, ale nie było już jej przed nimi.

Była w dole. Leżała u stóp zielonego wzgórza. A wzgórze było zbudowane z wody. I z jakichś powodów ciągle rosło.

– Chwileczkę – powiedział Rincewind. – Dlaczego nie chcesz mi zdradzić, jak się nazywa? Zapewne wielu ludzi to wie. Przecież musieli umieścić jej nazwisko na afiszach i w ogóle. To tylko nazwisko. Nie rozumiem, na czym polega problem.

Kucharze popatrzyli po sobie. Wreszcie jeden z nich odchrząknął.

– Ona... się nazywa... donna Nellie... i Pupa.

– Ale jak nazwisko?

– Nazwisko to Pupa.

Rincewind bezgłośnie poruszył wargami.

– No tak – mruknął.

Kucharze pokiwali głowami.

– Charley wypił całe piwo? Jak myślicie? – spytał Rincewind, siadając ciężko przy stole.

– Może znaleźlibyśmy parę bananów, Ron – zaproponował inny kucharz.

Oczy Rincewindowi zasły mgiełką, znów poruszył ustami.

– Mówiliście o tym Charleyowi? – zapytał po chwili.

– Tak. Zaraz potem się załamał.

Na zewnątrz zabrzmiał tupot biegnących stóp. Jeden z kucharzy wyjrzał przez okno.

– To tylko straż. Pewnie ścigają jakiegoś biedaka... Rincewind cofnął się trochę, żeby nie być zbyt wyraźnie widoczny zza okna.

Ron przestąpił z nogi na nogę.

– Kombinuję sobie, że gdybyśmy poszli do Ahmeda Próźniaka i poprosili, żeby otworzył sklep, moglibyśmy dostać trochę...

– Truskawek? – dokończył Rincewind.

Kucharze zadygotali. Charley chlipnął głośno.

– Całe życie na to czekał – powiedział kucharz. – Uważam, że to wściekle niesprawiedliwe. Pamiętacie, kiedy ta mała sopranistka odeszła, żeby wyjść za poganiacza? Cały tydzień chodził jak struty.

– Tak. Liza Delicja – przypomniał sobie Ron. – Trochę niepewna na niższych tonacjach, ale bardzo obiecująca.

– Naprawdę wiązał z nią duże nadzieje. Mówił, że do takiego nazwiska nawet rabarbar by pasował.

Charley zaskomlał.

– Myślę... – zaczął Rincewind, powoli i ostrożnie.

– Tak?

– Myślę, że znalazłem wyjście.

– Naprawdę? – Nawet Charley uniósł głowę.

– Wiecie, jak to jest. Ktoś z zewnątrz lepiej widzi całą sytuację... Weźmiemy brzoskwinie, bitą śmietanę, trochę lodów, jeśli potraficie je zrobić, może odrobinę brandy... Pomyślmy...

– Wiórki kokosowe? – Charley wyprostował się na krześle.

– Pewnie, czemu nie.

– Ee... Może sos pomidorowy?

– Raczej nie.

– Lepiej się pośpiesz, są już w połowie ostatniego aktu – ostrzegł Ron.

– Będzie dobrze – uspokoił go Rincewind. – Jak to szło... Podzielić brzoskwinie na połówki, ułożyć w salaterce z innymi rzeczami, potem połączyć brandy i *volla*.

– To jakiś zagraniczny dodatek? – zapytał Charley. – Bo chyba żadnego

wollah nie mamy.

– W takim razie dolejcie drugie tyle brandy. I gotowe.

– No tak, ale jak to nazwiesz? – dopytywał się Ron.

– Właśnie do tego dochodzimy – odparł Rincewind. – Podaj mi salaterkę, Charley. – Podniósł ją do góry. – Panowie... oto przekazuję wam... Brzoscwiniową Nellie!

Rondel bulgotał na piecu. Poza tym uporczywym, cichym dźwiękiem i stłumionymi głosami operowymi panowała całkowita cisza.

– I co myślicie? – spytał zadowolony Rincewind.

– Brzmi... inaczej – stwierdził Charley. – To trzeba przyznać.

– Ale nie jest też łatwe do zapamiętania, nie? – zauważył Ron. – Świat jest pełen Nellie.

– Ale z drugiej strony czy wolałbyś, żeby cały świat zapamiętał alternatywę? Chciałbyś, żeby kojarzyli cię z Brzoscwiniową Pu...

Rozległ się skowyt i Charley znowu zalał się łzami.

– Kiedy tak to ująłeś, nazwa wcale nie brzmi źle – przyznał Ron. – Brzoscwiniowa Nellie... tak.

– Można użyć bananów – dodał Rincewind.

Ron poruszył ustami.

– Nie – uznał. – Trzymajmy się brzoskwiń.

Rincewind otrzepał szatę.

– Miło, że mogłem pomóc – zapewnił. – Powiedźcie, iloma drogami można się stąd wydostać?

– Dziś mamy pracowitą noc, bo jest Galah i wszystko – rzekł Ron. – Nie w moim guście, oczywiście, ale trzeba przyznać, że ściąga tu gości.

– Pewno. I jeszcze ta egzekucja rano – dodał Charley.

– Tę akurat planowałem opuścić – oświadczył Rincewind. – Gdybyście mogli tylko...

– Ja na przykład mam nadzieję, że uda mu się uciec – ciągnął Charley.

– Tutaj się z tobą zgadzam.

Ciężkie buty zatupały za drzwiami i ucichły. Rincewind słyszał przytłumione głosy.

– Mówią, że walczył z dwunastoma policjantami – powiedział Ron.

– Z trzema – sprostował Rincewind. – Było ich trzech. Tak słyszałem. Ktoś mi mówił. Nie dwunastu. Trzech.

– Och, musiało ich być więcej, o wiele więcej niż trzech na takiego zuchwałego strażnika buszu. Rinso, tak go nazywają.

– Słyszałem od takiego zioma, co przyjechał z Czyżeśpiwoszynióskol, że ten Rinso ostrzygł setkę owiec w pięć minut.

– Nie wierzę – stwierdził Rincewind.

– I mówią, że jest magiem, ale to nie może być prawda, bo takiego nigdy się nie przydybie na uczciwej pracy.

– No, szczerze mówiąc...

– Niby tak, ale koleś, który pracuje w więzieniu, opowiadał, że ma taką dziwną brązową maź, która daje ogromną siłę!

– To była zwykła zupa na piwie! – zawołał Rincewind. – To znaczy... tak słyszałem.

Ron zerknął na niego z ukosa.

– A ty trochę wyglądasz na maga.

Ktoś zastukał mocno do drzwi.

– Nosisz taką kieckę jak oni – ciągnął Ron, nie odrywając wzroku od Rincewinda. – Idź i otwórz drzwi, Sid.

Rincewind cofnął się i sięgnął za siebie, do blatu zasypanego nożami. Zacisnął palce na rękojeści.

Owszem, nienawidził broni. Broń zawsze, zawsze podnosiła stawkę. Ale też robiła wrażenie.

Drzwi się otworzyły. Kilku ludzi zajrzało do wnętrza, a jednym z nich był więzienny dozorca.

– To on!

– Ostrzegam, że jestem zdesperowany! – powiedział i wysunął rękę zza pleców.

Większość kucharzy próbowała się ukryć.

– To jest chochla, koleś – stwierdził łagodnie strażnik. – Ale odważne zagranie, trzeba przyznać. Co o tym myślisz, Charley?

– Powiem wam tyle: nikt nigdy nie będzie mówił, że takiego dzielnego zioma jak on dopadli w mojej kuchni – oświadczył Charley. Chwycił w jedną rękę tasak, a w drugą salaterkę Brzoskwiniowej Nellie. – Wyskakuj drugimi drzwiami, Rinso, a my tu pogadamy z policją.

– Nam to pasuje – zapewnił strażnik. – Takie przepychanki w kuchni to żadna ostatnia walka. Policzymy do dziesięciu, dobra?

Po raz kolejny Rincewind miał wrażenie, że dostał inny scenariusz od pozostałych.

– Czyli mnie złapaliście, ale nie aresztujecie?

– Wiesz, w balladzie nie brzmiałoby to najlepiej. Trzeba pamiętać o takich sprawach. – Strażnik oparł się o futrynę. – No więc jest taka stara poczta przy ulicy Grurt. Myślę sobie, że jeden człowiek mógłby się tam bronić dwa, nawet trzy dni, nie ma zmartwienia. Potem byś wybiegł, my byśmy cię naszpikowali strzałami, ty byś wygłosił jakieś Słynne Ostatnie Słowa... Założę się, że dzieciaki jeszcze za sto lat uczyłyby się o tobie w szkole. No i popatrz na siebie, co? – Podszedł, ignorując śmiercionośną chochlę, i stuknął Rincewinda palcem w pierś. – Ile strzał coś takiego powstrzyma, co?

– Wszyscy powariowaliście!

Charley pokręcił głową.

– Wszyscy lubią twardzieli, szefuniu. Tacy już są Iksjanie. Odejść, walcząc, to najważniejsze.

– Słyszeliśmy, jak załatwiłeś gang na drodze – powiedział strażnik. – To była dobra robota. Ktoś, kto robi taką robotę, nie zawiśnie na stryczku. Będzie chciał stoczyć Słynną Ostatnią Walkę.

Strażnicy weszli już do kuchni. Drzwi były wolne.

– Czy któryś z was słyszał o słynnym ostatnim biegu? – zapytał Rincewind.

– Nie. A co to takiego?

– Cześć.

Kiedy pędził wzdłuż pogrążonego w mroku nabrzeża, usłyszał za sobą wołanie:

– To rozumiem! Liczymy do dziesięciu!

Biegąc, uniósł wzrok i zauważył, że wielki kangur nad browarem jakoś pociemniał. A potem usłyszał, że coś skacze tuż za nim.

– O nie! Tylko nie ty!

- Cześć – rzucił Skoczek, zrównując się z nim.
- Patrz tylko, w co mnie wpakowałeś!
- W co cię wpakowałem? Przecież mieli cię powiesić! A teraz oddychasz zdrowym, świeżym powietrzem w wybranej przez boga krainie!
- I mają mnie naszpikować strzałami!
- Co z tego? Potrafisz się uchylać przed strzałami. Ten kraj potrzebuje bohatera. Mistrz strzyżenia owiec, wojownik szos, strażnik buszu, owcokrad, świetny jeździec... Pozostało ci jeszcze być dobrym w jakiejś wściekle głupiej grze z piłką i pałką, której nikt jeszcze nie wymyślił, może też wybudować za pożyczone pieniądze kilka wysokich budynków. I będziesz miał komplet. Nieprędko cię zabiją.
- Też mi pociecha! A poza tym nie zrobiłem nic z tego, co mówiłeś... No, to znaczy owszem, ale...
- Liczy się to, co myślą ludzie. A teraz wierzą, że wywalcowałeś z zamkniętej celi.
- Przecież ja tylko...
- Nieważne. Wiesz, ilu dozorców więziennych chciałoby uścisnąć ci dłoń? Nie sądzę, żeby wzięli się do wieszania przed południem.
- Posłuchaj mnie, ty wielki skaczący szczurze! Dostałem się do portu, tak? Potrafię ich wyprzedzić! Mogę się ukryć. Wiem, jak schować się na statku, jak rzygać, zostać wykryty, wyrzucony za burtę, jak utrzymać się na powierzchni przez dwa dni, czepiając się starej beczki i jedząc plankton precedzony przez własną brodę, jak ostrożnie pokonać zdradzieckie rafy wokół atolu i jak tam przetrwać na samych batatach!
- No to masz bardzo niezwykły talent – przyznał kangur, przeskakując nad cumą. – Ile iksjańskich statków widziałeś kiedykolwiek w Ankh-Morpork? To chyba najbardziej ruchliwy port na świecie, nie?

Rincewind zwolnił.

– No...

– To przez te prądy, koleś. Wystarczy odpłynąć więcej niż dziesięć mil, a nawet jeden kapitan na stu nie powstrzyma swojego statku od spadnięcia za Krawędź. Dlatego trzymają się blisko brzegu.

Rincewind znieruchomiał.

– Chcesz powiedzieć, że cały ten ląd jest tak naprawdę jednym wielkim więzieniem?

– No. Ale Iksjanie uważają, że to najlepsze miejsce na całym przeklętym świecie, więc i tak nie ma sensu stąd wyjeżdżać.

Za nimi rozległy się krzyki. Tutejszym strażnikom liczenie do dziesięciu nie zabierało tyle czasu, co większości strażników gdzie indziej.

– Co teraz masz zamiar zrobić? – spytał Rincewind.

Ale kangur zniknął.

Rincewind skręcił, przebiegł boczną uliczką i przekonał się, że droga jest całkiem zablokowana. Wozy tarasowały ją od brzegu do brzegu – barwnie udekorowane wozy.

Zatrzymał się. Zawsze był czołowym propagatorem uciekania raczej „od” niż „do”. Mógłby nawet napisać książkę *Ucieczka od*. Jednak czasami jakiś subtelny zmysł mówił mu, że „do” również jest ważne.

Przed wszystkim wiele osób, stojących i rozmawiających przy wozach, ubranych było w skóry.

Wiele można wymienić zalet skórzanej odzieży. Jest trwała, praktyczna i odporna. Ludzie w rodzaju Cohena Barbarzyńcy uważali ją za tak odporną i trwałą, że stare przepaski biodrowe musiał im zdejmować kowal. Ale ci tutaj nie wyglądali, jakby tych właśnie zalet skóry poszukiwali w butikach. Ci zadawali raczej pytania: Ile ćwieków ma nabitych? Jak bardzo jest błyszcząca? Czy ma otwory wycięte w nietypowych miejscach?

Jedna z najbardziej podstawowych reguł przetrwania na dowolnej planecie nakazuje nigdy nie drażnić kogoś ubranego w czarną skórę* [* Właśnie dlatego protestujący przeciwko noszeniu przez ludzi skór zwierząt nie wiedzieć czemu nie rzucają farbą w Aniołów Piekieł.]. Rincewind przesuwiał się więc obok nich bardzo grzecznie; kiedy zauważał, że ktoś na niego patrzy, kiwał mu przyjaźnie głową i machał ręką... A z jakiegoś powodu w rezultacie coraz więcej osób zwracało na niego uwagę.

Były też grupki pań; jeśli IksIksIksIks jest krajem, gdzie każdy może wysoko nosić głowę, zasada ta bez wątpienia dotyczy również kobiet. Mimo to niektóre były bardzo ładne, choć może przesadnie to podkreślały. Wąsiki tu i tam wydawały się całkiem nie na miejscu, jednak Rincewind bywał w obcych stronach i wiedział, że pewne obyczaje kwitną bardziej bujnie, zwłaszcza w regionach wiejskich. Było trochę więcej cekinów, niż się normalnie widuje. I więcej piór.

Aż wreszcie zrozumiał i odetchnął z ulgą.

– Och, to jest karnawał, nie? – powiedział głośno. – To jest ta Galah, o której ciągle mówili.

– Słucham? – odezwała się dama w niebieskiej, naszywanej cekinami sukni. Zmieniała koło przy dużym, fioletowym wozie.

– To wozy karnawałowe, prawda?

Kobieta zacisnęła zęby, wbiła nowe koło na miejsce i puściła oś. Wóz stuknął o bruk.

– Niech to... chyba złamałam sobie paznokieć – powiedziała. Spojrzała na Rincewinda. – Tak, to jest karnawał. Ten ciuch pamięta chyba lepsze czasy, co? Niezły masz wąs, ale broda fatalna. Lepiej by wyglądała ufarbowana.

Rincewind spojrzał w głąb ulicy. Wozy i ludzie zasłaniaли go, ale to nie potrwa długo.

– Ehm... Może mi pani pomóc? – zapytał. – Bo tego... Straż mnie ściga.

- Potrafią być bardzo natrętni.
- Nastąpiło drobne nieporozumienie co do owcy.
- Często się zdarza, koleś. – Zmierzyła Rincewinda wzrokiem. – Ale muszę powiedzieć, że nie wyglądasz na wiejskiego chłopaka.
- Ja? Robię się nerwowy, kiedy zobaczę źdźbło trawy, panienko.

Przyjrzała mu się uważnie.

– Chyba... jest pan tu od niedawna, panie...?

– Rincewind, proszę pani.

– Dobrze, niech pan wskakuje, panie Rincewind. Mam na imię Letycja.

Wyciągnęła dość dużą dłoń. Uścisnął ją, a potem, wspinając się na wóz, usiłował dyskretnie rozmasować sobie palce, by przywrócić obieg krwi.

Fioletowy wóz udekorowany był szerokimi pasami w kolorach rózu i lawendy, i czymś, co wyglądało jak róże z papieru. Skrzynie, także okryte tkaniną, ustawiono pośrodku tak, by tworzyły rodzaj podwyższenia.

– I co pan myśli? – spytała Letycja. – Dziewczyny pracowały nad tym całe popo.

Kolorystyka była nazbyt kobieca jak na gust Rincewinda, ale wychowanie nakazywało mu uprzejmość. Skulił się na wozie jak najniżej.

– Bardzo ładne – ocenił. – Bardzo wesołe.

– Cieszę się, że się panu podoba.

Gdzieś z przodu zaczęła grać orkiestra. Nastąpiło poruszenie – ludzie wskakiwali na wozy i formowali korowód. Do fioletowego wozu wsiadły dwie kobiety, całe w cekinach i długich rękawiczkach. Wytrzeszczyły oczy na Rincewinda.

– Co je... – zaczęła jedna z nich.

– Darleen, musimy pogadać – rzuciła z przodu Letycja.

Rincewind przyglądał się, jak szepczą coś do siebie. Od czasu do czasu któraś unosiła głowę i przyglądała mu się dziwnie, jakby chciała się upewnić, że nadal tam jest.

Mają tu porządne, wielkie dziewczyny, pomyślał. Zastanowił się, skąd te panny biorą obuwie.

Rincewind nie znał się dobrze na kobietach. Sporą część swego życia, która nie minęła

w przyspieszonym tempie, spędził w murach Niewidocznego Uniwersytetu, gdzie kobiety klasyfikowano ogólnie w tej samej kategorii co tapety albo instrumenty muzyczne – na swój sposób interesujące, bez wątpienia stanowiące niewielki, lecz ważny element cywilizacji... Ale jeśli się zastanowić, jednak nie kluczowy.

Przy rzadkich okazjach, gdy spędzał jakiś czas w bliskim towarzystwie kobiety, na ogół chciała wtedy uciąć mu głowę albo przekonać go do takich działań, które prawdopodobnie do ucinania skłoniłyby kogoś innego. Jeśli chodzi o kobiety, to nie był zdolny – tak można to określić – do precyzyjnego dostrojenia. Kilka zapomnianych instynktów podpowiadało mu, że coś tu jest nie w porządku, ale jakoś nie mógł odgadnąć co.

Ta, którą nazwano Darleen, przeszła przez wóz krokiem stanowczym i dość agresywnym. Rincewind z szacunkiem zdjął kapelusz.

– Robisz nas w surową krewetkę? – zapytała groźnie.

– Ja? Ależ skąd, panienko. Żadnych krewetek. Chciałbym tylko schować się tutaj, aż będziemy parę przecznic dalej, o nic więcej nie proszę...

– Wiesz, co tu się odbywa, nie?

– Tak, panienko. Karnawał. – Rincewind przełknął ślinę. – Nie ma zmartwienia. Wszyscy lubią się przebierać, prawda?

– Chcesz mi wmówić, że naprawdę uważasz... że my... Czemu tak się gapisz na moje włosy?

– Ehm... zastanawiałem się, jak udało się uzyskać taki połysk. Czy występujesz na scenie?

– Ruszamy, dziewczęta – zawołała z kozła Letycja. – Pamiętajcie: piękne uśmiechy. Zostaw go, Darleen, nie wiesz, gdzie był wcześniej.

Trzecia kobieta – do której obie zwracały się Neilette – przyglądała mu się z zaciekawieniem. Rincewind uznał, że jakoś do tamtych nie pasuje. Jej włosy, z pewnością nie bure, takie się jednak wydawały w porównaniu z fryzurami koleżanek. Nie miała dostatecznie ostrego makijażu. Krótko mówiąc, była jakby nie na swoim miejscu.

Po chwili jednak dostrzegł z przodu strażnika i rzucił się na podłogę wozu. Szczelina między deskami burty pozwalała mu obserwować – kiedy wóz skręcił na rogu – oczekujące tłumy.

Uczestniczył już w sporej liczbie karnawałowych parad, chociaż zwykle nie z własnego wyboru. Był nawet na Tłustej Porze Obiadowej w Genoi, powszechnie uważanej za największą na świecie. Niejasno przypominał sobie, że w jednym z karnawałowych wozów wisiał wtedy głową w dół, aby ukryć się przed prześladowcami, choć w tej chwili nie całkiem pamiętał, dlaczego go ścigali, a nigdy nie jest rozsądnie zatrzymywać się i pytać. Chociaż Rincewind zwiedził w życiu większą część Dysku, jednak większa część jego wspomnień taka właśnie była – mglista. Nie z powodu słabej pamięci, ale z powodu prędkości.

Ci tutaj wyglądali jak typowa publiczność. Prawdziwa parada karnawałowa powinna się odbywać dopiero wtedy, kiedy bary pracują już od dłuższego czasu. To zwiększa spontaniczność.

Słyszał krzyki, gwizdy, śmiechy i wycia. Przed nimi ludzie dmuchali w rogi. Tancerze wirowali za szczeliną w burcie wozu.

Usiadł i naciągnął na głowę płachtę tafty. Takie wydarzenia zawsze

zajmowały straż, gdyż ściągały kieszonkowców i tym podobnych. Zaczeka więc, aż dotrą do pustkowi, gdzie takie parady zawsze się kończą, i wymknie się dyskretnie.

Spojrzał na podłogę wozu.

Te damy rzeczywiście dbały o swoje obuwie. Miały setki par.

Setki butów, ustawionych równo i wystających spod stosu damskich sukni... Rincewind odwrócił głowę. Prawdopodobnie jest coś moralnie nagannego w patrzeniu na kobiece ubrania bez kobiet w środku.

Głowa jakby sama odwróciła mu się i znowu spojrzała na buty. Miał wrażenie, że kilka się poruszyło...

Butelka roztrzaskała się obok niego. Spadł grad odłamków szkła. Nad nim Darleen rzuciła słowo, jakiego nigdy by się nie spodziewał w ustach damy.

Ostrożnie uniósł głowę i następna butelka odbiła mu się od kapelusza.

– Jacyś huni chcą się zabawić – rzuciła Darleen przez zaciśnięte zęby. – Zawsze się znajdzie żartowniś... O, doprawdy?

– Może całusa, szefuniu? – Młody człowiek wskoczył na brzeg wozu, radośnie wymachując puszką piwa.

Rincewind widywał już w akcji prawdziwych twardzieli, ale żaden nie wyprowadził takiego ciosu jak Darleen. Zmrużyła oczy; zdawało się, że jej pięść zatoczyła pełny krąg i mniej więcej w połowie łuku w górę spotkała się ze szczęką intruza. Kiedy zniknął magowi z oczu, wciąż się wznosił.

– Popatrz tylko! – rzuciła gniewnie Darleen, machając Rincewindowi ręką. – Rozdarta! Te wieczorowe rękawiczki kosztują majątek! A to drań! – Puszka po piwie przefrunęła jej koło ucha. – Widziałeś, kto to rzucił? Widziałeś? Wiem, że to ty, facet! Wepchnę ci rękę do gardła i podciągnę spodnie!

Tłum zaryczał z satysfakcją i drwiną równocześnie. Rincewind dostrzegł hełmy strażników, wyraźnie kierujące się w ich stronę.

– Eee... – powiedział.

– Hej, to on! To Rinso, strażnik buszu! – zawołał ktoś, pokazując go palcem.

– To nie był busz, to była tylko owca!

Rincewind zastanowił się, kto to powiedział, i uświadomił sobie, że on sam. Nie miał gdzie uciekać. Strażnicy patrzyli na niego. I naprawdę nie miał gdzie uciekać. Ulice były zablokowane. Bliżej czoła parady wybuchła kolejna bójka. Nie widział żadnych bocznych zaułków, przyjaciół uciekiniera. A strażnicy z wyraźnymi kłopotami przebijali się przez tłum gapiów, bawiących się

jak chyba nigdy w życiu. W górze błyszczał wielki symbol piwnego kangura.

A więc to już... Pora na Słynną Ostatnią Walkę.

– Co? – powiedział głośno. – Nigdy nie ma pory na Słynną Ostatnią Walkę.

Zwrócił się do Letycji.

– Chciałbym bardzo podziękować za to, że próbowaliście mi pomóc – rzekł.

– To prawdziwa przyjemność spotkać w końcu prawdziwe damy.

Spojrzały po sobie.

– Cała przyjemność po naszej stronie – zapewniła go Letycja. – To miła odmiana, spotkać prawdziwego dżentelmena. Prawda, dziewczęta?

Darleen nogą w siatkowej pończosze kopnęła człowieka, który próbował wspiąć się na wóz. Butem na szpilce spowodowała to, na co brom w herbacie potrzebuje podobno kilku tygodni.

– Cholerna szczerą prawdą – przyznała.

Rincewind zeskoczył z wozu, wylądował na czyimś ramieniu i natychmiast przeskoczył na czyjąś głowę. To działało. Naprawdę działało, pod warunkiem że się nie zatrzymywał. Kilka dłoni usiłowało go złapać, kilka puszek poleciało w jego stronę, ale słyszał również częste okrzyki „Trzymaj się!” i

„Tak się to robi!”.

Wreszcie dostrzegł zaułek. Zeskoczył z ostatniego pomocnego ramienia, zmienił przełożenie w nogach i dopiero wtedy odkrył, że zaułek ów najlepiej opisuje słowo „ślepy”. Najgorzej zaś: „zaułek, gdzie stoi trzech czy czterech strażników, którzy ukryli się tu, żeby zapalić”.

Rzucili mu spojrzenia znękanych policjantów, znane w każdym punkcie wszechświata, mówiące wyraźnie, że przeszkadzający w szybkim dymku natrętny intruz z całą pewnością jest czemuś winien.

I nagle na twarz sierżanta spłynęło zrozumienie.

– To on!

Na ulicy ludzie zaczęli krzyczeć i jęczeć. Nie były to wzmacniane piwem karnawałowe wołania – oni tam naprawdę cierpieli. W dodatku napierali tak mocno, że Rincewind nie mógł się cofnąć.

– Wszystko wytłumaczę – zapewnił, ledwie świadom narastającego gwaru. – No... większość. Niektóre kwestie na pewno. Kilka spraw. Słuchajcie, co do tej owcy...

Coś roziskrzonego przeleciało mu nad głową i wylądowało na bruku między nim a strażnikami. Wyglądało trochę jak stół w wieczorowym kostiumie, i miało setki małych stóp.

A na nich buty na wysokich obcasach.

Rincewind zwinął się w kłębek i osłonił głowę rękami, próbując zatkać sobie uszy, póki nie ucichną hałasy.

Na samym brzegu morza woda pieniała się i zasysała piasek. Kiedy fala cofała się, opływała

strzaskany pień. Niesiony przez drzewo ładunek krabów i pcheł piaskowych odczekał na właściwy moment i zsunął się ostrożnie, pędząc na ląd przed następną falą...

Deszcz bębnił o ziemię, spływając do morza miniaturowymi kanionami w piasku. Kraby przebiegały nad nimi jak tłum poszukiwaczy złota – spieszyły znaczyć swoje terytoria na nieskończonej dziewiczej plaży.

Podążały słoną linią przypływu wykreśloną pasmem wodorostów i muszli; wchodziły na siebie nawzajem w poszukiwaniu miejsca, gdzie krab może stanąć dumnie bokiem, rozpocząć nowe życie i jeść słodki piasek wolności.

Kilka z nich zbadało szary, przesiąknięty wodą spiczasty kapelusz, który leżał na piasku oplątany wodorostami. Po chwili przebiegły do bardziej obiecującej pryzmy przemoczonej tkaniny, oferującej jeszcze więcej ciekawych otworów i szczelin.

Jeden próbował nawet wejść Myślakowi do nosa, ale został wydmuchany z powrotem.

Myślak otworzył jedno oko. Kiedy poruszył głową, woda w uszach wydała dzwoniący odgłos.

Historia ostatnich kilku minut była dość skomplikowana. Pędził w rury zielonej wody, jeśli coś takiego w ogóle może istnieć, i pamiętał kilka okresów, kiedy powietrze, woda i sam Myślak byli bardzo ciasno spleceni. Teraz czuł się tak, jakby ktoś bardzo precyzyjnie uderzył młotkiem w każdą część jego ciała.

– Złaż ze mnie!

Myślak uniósł rękę, wyjął z ucha innego kraba i uświadomił sobie, że zgubił okulary. Przetaczały się teraz pewnie po dnie morza i straszyły langusty. Czyli oto znalazł się tutaj, na obcym brzegu, gdzie będzie mógł wszystko zobaczyć bardzo wyraźnie, pod warunkiem że wszystko jest rozmazaną plamą.

– Czy tym razem umarłem?

To był głos dziekana, dochodzący z niewielkiej odległości.

– Nie, ciągle pan żyje, dziekanie – odparł Myślak.

– Niech to! Jest pan pewien, Stibbons?

Rozległy się kolejne stęknienia, gdy stosy wyrzuconych przez morze odpadków okazywały się mieszaniną magów z wodorostami.

– Jesteśmy wszyscy? – spyta! Ridcully, usiłując wstać.

– Ja na pewno nie... – jęknął dziekan.

– Nie widzę... pani Whitlow – stwierdził Ridcully. – Ani kwestora.

Myślak usiadł.

– Tam jest... Ojej... No, tam jest kwestor...

Na morzu rosła potężna fala. Wznosiła się coraz wyżej i wyżej. A kwestor był na samym jej szczycie.

– Kwestorze! – huknął Ridcully.

Daleka figurka stanęła na nasieniu i pomachała im ręką.

– On stoi – stwierdził Ridcully. – Czy on powinien na tym stawać? Nie powinien na tym stawać, prawda? Jestem pewny, że nie powinien stawać. Nie powinien stawać, kwestoorzeeee!!! Jak...? To przecież nie powinno się dziać!

Fala zaczęła się łamać, ale kwestor ześlizgiwał się po niej, sunął po zboczu wielkiego, zielonego, mokrego wału jak człowiek na jednej narcie.

Ridcully spojrzał na pozostałych magów.

– On nie może tego robić, prawda? Przesuwa się po niej tam i z powrotem. To możliwe? Fala się załamuje, a on ślizga się swobodnie po... Och, nie...

Spieniony szczyt fali zamknął się nad pędzącym magiem.

– No to po wszystkim – westchnął Ridcully.

– Ehm... nie – zauważył Myślak.

Kwestor pojawił się znowu, dalej, jak strzała z łuku wyrzucony z zapadającego się wodnego tunelu. Fala załamała się nad nim i uderzyła o brzeg, jakby brzeg właśnie ją obraził.

Nasienie zmieniło kierunek, przepłynęło delikatnie po spływającej z plaży wodzie i z chrzęstem zahamowało na piasku.

Kwestor zszedł z niego.

– Hurra – powiedział. – Mam mokre stopy. Jaki ładny las. Pora na herbatkę.

Podniósł nasienie i wbił go czubkiem w piasek. A potem odszedł plażą.

– Jak on to zrobił? – pytał Ridcully. – Przecież jest zwariowany jak fretka! Świetny jako kwestor, oczywiście.

– Może brak równowagi umysłowej powoduje, iż nic nie zakłóca stabilności fizycznej – odparł ze znużeniem Myślak.

– Tak pan sądzi?

– Właściwie nie, nadrektorze. Powiedziałem tak, żeby coś powiedzieć.

Masował nogi, by przywrócić im czucie. Zaczął liczyć pod nosem.

– Czy jest tu cokolwiek do jedzenia? – odezwał się kierownik studiów nieokreślonych.

– Cztery – powiedział Myślak.

– Słucham?

– Co? Ach, po prostu liczyłem coś sobie. Nie, proszę pana. W morzu są pewnie ryby i homary, ale ląd wygląda mi na całkiem pusty.

Rzeczywiście wyglądał. Czerwonawe piaski ciągnęły się wśród szarawej mżawki aż do niebieskawych gór. Jedynym elementem zielonkawym była

twarz dziekana... i pędy – wyrastające nagle z sufingowego nasienia kwestora. Liście rozwijały się w deszczu, maleńkie kwiatki otwierały z cichymi puknięciami.

– No to przynajmniej będziemy mieli nową łódź – ucieszył się pierwszy prymus.

– Wątpię, proszę pana – odparł Myślak. – Bóg nie radził sobie dobrze z hodowlą czegokolwiek.

Rzeczywiście, nabrzmiewający owoc nie był szczególnie łodziokształtny.

– Wiecie – rzekł Ridcully – nadal uważam, że pomogłoby, gdybyśmy uznali to wszystko za cenną sposobność.

– To prawda – zgodził się dziekan. – Nieczęsto w życiu ma się sposobność umrzeć z głodu na jakimś martwym kontynencie, tysiące lat przed własnym urodzeniem. Powinniśmy jak najlepiej ją wykorzystać.

– Chodziło mi o to, że stawianie czoła żywiołom rozbudzi w nas to, co najlepsze, wykuje ambitny, efektywny zespół...

Ten pogląd nie zyskał wsparcia.

– Jestem pewien, że musi tu być coś do jedzenia – mruczał kierownik studiów nieokreślonych, rozglądając się na wszystkie strony. – Zwykle jest.

– W końcu tacy ludzie jak my nie cofną się przed niczym – dodał Ridcully.

– To prawda – przyznał Myślak. – Na bogów, tak. To prawda...

– A przynajmniej mag zawsze potrafi rozpalić przyzwoity ogień.

Myślak szeroko otworzył oczy z przerażenia. Jednym płynnym ruchem poderwał się i skoczył, celując w Ridcully'ego, ale leciał jeszcze, kiedy nadrektor pchnął małą kulę ognistą w stos wyrzuconego falami drewna. Rozjarzony pocisk był w połowie drogi, gdy Myślak trafił Ridcully'ego w plecy, tak że obaj leżeli już na mokrym piasku, kiedy cały świat zrobił „wuuuff!”.

Gdy unieśli głowy, stos drewna był już tylko poczerniałym kraterem.

– No cóż, dziękuję – odezwał się z tyłu dziekan. – Czuję się teraz rozgrzany i pięknie wysuszony, a moich brwi i tak nigdy specjalnie nie lubiłem.

– Silne natężenie pola thaumicznego, nadrektorze – wysapał Myślak. – Mówiłem przecież.

Ridcully wpatrywał się we własne dłonie. – A już chciałem czymś takim zapalić fajkę... – mruknął. Odsunął rękę. – To był tylko numer dziesięć – dodał.

Diekan wstał i strzepnął z szaty kłaczki przypalonej brody.

– Trudno mi uwierzyć w to, co widziałem – oświadczył i wymierzył palec w niedaleki głaz.

– Nie, dziekanie, nie powinien pan...

Większa część głazu uniosła się w powietrze i wylądowała kilkaset stóp dalej. Reszta skwierczała w czerwonej od żaru kałuży.

– Mogę też spróbować? – spytał pierwszy prymus.

– Naprawdę sędzę...

– Brawo, pierwszy prymusie – pochwalił dziekan, kiedy następny głaz rozsypał się na

kawałki.

– Na bogów, Stibbons, miałeś rację – rzekł Ridcully. – Pole magiczne tutaj rzeczywiście jest potężne.

– Tak, nadrektorze – pisnął Myślak. – Ale wydaje mi się, że nie powinniśmy tego wykorzystywać.

– Jesteśmy magami, młody człowieku. Korzystanie z magii to właśnie to, o co chodzi w byciu magiem.

– Nie, nadrektorze! W byciu magiem chodzi właśnie o niekorzystanie z magii!

Ridcully zawahał się.

– To magia kopalna, nadrektorze! – tłumaczył pośpiesznie Myślak. – Z jej pomocą stwarza się ten ląd! Jeśli nie będziemy ostrożni, możemy wyrządzić nieopisane szkody!

– Dobrze, dobrze. Niech przez jakiś czas nikt nie próbuje nic robić – zdecydował Ridcully. – A teraz... O czym pan właściwie mówi, panie Stibbons?

– Nie wydaje mi się, żeby to miejsce było należycie... no, wykończone, nadrektorze. Znaczy, nie ma tu roślin ani zwierząt, prawda?

– Bzdura. Jakiś czas temu widziałem wielbłąda.

– Tak, nadrektorze, ale on tu przypłynął razem z nami. Są również wodorosty i kraby na plaży, też wyrzucone falami. Ale gdzie pan widzi drzewa, krzewy i trawę?

– To ciekawe – przyznał Ridcully. – Rzeczywiście, ląd jest łysy jak pupa niemowlęcia.

– Wciąż na etapie konstrukcji, nadrektorze. Bóg mówił przecież, że trwa budowa.

– Przyznam szczerze, że trudno mi w to uwierzyć – oświadczył Ridcully. – Cały kontynent jest stwarzany z niczego?

– Otóż to, nadrektorze.

– Gazyliony thaumów magii wlewają się do świata...

– Właśnie tak, nadrektorze.

– To taki cud właściwie, można powiedzieć.

- Ja na pewno bym tak powiedział, nadrektorze.
- Niewyobrażalnie wielkie ilości magii robią to, co powinny.
- Zdumiewające, nadrektorze.
- I przypuszczam, że nikt nawet nie zauważy, jeśli odrobiny zabraknie. Co?
- Nie! To nie tak działa, nadrektorze! Jeśli ją zużyjemy, to... to jak... jak rozdeptanie mrówki, nadrektorze! To całkiem coś innego niż... niż kiedy człowiek znajdzie w szafie starą laskę i zużyje pozostałą w niej magię! To prawdziwa pierwotna energia! Cokolwiek tu zrobimy, może mieć skutki.

Dziekan stuknął go w ramię.

- No więc tkwimy tutaj, Stibbons, na tym zakazanym brzegu. Co proponujesz? Znaleźliśmy

się o tysiące lat od domu. Może mamy po prostu sięść i czekać? Rincewind powinien się zjawić za kilka mileniów...

- Ehm... dziekanie... – odezwał się pierwszy prymus.

- Tak?

- Czy ty stoisz tam za Stibbonsem, czy raczej siedzisz na kamieniu, o tam?

Dziekan spojrzał na siebie siedzącego na kamieniu.

- A niech to – mruknął. – Znowu nieciągłość temporalna!

- Znowu? – zdziwił się Myślak.

- Mieliśmy kiedyś taki kawałek w sali 5b – wyjaśnił pierwszy prymus. – Śmieszna sprawa. Człowiek musiał chrząknąć, zanim tam wszedł, bo już tam był. Zresztą nie powinieneś się dziwić, młody człowieku. Dostateczna ilość magii zakłóca prawa fi...

Pierwszy prymus zniknął, zostawiając po sobie tylko stos odzieży.

– Chwilę trwało, zanim to opanowaliśmy – podjął Ridcully. – Pamiętam, kiedyś...

Jego głos stał się nagle piskliwy. Myślak odwrócił się błyskawicznie i zobaczył leżącą na piasku szatę ze spiczastym kapeluszem na wierzchu.

Ostrożnie podniósł kapelusz. Spojrzała na niego różowa twarzyczka pod strzechą kędziorów.

– Niech to! – pisnął Ridcully. – Ile mam lat, co?

– Wygląda pan na jakieś sześć, nadrektorze – ocenił Myślak. Coś ukłuło go w plecach.

Mała buźka zmartwiła się wyraźnie.

– Chcem do mamy! – Nosek się zmarszczył. – Czy to ja powiedziałem?

– No... tak.

– Można to opanować, jeśli człowiek się skoncentruje – piszczał nadrektor. – To restartuje gru... Chcem cukielka!... restartuje gruczoł tempo... Chcem cukielka, czekaj, wrócimy do domu, spuszczę sobie takie... restartuje w ciele ze... gdzie Pusio?... restartuje w ciele zegar bio... chcem Pusia, pana Pusia!... proszę się nie przejmować, chyba nad tym panuję...

Płacz za plecami kazał Myślakowi się obejrzeć. Na piasku, w miejscach, gdzie wcześniej stali magowie, leżały kolejne stosy tkaniny. Odsunął kapelusz dziekana akurat w chwili, kiedy ciche „blup” zasugerowało, że Mustrum Ridcully ponownie odzyskał swoje lata.

– To jest dziekan, Stibbons?

– Możliwe, nadrektorze. Ale... niektórzy całkiem zniknęli...

Ridcully nie przejął się.

– Gruczoł temporalny trochę wariuje w silnym polu magicznym. Prawdopodobnie uznał, że skoro jesteśmy przed tysiącami lat, to ich tu nie

ma. Proszę się nie martwić, wrócą, kiedy to rozpracuję...

Myślak poczuł nagle, że brakuje mu tchu.

– A to... hhy... zapewne wykładowca run współczesnych... hhy... oczywiście... hhy...

wszystkie dzieci wyglądają... hhy... tak samo...

Kolejny wrzask rozległ się spod kapelusza pierwszego prymusa.

– Mamy tu... hhy... żłobek, nadrektorze – sapał Myślak. Strzyknęło mu w grzbiecie, kiedy spróbował się wyprostować.

– Nie, na pewno wrócą, kiedy się ich nie nakarmi – stwierdził Ridcully. – Raczej z tobą będą kłopoty, chłopcze... to jest: drogi panie.

Myślak uniósł dłonie do oczu. Przez bladą skórę widział błękitne żyły. Prawie że widział kości.

Wokół niego puste szaty znów się wypełniały, gdy magowie odzyskiwali właściwy wiek.

– Na ile... hhy... lat... hhy... wyglądam? – dyszał ciężko. – Jak ktoś, kto nie powinien... hhy... zaczynać grubej książki?

– Długiego zdania – odparł uprzejmie Ridcully, podtrzymując go za rękę. – Na ile lat się czujesz? Ty sam?

– Ja... hhy... powinienem się czuć na jakieś... hhy... dwadzieścia cztery, nadrektorze – stęknął Myślak. – Naprawdę... hhy... czuję się jak ktoś... hhy... kto ma dwadzieścia cztery lata i trafiło go... hhy... osiemdziesiąt, pędzących z dużą... hhy... prędkością.

– I tego się trzymaj. Twój gruczoł temporalny wie, w jakim jesteś wieku.

Myślak próbował się skupić, co nie było łatwe. Jakaś jego część chciała spać. Inna chciała powiedzieć: To nazywacie zakłóceniem temporalnym? Powinniście zobaczyć zakłócenia temporalne, jakie będziemy mieć za

moich czasów!

A jeszcze inna, natrętna część groziła, że jeśli szybko nie znajdzie toalety, spróbuje jakoś sama sobie poradzić.

– Zachowałeś włosy – zauważył pocieszającym tonem pierwszy prymus.

Myślak usłyszał własny głos:

– Pamiętacie starego Prymitywa Trusseta? To był dopiero mag, co miał... mocne... włosy... – Usiłował wziąć się w garść. – Żyje jeszcze, prawda? – wyrzeził. – Był w tym samym wieku co ja... O nie... Teraz pamiętam tylko wczoraj, jakby to było... hhyyy... siedemdziesiąt lat temu!

– Poradzisz sobie z tym – uspokoił go Ridcully. – Musisz bardzo wyraźnie dać do zrozumienia, że tego nie akceptujesz. Najważniejsze, to nie panikować.

– Ja już panikuję – wychrypiał Myślak. – Tylko że robię to bardzo powoli! Skąd bierze się to paskudne uczucie, że... hhyyy... ciągle padam do... hhyyy... przodu?

– Ach, to tylko lęk przed własną śmiertelnością – wyjaśnił Ridcully. – Wszystkim się zdarza.

– A teraz... hhyyy... chyba tracę pamięć...

– Dlaczego tak sądzisz?

– Co sędzę? Głośniej mów... hhyyy... człowieku...

Coś eksplodowało poza oczami Myślaka i uniosło go nad ziemię. Przez moment miał

wrażenie, jakby wskoczył do lodowatej wody. Krew znów popłynęła mu do palców.

– Brawo, chłopcze – pochwalił go nadrektor. – I włosy ci znowu brązowieją.

– Ojej... – Myślak osunął się na kolana. – Czułem się, jakbym nosił ołowiane ubranie! Nigdy więcej nie chcę przez to przechodzić!

– W takim razie najlepsze będzie samobójstwo.

– Czy to znowu się zdarzy?

– Prawdopodobnie. Co najmniej raz.

Myślak powstał. Oczy błysnęły mu stalą.

– A zatem poszukajmy tego, który buduje ten ład, i poprośmy, żeby odesłał nas do domu.

– Może nie posłuchać – powątpiewał Ridcully. – Bóstwa bywają drażliwe.

Myślak potrząsnął rękawami, by zsunęły się i zostawiły wolne dłonie. Dla maga jest to odpowiednikiem przeładowania shotguna.

– Będziemy nalegać – rzekł.

– Naprawdę, Stibbons? A co z ochroną magicznej ekologii?

Myślak rzucił mu spojrzenie, które mogłoby otworzyć sejf. Ridcully miał koło siedemdziesiątki i był dziarski nawet jak na maga – a magowie, jeśli tylko przetrwają pierwsze pięćdziesiąt lat, zwykle dożywają spokojnie drugiej setki. Myślak nie był pewien, ile lat sam miał przed chwilą, ale był prawie pewien, że słyszał już zgrzyt ostrzonej kosy. Co innego wiedzieć, że jest się w podróży, a zupełnie, ale to zupełnie co innego zobaczyć na horyzoncie jej kres.

– Może się wypchać – rzekł* [* Miło byłoby stwierdzić, że to przeżycie nauczyło Myślaka czegoś ważnego i że od tego czasu zachowywał się o wiele taktowniej wobec ludzi starszych. Było to prawdą przez jakieś pięć minut.].

– Słuszne słowa, panie Stibbons. Widzę, że jeszcze będzie z pana prawdziwy mag. Dziekan jest... oj...

Szata dziekana wzdęła się, ale nie rozrosła do poprzednich rozmiarów. W szczególności kapelusz okazał się dostatecznie duży, by opaść dziekanowi na uszy – bardziej czerwone i odstające, niż Myślak je pamiętał.

Ridcully podniósł kapelusz.

– Spadaj, dziadu! – rzucił dziekan.

– No tak... – mruknął nadrektor. – Jakieś trzynaście lat, moim zdaniem. Co wiele tłumaczy. Dziekanie, pomóż nam z pozostałymi, dobrze?

– A niby czemu? – Młodociany dziekan splótł palce. – Ha! Jestem znowu młody, a wy niedługo umrzecie! Przede mną całe nowe życie!

– Po pierwsze, spędzisz je tutaj, a po drugie, dziekanie, wydaje ci się, że to taka świetna zabawa, być dziekanem w ciele trzynastolatka? Za parę minut zaczniesz wszystko zapominać. Stary gruczoł temporalny nie może pozwolić, byś pamiętał, jak miałeś czternaście lat, kiedy

jeszcze nie skończyłeś trzynastu. Nadążasz za mną? Wiedziałybyś to, dziekanie, gdybyś już nie zapominał. Będziesz musiał przeżyć wszystko jeszcze raz... Aha...

Mózg ma o wiele mniej władzy nad ciałem niż ciało nad mózgiem. A okres dorastania nie jest najlepszym z możliwych. Wiek zaawansowany też nie, ale przynajmniej przyszcze zeszyły już z twarzy, uspokoiły się niektóre z bardziej kłopotliwych gruczołów, a człowiekowi wolno ucinać sobie drzemkę po południu albo mrugać na młode kobiety. W każdym razie ciało dziekana nie doświadczyło jeszcze zbytnio wieku zaawansowanego, podczas gdy każda młodociana krosta, każdy ból czy ukłucie były mocno wyryte w morficznej pamięci. I zdecydowało, że jeden raz wystarczy.

Dziekan się rozrósł. W szczególności jego głowa powiększyła się i dopasowała do uszu.

Roztarł wolną od przyszczy twarz.

– Pięć minut nie byłoby złe – poskarżył się. – O co w tym wszystkim

chodziło?

– Nieoznaczoność temporalna – wyjaśnił Ridcully. – Widzieliśmy już coś takiego, nie pamiętałeś? O czym w ogóle myślałeś?

– O seksie.

– No tak, oczywiście... Że też sam nie odgadłem... – Ridcully zbadał wzrokiem pustą plażę. – Pan Stibbons uważa, że możemy... – zaczął i urwał. – Na bogów! – zawołał. – Jednak są tutaj ludzie!

Młoda kobieta szła plażą w ich stronę. Kołysała się w każdym razie.

– Niech mnie... – odezwał się dziekan. – Czy to przypadkiem nie jest Slakki?

– Myślałem, że tam noszą spódniczki z trawy... – mruknął Ridcully. – A co ona nosi, Stibbons?

– Sarong.

– Już teraz wygląda całkiem dobrze, haha – stwierdził dziekan.

– Trzeba przyznać, że patrząc na nią, człowiek chciałby być młodszy z pięćdziesiąt lat – westchnął kierownik studiów nieokreślonych.

– Och, pięć minut całkiem by mi wystarczyło – zapewnił dziekan. – A przy okazji, zauważyliście ten dość inteligentny, choć mimowolny żart? Stibbons powiedział „sarong”, a ja...

– Co ona niesie?

– Nie, słuchajcie, źle go usłyszałem i...

– Wygląda jak... kokos... – powiedział Stibbons, osłaniając oczy.

– To rozsądne – uznał pierwszy prymus.

– ...bo tak naprawdę myślałem, że powiedział „za rok”, rozumiecie...

– Na pewno orzech kokosowy – uznał Ridcully. – Nie skarżę się, naturalnie, ale czy te zmysłowe damy nie są na ogół czarnowłose? Rudy kolor raczej nie jest typowy.

– ...więc powiedziałem...

– Można tu chyba znaleźć kokosy? – zastanowił się wykładowca run współczesnych. – One pływają, prawda?

– ...i słuchajcie, kiedy Stibbons powiedział „sarong”, ja myślałem, że...

– Ale jest w niej coś znajomego... – Ridcully zamyślił się głęboko.

– Widzieliście ten orzech w Muzeum Rzeczy Dość Niezwykłych? – zapytał pierwszy prymus. – Nazywa się coco-de-mer i... – pozwolił sobie na gest – ha, ma bardzo dziwny kształt, nigdy nie zgadniecie, kogo zwykle przywodzi mi na myśl...

– To może być pani Whitlow... prawda? – upewnił się Myślak.

– Szczerze mówiąc, muszę przyznać, że...

– No, ja przynajmniej sądziłem, że to dość zabawne w każdym razie – powiedział dziekan.

– To rzeczywiście pani Whitlow – stwierdził Ridcully.

– Bardziej jak orzech, ale właściwie...

Pierwszy prymus uświadomił sobie nagle, że niebo na jego osobistej planecie jest chyba innego koloru... Obejrzał się, spojrzął, powiedział „Muaa” i osunął się wolno na piasek.

– Nie całkiem rozumiem, co się stało z panem bibliotekarzem – oświadczyła pani Whitlow takim głosem, że pierwszy prymus zadrżał mimo omdlenia.

Kokos otworzył oczy. Wyglądał, jakby właśnie zobaczył coś naprawdę przerażającego, ale to całkiem normalny wyraz twarzy malutkich orangutanów, a zresztą i tak patrzył na dziekana.

– Iik – powiedział.

Ridcully odchrząknął.

– No, przynajmniej ma właściwy kształt. A, tego... A pani, pani Whitlow? Jak się pani czuje?

– Muaa – odezwał się pierwszy prymus.

– Doskonale, naprawdę doskonale. Bardzo dziękuję – zapewniła pani Whitlow. – Ta okolica mi służy. Sama nie wiem, może dlatego że se popływałam, ale od lat nie czułam się tak lekko. Zobaczyłam tę kochaną małą, siedzącą na brzegu...

– Myślak, czy mógłbyś wrzucić pierwszego prymusa na chwilę do morza? – zapytał Ridcully. – Nie za głęboko. I nie przejmuj się, jeśli zacnie parować.

Ujął wolną dłoń gospodyni.

– Nie chciałbym pani niepokoić, droga pani Whitlow – zaczął. – Ale mam wrażenie, że coś, co za chwilę nadejdzie, może okazać się szokujące. Przede wszystkim, i proszę mnie źle nie zrozumieć, dobrze by chyba było, gdyby rozluźniła pani odzienie. – Przełknął ślinę. – Trochę.

Wędrując po wilgotnej, ale martwej krainie, kwestor także doświadczał zmian wieku. Jednak dla człowieka zdolnego przez całe popołudnie być wazonem z kwiatami było to zaledwie drobną odmianą.

Jego spojrzenie przyciągnął ogień. Paliło się drewno wyrzucone przez fale, od soli płomienie

miały błękitny odcień. Obok leżał worek zrobiony z jakichś zwierzęcych skór.

Wilgotny grunt zakołysał się obok kwestora i w górę wystrzeliło drzewo. Rosło tak szybko, że deszcz parował z rozwijających się liści. Nie zaskoczyło to kwestora. Mało co go zaskakiwało, a zresztą nigdy nie widział rosnącego drzewa, więc nie wiedział, jak prędko powinno się to odbywać.

Po chwili strzeliło jeszcze kilka – jedno tak szybkie, że w ciągu kilku sekund przeszło od pędu do gnijącego pnia.

Kwestorowi wydawało się, że są tu także inni ludzie. Nie widział ich ani nie słyszał, ale coś w kościach ich wyczuwało. Jednakże kwestor był także całkiem przyzwyczajony do obecności osób, których nikt inny nie mógł zobaczyć ani usłyszeć; wiele godzin spędził na miłych rozmowach z postaciami historycznymi, a niekiedy ze ścianą.

Ogólnie rzecz biorąc, zależnie od punktu widzenia, kwestor był najbardziej albo najmniej odpowiednią osobą, by osobiście spotkać bóstwo.

Starzec wyszedł zza skały i nim zauważył maga, był już w połowie drogi do ogniska.

Podobnie jak Rincewind, kwestor nie miał w głowie ani odrobiny miejsca na rasizm. Jako kolor skóry czerń była prawdziwą ulgą w porównaniu z niektórymi innymi, jakie widywał. Chociaż nigdy jeszcze nie spotkał nikogo tak czarnego, jak patrzący na niego człowiek. Przynajmniej założył, że człowiek na niego patrzy, gdyż oczy miał tak głęboko osadzone, że trudno by było to stwierdzić z całą pewnością.

– Hurra, jest tam krzak różany? – odezwał się kwestor, jako człowiek z ogładą.

Starzec skinął mu głową, trochę zaskoczony. Podeszedł do martwego drzewa i odłamał gałąź, którą rzucił w ogień. Potem usiadł i patrzył na nią – jak gdyby obserwowanie zwęglającego się drewna było najbardziej pochłaniającą czynnością na świecie.

Kwestor usiadł na kamieniu i czekał. Jeśli była to gra w cierpliwość, to uczestniczyło w niej dwóch graczy.

Starzec zerkał na niego co chwilę. Kwestor uśmiechał się. Raz czy dwa razy nawet do niego zamachał.

Wreszcie płonąca gałąź została wyjęta z ogniska. Starzec drugą ręką chwycił skórzany worek i odszedł między głązy. Kwestor ruszył za nim.

Dotarli do niewielkiego urwiska, gdzie przewieszka chroniła przed deszczem pionowy fragment skały. Była to powierzchnia bardzo kusząca i w Ankh-Morpork pokrywałyby ją już tak liczne afisze, ogłoszenia i graffiti, że gdyby usunąć skałę, nagromadzone warstwy stałyby dalej same.

Na skale ktoś narysował drzewo. Był to najprostszy rysunek drzewa, jaki Kwestor oglądał od czasu, kiedy zaczął już czytać książki nieskładające się głównie z obrazków. Ale był też, w jakiś niezwykle sposób, rysunkiem najdokładniejszym. Był prosty, gdyż coś złożonego zostało

zwinione w prostą formę; tak jakby ktoś rysował drzewa i zaczął od normalnej zielonej chmury na patyku, poprawił to, poprawił jeszcze trochę, przyjrzał się drobnym skreśleniom linii, mówiącym „drzewo”, i je także poprawił, aż wreszcie pozostała tylko jedna linia krzycząca DRZEWO.

I kiedy teraz człowiek na nią spojrzał, słyszał szum wiatru w gałęziach.

Starzec schylił się i podniósł płaski kamień pokryty białą papką. Narysował na skale kolejną linię, trochę podobną do spłaszczonego V. Posmarował ją błotem.

Kwestor wybuchnął śmiechem, kiedy z obrazka wyłoniły się skrzydła i zatrzepotały obok niego.

I znowu wyczuł jakieś dziwne zjawisko w powietrzu. Przypomniało mu o starym... Gumie Houserze, tak się przecież nazywał, nie żył już, oczywiście, ale przez wielu rówieśników był wspominany jako wynalazca aparatu graficznego.

Kwestor trafił na uniwersytet, kiedy potencjalni magowie zaczynali szkolenie wcześniej – gdy umieli już chodzić, ale zanim jeszcze zaczęli popychać dziewczynki na podwórku. Rysowanie linii po lekcjach było wtedy popularną karą. Kwestor, jak wielu innych, próbował zwykłej praktyki przywiązywania kilku ołówków do linijki, w grupowych wysiłkach kreślenia linii po trzy. Ale Houser, taki cichy, zamyślony chłopak, zdobył kilka deseczek, wypruł sprężyny z materaca i skonstruował cztero-, szesnasto-, a w końcu trzydziestodwuliniovą maszynę kreślącą. Zyskała taką popularność, że chłopcy specjalnie byli niegrzeczni, by zostać za karę i móc z niej skorzystać

– trzy pensy za jednorazowe użycie, pensa za prawo pomocy w nakręcaniu. Oczywiście, więcej czasu zajmowało jej ustawianie, niż pozwalała zaoszczędzić przy rysowaniu, ale to często się zdarza w wielu zbliżonych dziedzinach i jest oznaką postępu. Eksperymenty zakończyły się tragicznie, kiedy ktoś w niewłaściwym momencie otworzył drzwi i cała zmagazynowana siła eksperymentalnej, prototypowej, 256-liniowej maszyny Hausera wypchnęła go tyłem przez okno na czwartym piętrze.

Brakowało trochę rozgardiaszu, ale poza tym dłoń kreśląca na kamieniu nieskończenie uproszczone linie przywoływała wspomnienie Housera. Budziła wrażenie, że dzieje się coś małego, co powoduje zająście czegoś innego, co jest ogromne.

Kwestor siedział i patrzył. Gdy potem to wspominał – wtedy, kiedy był w stanie przypomnieć sobie cokolwiek – były to najszcześniejsze chwile jego życia.

Kiedy Rincewind uniósł głowę, hełm strażnika wirował powoli na bruku.

Ku jego zdumieniu ludzie wciąż jeszcze tu byli, choć leżeli dookoła w różnych pozycjach, sugerujących brak przytomności, a przynajmniej – jeśli byli rozsądni – udawany brak przytomności. Bagaż miał kocią tendencję do niezwracania uwagi na coś, co się nie broni i nie reaguje, nawet kiedy kopnie się to kilka razy. Na bruku leżały także buty. Bagaż utykał, chodząc w kółko. Rincewind westchnął i wstał.

– Zdejmij te buty. Nie pasują ci.

Bagaż przez chwilę stał nieruchomo, a potem reszta jego obuwia stuknęła o mur.

– I sukienkę. Co by pomyślały te miłe panie, gdyby cię zobaczyły tak przebranego?

Bagaż strząsnął parę naszywanych cekinami strzępów, które jeszcze na nim pozostały.

– Odwróć się. Chcę obejrzeć twoje uchwyty. Nie, powiedziałem: odwróć się.

Odwróć się porządnie, proszę. Aha, tak myślałem... Mówię: odwróć się. Te kolczyki... Wcale w nich dobrze nie wyglądasz, wiesz? – Rincewind pochylił się. – Czy to ćwiek? Dałeś sobie przekłuć wieko?

Bagaż się cofnął. Jego zachowanie sugerowało, że choć mógł ustąpić w sprawie butów, sukni i kolczyków, bitwa o ćwiek będzie ciężka.

– Zresztą... no dobrze. A teraz daj mi czystą bieliznę, możesz zapakować to, co mam na sobie.

Bagaż otworzył wieko.

– Dobrze. Teraz... To ma być moja bielizna? Czy nawet po śmierci mógłbym się tak pokazać? Tak, prawdę mówiąc, myślę, że mógłbym. A teraz poproszę moją. Ma po wewnętrznej stronie wszyte moje imię, choć przyznaję, że nie całkiem pamiętam, dlaczego uznałem to za konieczne.

Wieko zatrzasnęło się. I otworzyło.

– Dziękuję.

Nie warto było się zastanawiać, jak to się dzieje, podobnie jak nad tym, czemu pranie wraca świeżo wyprasowane.

Strażnicy nadal bardzo rozsądnie pozostawali nieprzytomni, ale Rincewind z przyzwyczajenia schował się za stosem jakichś skrzynek, by się przebrać. Był takim osobnikiem, który przebierałby się za drzewem, nawet gdyby żył całkiem sam na bezludnej wyspie.

– Zauważyłeś coś dziwnego w tym zaułku? – rzucił nad skrzynkami. – Nie ma rynien. Nie ma rynsztoków. Nigdy tu nie słyszeli o deszczu. Mam nadzieję, że jesteś Bagażem, a nie jakimś kangurem w przebraniu? Po co w ogóle pytam? Na bogów, ależ przyjemnie... No dobrze, idziemy...

Bagaż znowu otworzył wieko i z wnętrza spojrzała na Rincewinda młoda kobieta.

– Kim...? Aha, jesteś tym ślepcem – powiedziała.

– Słucham?

– Przepraszam... Darleen powiedziała, że musisz być ślepy. No, właściwie to powiedziała, że musisz być piekielnym ślepcem. Możesz mi pomóc stąd wyjść?

Rincewind uświadomił sobie, że dziewczyna gramoląca się z Bagażu to Neilette, trzecia z załogi Letycji i ta, która w porównaniu z dwoma pozostałymi wydawała się całkiem zwyczajna, a z pewnością mniej... no, krzykliwa nie było może właściwym słowem. To właściwe brzmiało

raczej „przytłaczająca”. Tamte dwie wypełniały do granic otaczającą je przestrzeń. Weźmy Darleen, damę, którą ostatni raz widział trzymającą z wdziękiem mężczyznę za kołnierz, żeby łatwiej bić go po twarzy. Gdyby weszła do pokoju, nie byłoby tam nikogo, kto nie zdawałby sobie sprawy, że to uczyniła.

Neilette była po prostu... normalna. Strzepnęła jakiś brud z sukienki i westchnęła.

– Widziałam, że zaraz wybuchnie nowa bójka, więc schowałam się w Kuferce – wyjaśniła.

– Kuferka, tak? – rzucił Rincewind.

Bagaż zachował dość przyzwoitości, by wyglądać na zawstydzony.

– Gdzie się zjawia Darleen, wcześniej czy później zawsze wybucha bójka – opowiadała Neilette. – Nie uwierzyłybyś, jakie rzeczy wyczynia z butem na szpilce.

– Jedną widziałem. Nie mów mi o pozostałych. Ehm, mogę ci w czymś pomóc? Tylko że ja i Kuferka... – Kopnął Bagaż. – Planujemy stąd wyjechać, prawda... Kuferko?

– Och, nie kop jej, była bardzo pomocna.

– Doprawdy? – zdziwił się Rincewind.

Bagaż odwrócił się, żeby Rincewind nie widział wyrazu jego zamka.

– O tak. Myślę, że ci górnicy z Cangoolie by... bardzo niemiło się zachowali wobec Letycji, gdyby Kuferka nie wkroczyła między nich.

– Wkroczyła na nich, jak przypuszczam.

– Skąd wiesz?

– Och, Ba... Kuferka jest moja. Rozdzieliliśmy się.

Neilette próbowała przygłodzić włosy.

– Dla innych to wszystko jedno – poskarżyła się. – Muszą tylko zmienić peruki. Piwo może i jest dobrym szamponem, ale nie w puszcze. – Westchnęła. – No trudno, będę musiała poszukać drogi do domu.

– A gdzie mieszkasz?

– W Worralorrasurfa. To w stronę Osi. – Westchnęła jeszcze raz. – Znów do pracy w zakładach gięcia bananów. Koniec z show-biznesem.

A potem wybuchnęła płaczem i usiadła ciężko na Bagażu.

Rincewind nie był pewien, czy powinien zastosować procedurę „klep, klep, no, już, już”. Gdyby była podobna do Darleen, mógłby przecież stracić rękę. Wydał więc z siebie coś, co – miał nadzieję – było uspokajającym, ale nieagresywnym mamrotaniem.

– Przecież wiem, że nie umiem dobrze śpiewać i nie potrafię tańczyć, ale szczerze mówiąc, Letycja i Darleen też nie. Kiedy Darleen śpiewa *Prancing Queen*, można jej głosem chleb kroić. Nie mówię, że były niemiłe – dodała szybko, grzeczna nawet w głębokiej rozpaczy. – Ale przecież w życiu chodzi o coś więcej, niż tylko żeby co noc rzucali w człowieka puszkami i przeganiali z miasta.

Rincewind poczuł się na tyle pewnie, że zaryzykował „no już, już”. Nie odważył się na „klep, klep”.

– Bo tak naprawdę zgodziłam się tylko dlatego, że Noelene zrezygnowała – chlupała Neilette. – Jestem prawie tego samego wzrostu, a Letycja nie mogła nikogo znaleźć na czas, no a ja potrzebowałam pieniędzy. Ona powiedziała, że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko ludzie nie zobaczą, jakie mam małe ręce...

– Noelene to...

– Mój brat. Mówiłam mu, że start w mistrzostwach surfingu jest świetny i suknie balowe są świetne, ale jedno i drugie naraz? Nie wydaje mi się. Czy wiesz, jakiej paskudnej wysypki można dostać, kiedy fala przetoczy człowieka po koralu? A następnego dnia Letycja miała jechać w trasę i... no, wtedy myślałam, że to dobry pomysł.

– Noelene... – zastanowił się Rincewind. – To niezwykle imię dla...

– Darleen mówiła, że nie zrozumiesz. – Neilette wpatrzyła się w umiarkowaną oddaloną pustkę. – Myślę, że mój brat za długo pracował w zakładach. Zawsze był bardzo podatny na różne wpływy. W każdym razie...

– Aha, już rozumiem, jest parodystą kobiet, takim aktorem! – zawołał Rincewind. – Oczywiście, znam ich. To stara tradycja pantomimy. Dwa balony, peruka ze słomy i parę sprośnych dowcipów. Więcej: kiedy byłem na studiach, to z okazji Strzeżeniowiedźmowych imprez stary Pierdoła Carter i Naprawdę Gatki wystawiali taki numer, że...

Zdał sobie sprawę, że Neilette rzuca mu jedno z tych długich, powolnych spojrzeń.

– Powiedz – odezwała się. – Dużo podróżujesz?

– Zdziwiłabyś się.

– I spotykasz najróżniejszych ludzi?

– Ogólnie raczej tych nieprzyjemnych, muszę przyznać, ale...

– No więc niektórzy mężczyźni... – Neilette urwała nagle. – Naprawdę Gatki? Ktoś się tak nazywał?

– Nie całkiem. W rzeczywistości nazywał się Ronald Gatki, więc oczywiście kiedy tylko ktoś to usłyszał, zaraz pytał...

– I to wszystko? – Neilette wstała i wytarła nos. – Uprzedzałam je, że odejdę, kiedy dotrzemy na Galah, więc zrozumieją. Parodysta kobiet to nie jest zajęcie dla kobiety, którą tak się składa, że jestem. Miałam nadzieję, że to oczywiste, ale w twoim przypadku uznałam, że lepiej to zaznaczyć. Możesz nas stąd wyciągnąć, Kuferko?

Bagaż podszedł do muru na końcu zaułka i kopał go tak długo, aż powstała spora dziura. W drodze powrotnej powalił strażnika, który był tak nierozsądny, że się poruszył.

– Wiesz, ja go nazywam Bagażem – zaznaczył bezradnie Rincewind.

– Naprawdę? My ją nazywamy Kuferką.

Za murem była ciemna hala. Pod ścianami w rzędach stały skrzynki pokryte siatką pajęczyn.

– Aha, jesteśmy w starym browarze – stwierdziła Neilette. – No, właściwie to w nowym. Poszukajmy drzwi.

– Dobry pomysł – pochwalił Rincewind, zerkając na pajęczyny. – Nowy browar? Dla mnie wygląda całkiem staro...

Neilette szarpnęła drzwi.

– Zamknięte... Chodź, znajdziemy inne. To jest nowy browar, rozumiesz, bo zbudowaliśmy go, żeby zastąpić stary, ten nad rzeką. Ale nic z tego nie wyszło. Piwo wietrzało czy coś takiego. Mówili, że jest nawiedzony. Wszyscy przecież o tym wiedzą. Wróciliśmy do starego browaru. Mój tato stracił prawie wszystkie pieniądze.

– Dlaczego?

– Był właścicielem. To zламаło mu serce. Zostawił browar mnie. – Sprawdziła następne drzwi. – Bo wiesz, jakoś nie mógł się dogadać z

Noelene; poszło o to, no wiesz... a raczej najwyraźniej nie wiesz... Ale tak naprawdę to go zrujnowało. A przecież piwo Gur było tutaj najlepsze.

– Nie możesz go sprzedać? Budynku znaczy...

– Tutaj? W miejscu gdzie piwo wietrzeje w ciągu pięciu sekund? Nawet w prezencie nikt by go nie wziął.

Rincewind przyjrzał się ogromnym metalowym kadziom.

– Może jest zbudowany na jakimś dawnym świętym miejscu? – zastanowił się. – Wiesz, takie rzeczy się zdarzają. U nas też była kiedyś taka restauracja rybna, którą zbudowali na...

Neilette szarpnęła kolejne nieustępliwe drzwi.

– Tak wszyscy pomyśleli – wyjaśniła. – Ale podobno tato pytał miejscowych plemion i zapewnili, że nie. Powiedzieli, że to żadne święte miejsce. Powiedzieli, że raczej nieświęte. Jakiś wódz poszedł nawet do więzienia zobaczyć się z premierem i powiedział: „Koleś, twoi mogą wykopać to wszystko i wysypać za krawędź świata, nie ma zmartwienia”.

– Dlaczego musiał iść do więzienia?

– Wszystkich naszych polityków wsadzamy do więzienia, jak tylko zostaną wybrani. Wy nie?

– Czemu?

– Żeby zaoszczędzić sobie czasu. – Spróbowała nieubłaganej klamki. – A niech to! Okna są za wysoko...

Ziemia zadrżała. Gdzieś w ciemności zadzwonił metal. Kurz na podłodze poruszył się dziwnymi małymi falami.

– No nie, znowu... – westchnęła Neilette.

Nie tylko kurz się poruszał. Drobne kształty biegły po nim, omijały stopy Rincewinda

i znikwały pod zamkniętymi drzwiami.

– Pająki uciekają! – zawołała Neilette.

– I bardzo dobrze – mruknął Rincewind.

Tym razem od wstrząsu zatrzęszczały mury.

– Nigdy nie było tak źle – mruknęła Neilette. – Poszukaj drabiny, spróbujemy z oknami.

Ponad nimi drabina porzuciła ścianę i poskładała się w metalową łamigłówkę na podłodze.

– Może to nie jest odpowiedni moment, żeby pytać o takie rzeczy – zaczął z wahaniem Rincewind. – Ale czy ty przypadkiem nie jesteś kangurem?

Wysoko ponad nimi zgrzytnął metal – a potem dalej zgrzytał w rozciągniętym jęku nieorganicznego cierpienia. Rincewind uniósł wzrok i zobaczył, jak kopuła nad browarem rozpada się powoli na setki spadających kawałków szkła.

Pomiędzy nimi zaś, z płonąca wciąż częścią lamp, uśmiechnięty kształt kangura piwa Gur.

– Kuferko! Otwieraj! – krzyknęła Neilette.

– Nie... – zawołał Rincewind, ale dziewczyna chwyciła go i pociągnęła, a przed nimi unosiło się wieko...

Ciemność przesłoniła świat.

Miał drewno pod sobą. Postukał w nie ostrożnie. I miał drewno przed sobą. I dre...

– Wypraszam sobie.

– Jesteśmy wewnątrz Bagażu?

– Czemu nie? Tak się w zeszłym tygodniu wydostałyśmy z Cangoolie. Wiesz, myślę sobie, że to może magiczna skrzynia...

– Czy ty wiesz, co czasem było tu w środku?

– Wiem, że Letycja trzymała tu swój dzin.

Rincewind delikatnie sięgnął w górę.

Może Bagaż miał więcej niż jedno wnętrze. Podejrzewał coś takiego. Może był podobny do jednej z tych szafek używanych przez iluzjonistów, w których, kiedy człowiek włoży pensa, szufladka obraca się jakoś i moneta znika tajemniczo. Rincewind dostał taką zabawkę, kiedy jeszcze był mały. Stracił prawie dwa dolary, zanim zrezygnował i wyrzucił szafkę na śmietnik...

Palcami dotknął czegoś, co mogło być wiekiem. Pchnął.

Nadal był w browarze. Co przyjął z ulgą, kiedy pomyślał, gdzie może trafić człowiek, który znalazł się w Bagażu. Wciąż brzmiało niskie dudnienie, poruszające mu wnętrzności, przerywane brzękami i zgrzytami, kiedy kawałki przerdzewiałego metalu spadały w dół w morderczych zamiarach.

Wielki znak kangura płonął.

W unoszącym się dymie Rincewind widział kilka spiczastych kapeluszy.

To znaczy, smugi dymu skręcały się i płynęły wokół dziur w powietrzu, wyglądających

zupełnie jak trójwymiarowe sylwetki grupy magów.

Rincewind wyszedł z Bagażu.

– O nie, nie, nie – mruczał. – Przybyłem tu ledwie parę miesięcy temu. To nie moja wina!

– Wyglądają jak duchy – oceniła Neilette. – Znasz ich?

– Nie! Ale jakoś się wiążą z tymi trzęsieniami ziemi. I czymś, co nazywają Wilgocią, czymkolwiek by to było!

– To przecież taka stara bajeczka, prawda? Zresztą, panie magu, może umknął twojej uwagi fakt, że to miejsce wypełnia się dymem. Którędy tu weszliśmy?

Rincewind rozejrzał się nerwowo. Dym przesłaniał wszystko.

– Czy są tu jakieś piwnice? – zapytał.

– Tak! Kiedy byliśmy mali, bawiłam się tam z Noelene w mamusię i mamusię. Szukaj kłap w podłodze!

Trzy minuty później stara drewniana pokrywa wjazdu w zaułku ustąpiła wreszcie pod upartymi atakami Bagażu. Wybiegło kilka szczurów, a za nimi wypęzli Rincewind i Neilette.

Nikt nie zwrócił na nich uwagi. Nad miastem wyrastała kolumna dymu. Strażnicy i mieszkańcy ustawiali się już w szereg z wiadrami, a jacyś ludzie usiłowali taranem wyważyć główną bramę browaru.

– Dobrze, żeśmy się stamtąd wydostali – zauważył Rincewind. – O rany, jak dobrze.

– Hej, co się dzieje? Gdzie się podziała ta przeklęta woda?

Okrzyk wydał człowiek machający uchwytem pompy na ulicy, w chwili gdy ta zgrzytnęła żałośnie, a uchwyt zwisał luźno. Strażnik chwycił go za ramię.

– Jest druga tam, na dziedzińcu! Zawijajcie w tamtą stronę, koleś!

Kilku ochotników spróbowało z drugą pompą. Zakrztusiła się, wypłuła kilka kropli wody i trochę wilgotnej rdzy, po czym dała za wygraną.

Rincewind nerwowo przełknął ślinę.

– Myślę, że woda zniknęła – oświadczył krótko.

– Co to znaczy: zniknęła? – zirytowała się Neilette. – Zawsze przecież jest woda. Całe ogromne podziemne morza.

– Tak, ale... nic ich przecież nie dopełnia, nie? Tutaj nigdy nie pada.

– Znowu zaczynasz z... – Urwała. – Właściwie skąd to wiesz? Wyglądasz na krętacza, panie magu.

Rincewind spoglądał ponuro na kolumnę dymu. Wewnątrz niej wirowały i kręciły się iskry; wznosiły się z ciepłym powietrzem, a potem opadały na miasto. Wszystko tu musi być suche jak pieprz, myślał. Nigdy nie pada. Nie... chwileczkę...

– Skąd wiesz, że jestem magiem? – zapytał.

– Masz to napisane na kapeluszu. I to z błędem.

– Wiesz, co to znaczy mag? Poważnie pytam. Nie wciskam ci krewetki.

– Przecież każdy wie, co to jest mag! Mamy tu uniwersytet pełen tych bezużytecznych kundli!

– I możesz mnie tam zaprowadzić?

– Sam sobie szukaj! – Spróbowała odejść wśród kręcącego się bezładnie tłumu.

Pobiegł za nią.

– Proszę, nie odchodź! Potrzebuję kogoś takiego jak ty! Jako tłumacza.

– O co ci chodzi? Przecież mówimy tym samym językiem!

– Naprawdę? Ogryzki to albo bardzo krótkie szorty, albo małe butelki piwa. Jak często nowo przybyli mylą jedno z drugim?

Neilette nawet się uśmiechnęła.

– Nie częściej niż raz.

– Po prostu zabierz mnie na ten wasz uniwersytet, dobrze? – poprosił Rincewind. – Chyba czuję, że zbliża się Słynna Ostatnia Walka.

Nad nimi metal zajęczał krótko i na ulicę spadł rotor wiatraka.

– I lepiej się spieszymy – dodał. – Bo do picia zostanie już tylko piwo.

Kwestor znów się roześmiał, kiedy ustawione w ciąg małe kropki, narysowane kawałkiem węgla drzewnego, wypuściły nóżki, uformowały się i przemaszerowały po skale i po piasku przed nim. Za jego plecami wśród drzew słyszać już było ptaki... A po chwili, niestety, również magów.

Słyszał ich głosy w oddali. To prawda, magowie zawsze wypytują wszechświat, jednak swoje pytania kierują zwykle do siebie nawzajem i nie zadają sobie trudu, by wysłuchać odpowiedzi.

– ...na pewno kiedy przybiliśmy, nie widziałem tu żadnych drzew.

– Pewnie ich nie było widać z powodu tego deszczu, a pierwszy prymus nie widział ich z powodu pani Whitlow. I może weź się w garść, co, dziekanie? Jestem przekonany, że znowu stajesz się młody! Na nikim nie robi to wrażenia!

– Myślę, że jestem młodzieńczy z natury, nadrektorze.

– Nie ma się czym chwalić. I proszę, niech ktoś powstrzyma pierwszego prymusa przed braniem się w ga... O, to wygląda, jakby ktoś sobie urządził piknik...

Malarz wydawał się tak pochłonięty pracą, że nie zwracał uwagi na głosy.

– Kwestor na pewno tędy przechodził...

Odrobina czerwonego błota zabarwiła złożoną krzywą i nagle, jakby zawsze tam było, pojawiło się stworzenie z ciałem ogromnego królika, pyskiem wielbłąda i ogonem, z którego byłyby dumne jaszczurki. Magowie wynurzyli się zza skały akurat na czas, by zobaczyć, jak

zwierzę drapie się w ucho.

- Na bogów, co to takiego?
- Jakaś odmiana szczura? – zgadywał kierownik studiów nieokreślonych.
- Patrzcie, kwestor znalazł jednego z tubylców... – Dziekan podszedł do malarza, który przyglądał się magom z otwartymi ustami. – Dzień dobry, pocziwcze. Jak to coś się nazywa?

Malarz podążył wzrokiem za wyciągniętym palcem.

- Kangur – powiedział.

Jego głos był tylko szeptem, na samej granicy słyszalności, a jednak ziemia zadrżała.

- Kangur, tak?
- To wcale nie musi być nazwa tego zwierzęcia, dziekanie – wtrącił Myślak.
- Może on właśnie powiedział „Nie wiem”.
- A niby czemu nie? Wygląda mi na jednego z typów, jakich spotyka się w takich miejscach. Mocna opalenizna. Niedostatek spodni. Taki typ wie, jak się nazywa miejscowa zwierzyna, to jasne.
- On ją właśnie namalował – oznajmił kwestor.
- Naprawdę? Bardzo dobrzy artyści są czasem z takich typów.
- Ale to nie jest Rincewind, prawda? – upewnił się Ridcully, który nie miał pamięci do twarzy. – Wiem, że jest trochę ciemny, ale parę miesięcy na słońcu każdego tak przypiecze.

Pozostali magowie zbili się ciaśniej i zaczęli rozglądać w poszukiwaniu jakichś oznak ruchomej prostokątności.

- Nie ma kapelusza – zauważył Myślak i to rozwiązało problem.

Dziekan przyjrzał się skalnej ścianie.

– Całkiem niezłe obrazki jak na sztukę prymitywną – pochwalił. –
Interesujące... linie.

Kwestor kiwnął głową. Tak jak on to widział, rysunki zwyczajnie żyły. Może i były kolorową ziemią na kamieniu, ale były tak żywe, jak ten kangur, który właśnie oddalił się skokami.

Starzec rysował teraz węża – jedna falista linia.

– Pamiętam, widziałem kiedyś pałace, które Tezumeni wznosili w dżungli – mówił dziekan, obserwując go. – Ani odrobiny zaprawy w całej budowlu, a kamienie tak były dopasowane do siebie, że noża nie dało się między nie wetknąć. Ha, były chyba jedynymi rzeczami, między które Tezumeni nie wtykali noży – dodał. – Dziwny lud, jeśli się zastanowić. Zwolennicy hurtowych ludzkich ofiar i kakao. Niezbyt oczywista kombinacja, moim zdaniem. Zabić pięćdziesiąt tysięcy ludzi, a potem zrelaksować się przy filiżance gorącej czekolady. Przepraszam, pozwól... Kiedyś całkiem dobrze sobie z tym radziłem. Ku przerażeniu nawet Ridcully'ego, dziekan wyjął z ręki malarza kawałek spalonej gałęzi i puknął nim lekko w skałę.

– Rozumiesz? Kropka oznacza oko – powiedział i oddał patyk.

Malarz rzucił mu coś w rodzaju uśmiechu. To znaczy odsłonił zęby. Jak dla wielu istot żyjących na wszelkiego rodzaju płaszczyznach astralnych, magowie stanowili dla niego zagadkę. Byli ludźmi przejawiającymi gigantyczną pewność siebie, która, jak się zdawało, pozwalała im praktycznie na wszystko. Podświadomie generowali wokół pole, które mówiło, że oczywiście powinni tutaj być, ale nikt nie musi się z tego powodu przejmować, kręcić dookoła i sprzątać; może zajmować się spokojnie tym, co robił wcześniej. Co bardziej łatwowierne ofiary pozostawały z uczuciem, że magowie mieli karty ocen i wystawiali stopnie.

Za plecami dziekana wąż odpełził za skałę.

– Ktoś poczuł coś dziwnego? – spytał wykładowca run współczesnych. –
Palce mnie zamrowiły. Czy któryś z was rzucał przed chwilą jakiś czar?

Diekan podniósł nadpaloną gałązkę. Malarz otworzył usta ze zdumienia,

kiedy mag wykreślił na skale zygzakowatą linię.

– Zdaje się, że chyba go pan obraża – zauważył Myślak.

– Bzdura! Dobry artysta zawsze jest gotów się uczyć – odparł dziekan. – Ciekawe, ale te typy nigdy jakoś nie opanowały perspektywy...

Kwestor pomyślał, a raczej odebrał myśl: To dlatego, że perspektywa jest kłamstwem. Jeśli wiem, że staw jest okrągły, dlaczego mam go rysować owalny? Narysuję okrągły, ponieważ okrągły jest prawdziwy. Czemu mój pędzel ma was okłamywać tylko dlatego, że moje oko okłamuje mnie?

Brzmiało to jak dosyć gniewna myśl.

– Co rysujesz, dziekanie? – spytał pierwszy prymus.

– A niby na co to wygląda? Ptaka, oczywiście.

Głos w głowie kwestora pomyślał: Ale ptak musi latać. Gdzie są skrzydła?

– Ten siedzi na ziemi. Skrzydeł nie widać – oświadczył dziekan, a potem zrobił zdziwioną minę, gdy uświadomił sobie, że odpowiedział na pytanie, którego nikt nie zadał. – Niech to! Wicie, to trudniejsze, niż wygląda, takie rysunki na skale...

Ja zawsze widzę skrzydła, pomyślał głos w głowie kwestora. Kwestor sięgnął po swoje pigułki z suszonej żaby. Głosy nigdy nie były aż tak... precyzyjne.

– Bardzo płaski ptak – zauważył Ridcully. – Proszę dać spokój, dziekanie, nasz tutejszy przyjaciel jest niezadowolony. Chodźmy lepiej i przygotujmy jakieś dobre zaklęcie łodziowe...

– Jak dla mnie, on wygląda bardziej na łasicę – stwierdził pierwszy prymus. – Ogon jest całkiem nieudany.

– Patyk się ześliznął.

– Kaczka jest bardziej tłusta – dodał kierownik studiów nieokreślonych. – Nie powinienes się popisywać, dziekanie. Kiedy ostatnio widziałeś kaczkę,

która nie miała dookoła groszku?

– W zeszłym tygodniu!

– A tak, mieliśmy kaczkę na chrupko. Z sosem śliwkowym. Teraz sobie przypominam. Może ja spróbuję...

– Dorysowałeś jej trzy nogi!

– Poprosiłem o ten patyk! A ty go wyrwałeś!

– Posłuchajcie – wtrącił Ridcully. – Jestem człowiekiem, który zna się na kaczkach, a to, co wam tu wyszło, jest naprawdę śmieszne. Podajcie mi ten... dziękuję. Trzeba narysować dziób, o tak...

– Jest po złej stronie i w dodatku za duży.

– To ma być dziób?

– Wiecie, wszyscy trzej obszczekujecie niewłaściwe drzewo. Dajcie ten patyk...

– Aha, ale tak się składa, że kaczki nie szczekają! Ha! I nie ma potrzeby tak go szarpać...

Niewidoczny Uniwersytet zbudowany był z kamienia. Wzniesiony tak, że w pewnych miejscach nie dało się odgadnąć, gdzie kończy się dzika skała, a zaczyna udomowiony kamień. Trudno sobie wyobrazić, z czego jeszcze można budować uniwersytety. Gdyby jednak Rincewind próbował wypisać wszystkie możliwe materiały, raczej nie dołączyłby do listy falistych arkuszy z żelaza.

Jednak w odpowiedzi na jakieś pradawne magowskie wspomnienia arkusze przy bramie zostały fachowo powyginane i wykute na podobieństwo kamiennego łuku. Nad nimi, wypalone w metalu, widniały słowa NULLUS ANXIETAS.

– Nie powinienem się dziwić, co? – mruknął. – Nie ma zmartwienia.

Wrota, także zbudowane z falistego żelaza, przybitego do kawałków drewna gwoździami z odzysku, były zamknięte na głucho. Dobijał się do nich tłum.

– Wygląda na to, że wielu ludzi wpadło na ten sam pomysł – zauważyła Neilette.

– Znajdzie się inna droga. – Rincewind odszedł od bramy. – Będzie taki zaułek... O, tam jest. To jednak nie są kamienne mury, więc nie ma wyjmowanych cegieł, co oznacza... – Popchnął blaszane arkusze i jeden z nich się zakołysał. – No tak. Luźny arkusz, który odchyła się na bok, żeby można było wrócić po zamknięciu bramy.

– Skąd wiedziałeś?

– To przecież uniwersytet, prawda? Chodź.

Obok luźnej blachy wypisano kredą wiadomość.

– *Nulli Sheilae piperinae* – przeczytał głośno Rincewind. – Ale ty nie masz na imię Sheila, więc prawdopodobnie wszystko będzie dobrze.

– Jeśli to znaczy to, co myślę, że znaczy, to znaczy, że nie wpuszczają kobiet – wyjaśniła Neilette. – Powinieneś przyjść tu z Darleen.

– Słucham?

– Mniejsza z tym.

Ku pewnemu zaskoczeniu Rincewinda po drugiej stronie płotu znajdował się ładny, przystrzyżony trawnik, soczyście zielony w świetle padającym z dużego, niskiego budynku. Wszystkie budynki były niskie, ale miały duże, szerokie dachy, sprawiające wrażenie, jakby ktoś nadepnął na kępę prostokątnych grzybów. Jeśli kiedyś je pomalowano, było to wydarzenie historyczne, które nastąpiło prawdopodobnie gdzieś między odkryciem ognia a wynalezieniem koła.

Była też wieża. Miała jakieś dwadzieścia stóp wysokości.

– Nie nazwałbym tego porządnym uniwersytetem – uznał Rincewind.

Pozwolił sobie na moment dumy. – Dwadzieścia stóp? Mógłbym nasi... napluć na sam czubek. Cóż, trudno...

Dotarł do drzwi w chwili, kiedy światło stało się jaśniejsze i nabrało odcienia oktaryny – ósmego koloru, blisko związanego z magią. Same drzwi były mocno zamknięte.

Uderzył w nie, aż się zatrzęsły.

– Braterskie pozdrowienie, koledzy! – zawołał. – Przynoszę wam... Niech mnie...

Świat się zmienił. W jednej chwili Rincewind stał przed rdzewiejącymi drzwiami, w następnej znalazł się w kręgu sześciu magów przyglądających mu się uważnie.

Odzyskał równowagę.

– Brawo za starania – wykrztusił. – Tam, skąd pochodzę, choć możecie mnie nazwać panem Nudziarzem, po prostu otwieramy drzwi.

– Niech to kruki rozdziobią, coraz lepsi w tym jesteśmy – oświadczył mag.

Bo to byli magowie. Rincewind nie miał wątpliwości. Mieli należycie spiczaste kapelusze, choć o rondach szerszych niż wszystko, co dotąd widział bez łuków przyporowych. Szaty nie sięgały im wiele poniżej pasa, a pod nimi nosili szorty, długie szare skarpety i duże skórzane sandały. Wiele z tego nie należało do typowego kostiumu maga – tak jak on go rozumiał. Ale na pewno byli magami. Mieli ten charakterystyczny wygląd nadętych balonów, które właśnie mają wzlecieć.

Ten, który był chyba przywódcą grupy, skinął Rincewindowi głową.

– Dobry wieczór, panie Nudziarzu. Muszę przyznać, że zjawileś się tutaj o wiele szybciej, niż się spodziewaliśmy.

Rincewind wyczuł intuicyjnie, że odpowiedź „Bo stałem akurat przed drzwiami” nie jest dobrym pomysłem.

- Miałem, ten, no... przejazd wspomagany.
- Nie wygląda demonicznie – odezwał się inny mag. – Pamiętacie ostatniego, którego przywołaliśmy? Sześć oczu i trzy...
- Te naprawdę sprawne potrafią się maskować, dziekanie.
- W takim razie ten tutaj musi być piekielnym geniuszem, nadrektorze.
- Bardzo dziękuję – mruknął Rincewind.

Nadrektor skinął na niego. Był oczywiście starszym człowiekiem, z twarzą, jakby ktoś zmiażdżył ją, a potem wyprostował; miał też krótką siwiejącą brodę. Było w nim coś dziwnie znajomego, czego jednak Rincewind nie potrafił określić.

- Przywołaliśmy cię, Nudziarzu – powiedział – ponieważ chcemy wiedzieć, co się stało z wodą.
- Cała zniknęła, tak? – upewnił się Rincewind. – Tak myślałem.
- Nie może zniknąć – upierał się dziekan. – To przecież woda. Zawsze jest woda, jeśli się kopie dostatecznie głęboko.
- Ale jeśli teraz spróbujemy jeszcze głębiej, to słoń dozna paskudnego szoku – zauważył nadrektor. – Dlatego...

Brzęknęło głośno, kiedy drzwi uderzyły o podłogę. Magowie się cofnęli.

- Co to jest, u demona? – spytał któryś.
- Och, to mój Bagaż – uspokoił go Rincewind. – Jest zrobiony z...
- Nie ten kufer na nogach! Czy to nie kobieta?
- Jego nie pytaj, on nie jest zbyt bystry w tych sprawach – odpowiedziała Neilette, wchodząc za Bagażem. – Przepraszam, ale Kuferka się zniecierpliwiła.

– Nie możemy tolerować kobiet na uniwersytecie! – krzyknął oburzony dziekan. – Będą chciały pić... sherry!

– Nie ma zmartwienia – rzucił nadrektor i z irytacją machnął ręką. – Co się stało z wodą, Nudziarzu?

– Cała została zużyta. Tak myślę.

– A jak możemy zdobyć nową?

– Czemu akurat mnie wszyscy o to pytają? Nie znacie jakichś zaklęć przywołujących deszcz?

– Znowu ta nazwa – mruknął dziekan. – Woda pryskająca z nieba, tak? Uwierzę, jak zobaczę.

– Próbowaliśmy zrobić jedną z tych... no, jakże się nazywają? Wielkie białe worki z wodą? Te rzeczy, co to żeglarze opowiadają, że widują je na niebie?

– Chmury.

– No właśnie. Nie chcą się trzymać w górze, Nudziarzu. W zeszłym tygodniu zrzuciliśmy jedną z wieży i trafiła dziekana.

– Nigdy nie wierzyłem w te bajeczki – oświadczył dziekan. – I uważam, żeście wszyscy specjalnie czekali, aż będę przechodził dołem. Dranie.

– Ich nie trzeba robić, one same się zdarzają – tłumaczył Rincewind. – Słuchajcie, naprawdę nie wiem, jak sprawić, żeby padało. Myślałem, że każdy w miarę sensowny mag umie rzucić czar przywołujący deszcz – dodał jak ktoś, kto nie miałby pojęcia, od czego zacząć.

– Naprawdę? – odparł nadrektor z niebezpieczną serdecznością.

– Nie chciałem nikogo urazić – zapewnił pospiesznie Rincewind. – Jestem pewien, że to mimo wszystko bardzo dobry uniwersytet. Nie taki prawdziwy, naturalnie, ale i tak zaskakująco dobry, biorąc pod uwagę okoliczności.

– A czego mu brakuje?

– No... Wasza wieża jest raczej z tych mniejszych, prawda? Znaczy, nawet w porównaniu z budynkami dookoła. Nie znaczy to...

– Myślę, że powinniśmy pokazać panu Nudziarzowi naszą wieżę – stwierdził nadrektor. – Mam wrażenie, że nie traktuje nas poważnie.

– Widziałem ją...

– Ze szczytu?

– Nie, ze szczytu raczej nie...

– Nie mamy na to czasu, nadrektorze – zauważył niski mag. – Odeślijmy tego spryciarza z powrotem do piekła i poszukajmy czegoś lepszego.

– Przepraszam bardzo – oburzył się Rincewind. – Mówiąc „piekło”, macie na myśli takie gorące i czerwone miejsce?

– Tak!

– Doprawdy? A jak Iksjanin poznaje, że się tam znalazł? Piwo jest cieplejsze?

– Dość tych kłótni! Pojawił się bardzo szybko, kiedy zaczęliśmy przywołanie, więc jest tym, którego nam trzeba – uciął nadrektor. – Chodźmy, Nudziarzu. To zajmie tylko chwilę.

Myślak pokręcił głową i podszedł do ogniska. Pani Whitlow siedziała skromnie na kamieniu. Przed nią, tak blisko ognia, jak to tylko możliwe, leżał bibliotekarz. Wciąż był bardzo mały. Pewnie jego gruczoł temporalny potrzebuje więcej czasu, żeby się zorientować, uznał Myślak.

– Co dżentelmeni porabiają? – spytała pani Whitlow.

Musiała podnieść głos, by dał się usłyszeć w gwarze kłótni. Jednak pani Whitlow była osobą, która i tak spytałaby: „Czyżby jakieś kłopoty?”, gdyby nawet zobaczyła magów na trawniku ciskających ognistymi kulami w potwory z Pieklnych Wymiarów. Lubiła, kiedy się jej o takich sprawach mówiło.

– Znaleźli człowieka, który maluje najbardziej żywo wyglądające obrazki, jakie w życiu widziałem – odparł Myślak. – Więc teraz próbują uczyć go Sztuki. Jako komitet.

– Dżentelmeni zawsze okazują zainteresowanie – stwierdziła pani Whitlow.

– Zawsze się wtracają – mruknął Myślak. – Nie wiem, co takiego jest w magach, ale nie potrafią zwyczajnie patrzeć. W tej chwili dyskutują, jak narysować kaczkę, ale szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby kaczka miała cztery nogi. Uczciwie, pani Whitlow, są jak małe kociaki w szopie, gdzie się drze pierze... Co to?

Bibliotekarz wysypał leżącą przy ogniu skórzaną torbę i na sposób wszystkich młodych ssaków sprawdzał smak zawartości.

Podniósł płaski, wygięty kawał drewna pomalowany w linie o wielu kolorach – więcej barwników, niż starzec używał do malowania... Myślak zastanowił się dlaczego. Bibliotekarz sprawdził jadalność, optymistycznie uderzył drewnem o ziemię, po czym je odrzucił. Potem wyjął płaski drewniany owal na sznurku i spróbował ugryźć sznurek.

– Czy to jojo? – zainteresowała się pani Whitlow.

– Kiedy byłem mały, nazywaliśmy je bullroaralami – wyjaśnił Myślak. – Trzeba zakręcić nim nad głową, to wydaje taki zabawny dźwięk.

Odruchowo machnął ręką w powietrzu.

– Iik?

– Och, czy nie jest słodki? Próbuje robić to co pan.

Bibliotekarz usiłował pokręcić sznurkiem, oplątał go wokół twarzy i uderzył się w tył głowy.

– Oj, biedactwo! Proszę zdjąć to z niego, panie Stibbons, bardzo proszę!

Bibliotekarz odsłaniał drobne ząbki, kiedy Myślak odwijał sznurek.

– Mam nadzieję, że szybko urośnie – mruczał mag pod nosem. – Inaczej cała biblioteka będzie pełna kartonowych książeczek o puszystych króliczkach...

Wieża naprawdę była niska. Podstawę zbudowano z kamienia, ale mniej więcej w połowie budowniczowie mieli już dość i przeszli na pordzewiałe arkusze blachy, przybite do drewnianego rusztowania. W górę prowadziła jedna rozchwiana drabina.

– Imponująca – burknął Rincewind.

– Z góry widok jest lepszy. Proszę wchodzić.

Drabina trzęsła się trochę pod ciężarem Rincewinda, dopóki nie podciągnął się na deski; leżał tam i oddychał ciężko. To pewnie piwo, myślał; jedna krótka drabina nie powinna mnie tak zmęczyć.

– Rzeńskie powietrze tutaj na górze, nie? – Nadrektor stanął na krawędzi i skinął ręką w stronę miasta.

– Och, na pewno – zgodził się Rincewind i podszedł do blanków falistych. – Cóż, myślę sobie, że widać stąd aż do samej zie... Aaargh!

Nadrektor złapał go za szatę i odciągnął.

– To... to jest... – jękał się Rincewind.

– Chcesz wrócić na dół?

Rincewind rzucił magowi gniewne spojrzenie i ostrożnie wycofał się do drabiny. Spojrzał w dół, gotów natychmiast cofnąć głowę, i starannie policzył szczeble. Potem bardzo powoli wrócił do parapetu i zaryzykował spojrzenie poza krawędź.

W dole zobaczył ognisty punkcik płonącego browaru. Zobaczył Rospyepsh i jego port...

Uniósł wzrok.

Zobaczył czerwoną pustynię połyskującą w księżycowym świetle.

- Jak tu wysoko? – zapytał.
- Z zewnątrz? Sądzymy, że około pół mili – wyjaśnił nadrektor.
- A od wewnątrz?
- Sam wchodziłeś. Dwa piętra.
- Chcesz mi wmówić, że macie wieżę wyższą od góry niż od dołu?
- Niezłe, co? – Nadrektor uśmiechnął się z dumą.
- To... bardzo pomysłowe – uznał Rincewind.
- Jesteśmy pomysłową krainą.
- Rincewind!

Głos dobiegł z dołu. Rincewind ostrożnie spojrzał wzdłuż drabiny. Na dole stał któryś z magów.

- Słucham?
- Nie ty – rzucił gniewnie mag. – Potrzebuję nadrektora!
- To ja jestem Rincewind! – oznajmił Rincewind.

Nadrektor stuknął go w ramię.

- Ciekawy zbieg okoliczności – powiedział. – Ja też.

Myślak bardzo ostrożnie oddał bullroarera małemu bibliotekarzowi.

- Proszę, możesz go wziąć – powiedział. – Daję ci go, a w zamian może zechcesz zabrać swoje zęby z mojej nogi. Z drugiej strony skały dobiegł głos rozsądku.

- Nie warto się kłócić, panowie. Głosujmy. Kto uważa, że kaczka ma stopy z błoną pławną, niech podniesie rękę...

Bibliotekarz jeszcze kilka razy zakręcił nową zabawką.

– Chyba nie jest za dobra – stwierdził Myślak. – Prawie żadnego dźwięku...
Ojej, jak długo jeszcze oni tak będą?

...wzum...

– Iik!

– Tak, tak, bardzo ładnie...

...wzum... wzum... wzUUMMMMM...

Myślak uniósł głowę, kiedy żółte światło rozlało się po równinie.

Nad nimi otwierał się krąg błękitnego nieba. Deszcz ustawał.

– Iik?

Myślakowi dopiero teraz przyszło do głowy, że to ciekawe – co właściwie
robi ten mały

staruszek malujący obrazki na nagiej pustyni całkiem nowego kontynentu...

A potem zapadła ciemność.

Starzec uśmiechnął się z czymś zbliżonym do satysfakcji i odwrócił od
obrazka, który właśnie skończył. Było na nim wiele spiczastych kapeluszy.
Po chwili obrazek wniknął prosto w skałę.

Był szczęśliwy jak rzadko kiedy. Zdążył namalować wszystkie pająki i parę
pałakowatych oposów, zanim odkrył, czego brakuje.

Nie dowiedział się nawet o bardzo dziwnym i nieszczęśliwym kacodziobym
stworzeniu, które cicho zsunęło się do pobliskiej rzeki.

– Musisz być przynajmniej jakimś kuzynem – stwierdził nadrektor. – To nie
jest często spotykane nazwisko. Weź jeszcze piwo.

– Kiedyś przejrzałem rejestry Niewidocznego – mruknął ponuro Rincewind.
– Nigdy wcześniej nie mieli Rincewinda. – Wychylił puszkę piwa i wyssał mętny osad. – Nigdy wcześniej nie miałem krewnego, jeśli już o tym mowa. Ale to nigdy. – Szarpnął pętelkę na następnej puszcze. – Nie było nikogo, kto robiłby dla mnie wszystkie te drobne rzeczy, które krewni robić powinni, na przykład... na przykład... na przykład wysyłać mi na Strzeżenie Wiedźm jakiś okropny sweter albo coś takiego.

– A masz jakieś imię? Ja jestem Bill.

– Dobre imię. Bill Rincewind. Nie wiem, czy w ogóle dostałem imię.

– A jak ludzie cię zwykle wołają, koleś?

– No, najczęściej mówią „Brać go!”. – Rincewind solidnie pociągnął z puszek. – Oczywiście, to tylko przydomek. Kiedy chcą być bardziej oficjalni, krzyczą „Nie pozwólcie mu uciec!”.

Przyjrzał się puszcze.

– Jest dużo lepsze od tego drugiego – oświadczył. – Co tu pisać? Podkopnik... Śmieszna nazwa dla piwa.

– Czytasz listę składników – zauważył Bill.

– Naprawdę? – wymamrotał Rincewind. – Sso to ja mówiłem?

– Spiczaste kapelusze. Znikająca woda. Gadające kangury. Ożywające obrazki.

– Zgadza się – potwierdził dziekan. – Jeśli taki jesteś na trzeźwo, chcielibyśmy zobaczyć, jak podziela piwo.

– Widzisz, kiedy słońce wzejdzie – tłumaczył nadrektor Bill – muszę pójść do więzienia, spotkać się z premierem i wytłumaczyć mu, dlaczego nie wiemy, co się stało z wodą. Jakakolwiek pomoc z twojej strony bardzo nam się przyda. Daj mu jeszcze puszeczkę, dziekanie. Ludzie dobijają się już do bramy. Kiedy skończy się piwo, zaczną się rozruchy.

Rincewind czuł, że opływa go ciepła, bursztynowa mgiełka. Znalazł się wśród magów.

Łatwo poznać po tym, że bez przerwy się kłóca. A piwo w jakiś dziwny sposób ułatwiało myślenie.

Mag sięgnął mu nad ramieniem i położył przed nim otwartą księgę.

– To kopia rysunku naskalnego z Cangoolie – wyjaśnił. – Często się zastanawialiśmy, co to za plamki nad postaciami...

– To deszcz – oświadczył Rincewind, ledwie rzuciwszy okiem.

– Już o nim wspominałeś – rzekł Bill. – Fruwające w powietrzu małe krople wody, tak?

– Spadające – poprawił go Rincewind.

– I to nie boli?

– Nie.

– Woda jest ciężka. Trudno powiedzieć, by myśl o wypełnionych nią wielkich białych workach, które unoszą się nad głowami, była jakoś szczególnie atrakcyjna.

Rincewind nigdy nie studiował meteorologii, chociaż przez całe życie był jej końcowym użytkownikiem. Zamachał bezładnie rękami.

– One ssą jak... para – oświadczył i czknął. – Zzgaza się. Śliczna puszysta para.

– Są wrzące?

– Nie, nie. Nie. Bardzo zimne są takie chmury. Czsami opadają bazzo nisko i dotykają ziemi.

Magowie spojrzeli po sobie.

- Wiecie, robimy tu wściekle dobre piwo, nie ma co – uznał Bill.
- Te chmury wydają mi się piekielnie niebezpieczne – oświadczył dziekan. – Nie chcemy przecież, żeby przewracały drzewa i budynki, prawda?
- No ale. Ale. One są miękkie, rozumiecie. Jak dym.
- Mówiłeś, że nie są gorące!

Rincewind dostrzegł nagle idealne wytłumaczenie.

- Chuchnąłeś kiedy na zimne lustro?
- Nie jest to moje regularne zajęcie, ale chyba wiem, o co ci chodzi.
- Więc zasadniczo to są właśnie chmury! Mogę dostać jeszcze piwo? Zadziwiałą się, chyba w ogóle na mnie nie wpływa, choćbym nie wiem ile wypił... Pomaga jasno myśleć.

Nadrektor Rincewind zabębnił palcami po stole.

- Ty i ten jakiś deszcz... Musicie mieć jakiś związek, tak? Kończy nam się woda, a ty się zjawiasz...

Rincewind czknął.

- Też muszę coś sałatwić – rzekł. – Spiszaste kapelusze całe pływające w powietrzu...
- Gdzie je ostatnio widziałeś?
- W tym browarze bez piwa. Mówią, że nawiedzony. Ha, ha! Nawiedzony przez spiszaste kapelusze...

Bill przyjrzał mu się.

- Tak – rzekł. Patrzył na wychudzoną postać dalekiego kuzyna, w tej chwili jednak będącego całkiem blisko. – Pójdziemy tam – zdecydował. Raz jeszcze zerknął na gościa i chyba zastanawiał się nad czymś przez chwilę. – I

zabierzemy trochę piwa – dodał.

Myślak Stibbons próbował myśleć, ale myśli zdawały się płynąć bardzo powoli. Wszystko było ciemne i nie mógł się poruszyć, ale ogólnie nie było mu źle. Czuł się jak podczas tych bezcennych chwil w łóżku, kiedy człowiek budzi się akurat na tyle, by wiedzieć, że ciągle jeszcze smacznie śpi. Zadziwiające, jak płynie czas.

Rząd ludzi z wiadrami ciągnął się teraz od portu aż po płonący browar. Mimo cierpko-odświeżającego dębowego posmaku tutejszego chardonnay, Iksjanie nie należeli do takich, którzy pozwolą spalić się browarowi. Nieważne, że nie ma w nim piwa. Chodzi o zasadę.

Magowie maszerowali przez tłum wśród chóru niechętnych pomruków i czasami drwiny rzucanej przez kogoś bezpiecznie ukrytego z tyłu. Kłęby dymu i pary unosiły się z głównych wrót, szeroko otwartych taranem. Nadrektor Rincewind wkroczył do wnętrza, ciągnąc za sobą radośnie uśmiechniętego krewniaka.

Dymiący znak piwa Gur, zredukowany do metalowego szkieletu, wciąż leżał na podłodze.

– Cały czas machał do niego i mówił coś o spiczastych kapeluszach – odezwała się Neilette.

– Sprawdź, jak z magią, dziekanie – polecił nadrektor Rincewind.

Dziekan machnął dłonią. W górę wzleciały iskry.

– Nic tu nie ma – powiedział. – Mówiłem, że trzeba...

Spiczaste kształty zawisły w powietrzu na chwilę, po czym zniknęły.

– To nie magia – uznał jeden z magów. – To zjawy.

– Wszyscy wiedzą, że to miejsce jest nawiedzone. Złe duchy, mówią.

– Trzeba było trzymać się piwa – mruknął nadrektor Rincewind.

Neilette wskazała klapę w podłodze.

– Właz do piwnic. Ale nigdzie nie prowadzi – powiedziała. – Jest tam wyjście na zewnątrz, parę magazynów i to właściwie wszystko.

Magowie zajrzeli.

W dole panowała absolutna ciemność. Coś bardzo małego odbiegło – sądząc po odgłosie – na więcej niż tylko czterech nogach. Unosił się zapach bardzo starego, bardzo zwietrzałego piwa.

– Nie ma zmartwienia! – zawołał Rincewind, wymachując puszką. – Ja zejść pierwszy, dobrze?

Nieźła zabawa...

Pod nim były umocowane do ściany zardzewiałe metalowe stopnie. Zgrzytały pod jego

ciężarem, a kiedy był o kilka stóp od podłogi piwnicy, ustąpiły, zrzucając go na kamienie. Magowie słyszeli, jak się śmieje.

Potem krzyknął:

– Któryś z was zna takiego, co się nazywa Dibbler?

– Co? Stary Uczciwy Interes? – upewnił się Bill.

– Zgazza się. Będzie pewno na zewnątrz. Handluje w tym tłumie.

– Bardzo prawdopodobne.

– Czy ktoś mógłby się przejść i przynieść mi od niego pływający pasztecik z dodatkowym sosem pomidorowym? Naprawdę coś bym zjadł.

Dziekan spojrzał na nadrektora Rincewinda.

– Ile on wypił piwa?

- Trzy, może cztery puszki. Pewnie ma alergię, biedak.
- Tak sobie myślę, że zjadłbym nawet dwa! – zawołał Rincewind.
- Nie ma zmartwienia. Ktoś ma pochodnię? Ciemno tu!
- Chcesz paszteciki dla smakoszy czy zwykłe? – upewnił się dziekan.
- Och, zwykłe całkiem mi wystarczą. Bez przesady.
- Biedaczysko – westchnął Bill i pogrzebał w garści monet.

W piwnicach rzeczywiście było ciemno, ale przez kłapę wpadało dość światła, by Rincewind zauważył w mroku potężne rury. Najwyraźniej już po zamknięciu browaru, ale zanim jeszcze ktoś pomyślał o zabezpieczeniu wszystkich wejść, piwnice były wykorzystywane przez młodych ludzi, jak zwykle takie miejsca, przydatne kiedy mieszka się z rodzicami, dom jest za mały, a nikt jakoś nie wziął się do wynajdywania samochodu.

Krótko mówiąc, na ścianach były napisy. Rincewind zdołał odczytać starannie wykaligrafowaną inskrypcję, informującą potomność, na przykład, że „B. Smoth jest pozza”. Co prawda nie miał pojęcia, co oznacza słowo „pozza”, był jednak całkiem pewien, że B. Smoth nie chciałby być tak nazywany. Zadziwiające, jak slang potrafi emanować swoim znaczeniem nawet w innym języku.

Coś za nim huknęło głośno – to Bagaż wylądował na kamiennej podłodze.

- Mój stary koleś Kuferka – stwierdził Rincewind. – Nie ma zmartwienia.

Na dół zjechała drabina i po chwili ostrożnie zeszli po niej magowie. Czubek łaski nadrektora Rincewinda jarzył się światłem.

- Odkryłeś coś?
- Niby tak. Że nie podałbym ręki nikomu, kto się nazywa B. Smoth.
- Och, dziekan nie jest takim złym facetem, kiedy się go lepiej pozna... Co się dzieje?

Rincewind wskazał drugi koniec pomieszczenia. Tam, na drzwiach, ktoś wyrysował grupę spiczastych kapeluszy w czerwieni. Lśniły lekko w świetle laski.

– Niech mnie... Krew! – szepnął Rincewind.

Jego kuzyn przesunął po nich palcem.

– To ochra – stwierdził. – Glina.

Drzwi prowadziły do kolejnej piwnicy. Stało tam kilka pustych beczek, kilka połamanych skrzynek i nic więcej prócz stęchłej ciemności.

Wzbudzony ich przejściem kurz uniósł się nad podłogą w serii maleńkich odwróconych wirów. Znowu spiczaste kapelusze...

– Hm... Lite ściany dookoła – zauważył Bill. – Może wybierz jakiś kierunek, koleś.

Rincewind łyknął piwa, zamknął oczy i wyciągnął przed siebie rękę.

– Tam.

Bagaż ruszył naprzód i uderzył o ścianę cegieł. Posypały się, odsłaniając mroczną przestrzeń.

Rincewind wsunął głowę do otworu. Budowniczowie browaru starali się tylko oddzielić ścianą i wyrównać część jaskini. Powietrze za otworem sugerowało, że jest całkiem spora.

Neilette i magowie przecisnęli się za nim.

– Jestem pewien, że nic tu nie było, kiedy budowano ten browar! – oświadczyła Neilette.

– Duża jest – zauważył dziekan. – Jak powstała?

– Woda – odparł Rincewind.

- Co? Woda robi takie wielkie dziury w skale?
- Tak. Nie pytajcie, w jaki sposób... Co to było?
- Co?
- Słyszeliście coś?
- Powiedziałeś: „Co to było”.

Rincewind westchnął. Chłodne powietrze go trzeźwiło.

- Jesteście prawdziwymi magami, co? – rzekł. – Prawdziwymi, uczciwymi magami. Nosicie kapelusze, które mają więcej rond niż szpiców, cały uniwersytet jest zbudowany z blachy, macie malutką wieżę, która, co muszę przyznać, na bogów, jest o wiele wyższa na zewnątrz... Ale jesteście magami, więc czy możecie się teraz zamknąć?

W ciszy, jaka zapadła, zabrzmiało bardzo ciche „plik!”.

Rincewind wyteżył wzrok, spoglądając w głąb jaskini. Światło z lasek czyniło ją groźniejszą – rzucało cienie. Ciemność to po prostu ciemność, ale w cieniu może się ukrywać wszystko.

- Te jaskinie musiały już być zbadane – powiedział.

Był to raczej wyraz nadziei niż stwierdzenie. Historia w tym miejscu była czymś dość elastycznym.

- Nigdy o nich nie słyszałem – zapewnił dziekan.
- Patrzcie, znowu szpice – odezwał się Bill, gdy ruszyli dalej.
- To tylko stalaktyty i stalagmity – wyjaśnił Rincewind. – Nie wiem, jak to działa, ale woda

sobie zwyczajnie kapie na coś i zostawia trochę czegoś. Zajmuje to tysiące lat. Całkiem zwykłe zjawisko.

– Czy to ta sama woda, która unosi się na niebie i wydłubuje wielkie groty w ziemi? – spytał dziekan.

– No... tak... najwyraźniej...

– To mamy szczęście, że u nas jest tylko taka do picia albo do mycia.

– Była – poprawił go Rincewind.

Za nimi rozległ się tupot i podbiegł jeden z młodszych magów, niosąc przykryty talerz.

– Wziąłem ostatni! – zawołał. – Dostałem taki dla smakoszy!

Uniósł pokrywkę. Rincewind spojrzał i przełknął ślinę.

– Oj...

– Co takiego?

– Macie jeszcze trochę tego piwa? Chyba tracę... koncentrację...

Jego kuzyn zerwał kapsel z puszki podkopnika.

– Cartwright, przykryj ten pasztecik, żeby nie wystygł. Rincewindzie, ty się napij.

Patrzyli, jak opróżnia puszkę.

– No dobra, koleś – rzekł nadrektor. – Co teraz powiesz na śliczny pasztecik w talerzu rozgniecionego zielonego groszku, oblany sosem pomidorowym?

Przyjrzał się, jak twarz Rincewinda zmienia kolory, i pokiwał głową.

– Potrzebujesz jeszcze jednej puszki.

Patrzyli, jak pije.

– Dobrze – odezwał się nadrektor po chwili. – Co powiesz, Rincewindzie, na

smaczny pływający pasztecik od Uczciwego Interesu, co? Pasztecik z mięsem w groszkowej zupie i sos pomidorowy?

Twarz Rincewinda drgnęła – to bursztynowe błogosławieństwa wyłączały podstawowe obwody zabezpieczeń.

– Brzmi... nieźle – powiedział. – Może trochę wiórków kokosowych na wierzch?

Magowie odetchnęli.

– Czyli teraz wiemy – stwierdził nadrektor Rincewind. – Powinieneś być akurat tak pijany, żeby paszteciki Dibblera uznawać za smaczne, ale nie aż tak, by spowodowało to trwałe uszkodzenia mózgu.

– Pozostaje nam dość wąski margines – zauważył dziekan. Bill spojrzał na sklepienie, gdzie cienie tańczyły wśród stalaktytów, chyba że to były stalagmity.

– Przecież ta jaskinia jest bezpośrednio pod miastem – powiedział. – Jak to się stało, że nikt jej nie odkrył?

– Dobrze pytanie – przyznał dziekan. – Ludzie, którzy budowali te piwnice, musieli ją

przecież widzieć.

Rincewind usiłował myśleć.

– Szyli wtedy jej tu nie było...

– Mówiłeś, że te stalacośtam potrzebują tysięcy lat...

– Bo pewnie ich nie było w zeszłym miesiącu, ale teraz są od tysięcy lat. – Rincewind czknął. – Jak ta wasza wieża – dodał. – Wyższa od zzewnątrz...

– Że jak?

– Bo to pewnie tylko tutaj działa – tłumaczył Rincewind. – Im więcej macie

geografii, tym mniej historii. Zauważyliście? Więcej przesszeni, mniej szasu. Założę się, że wysstarszyła sekunda albo dwie, żeby to miejsse było tu od tysięsy lat. Krócej na zewnątrz. To ma sens.

– Chyba nie wypilem dość piwa, żeby to zrozumieć – uznał dziekan.

Coś szturchnęło go od tyłu w nogi. Spojrzał w dół i zobaczył Bagaż. Był to jeden z jego zwyczajów: podkraść się blisko do ludzi, żeby – kiedy popatrzą w dół – czuli się poważnie niedostopowani.

– Albo to – dokończył dziekan.

Magowie przycichli nieco, a Rincewind prowadził ich coraz dalej. On sam nie był pewien, kto prowadzi jego. Mimo to – nie ma zmartwienia.

Wbrew zwykłym procedurom zaczęło się robić jaśniej. Trzeba pamiętać, że liczne kolonie fosforyzujących grzybów albo opalizujących kryształów w głębokich jaskiniach, gdzie nieprzezorny i pozbawiony pochodni bohater musi widzieć, są jedną z najbardziej oczywistych interwencji przyczynowości narracyjnej do świata fizycznego. W tym przypadku jednak skały jarzyły się nie dzięki tajemniczemu wewnętrznemu blaskowi, ale tak jakby zwyczajnie świeciło na nie wschodzące słońce.

Na ludzki mózg oddziałują również inne imperatywy. Jeden z nich mówi: Im większa przestrzeń, tym cichszy głos – czyli jest naturalna skłonność do mówienia bardzo, bardzo cicho, kiedy wchodzi się do czegoś bardzo, bardzo wielkiego. Kiedy więc nadrektor Rincewind wkroczył do ogromnej jaskini, odezwał się szeptem.

– Ślag, ależ to wielkie...

Dziekan jednak krzyknął:

– Hej hoo!

Zawsze znajdzie się jeden taki.

W tej jaskini także wisały gęsto stalaktyty, a w samym środku jeden z nich, prawdziwie gigantyczny, stykał się niemal ze swym lustrzanym stalagmitem.

Powietrze było gorące, aż brakowało tchu.

– To się nie zgadza... – powiedział Rincewind.

Plink!

W końcu zauważyli źródło tego dźwięku. Wąziutka strużka ściekała z boku stalaktytu i tworzyła krople, które spadały kilka stóp w dół, na stalagmit.

Kolejna kropla uformowała się, gdy patrzyli, i zawisła...

Jeden z magów wspiął się po suchym zboczu i przyjrzał się jej.

– Nie rusza się – oznajmił. – Strużka wysycha. Myślę, że... wyparowuje.

Nadrektor zwrócił się do Rincewinda.

– I co? Szliśmy za tobą aż tutaj, koleś. Co teraz?

– Myślę, że wypiłbym jeszcze jedno...

– Nic już nie zostało, koleś...

Rincewind rozejrzał się zdesperowany, po czym popatrzył na ogromną, półprzejrzystą masę wapienia przed sobą. Była stanowczo spiczasta. I znajdowała się w samym środku jaskini. Była w niej jakaś... nieuchronność.

Dziwne właściwie, że coś takiego uformowało się akurat tutaj, na dole, lśniące jak perła w muszli...

Ziemia znowu zadrżała. Na górze ludzie zaczynają już pewnie odczuwać pragnienie i przeklinają wiatraki, jak tylko Iksjanie potrafią. Woda zniknęła i to bardzo niedobrze, ale kiedy skończy się piwo, ludzie naprawdę się ziryтую...

Magowie czekali, aż coś zrobi...

No dobrze, zacznijmy od skały. Co właściwie wiedział o skałach i jaskiniach w tej okolicy?

W takich chwilach odczuwał dziwną swobodę. Cokolwiek zrobi, i tak będzie miał kłopoty – więc równie dobrze może spróbować.

– Potrzebuję trochę farby – oświadczył.

– Do czego?

– Do tego, do czego mi jest potrzebna.

– Jest tu taki młody Salid – przypomniał sobie dziekan. – Trochę udaje artystę. Chodźmy, wywalimy mu drzwi kopniakami.

– I przynieście jeszcze piwa! – zawołał za nimi Rincewind.

Neilette klepnęła go w ramię.

– Chcesz tu rzucać jakieś czary? – spytała.

– Nie wiem, czy tutaj liczy się to jako czar – odparł Rincewind. – Jeśli się nie uda, lepiej się cofnij.

– To znaczy, że może być niebezpiecznie?

– Nie, to znaczy, że ja mogę zacząć biegać, nie patrząc pod nogi. Ale... ta skała jest ciepła. Zauważyłaś?

Dotknęła kamienia.

– Rozumiem, o co ci chodzi...

– Tak sobie pomyślałem... Przypuśćmy, że w kraju znalazł się ktoś, kto tu być nie powinien. Co by wtedy się stało?

– Straż by go złapała. Tak myślę.

– Nie, nie chodzi o to, co zrobią ludzie. Co by zrobiła kraina? Chyba muszę się jeszcze napić piwa, żeby to miało więcej sensu.

– Już jesteśmy! – Magowie podbiegli szybko. – Nie znaleźliśmy wiele, ale

jest trochę wapna do bielenia, trochę czerwonej farby i puszka czegoś, co może być czarną farbą, a może być olejem smołowym. Ale prawie nic, jeśli idzie o pędzle.

Rincewind wybrał jeden, który wyglądał, jakby był używany do bielenia bardzo szorstkiej ściany, a potem do czyszczenia zębów jakiegoś dużego stworzenia, może krokodyla.

Nigdy nie był dobry z malarstwa, co w wielu systemach edukacyjnych jest osiągnięciem trudnym. Podstawowe umiejętności malarskie oraz znajomość kaligrafii okultystycznej to elementy wczesnych etapów nauki magów. Jednakże w palcach Rincewinda kreda pękała, a ołówki się łamały. Prawdopodobnie wynikało to z jego głębokiej nieufności do umieszczania rzeczy na papierze, skoro całkiem dobrze radziły sobie tam, gdzie były wcześniej.

Neilette podała mu puszkę podkopnika. Rincewind pociągnął solidny łyk i zanurzył pędzel w czymś, co mogło być czarną farbą. Potem namalował na skale kilka odwróconych V i kilka kółek pod nimi, każde z trzema kropkami w trójkącie i przyjaznym łukiem niżej.

Znów łyknął piwa i zobaczył, co robi niewłaściwie. Nie warto starać się o wierny obraz życia; musiał spróbować impresji.

Z rozmachem chlapał farbą na kamień, nucąc coś pod nosem.

– Ktoś już odgadł, co to będzie? – rzucił przez ramię.

– Jak dla mnie trochę to zbyt nowoczesne – stwierdził dziekan.

Ale Rincewind wpadł już w rytm. Każdy dureń potrafiłby skopiować to, co widzi – no, może z wyjątkiem Rincewinda. Ale oczywiście cała trudność polega na tym, że trzeba namalować obraz, który się porusza, który zdecydowanie wyraża to, co...

W każdym razie zdecydowanie wyraża. Trzeba podążać tam, gdzie prowadzi farba i kolor.

– A wiesz – odezwała się Neilette – kiedy tak światło pada na skałę i w ogóle... To mogłaby być grupa magów...

Rincewind przymknął oczy. Może rzeczywiście to tylko poruszające się cienie, ale musiał przyznać, że całkiem dobrze mu się udało. Dodał jeszcze trochę farby.

– Wygląda prawie, jakby wychodzili z tej skały – powiedział ktoś za jego plecami, ale głos był przytłumiony.

Czuł się, jakby spadał w przepaść. Doznawał już takiego wrażenia, ale zwykle wtedy, kiedy spadał w przepaść. Ściany były rozmazane, jak gdyby przesuwwały się obok z ogromną prędkością. Ziemia drżała.

– Poruszamy się? – zapytał.

– Tak się wydaje, nie? – odparł nadrektor Rincewind. – Ale stoimy nieruchomo.

– Ruszamy się, stojąc nieruchomo... – Rincewind zachichotał. – To niezłe! – Z satysfakcją spojrzał na puszkę. – Wiecie, nie dam rady wypić więcej niż kufel czy dwa tego piwa, co je mamy w domu, ale to tutaj jest jak lemoniada! Ma ktoś może pasztecika...

Głośno, jak burza z piorunami pod łóżkiem, ale delikatnie jak zderzenie dwóch sufletów, wpadły na siebie przeszłość i teraźniejszość.

Zawierały bardzo wiele osób.

– Co to takiego?

– Dziekanie!

– Tak?

– Ty nie jesteś dziekanem!

– Jak śmiesz tak mówić! A ty kim jesteś?

- Uuk!
- Niech to ślag, tutaj jest jakiś małpizjon!
- Nie! Nie! To nie ja powiedziałem! To on!
- Nadrektorze?
- Słucham?
- Słucham?
- Co? Ilu was tu jest?

Ciemność wypełniła się głęboką purpurą z odcieniem fioletu.

- Czy możecie zamknąć się wszyscy i mnie posłuchać?!

Ku zdumieniu Rincewinda, tak właśnie zrobili.

- Patrzcie, ściany się zbliżają! To miejsce próbuje nie istnieć!

I spełniwszy swój obowiązek wobec społeczności, odwrócił się i rzucił do ucieczki po szarpanej wstrząsami skale.

Po kilku sekundach wyprzedził go Bagaż, co zawsze stanowiło zły znak.

Słyszał za sobą głosy. Magom trudno przychodzi akceptacja terminu „bezpośrednie zagrożenie”. Wolą raczej takie, o które można się kłócić. Ale w zniżającym się szybko stropie jest coś takiego, co dociera do świadomości nawet najbardziej kłótliwych osobników.

- Uratuję panią, pani Whitlow!
- Do tunelu!
- Z jaką szybkością zbliżają się te ściany, jak sądzisz?
- Zamknij się i uciekaj!

Rincewinda wyprzedził duży kangur pokryty rudą sierścią. Chaotyczny morfizm bibliotekarza zmienił go na krótko w czerwony stalaktyt, jako formę najwyraźniej zdolną do

przetrwania w jaskiniach. Potem jednak dotarło do niego, że będzie to śmiertelnie długie przetrwanie w jaskini, która szybko się zmniejsza, więc przeskoczył w lokalne pole morficzne istot zbudowanych do szybkości.

Człowiek, Bagaż i kangur kolejno wyskoczyli przez otwór do piwnicy i wylądowali jeden na drugim po przeciwnej stronie.

Za nimi zahuczało, a magowie i kobiety zostali ze znaczną prędkością wystrzeleni do piwnicy. Kilka osób spadło na Rincewinda. Skała za murem stęknęła i zazgrzytała, wyrzucając z siebie obce stworzenia – co Rincewind uznał za geologiczne wymioty.

Coś wyleciało przez otwór i uderzyło go w ucho, ale był to tylko drobny problem w porównaniu z pasztecikiem, który wyfrunął, ciągnąc za sobą ogon zupy groszkowej i sosu pomidorowego. I trafił go w usta.

Właściwie to nie był taki zły.

Zdolność do zadawania pytań w rodzaju „Gdzie ja jestem i kim jest to «ja», które pyta?” to jedna z cech, która odróżnia człowieka od – powiedzmy – matwy* [* Choć naturalnie nie jest to cechą najbardziej oczywistą; istnieją nawet pewne mylące podobieństwa, na przykład skłonność, by w trudnych sytuacjach ukrywać się za chmurą atramentu.].

Magowie z Niewidocznego Uniwersytetu, będąc może intelektualną śmietanką, a na pewno mózgowym jogurtem swego pokolenia, przeszli przez ten etap w błyskawicznym tempie. Magowie znakomicie sobie radzą z pewnymi koncepcjami. W jednej chwili człowiek dyskutuje nad kształtem kaczej głowy, w następnej jacyś ludzie tłumaczą mu, że tkwił od tysięcy lat wewnątrz skały, ponieważ czas na zewnątrz płynie szybciej. Nie stanowi to jednak większego problemu dla kogoś, kto na Niewidocznym Uniwersytecie potrafił znaleźć drogę do toalety* [* Tej na pierwszym piętrze, z ciekawą anomalią grawitacyjną.].

Kiedy w końcu zasiedli przy okrągłym stole w UR, pojawiły się ważniejsze kwestie.

– Czy jest coś do jedzenia? – zapytał Ridcully.

– Mamy środek nocy, drogi panie.

– To znaczy, że... straciliśmy kolację?

– Tysiące lat kolacji, nadrektorze.

– Naprawdę? No to trzeba zacząć nadrabiać, panie Stibbons. Mimo wszystko... ładną macie tu siedzibę... nadrektorze.

Ridcully bardzo starannie wymówił ostatnie słowo, by pokazać, że używa go jedynie grzecznościowo.

Nadrektor Rincewind przyjaźnie skinął mu głową.

– Dziękuję – powiedział.

– Jak na kolonię, oczywiście. Ale rozumiem, że staracie się jak najlepiej.

– Naprawdę dziękuję, Mustrum. Potem z przyjemnością oprowadzę cię po naszej wieży.

– Wygląda na dość niską.

– Tak mówią.

– Rincewind... Rincewind... – zastanowił się Ridcully. – To nazwisko jakoś mi się kojarzy...

– Przybyliśmy tu odnaleźć Rincewinda, nadrektorze – przypomniał cierpliwie Myślak.

– To on? No to przydał mu się ten wyjazd. Jak widzę, świeże powietrze zrobiło z niego mężczyznę.

– Nie, nadrektorze. Nasz to ten chudy z nierówną brodą i oklapłym kapeluszem. Pamięta pan? Tam siedzi.

Rincewind nieśmiało podniósł rękę.

– Ehm... To ja – powiedział.

Ridcully prychnął.

– Może być. A co to jest, czym się tam bawisz, człowieku?

Rincewind pokazał bullroarera.

– Razem z wami znalazłem to w jaskini – wyjaśnił. – A co z tym robiliście?

– To jakaś zabawka, którą znalazł bibliotekarz – odparł Myślak.

– No to wszystko już wyjaśnione – podsumował Ridcully. – Powiem szczerze, że dobre to piwo. Łatwo pijalne. Tak, jestem pewien, nadrektorze, że wiele możemy się nauczyć od siebie nawzajem. Oczywiście, wy od nas raczej więcej niż my od was. Może wprowadzilibyśmy jakąś wymianę studentów czy coś w tym rodzaju?

– Dobry pomysł.

– Możecie dostać sześciu moich za porządną kosiarkę do trawy. Nasza się zepsuła.

– Nadrektor... to znaczy nadrektor Rincewind sugerował, nadrektorze, że powrót może się okazać dość trudny – wtrącił Myślak. – Jak rozumiem, wszystko powinno się zmienić, skoro już tu jesteśmy. Ale się nie zmieniło.

– Wasz Rincewind sądził chyba, że sprowadzenie was tutaj ściągnie deszcz – wyjaśnił Bill. – Nic z tego.

...wzummm...

– Nie, przestań się tym bawić, Rincewindzie – rzucił Ridcully. – No cóż... Bill, to przecież oczywiste. Jak magowie bardziej doświadczeni od was,

znamy naturalnie mnóstwo sposobów przywoływania deszczu. Z tym nie ma kłopotów.

...wzummm...

– Posłuchaj no, chłopcze, może wyjdź z tym na dwór, co?

Bibliotekarz siedział na szczycie blaszanej wieży i osłaniał głowę liściem.

– Dziwne to, widzisz? – powiedział Rincewind, kołysząc bullroarerem na sznurku. – Wystarczyło tylko poruszyć trochę dłonią, a on zaczął latać dookoła.

– ...uuk...

Bibliotekarz kichnął.

– ...auk...

– E... Teraz jesteś takim dużym ptakiem – stwierdził Rincewind. – Rzeczywiście marnie się czujesz, co? No ale jak tylko im zdradzę twoje imię...

Bibliotekarz zmienił kształt i poruszył się szybko. Nastąpił bardzo krótki okres, w którym bardzo wiele się zdarzyło.

– Aha – rzekł spokojnie Rincewind, kiedy uznał, że już po wszystkim. – No to zacznijmy od tego, co wiemy. Nic nie widzę. Powodem tego, że nie widzę, jest to, że moja szata wisi mi przed oczami. Z tego dedukuję, że wiszę głową w dół. A ty trzymasz mnie za kostki. Poprawka: za jedną kostkę, z czego oczywisty wniosek, że to ty mnie trzymasz głową w dół. Jesteśmy na szczycie wieży. Co oznacza...

Umilkł.

– No dobrze, zacznijmy od początku – rzekł. – Zacznijmy ode mnie, który nikomu nie mówi, jak się nazywasz.

Bibliotekarz puścił.

Rincewind runął kilka cali w dół, na deski wieży.

– Wiesz, naprawdę paskudna była ta sztuczka, którą mi zrobiłeś – oświadczył.

– Uuk.

– Nie będziemy więcej o tym wspominać, dobrze?

Rincewind spojrzał na bezkresne puste niebo. No cóż... powinno padać. Zrobił przecież wszystko to, co powinien. Prawda? A jedynym skutkiem było grono profesorskie NU na dole, które wszystko traktowało z wyższością. Przecież to nie jest tak, że sami umieli rzucić czar sprowadzania deszczu. Żeby taki czar zadziałał, trzeba mieć trochę deszczu na początek. Właściwie roztropność nakazuje, by upewnić się wcześniej, że wiatr pędzi właśnie w odpowiednią stronę jakies ciężkie i ciemne chmury.

A skoro nie pada, to pewnie te straszne prądy, o których mówili, wciąż są na miejscu.

To nie jest zły kraj. Lubią tu kapelusze. Lubią wielkie kapelusze. Mógłby trochę zaoszczędzić, kupić farmę w Nigdy-Nigdy i hodować owce. W końcu owce same się karmią i potem robią więcej owiec. Wystarczy tylko od czasu do czasu zebrać z nich wełnę. Bagaż pewnie przyzwyczałby się do roli owczarka.

Tyle że... nie ma już wody. Nie będzie owiec, nie będzie farm. Mad, krokodyl Krokodyl, te piękne damy Darleen i Letycja, Wyrzut i jego konie, wszyscy ci ludzie, co pokazywali mu, jak znajdować rzeczy, które można zjeść i nie wymiotować za często... Wszystko wyschnie i odleci z wiatrem...

On też.

CZEŚĆ.

– Uuk?

– No nie... – jęknął Rincewind.

GARDŁO TROCHĘ WYSUSZONE?

– Słuchaj, przecież nie powinienes...

NIE DENERWUJ SIĘ. MAM SPOTKANIE W MIEŚCIE. WYBUCHŁA
BÓJKA O OSTATNIĄ BUTELKĘ PIWA. JEDNAK POZWÓL SIĘ
ZAPEWNIĆ O MOIM NIEUSTAJĄCYM OSOBISTYM
ZAINTERESOWANIU.

– O... Bardzo dziękuję. Kiedy przyjdzie czas zakończyć życie, z pewnością
zwrócę się przede wszystkim do Śmierci!

Śmierć zaczął się rozplýwać w powietrzu.

– Co za bezczelność, tak tu przychodzić! Jeszcze nie zginęliśmy! – wrzasnął
Rincewind w stronę płonącego nieba. – Dużo jeszcze da się zrobić!
Gdybyśmy mogli dostać się do Osi, można by odłupać wielką górę lodową i
doholować ją tutaj, a wtedy mielibyśmy mnóstwo wody... gdybyśmy tylko
dostali się do Osi. Póki nadziei, póty życia, zapamiętaj sobie! Wymyślę coś!
Musi być jakiś sposób, żeby zaczęło padać!

Śmierć zniknął.

Rincewind groźnie zakręcił bullroarerem.

– I lepiej tu nie wracaj!

– Uuk!

Bibliotekarz chwycił Rincewinda za ramię i powąchał powietrze.

Rincewind także poczuł ten zapach.

Posługiwał się językiem stosunkowo prymitywnym i nie było w nim
określenia na „zapach, jaki unosi się po deszczu” – innego niż „zapach, jaki
unosi się po deszczu”. Ktokolwiek próbowałby taki zapach opisać, musiałby
płatać się wśród takich słów jak wilgoć, upał, para, a przy towarzyszącym
wietrze – podmuchy.

Mimo to rzeczywiście rozszedł się zapach, jaki unosi się po deszczu. W tej rozpalonej krainie był niczym kruchy klejnot.

Rincewind jeszcze raz zakręcił kawałkiem drewna. Czyniło hałas zupełnie nieproporcjonalny do poruszeń. I znowu pojawił się ten zapach.

Obejrzał drewnienko. Był to zwykły gładki owal, bez żadnych znaków.

Chwycił mocno koniec sznurka i na próbę zakręcił nim jeszcze kilka razy.

– Zauważyłeś, że kiedy tak robiłem... – zaczął.

Nie mógł przestać. Nie potrafił opuścić ręki.

– Eee... On chyba chce, żeby nim kręcić – stwierdził.

– Uuk!

– Myślisz, że powinienem?

– Uuk!

– Bardzo mi pomogłeś. Ooo...

Bibliotekarz padł na deski.

Rincewind kręcił bullroarerem. Nie widział już drewnienka, gdyż sznurek z każdym obrotem stawał się dłuższy. Rozmazana plama sunęła w powietrzu dookoła wieży, coraz dalej i dalej...

Rozlegał się niski dźwięk przeciągniętej struny.

Kiedy bullroarer był już daleko nad miastem, eksplodował z trzaskiem gromu. Ale coś nadal kręciło się na końcu sznurka, jakby ściśnięty srebrny obłok; wyrzucał za sobą ślad białych cząstek tworzących rozszerzającą się coraz bardziej spiralę.

Bibliotekarz leżał na podłodze i osłaniał głowę rękami.

Powietrze huczało wzdłuż ścian wieży, niosąc pył, wiatr, żar i papużki. Szata Rincewinda trzepotała mu w okolicach brody.

Nie do pomyślenia było, że mógłby puścić sznurek. Chyba nawet by nie zdołał, dopóki to coś samo nie zechce.

Przejrzysta teraz jak dym, spirala rozplynęła się w falującym od żaru powietrzu.

(...i dalej, ponad czerwoną pustynią i obojętnymi kangurami, a kiedy jej ogon przesunął się nad brzegiem i wpadł na ścianę sztormów, walczące szkwały złączyły się łagodnie... chmury przerwały swe stateczne wirowanie wokół ostatniego kontynentu, zawrzały w chaosie burzowych kłębow, odwróciły kierunek i zaczęły sunąć do wnętrza...).

Sznurek wyrwał się z dłoni Rincewinda, kalecząc mu palce. Bullroarer poleciał daleko i Rincewind nie widział jego upadku.

Może dlatego że wciąż się kręcił, ale w końcu grawitacja przewyciężyła rozpęd i runął jak długi.

– Chyba stopy mi się palą – wykrztusił.

Martwy żar zawisł nad ziemią niby całun.

Hodowca Clancy bardzo dokładnie wytarł pot z czoła i wykręcił szmatę do pustej puszki po dzemie. Sądząc po tym, co się działo, wkrótce będzie z tego zadowolony. Potem, ostrożnie trzymając puszkę, zszedł po drabinie z wiatraka.

– Odwiert jest w porządku, szefie, po prostu nie ma tej pieprzonej wody – oznajmił.

Wyrzut pokręcił głową.

– Patrz tylko na konie – powiedział. – Patrz, jak się kładą... To niedobrze. To jest to, Clancy. Przeżyliśmy tu dobre i złe chwile, ale te są gorsze jeszcze o połowę. Równie dobrze możemy poderżnąć im te biedne pieprzone gardła, żeby nie zmarnować mięsa...

Podmuch wiatru zerwał mu kapelusz i smagnął zapachem wędnące krzewy akacji. Koń

uniósł łeb.

Chmury pędziły po niebie, wrzały i przewalały się jedna przez drugą jak fale przy brzegu, tak czarne, że w samym środku aż niebieskie, często rozświecane błyskami.

– Co to jest, u demona? – zdziwił się Clancy.

Koń wstał chwiejnie i potykając się, ruszył do zardzewiałego koryta pod wiatrakiem.

Pod chmurami sunące nad ziemią powietrze połyskiwało srebrzyście.

Coś uderzyło Wyrzuta w głowę.

Spojrzał na ziemię. Coś zrobiło „plask!” obok jego buta, pozostawiając w pyle maleńki krater.

– To jest woda, Clancy – oświadczył. – Piekielna woda spada z piekielnego nieba!

Patrzyli na siebie nawzajem z otwartymi ustami, aż uderzyła burza, zwierzęta się poruszyły, a czerwony kurz zmienił się w błoto, które zachlapało ich obu do pasa.

To nie był zwyczajny deszcz. To była Wilgoć.

Jak mówił później Clancy, drugą najlepszą piekielną rzeczą, jaka się tego dnia przytrafiła, to że byli blisko wzgórz.

A najlepsza piekielna rzecz, to że dzięki tym wszystkim korkom, udało im się potem znaleźć te piekielne kapelusze.

Odbyła się burzliwa debata, czy z powodu suszy odwołać tegoroczne regaty w Czyżeśpiwoszynióskol. Ale były tradycją. Wielu ludzi przyjeżdżało do

miasteczka z ich powodu. Poza tym organizatorzy dyskutowali o tym długo i namiętnie w barze hotelu Sielanka i doszli do wniosku, że nie ma zmartwienia, będzie dobrze.

Wyścigi odbywały się w klasach łodzi zaprzężonych w wielbłądy, łodzi optymistycznie napędzanych żaglami oraz – główna atrakcja – skifów z napędem uzyskanym przez prosty zabieg wycięcia dna, po czym osady chwyciły burty i pędziły ile sił. Ten bieg zawsze cieszył się wielką popularnością.

Właśnie kiedy dwie osady biegły w górę rzeki w wyścigu półfinałowym, widzowie zauważyli czarną chmurę, niczym wrzący dżem przelewającą się przez Semaforowe Wzgórze.

– Pożar buszu – stwierdził ktoś.

– Przy pożarze buszu byłyby białe. Idziemy...

To ważna cecha pożaru: kiedy ktoś go zobaczył, wszyscy biegli gasić. Pożar rozprzestrzenia się jak... no, jak pożar.

Ale kiedy się odwrócili, usłyszeli krzyk z koryta rzeki.

Obie osady wypadły zza zakrętu dziób w dziób, niosąc łodzie z rekordową prędkością. Dotarły do rampy, zderzyły się w pośpiechu, wpadły na szczyt splecione razem i runęły wśród drzazg i krzyków.

– Przerwać regaty – wysapał jeden ze sterników. – Rzeka... Rzeka...

Ale wtedy wszyscy już zobaczyli. Zza zakrętu, sunąc dość wolno z powodu pchanego przodem wielkiego zatoru krzaków, wozów, głazów i drzew, szła woda.

Z hukiem przepłynęła obok widzów, a ruchoma tama ślizgała się przed nią, oczyszczając koryto z wszelkich przeszkód. Z tyłu spienione fale wypełniały rzekę od brzegu do brzegu.

Odwołali regaty. Rzeka pełna wody ośmieszała samą ideę.

Bramy uniwersytetu runęły i wściekły tłum biegał po terenie uczelni i tłukł w ściany.

Wśród hałasu magowie gorączkowo przeglądali księgi.

– Macie coś w rodzaju Imponującego Separatora Maxwella? – rzucił Ridcully.

– Co on robi? – zapytał nadrektor Rincewind.

– Odmieszywuje dwa składniki, na przykład... cukier od piasku. Wykorzystuje demony niani.

– Raczej nano-demony – poprawił ze znużeniem Myślak.

– Aha, jak Supersito Bonza Charliego? Tak, mamy to.

– Jasne, ewolucja równoległa. Świetnie. Wygrzeb to, chłopie.

Nadrektor Ridcully skinął ręką któremuś z magów, a potem uśmiechnął się szeroko.

– Myśli pan, żeby użyć tego na soli?

– Otóż to. Jedno zaklęcie, jedno wiadro morskiej wody i po problemie...

– Eee... to nie jest całkiem tak – zauważył Myślak Stibbons.

– Dla mnie brzmi perfekcyjnie.

– Wymaga dużych ilości magii, nadrektorze. A demony potrzebują dwóch tygodni na kwartę.

– No tak. Cenna uwaga, panie Stibbons.

– Dziękuję, nadrektorze.

– Jednakże to, że zaklęcie się nie nadaje, nie oznacza jeszcze, że to nie był dobry pomysł... Chciałbym, żeby przestali tak wrzeszczeć!

Krzyki na zewnątrz ucichły.

– Chyba pana usłyszeli, nadrektorze – powiedział Myślak.

Dało się słyszeć: „Pang! Pang! Pang!”.

– Teraz rzucają czymś na dach? – spytał nadrektor Rincewind.

– Nie, to pewnie tylko deszcz – odparł Ridcully. – Przypuśćmy zatem, że spróbujemy odparować...

Zauważył, że nikt go nie słucha. Wszyscy patrzyli w górę.

Pojedyncze pacnięcia zlały się w ciągły łoskot, a z zewnątrz dobiegły głośne wiwaty.

Przez chwilę magowie tłoczyli się przy drzwiach, nim wreszcie przecisnęli się jakoś na zewnątrz. Woda spływała z dachu jak gruba kotara i wyrywała kanał w trawniku.

Nadrektor Rincewind zatrzymał się nagle i wyciągnął rękę do wody jak ktoś niepewny, czy

piec jest gorący.

– Z nieba? – powiedział niepewnie.

Przekroczył płynną kotarę, zdjął kapelusz i wyciągnął przed siebie otworem do góry, by chwycić deszcz.

Tłum wypełnił tereny uniwersyteckie i rozlewał się na sąsiednie ulice. Wszystkie twarze skierowane były ku górze.

– A co to jest to ciemne?! – zawołał nadrektor Rincewind.

– To są chmury, nadrektorze!

– Wściekle ich dużo!

Było ich dużo. Piętrzyły się ponad wieżą jak ogromna czarna góra.

Kilka osób opuściło głowy na czas dostatecznie długi, by zauważyć przemoczonych magów. Rozległy się brawa. I nagle to oni stali się nowym centrum uwagi – pochwyceni i niesieni na ramionach.

– Myślą, że to dzięki nam! – zawołał z góry nadrektor Rincewind.

– A kto powie, że nie? – Ridcully konspiracyjnie postukał się palcem w bok nosa.

– Ehm... – zaczął ktoś.

Ridcully nawet się nie obejrzał.

– Proszę się zamknąć, panie Stibbons – rzucił.

– Już się zamykam, nadrektorze.

– Słyszycie ten grom? – rzekł Ridcully, kiedy grzmot przetoczył się po niebie. – Lepiej się ukryjmy...

Chmury nad wieżą wznosiły się jak woda przy tamie. Myślak tłumaczył potem, że fakt, iż wieża UR była równocześnie bardzo niska i niewiarygodnie wysoka, mógł stanowić zasadnicze źródło problemu, gdyż burza usiłowała przesunąć się równocześnie wokół niej, ponad nią i przez nią.

Z ziemi wyglądało, jakby chmury rozstały się z wolna, pozostawiając błyszczący, szeroki komin wypełniony błękitną mgiełką wyładowań elektrycznych...

...a potem uderzyły. Jeden jaskrawy niebieski piorun trafił wieżę na wszystkich wysokościach naraz, co jest technicznie niemożliwe. Kawałki drewna i blachy falistej z hukiem wzleciały w powietrze i opadły na miasto.

A potem było już tylko skwierczenie i szum deszczu.

Tłum podniósł się ostrożnie, ale fajerwerki dobiegły końca.

– To właśnie nazywamy błyskawicą – oświadczył Ridcully.

Nadrektor Rincewind wstał i spróbował otrzepać błoto z szaty, po czym odkrył, dlaczego nie da się tego zrobić.

– Chociaż zwykle nie są aż tak potężne – dodał Ridcully.

– Aha. To dobrze.

Coś brzęknęło pośród dymiących ruin w miejscu, gdzie stała wieża; arkusz blachy odsunął się na bok. Powoli, często pomagając sobie wzajemnie, po licznych falstartach, wynurzyły się dwie poczerwiałe postacie. Jedna wciąż miała na głowie kapelusz, który się palił, choć deszcz szybko gasił płomień.

Podpierając się nawzajem i zataczając na boki, zbliżyły się do magów.

– Uuk – powiedziała jedna z nich, bardzo cicho, po czym upadła na plecy.

Druga spojrzała mętnie na obu nadrektorów i zasalutowała. Wskutek czego iskra strzeliła jej z palca i sparzyła w ucho.

– Ehm... Rincewind – przedstawiła się.

– A cóż porabiałeś, jeśli wolno spytać, kiedy my tu wykonywaliśmy całą ciężką pracę? – zapytał Ridcully.

Rincewind rozejrzał się bardzo wolno. Od czasu do czasu w jego brodzie przesłakiwały błękitne iskry.

– No... Sprawy ułożyły się całkiem dobrze, właściwie. Biorąc wszystko pod uwagę – powiedział, a potem przewrócił się do kałuży.

Padło. Potem padało. A później padało jeszcze trochę. Chmury tłoczyły się niecierpliwie jak samoloty czarterowe nad wybrzeżem, z brakami paliwa, walczące o pozycję i wylewające strugi deszczu. Przede wszystkim wylewające deszcz.

Woda deszczowa z hukiem spływała po skałach i płukała pradawne, błotniste wodne dziury. Pewien gatunek małych krewetek, których świat od tysięcy lat

był niewielką dziurą pod kamieniem, został stamtąd wyrwany i w całości przeniesiony do jeziora rozlewającego się szybciej, niż mógł biec człowiek. Było ich tam mniej niż kilka tysięcy. A następnego dnia było o wiele, wiele więcej. Nawet gdyby krewetki umiały policzyć, ile razy więcej, były zbyt zajęte, by się tym przejmować.

W nowych ujściach nowych rzek, obfitujących w nieoczekiwane zasoby mułu i pożywienia, kilka ryb podjęło eksperymenty z dietą bezsolną. Mangrowce rozpoczęły swój powolny podbój błotnistych brzegów.

Deszcz padał ciągle.

Później padał jeszcze trochę.

Potem padał.

Minęło kilka dni.

Statek kołysał się łagodnie przy nabrzeżu. Woda wokół kadłuba była czerwona od zawieszonego w niej mułu, wśród którego unosiło się kilka liści i gałązek.

– Tydzień czy dwa do NicToFiordu i jesteśmy praktycznie w domu – stwierdził Ridcully.

– W każdym razie praktycznie na tym samym kontynencie – poprawił go dziekan.

– Całkiem ciekawe długie wakacje – uznał wykładowca run współczesnych.

– Prawdopodobnie najdłuższe ze wszystkich – zgodził się Myślak. – Czy pani Whitlow podobała się kajuta?

– Ja na przykład z przyjemnością rozłożę się w ładowni – zapewnił lojalnie pierwszy prymus.

– Raczej w zęzie – odparł Myślak. – Ładownie są pełne. Opali, piwa, owiec, wełny i bananów.

– Gdzie bibliotekarz? – zapytał Ridcully.

– W ładowni, nadrektorze.

– No tak, głupio spytałem. Mimo wszystko przyjemnie jest znowu widzieć go w dobrej, starej formie.

– Podejrzewam, że to ta błyskawica, nadrektorze. Wydaje się teraz bardzo ożywiony.

A Rincewind siedział na Bagażu, kawałek dalej na brzegu.

Czuł, że coś powinno się zdarzyć. Najgorsze chwile w życiu to te, kiedy nic się nie dzieje, bo to oznacza, że zaraz trafi człowieka coś niedobrego. Z jakichś niejasnych powodów.

Za mniej więcej miesiąc może być znowu w bibliotece uniwersytetu, a wtedy witaj, życie wypełnione układaniem książek. Jeden monotonny dzień po drugim, tylko z rzadka przerywane okresami nudy. Nie mógł się już doczekać. Każda minuta, niebędąca minutą zmarnowaną, będzie no... minutą zmarnowaną. Emocje? Mogą się zdarzać komu innemu.

Kupcy ładowali statek. Był już głęboko zanurzony, bo przecież tak wiele jest iksjańskich towarów, których pragnie reszta świata. Oczywiście wróci lekki, no bo trudno sobie wyobrazić choć jedną pieprzoną rzecz, jaka nadaje się na pieprzony import, która byłaby lepsza od dowolnej pieprzonej rzeczy na IksIksIksIks.

Zjawiło się nawet kilkoro pasażerów, chętnych zobaczyć świat – w większości młodych.

– Hej, czy nie jesteś jednym z tych zamorskich magów?

Pytającym był młody człowiek dźwigający bardzo wielki plecak zwieńczony zrolowanym kocem. Wydawał się nieformalnym przywódcą niedużej grupki podobnie obciążonych osób. Mieli szczere, jasne twarze i trochę niespokojne miny.

– Można poznać, prawda? – odparł Rincewind. – Ale... potrzebujecie czegoś?

– Myślisz, że da radę kupić wóz w tym... NicToFiordzie?

– Tak, wydaje mi się, że tak.

– No bo ja i Clive, i Shirl, i Girleen pomyśleliśmy, żeby znaleźć jakiś i pojechać do...

Obejrzał się.

– Ankh-Morpork – odpowiedziała Shirl.

– Właśnie, a tam go sprzedać, znaleźć robotę na jakiś czas, rozejrzeć się... No wiesz. Na jakiś

czas. To w porządku?

Rincewind przyjrzał się pozostałym, czekającym w kolejce na trapie. Od wynalezienia żuka gnojnika, co zresztą zdarzyło się całkiem niedaleko, prawdopodobnie żadna inna istota nie nosiła nigdy tak wielkiego ciężaru.

– Widzę, że to się już przyjmuje – zauważył.

– Nie ma zmartwienia!

– Tylko... eee...

– Tak, koleś?

– Czy mógłbyś nie nucić tej melodii? To była tylko owca, a ja nawet jej nie ukradłem...

Ktoś stuknął go w ramię. Neilette. Letycja i Darleen stały za nią i uśmiechały się. Była dziesiąta rano. Obie miały na sobie wyszywane cekinami wieczorowe suknie.

– Posuń się – rzuciła Neilette i usiadła obok. – Pomyślałyśmy... no, przyszłyśmy żeby, no wiesz, podziękować i w ogóle. Letycja i Darleen wchodzi w to ze mną, chcemy znowu otworzyć browar.

Rincewind zerknął na obie damy.

– Rzucali we mnie piwem tak często, że powinnam już coś o nim wiedzieć – odezwała się Letycja. – Co prawda wydaje mi się, że mogłybyśmy się postarać o bardziej atrakcyjny kolor. Teraz jest takie... – Z irytacją machnęła ciężką od pierścionków dłonią. – Takie agresywnie męskie.

– Różowe byłoby ładne – stwierdził Rincewind. – I mogłybyście może wkładać do środka marynowaną cebulkę na patyku.

– Wściekle dobry pomysł! – Darleen klepnęła go w plecy tak mocno, że kapelusz opadł mu na oczy.

– Może byś został? – zaproponowała Neilette. – Wyglądasz na takiego, któremu pomysłów nie brakuje.

Rincewind rozważył tę atrakcyjną propozycję, lecz pokręcił głową.

– To dobra oferta, ale chyba powinienem trzymać się tego, co robię najlepiej.

– Przecież wszyscy mówią, że z czarów nie jesteś dobry!

– No, niby... Ale bycie słabym w czarach to właśnie to, co robię najlepiej – wyjaśnił Rincewind. – I naprawdę jestem wdzięczny. – Przynajmniej pozwól dać sobie wielkiego, ckliwego całusa... Darleen chwyciła go za ramiona. Kątem oka Rincewind zauważył, jak Neilette tupie mocno...

– Dobra, dobra... – mruknęła Darleen, puszczając go i odskakując na jednej nodze. – Przecież nie chciałam go ugryźć, nie?

Neilette cmoknęła Rincewinda w policzek.

– Pamiętaj, zajrzyj, jeśli będziesz w pobliżu – powiedziała.

– Na pewno – obiecał Rincewind. – Będę szukał barów z liliowymi parasolami na zewnątrz, co?

Neilette pomachała mu, a Darleen zrobiła zabawny gest, kiedy odchodziły. Zderzyły się niemal z grupą mężczyzn w bieli.

– Hej, tam siedzi! – krzyknął jeden z nich. – Przepraszam piękne panie...

– Witaj, Charley... Ron... – zawołał Rincewind, gdy kucharze się zbliżyli.

– Słyszeliśmy, chłopie, że odpływasz – oznajmił Ron. – Charley powiedział, że nie można tak cię puścić bez pożegnania.

– Brzaskwiniowa Nellie trafiła jak rzadko! – oznajmił rozpromieniony Charley.

– Miło to słyszeć – zapewnił Rincewind. – I cieszę się, że wreszcie nie wyglądasz tak ponuro.

– A będzie jeszcze lepiej – wtrącił Ron. – Właśnie przyjęli nową sopranistkę, i jest świetna, jeśli miałbym osądzać, i jeszcze... Charley, powiedz mu, jak się nazywa...

– Germaine Fantasia. – Gdyby Charley uśmiechnął się jeszcze szerzej, odpadłby mu czubek głowy.

– Naprawdę się cieszę – rzekł Rincewind. – Lepiej już teraz zacznij ubijać śmietanę, wiesz?

Ron poklepał go po ramieniu.

– Zawsze przyda nam się ktoś w kuchni – powiedział. – Wystarczy, że powiesz słowo, koleś.

– To naprawdę ładnie z waszej strony. Kiedy tylko wyciągnę z pudełka czystą chusteczkę, zawsze będę wspominał gmach Opery i waszą ekipę, ale...

– Tam jest!

Dozorca i kapitan straży biegli wzdłuż brzegu. Dozorca machał do Rincewinda przyjaźnie.

– Nie, nie, w porządku, nie musisz uciekać! – wołał. – Mamy dla ciebie ułaskawienie!

– Ułaskawienie? – zdziwił się Rincewind.

– Zgadza się! – Dozorca dobiegł wreszcie, z trudem łapiąc oddech. – Podpisane... przez... premiera – wysapał. – Pisz, że jesteś... porządny gość i mamy... cię nie wieszać... – Wyprostował się. – Zresztą i tak byśmy tego nie zrobili, nie teraz. Najlepsza pieprzona ucieczka, jaką mieliśmy od pieprzonych czasów Blaszanego Neda!

Rincewind spojrzał na tekst na oficjalnym więziennym papierze w linie.

– Aha. To dobrze – powiedział słabym głosem. – Przynajmniej jest ktoś, kto wierzy, że nie ukradłem tej nieszczęsnej owcy.

– Och, wszyscy wiedzą, że ukradłeś tę owcę – odparł z satysfakcją dozorca. – Ale po takiej ucieczce, no... i takim pościgu też, nie? Ten tu glina mówi, że nigdy jeszcze nie widział, żeby ktoś tak uciekał, i to jest szczerą prawdą.

Strażnik żartobliwie stuknął Rincewinda pięścią w ramię.

– Masz szczęście, koleś – stwierdził z uśmiechem. – Ale następnym razem cię złapiemy!

Rincewind patrzył tępo na ułaskawienie.

– Chcecie powiedzieć, że dostałem to, bo jestem niezłym gościem?

– Nie ma zmartwienia – uspokoił go dozorca. – I cała kolejka farmerów chce ci powiedzieć, że gdybyś następnym razem to im ukradł owcę, będzie bonza, jeśli tylko dostaną linijkę w balladzie.

Rincewind zrezygnował.

– Co mogę powiedzieć? Macie tu jedną z najlepszych cel śmierci, w jakich bywałem, a było ich sporo. – Dostrzegł satysfakcję i dumę na ich twarzach. Uznał więc, że skoro jemu sprzyjało szczęście, pora spłacić dług. – Eee... I naprawdę byłbym wdzięczny, gdybyście nigdy, ale to nigdy jej nie malowali.

– Nie ma zmartwienia. Masz. Pomyślałem, że ci to damy. – Dozorca wręczył mu niewielką paczkę opakowaną w ozdobny papier. – Nam już teraz na nic,

nie?

Rincewind odwinął konopny powróż.

– Brak mi słów – zapewnił. – Niezwykła życzliwość. A co to za... kanapki?

– Pamiętasz tę lepką brązową maź, co ją zrobiłeś? No więc wszyscy chłopcy jej próbowali i wszyscy mówili „buee”, ale potem wszyscy chcieli jeszcze trochę, więc spróbowaliśmy nagotować więcej – tłumaczył dozorca. – Myślałem, że otworzę własny interes. Nie przeszkadza ci to?

– Nie ma zmartwienia. Bierz ją sobie.

– Dzięki, koleś!

Ktoś jeszcze zbliżył się, kiedy Rincewind patrzył, jak odchodzą pośpiesznie.

– Słyszałem, że wracasz – odezwał się Bill Rincewind. – Nie miałbyś ochoty zostać? Rozmawiałem z waszym dziekanem, a on dał ci wściekle dobre referencje.

– Naprawdę? A co powiedział?

– Że jeśli u siebie zmuszę cię do jakiegokolwiek pracy, to będę miał szczęście.

Rincewind spojrzał na lśniące od deszczu miasto.

– Bardzo uprzejma oferta – zapewnił. – Ale... och, sam nie wiem. Całe to słońce, morze, fale i piasek raczej by mi nie służyły. Ale mimo wszystko dzięki.

– Pewien jesteś?

– Tak.

Bill Rincewind wyciągnął rękę.

– Nie ma zmartwienia. Przyślę ci kartkę na Strzeżenie Wiedźm i może jakieś niedopasowane elementy odzieży. A teraz muszę wracać na uniwersytet, całe

grono siedzi na dachu i łąta przecieki...

I było po wszystkim.

Rincewind siedział jeszcze przez chwilę i obserwował, jak na pokład wchodzi ostatni pasażerowie. Później raz jeszcze rozejrzał się po mokrym od deszczu porcie. A potem wstał.

– No to chodźmy – rzucił.

Bagaż wbiegł za nim po trapie i popłynęli do domu.

Padalo.

Woda bulgotała w pradawnych łożyskach strumieni, przelewała się i płynęła coraz szerzej siecią rowków i strużek.

Nastąpiły dalsze opady.

Niedaleko środka ostatniego kontynentu wodospady spływały po zboczach wielkiej czerwonej skały; parowała od trwającego dziesięć tysięcy lat letniego żaru. Niedaleko siedział na drzewie mały nagi chłopiec, obok trzech niedźwiadków, kilku oposów, niezliczonych papug oraz wielbłąda.

Wokół sterczącej skały cały świat zmienił się w morze.

I ktoś brnął przez fale. Był to stary człowiek niosący na ramieniu skórzaną sakwę.

Przystanął w wodzie do piersi i spojrzał w górę.

Coś się zbliżało. Chmury zwijały się i wirowały, pozostawiając srebrzysty otwór aż do samego nieba; dał się słyszeć dźwięk, jaki mógłby powstać, gdyby ktoś wziął huk gromu i rozciągnął mocno.

Pojawił się rosnący punkt. Starzec wyciągnął chudą rękę i nagle – z cichym trzaskiem – trafił w nią owalny kawałek drewna z przywiązanym sznurkiem.

Deszcz ustał.

Ostatnie krople wybiły krótki rytm, mówiący: teraz już wiemy, gdzie jesteście, więc jeszcze tu wrócimy...

Chłopiec wybuchnął śmiechem.

Starzec uniósł głowę, dostrzegł go i uśmiechnął się. Wsunął bullroarera za sznur, którym był opasany, po czym sięgnął po bumerang pomalowany na więcej kolorów, niż chłopiec kiedykolwiek widział w jednym miejscu.

Podrzucił go i złapał kilka razy, a potem – zerknąwszy w bok, by się upewnić, że publiczność patrzy – cisnął w górę.

Bumerang wzleciał w niebo. Wznosił się wciąż wyżej, daleko poza punkt, gdzie każdy normalny przedmiot powinien już zacząć spadać. Do tego rósł coraz większy. Chmury rozstąpiły się, by go przepuścić...

A potem się zatrzymał, jakby coś nagle przybiło go do nieba.

Niczym owce, które – zapędzone na pastwisko – mogą teraz chodzić bez pośpiechu we wszystkie strony, chmury zaczęły dryfować na boki. Promienie słońca przebiły się, oświetlając

spokojne wody. Bumerang wisiał na niebie i chłopiec pomyślał, że musi znaleźć nowe słowo na to, jak błyszczą na nim kolory.

Tymczasem jednak spojrział w dół, na wodę, i wypróbował inne słowo, którego nauczył go dziadek, a dziadka jego dziadek, i które przechowywano przez tysiące lat na czas, kiedy okaże się potrzebne.

Oznaczało „zapach po deszczu”.

I pomyślał, że naprawdę warto było czekać.